

C A R O L R I F K A B R U N T



POWIEDZ WILKOM,
ŻE JESTEM W DOMU

YAH

Carol Rifka Brunt

POWIEDZ WILKOM, ŻE JESTEM W DOMU

Przełożył Marcin Sieduszewski



Tytuł oryginału: *Tell the Wolves I'm Home* by Carol Rifka Brunt
Copyright © 2012 by Carol Silverman. By arrangement with the author.
All right reserved.
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV
Copyright © for the Polish translation by Marcin Sieduszewski, MMXV
Wydanie I
Warszawa MMXV

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[42](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[Od autorki](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Dla Maddy, Oakleya i Julii

Tamtego popołudnia wujek Finn malował portret mojej siostry Greta i mój, bo wiedział, że umiera. Rozumiałam już wtedy, że gdy dorosnę, nie wprowadzę się do jego mieszkania, żeby spędzić z nim resztę życia. Przestałam wierzyć, że to całe AIDS to jakieś wielkie nieporozumienie. Gdy po raz pierwszy poprosił mamę, nie zgodziła się. Uznała pomysł za makabryczny. Nie była w stanie pogodzić się z myślą, że miałybyśmy siedzieć w mieszkaniu Finna – mieszkaniu o dużych oknach wypełnionym zapachem lawendy i pomarańczy – a on wpatrywałby się w nas takim wzrokiem, jakby widział nas po raz ostatni. Zresztą, jak stwierdziła, z północnego Westchesteru na Manhattan zbyt długo się jedzie. Skrzyżowała ręce na piersi, spojrzała prosto w błękitne oczy Finna i oświadczyła mu, że obecnie tak trudno jest znaleźć na wszystko czas.

– Mnie to mówisz? – westchnął, momentalnie łamiąc jej opór.

Mam teraz piętnaście lat, ale tamtego popołudnia miałam jeszcze czternaście. Greta miała szesnaście. Był rok 1986, późny grudzień, i od pół roku spędzałyśmy u Finna jedno niedzielne popołudnie w miesiącu. Za każdym razem jechałyśmy tylko we trzy: mama, Greta i ja. Tato nigdy z nami nie przyjeżdżał, i słusznie. Jego obecność nie była nam potrzebna.

Usiadłam w ostatnim rzędzie foteli minivana. Greta siedziała tuż przede mną. Starłam się zająć takie miejsce, żebym mogła gapić się na nią bez jej wiedzy. Podglądanie ludzi to dobre hobby, ale wymaga ostrożności. Nie wolno dać się przyłapać osobom, którym się przypatrujesz, bo jeśli do tego dojdzie, potraktują cię jak kryminalistę. I może będą miały rację. Może faktycznie próby dostrzeżenia w ludziach czegoś, co sami chcą ukryć, powinny być uważane za zbrodnię. Co do Greta, to lubiałam patrzeć, jak jej ciemne, lśniące włosy błyszczą w słońcu, oraz wpatrywać się w zauszniki jej okularów przypominające dwie skryte za uszami łyzy.

Mama włączyła w radiu stację o nazwie KICK FM i chociaż nie przepadam za muzyką country, czasami, gdy się im na to pozwoli, głosy śpiewających z głębi serca ludzi mogą przywieść na myśl obrazy rodzinnych spotkań przy grillu w ogrodzie za domem, zaśnieżonych zboczy, z których dzieci zjeżdżają na sankach, czy obiadów w Święto Dziękczynienia. Samych dobrych rzeczy. Właśnie dlatego mama lubiła słuchać tej muzyki w drodze do Finna.

Żadna z nas nie mówiła zbyt wiele podczas tych wypraw do miasta. Furgonetka gładko mknęła po szosie, wypełniała ją cikliwa muzyka country i miałyśmy widok na szarą rzekę Hudson z szarą bryłą New Jersey po jej drugiej stronie. Ani na chwilę nie spuszczałam wzroku z Greta, bo to pomagało mi nie myśleć zbyt dużo o Finnie.

Poprzednim razem odwiedziłyśmy go w deszczowe niedzielne popołudnie w listopadzie. Finn zawsze był drobny – podobnie jak Greta, jak moja mama, i tak, jak ja chciałabym być – ale podczas tamtej wizyty zauważyłam, że jest po prostu wychudzony. Paski do spodni stały się zbyt długie, więc przewiązywał się w pasie

szmaragdowozielonym krawatem. Wpatrywałam się w ten krawat, zastanawiając się, kiedy ostatnio mógł go nosić, i próbowałam sobie wyobrazić, na jaką okazję nadawałoby się coś tak jaskrawego i mieniącego się kolorami, gdy nagle Finn ze wznesionym do góry pędzlem podniósł wzrok znad obrazu i oświadczył:

– Już niedługo.

Razem z Gretą przytaknęłyśmy, ale tak naprawdę żadna z nas nie wiedziała, czy miał na myśli obraz, czy własną śmierć. Później, po powrocie do domu, powiedziałam do mamy, że wyglądał jak balon, z którego uszło powietrze. Greta odparła, że przypominał raczej małą srebrną ćmę schwytaną w pajęczynę siwego pająka. Bo wszystko, co robi Greta, jest piękniejsze, nawet sposób, w jaki się wypowiada.

Był grudzień, tydzień poprzedzający Boże Narodzenie, i tkwiłyśmy w korku niedaleko mostu George'a Washingtona. Greta obróciła się na siedzeniu, żeby na mnie spojrzeć. Posłała mi wredny uśmiezek i sięgnęła do kieszeni płaszcza, by wyciągnąć stamtąd gałązkę jemioli. Już dwa Boże Narodzenia temu zaczęła nosić ze sobą jemiolę, żeby udęczać nią ludzi. Brała ją do szkoły i terroryzowała nas nią w domu. Ulubionym psikusiem Greta było zakradanie się do rodziców od tyłu i jednym skokiem umieszczanie jemioli nad ich głowami. Nie należeli do ludzi, którzy lubią otwarcie okazywać sobie uczucia, i właśnie dlatego Greta uwielbiała ich do tego zmuszać. Gdy siedziałyśmy w furgonetce, Greta pomachała gałązką w powietrzu, muskając nią moją twarz.

– Wiesz co, June? – zagała. – Zawieszę ją nad tobą i wujkiem Finnem. Ciekawe, co wtedy zrobisz?

Uśmiechnęła się do mnie wyczekująco.

Wiedziałam, co ma na myśli. Albo musiałabym być niegrzeczna dla wujka Finna, albo ryzykowałabym zarażenie się AIDS, chciała więc zobaczyć, jaką podejmę decyzję. Greta zdawała sobie sprawę z tego, że bardzo przyjaźniłam się z Finnem. Wiedziała, że Finn zabiera mnie do galerii sztuki i uczy, jak nadawać miękkość rysowanym przeze mnie portretom poprzez rozcieranie palcem kreski ołówka. Rozumiała, że nie zależało nam na jej towarzystwie.

Wzruszyłam ramionami.

– Pocałuje mnie tylko w policzek.

Ale mówiąc to, przypomniałam sobie, jak wyschnięte i popękane były obecnie wargi Finna. Jak czasami pojawiały się na nich niewielkie ranki, z których leciała krew.

Greta zwróciła się ku mnie, kładąc ramiona na oparciu swojego fotela.

– Tak, ale skąd możesz wiedzieć, czy zarazki nie wnikną do twojego organizmu przez skórę policzka? Skąd możesz mieć pewność, że nie dostaną się do krwi przez pory?

Nie wiedziałam tego. I nie chciałam umierać. Nie chciałam stać się szara.

Ponownie wzruszyłam ramionami. Greta obróciła się na siedzeniu plecami do mnie, ale i tak wiedziałam, że się uśmiecha.

Zaczął prószyc śnieg z deszczem i bryłki mokrego lodu rozpryskiwały się na szybie, gdy jechałyśmy przez ulice miasta. Staralam się wymyślić jakąś dobrą odpowiedź dla Greta, coś, co uświadomi jej, że Finn nigdy nie naraziłby mnie na niebezpieczeństwo. Myślałam o wszystkich rzeczach związanych z Finnem, o których Greta nie miała pojęcia. O tym, jak dał mi do zrozumienia, że portret jest tylko pretekstem. Kiedy po

raz pierwszy przyjechałyśmy pozować do portretu, od razu dostrzegł wyraz mojej twarzy. Począł, aż mama z Gretą znajdą się w salonie, i dopiero wtedy, gdy zostaliśmy sam na sam w wąskim przedpokoju, położył mi dłoń na ramieniu, pochylił się ku mnie i szepnął mi do ucha:

– Co innego miałem zrobić, żeby móc spędzać z tobą te wszystkie niedziele, Krokodylku?

Greta jednak nigdy się o tym nie dowie. Gdy wysiadałyśmy z furgonetki w półmroku podziemnego garażu, mruknęłam tylko:

– Przecież skóra i tak jest wodoodporna.

Greta delikatnie zamknęła drzwi i przeszła na moją stronę samochodu. Stała tam przez kilka sekund, wpatrując się we mnie. W moje duże, niezdarne ciało. Mocno naciągnęła szelki plecaka na swoich wąskich, ptasich ramionach i potrząsnęła głową.

– Możesz sobie wierzyć, w co chcesz – powiedziała, po czym obróciła się i ruszyła w kierunku schodów.

Greta dobrze wiedziała, że to niewykonalne. Można próbować wierzyć, w co się chce, ale na próżno. Mózg do spółki z sercem decydują o tym, w co się wierzy, i tyle. Nikogo nie pytają o zdanie.

Większość czasu spędzanego u wujka Finna mama poświęcała na robienie w kuchni herbaty w należącym do brata pięknym rosyjskim czajniczku pomalowanym na złoto, czerwono i niebiesko, na którego powierzchni tańczyły wyryte wkoło maleńkie niedźwiedzie. Finn mówił, że dzbanek ów służy wyłącznie do parzenia herbaty dla jego ulubionych osób. Zawsze już na nas czekał, gdy przyjeżdżaliśmy.

Słyszałyśmy z salonu, jak mama porządkuje szafki Finna – wyjmując słoiki, puszki, talerze i kubki, a następnie odkłada je na miejsce. Raz na jakiś czas wchodziła, żeby podać nam herbatę, która zazwyczaj stygła, bo Finn zajęty był malowaniem, a Grecie i mnie nie wolno się było ruszać. We wszystkie te niedziele mama prawie nie patrzyła na Finna. Nie ulegało wątpliwości, że serce jej się kraje na myśl o tym, że jej jedyny brat umiera. Ale momentami wydawało mi się, że chodzi o coś więcej. Nigdy też nie patrzyła na portret. Wychodziła z kuchni, stawiała czajniczek i przechodziła obok sztalugi, odwracając wzrok. Czasami miałam wrażenie, że wcale nie chodzi jej o Finna, tylko że stara się nie dostrzegać płótna, pędzli i farb.

Tamtego popołudnia Finn malował nas przez półtorej godziny. Włączył *Requiem* Mozarta, które oboje uwielbialiśmy. Chociaż nie wierzę w Boga, w zeszłym roku przekonałam mamę, aby pozwoliła mi zapisać się do chóru kościelnego w naszym miasteczku tylko po to, żebym na Wielkanoc mogła śpiewać *Kyrie* Mozarta. Żadna ze mnie wokalistka, ale gdy stojąc w ostatnim rzędzie, śpiewa się po łacinie z zamkniętymi oczami, można przyłożyć dłoń do zimnej ściany z kamienia i udawać, że jest się w średniowieczu. Dlatego się skusiłam.

Requiem było sekretem, który dzieliłam z Finnem. I nikim więcej. Nie musieliśmy nawet na siebie patrzeć, gdy je włączał. Oboje rozumieliśmy. Zabrał mnie kiedyś na koncert w pięknym kościele przy Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy, gdzie kazał mi zamknąć oczy i słuchać. Wtedy usłyszałam je po raz pierwszy. I zakochałam się w tej muzyce.

– Potrafi zaskoczyć, co? – spytał. – Najpierw usypia czujność, udając, że jest przyjemne i niegroźne, tak sobie brzęczy, a potem zniemacka wybucha i zaczyna wznosić się złowrogo. Słyszysz bębny, wyjące piskliwie smyczki i głębokie, mroczne głosy. Następnie wszystko równie prędko opada. Słyszysz, Krokodylku? Słyszysz?

Krokodylek to imię, które wymyślił dla mnie Finn, bo stwierdził, że jestem jak coś z zamierzchłych czasów, co czai się, obserwuje i czeka, zanim zdecyduje, co myśleć o danej rzeczy. Uwielbiałam, gdy mnie tak nazywał. Gdy siedzieliśmy wtedy w kościele, chciał być pewny, że rozumiem muzykę.

– Słyszysz? – spytał ponownie.

Faktycznie słyszałam. Przynajmniej tak mi się wydawało. A może tylko udawałam, bo bardzo nie chciałam, żeby Finn pomyślał, że jestem tępa.

Tamtego popołudnia *Requiem* unosiło się nad wszystkimi pięknymi przedmiotami w mieszkaniu Finna. Nad jego miękkimi tureckimi dywanami. Nad starym jedwabnym cylindrem wiszącym znoszoną stroną do ściany. Nad starym, okazałym rozmiarów słojem wypełnionym po brzegi kolorowymi, różnokształtnymi kostkami do gry na gitarze. Finn nazywał je korniszonami, ponieważ trzymał je w słoju do przetworów. Muzyka płynęła korytarzem, mijając drzwi sypialni Finna, które jak zwykle były zamknięte i owiane tajemnicą. Mama z Gretą zdawały się nie widzieć, że usta Finna poruszają się wraz z muzyką – *voca me cum benedictus... gere curam meifinis...* Nie miały pojęcia, że słuchają pieśni żałobnej, i dobrze, bo gdyby mama wiedziała, o co chodzi w tej muzyce, natychmiast by ją wyłączyła. Od razu.

Po jakimś czasie Finn obrócił płótno, tak abyśmy mogły zobaczyć, co udało mu się osiągnąć. Wiele to znaczyło, bo po raz pierwszy pozwalał nam spojrzeć na obraz.

– Przyjrzyjcie mu się dobrze, dziewczynki – powiedział.

W czasie pracy nigdy się nie odzywał, więc gdy w końcu przemówił, jego głos zabrzmiał jak wątyły, zasuszony szept. Przez twarz przemknął mu wyraz zakłopotania, po czym Finn sięgnął po kubek z zimną herbatą, upił łyk i odchrząknął.

– Danni, ty też chodź zobaczyć.

Mama nic nie odpowiedziała, więc Finn zawołał raz jeszcze w kierunku kuchni.

– No chodź. Tylko na chwilę. Chcę usłyszeć, co powiesz.

– Później – odkrzyknęła. – Jestem zajęta.

Finn spoglądał w kierunku kuchni, jakby miał nadzieję, że mama zmieni zdanie. Gdy było już jasne, że tak się nie stanie, zmarszczył brwi, a potem na nowo wbił wzrok w płótno.

Podniósł się ze starego niebieskiego fotela, z którego zawsze malował. Z grymasem bólu na twarzy trzymał się go przez chwilę, dochodząc do siebie. Zrobił krok do tyłu i nagle zdałam sobie sprawę, że poza zielonym krawatem wokół pasa nie ożywia go żaden kolor oprócz maleńkich plamek farby pokrywających biały fartuch malarski. Barwy Greta i moje. Miałam ochotę wyrwać mu pędzel z dłoni, żeby go pokolorować, farbami przywrócić go do dawnej świetności.

– Dzięki Bogu – powiedziała Greta, wyciągając ramiona nad głową i roztrzepując włosy.

Wbiłam wzrok w portret. Zauważyłam, że Finn lekko wysunął mnie na pierwszy plan, mimo tego, że inaczej siedzieliśmy, i uśmiechnęłam się.

– Nie jest jeszcze gotowy... prawda? – spytałam.

Finn podszedł i stanął koło mnie. Przechylił głowę i spojrzął na portret – na namalowaną Gretę i namalowaną mnie. Zmrużył oczy, patrząc prosto w oczy tej drugiej June. Pochylił się tak, że jego twarz prawie stykała się z wilgotnym płótnem, a ja poczułam gęsią skórę na ramieniu.

– Nie – odparł, potrząsając głową, ze wzrokiem wbitym w portret. – Jeszcze nie. Widzisz? Czegoś tu brakuje. Może czegoś w tle... może trzeba dopracować włosy. Jak myślisz?

Wypuściłam powietrze z płuc i rozluźniłam klatkę piersiową, próbując powstrzymać się od uśmiechu. Energicznie pokiwałam głową.

– Też mi się tak wydaje. Myślę, że powinniśmy przyjechać jeszcze kilka razy.

Finn odpowiedział uśmiechem i potarł blade czoło pozbawioną koloru dłonią.

– Tak. Jeszcze kilka razy – westchnął.

Spytał, co sądzimy o obrazie. Powiedziałam, że jest fantastyczny, ale Greta się nie odezwała. Stała odwrócona do nas plecami. Obie dłonie trzymała w kieszeniach i gdy powoli się obróciła, jej twarz nie wyrażała absolutnie niczego. Taka właśnie jest Greta. Potrafi ukryć każdą ze swoich myśli. Zanim się spostrzegłam, wyciągnęła jemiołę i uniosła ją w rękę. Zatoczyła nią łuk nad naszymi głowami, jakby chciała rozciąć powietrze; jak gdyby miała w dłoni coś więcej niż tylko kilka bożonarodzeniowych listków z jagodami. Unieśliśmy z Finnem wzrok i serce mi zamarło. Patrzyliśmy na siebie przez moment odpowiadający w przybliżeniu osypaniu się pojedynczego ziarenka piasku w klepsydrze lub kropli skapującej z nieszczelnego kranu, i Finn – mój wujek Finn – rozszyfrował mnie ot tak. W tym maleńkim ułamku sekundy dostrzegł, że się boję, pochylił więc moją głowę i złożył na jej czubku pocałunek tak delikatny, jakby na moich włosach usiadł motyl.

W drodze powrotnej do domu spytałam Gretę, czy według niej można zarazić się AIDS przez włosy. Wzruszyła ramionami, a potem odwróciła się do okna i wyglądała przez nie już do końca jazdy.

Wieczorem trzy razy umyłam włosy szamponem. Następnie owinęłam się ręcznikami, wślizgnęłam pod kołdrę i próbowałam zasnąć. Liczyłam barany, gwiazdy i źdźbła trawy, ale nic nie pomagało. Byłam w stanie myśleć tylko o Finnie, jego delikatnym pocałunku i o tym, jak w momencie gdy nachylał się nade mną, AIDS, Greta i mama zniknęły z pokoju. Przez tę najkrótszą z najkrótszych chwil znajdowaliśmy się w nim tylko Finn i ja, i zanim byłam się w stanie powstrzymać, zaczęłam się zastanawiać, jakie by to było uczucie, gdyby jednak pocałował mnie w usta. Wiem, jakie to wstrętne i obrzydliwe, ale chcę mówić prawdę, a prawda wygląda tak, że tamtego wieczoru leżałam w łóżku, wyobrażając sobie, że całuje mnie Finn. Leżałam w łóżku, rozmyślając o wszystkich możliwych i niemożliwych, właściwych i niewłaściwych, wypowiedalnych i niewypowiedalnych rzeczach kołających mi się w sercu, a gdy myśli te w końcu zniknęły, pozostało w nim tylko jedno: świadomość tego, jak bardzo będzie mi brakować wujka Finna.

Samotny spacer po lesie to najlepszy sposób na udawanie, że przeniosło się w inne czasy. Jest to jednak możliwe tylko w samotności. Jeśli jest z tobą ktoś jeszcze, zbyt łatwo przychodzi pamiętać, gdzie się naprawdę jest. Las, do którego chodzę, zaczyna się za budynkami gimnazjum i liceum, ale potem ciągnie się kilometrami na północ, w kierunku Mohapac i Carmel, i dalej, do miejsc, których nazw nawet nie znam.

Gdy tylko znajdę się w lesie, wieszam plecak na gałęzi drzewa. A potem ruszam przed siebie. Trzeba iść tak długo, aż umilkną dźwięki samochodów, i tak właśnie robię. Idę i idę, do momentu gdy słyszę już tylko ciche trzaski pękających gałęzi oraz szum strumyka. Podążam wzdłuż niego do miejsca, gdzie stoją rozpadający się kamienny mur oraz wysoki klon, do którego trochę powyżej wysokości mojej głowy przybito przerdzewiałe już wiadro na sok. To moje miejsce. Tam się zatrzymuję. W powieści *Fałdka czasu* przeczytać można, że czas jest niczym duży, stary, wymięty koc. Chciałabym znaleźć się w jednej z tych fałdek. Zostać w nią wsunięta. Ukryta w jej małym, ciasnym wnętrzu.

Zazwyczaj przenoszę się do średniowiecza. Do Anglii. Czasami śpiewam sobie fragmenty *Requiem*, chociaż wiem, że pochodzi ono z innego okresu. Spoglądam na otaczające mnie skały, opadłe liście i uschłe drzewa, jakbym miała moc czytania w nich. Jakby moje życie zależało od dokładnego zrozumienia tego, co chce powiedzieć las.

Zawsze pamiętam, żeby zabrać ze sobą starą sukienkę Gunne Sax, którą nosiła Greta, gdy miała dwanaście lat. Jest na mnie o wiele za mała, muszę więc wkładać pod spód koszulę i zostawiać guziki na plecach niezapięte. Przypomina raczej kostium z *Domku na prerii* niż coś średniowiecznego, ale nie mam nic lepszego. No i moje średniowieczne botki. To nie tajemnica, że buty najtrudniej dobrać. Przez dłuższy czas wkładałam po prostu czarne tenisówki, na które starałam się nie patrzeć, bo psuły całe efekt.

Czarne zamszowe botki z krzyżującymi się skórzanymi sznurowadłami na przedzie kupiliśmy z Finnem na festiwalu średniowiecznym w Cloisters. Był październik, a Finn malował nasz portret od czterech miesięcy. Już trzeci raz zabierał mnie na ten festiwal. Za pierwszym razem pomysł wyszedł od niego, ale za drugim i trzecim ode mnie. Gdy liście na drzewach stawały się brązowe i pokurczone, zaczynałam go nękać.

– Robi się z ciebie prawdziwa mediewistka, Krokodylku – mawiał. – Co ja z ciebie zrobiłem?

Miał rację. To była jego wina. Finn uwielbiał sztukę średniowiecza i przez lata spędziliśmy nieskończone godziny na wspólnym przeglądaniu jego albumów. Gdy po raz trzeci przyjechaliśmy na festiwal, Finn już chudł. Było chłodno i przydawał się wełniany sweter, ale Finn miał na sobie dwa, jeden na drugim. Popijaliśmy cydrowy grzaniec i chwila ta należała wyłącznie do nas, otoczonych tłustą wonią prosiaka piekącego się na rożnie, dźwiękami lutni, rzeniem konia ruszającego do udawanej walki na kopie oraz brzękiem dzwonków sokolnika. Finn wypatrzył gdzieś te botki i kupił mi je, bo wiedział, że strasznie mi się spodobają. Raz za razem wiązał mi

szorstkie skórzane sznurowadła przy stoisku szewca, jakby nie miał nic lepszego do roboty. Gdy nie pasowały, pomagał mi ściągnąć buty ze stóp. Czasami jego dłoń ocierała się o moją kostkę lub gołe kolano i oblewałam się rumieńcem. Nie powiedziałam mu, że wybrałam parę o dwa rozmiary za dużą. Nic mnie nie obchodziło, ile par skarpet będę musiała włożyć do środka. Nie miałam zamiaru wyrosnąć z tych butów.

Gdybym miała dużo pieniędzy, kupiłabym kilka akrów lasu. Otoczyłabym go murem i całkowicie odciąłabym się od współczesności. Może znalazłabym jeszcze kogoś, kto zamieszkałby tam ze mną. Kogoś, kto byłby skłonny przysiąc, że nigdy nie zająknie się ani słowem na temat terażniejszości. Wątpię, czy udałoby mi się znaleźć taką osobę. Do tej pory nie spotkałam nikogo, kto mógłby złożyć tego typu obietnicę.

Na razie tylko jednej osobie zdradziłam, co robię w lesie. Osobą tą był Finn, a ja nawet nie zamierzałam mu o niczym mówić. Wróciliśmy do jego mieszkania z kina, gdzie obejrzelśmy *Pokój z widokiem*. Finn stwierdził, że postacie w tym filmie są tak urzekające, ponieważ każda z nich jest osobą bardzo zamkniętą w sobie i wspaniale jest oglądać, jak się nawzajem odkrywają. Uznał to za niezwykle romantyczne. Powiedział, że szkoda, że świat już tak nie wygląda. Chciałam, żeby wiedział, że rozumiem – że zrobiłabym wszystko, żeby móc cofnąć się w czasie – powiedziałam mu więc o lesie. Zaśmiał się, trącił mnie ramieniem i nazwał megadziwaczką, na co ja nazwałam go świrem, bo bez przerwy rozmyśla o malowaniu, a potem zaczęliśmy się śmiać, gdyż wiedzieliśmy, że oboje mamy rację. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy największymi dziwakami na świecie. A teraz gdy Finna już nie ma, nikt nie ma pojęcia, że chodzę po szkole do lasu. Czasami myślę sobie, że może nikt już nawet nie pamięta o istnieniu tego miejsca.

Portret nigdy nie został nam wręczony. Nie w sposób oficjalny. Nie przy użyciu słów.

A to dlatego, że nie był ukończony. Tak twierdził Finn. Musiałyśmy wrócić na jeszcze jedną sesję, a potem kolejną. Sprzeciwiała się temu jedynie Greta, która przestała przyjeżdżać do Finna w niedziele. Stwierdziła, że skoro Finn ma zamiar tylko dopieszczać tło, to nie ma potrzeby, żebyśmy wszystkie u niego siedziały. Powiedziała też, że ma inne, lepsze rzeczy do roboty w niedzielne popołudnia.

W bardzo mroźny styczniowy poranek, w pierwszy dzień szkoły po przerwie świątecznej, czekałyśmy przed domem na szkolny autobus. Nasz dom znajduje się przy Phelps Street, czyli jednej z ostatnich ulic na trasie autobusu. Mieszkamy na południowym krańcu miasta, a szkoła położona jest tuż za miastem po jego północnej stronie. Szosą to jakieś trzy kilometry od nas, ale jeśli idzie się na skróty przez tylne podwórka i las – tak, jak czasami to robię – dystans jest o wiele krótszy.

Autobus przyjeżdża pod nasz dom prawie na samym końcu, więc ciężko jest obliczyć, kiedy dokładnie się pojawi. Na przestrzeni lat spędziłyśmy z Gretą mnóstwo czasu, czekając ze wzrokiem wbitym w rząd trawników przed domami na naszej ulicy. Budynki przy Phelps Street utrzymane są w stylach Cape Cod i *ranch*, z wyjątkiem należącej do rodziny Millerów rezydencji w stylu Tudorów położonej na niewielkim wzgórzu, na które prowadzi droga bez przejazdu. Naturalnie, nie jest to prawdziwy dom z epoki Tudorów, bo w tamtych czasach w Westchester mieszkali jedynie Indianie Mohegan, więc nie wiem właściwie, kogo Millerowie chcą nabrać. Pewnie nikogo. Pewnie ta myśl nigdy nawet nie przyszła Millerom do głowy. Ale mnie przychodzi za każdym razem, gdy widzę ten budynek. Do nas należy jasnoniebieski dom w stylu Cape Cod z czarnymi okiennicami, przed którym rośnie okazały klon czerwony.

Tamtego ranka truchtałam w miejscu, żeby się rozgrzać. Greta stała oparta o klon, wpatrując się w swoje nowe zamszowe buty za kostkę. Co jakiś czas zdejmowała z nosa okulary, chuchała na nie, a potem ścierała z nich parę.

– Greta?

– Co?

– Co masz lepszego do roboty w niedziele?

Nie byłam pewna, czy naprawdę chcę to wiedzieć. Otoczyłam się ramionami, mocno przyciskając płaszcz do ciała.

Greta wolno obróciła głowę i uśmiechnęła się do mnie szeroko bez otwierania ust. Potrząsnęła głową i szeroko otworzyła oczy.

– Rzeczy, których nie jesteś sobie nawet w stanie wyobrazić.

– Jasne – odparłam.

Greta poszła stać po drugiej stronie podjazdu.

Pomyślałam, że mogła mieć na myśli seks. Chyba jednak nie, skoro byłam w stanie to sobie wyobrazić. Niechętnie, ale mogłam.

Znowu zdjęła okulary i chuchnęła na szkła, które zaparowały od jej oddechu.

– Hej – zawołałam do niej. – Znowu jesteście sierotami. Nadszedł sezon dla sierot.

Greta wiedziała, co mam na myśli. Wiedziała, że mówię o sierotach sezonu podatkowego. Każdego roku wyglądało to tak samo. Zaczynało się od bożonarodzeniowej i noworocznej wrzawy, a potem nasi rodzice znikali na większą część zimy. Wychodzili z domu przed wpół do siódmej rano, a w większość wieczorów wracali najwcześniej o dziewiętnastej. Taki właśnie jest los dziecka dwójki księgowych. Odkąd sięgam pamięcią, tak to właśnie wyglądało.

W sezonie podatkowym, gdy nasi rodzice musieli wychodzić z domu przed przyjazdem autobusu, prosili panią Schegner mieszkającą po drugiej strony ulicy o przypilnowanie nas z okna swojego salonu. Dziewięcioletnia wtedy Greta czekała na autobus w towarzystwie siedmioletniej mnie. Mimo że zdawałyśmy sobie sprawę z obecności pani Schegner, i tak czułyśmy się, jakbyśmy były same. Greta obejmowała mnie ramieniem i przyciągała do siebie. Czasami, gdy autobus bardzo długo nie przyjeżdżał albo zaczynał padać śnieg, śpiewała coś z *Wielkiej wyprawy Muppetów* albo piosenkę Jamesa Taylora *Carolina in My Mind* z płyty *Greatest Hits* rodziców. Już wtedy miała dobry głos. Wydawało się, że gdy śpiewa, staje się inną osobą. Zupełnie jakby gdzieś głęboko kryła się jakaś kompletnie inna Greta. Śpiewała i przytulała mnie, dopóki autobus nie wyłonił się zza zakrętu. Wtedy mówiła do mnie, a może do siebie samej: „Widzisz? Wcale nie było tak źle”.

Nie byłam pewna, czy Greta ciągle to pamięta. Ja pamiętałam. Nawet gdy była dla mnie wyjątkowo podła, patrząc na nią, przypominałam sobie, jak kiedyś było między nami.

Greta zerknęła na mnie kątem oka, udając, że wcale jej nie interesuję, że nic a nic ją nie obchodzi. Oparła dłonie na biodrach.

– Och, co za tragedia, June. Masz rodziców, którzy pracują do późna. Weź się w garść.

Obróciła się na pięcie i do momentu, gdy na ulicę wtoczył się autobus, stała odwrócona do mnie plecami.

Finna odwiedziłam z mamą jeszcze trzy razy. Zaczęłyśmy jeździć do niego co drugi tydzień zamiast raz w miesiącu. I nie zawsze w niedzielę. Bardzo chciałam choć raz pojechać tam sama, tak jak robiłam to kiedyś. Chciałam przeprowadzić z Finnem długą, poważną rozmowę. Ale za każdym razem, gdy o tym wspominałam, mama mówiła: „Może następnym razem, dobrze, Junie?”, a to wcale nie było prawdziwe pytanie. W ten sposób mama informowała mnie, jak będzie. Zaczynałam się czuć, jakby wykorzystywała mnie i portret jako pretekst do spędzania czasu z Finnem. Nigdy wcześniej nie wydawało mi się, żeby byli sobie szczególnie bliscy, i może właśnie zaczynała tego żałować. Obecnie stałam się dla mamy czymś w rodzaju konia trojańskiego. To nie było fair, a dodatkowo sytuację komplikowała świadomość, że już niewiele tych wypraw zostało. Czułyśmy się, jakbyśmy brnęły przez lotne piaski. Chociaż nie mówiłyśmy o tym na głos, stawało się jasne, że konkurowałyśmy ze sobą o ostatnie godziny życia Finna.

W niedzielę, na którą przypadała nasza ostatnia wizyta u Finna, Greta siedziała przy swoim biurku, malując paznokcie na dwa kolory. Na zmianę – fioletowy, czarny, fioletowy, czarny. Siedziałam na brzegu jej nieposłanego łóżka i patrzyłam.

– Greta – odezwałam się. – Wiesz, to już długo nie potrwa. Mam na myśli Finna.

Musiałam się upewnić, że rozumie sytuację równie dobrze jak ja. Mama porównała ją do kasety magnetofonowej, której nie da się przewinać. Trudno jest jednak pamiętać, że nie da się jej przewinać, dopóki słuca się muzyki. Zapomina się więc o tym, zatapia w muzyce, a wtedy, zanim się człowiek obejrzy, taśma się kończy.

– Oczywiście, że wiem – odparła. – Wiedziałam, że wujek Finn jest chory, na długo przed tobą.

– To czemu nie chcesz z nami jechać?

Greta odstawiła buteleczki z czarnym i fioletowym lakierem do paznokci na małą drewnianą półkę na akcesoria do makijażu. Następnie zdjęła z niej buteleczkę z ciemnoczerwonym lakierem i odkręciła nakrętkę. Ostrożnie otarła pędzelek o krawędź szyjki. Przyciągnęła kolana do piersi i zaczęła malować paznokcie u stóp, począwszy od małego palca.

– Bo on ukończy ten obraz tak czy inaczej – powiedziała Greta, nawet na mnie nie patrząc. – A poza tym obie dobrze wiemy, że gdyby mógł, to nawet by mnie na nim nie umieścił. Byłaby tam tylko i wyłącznie jego ukochana June.

– Finn wcale taki nie jest.

– Skoro tak twierdzisz, June. Wszystko mi jedno. To bez znaczenia. Lada dzień zadzwoni telefon i dowiesz się, że Finn nie żyje, a przed tobą jest całe życie pełne beczynnych niedziel. I co wtedy poczniesz? To już bez znaczenia. Jedna niedziela mniej czy więcej. Nawet tego nie jesteś w stanie zrozumieć?

Nie odezwałam się. Greta zawsze wiedziała, jak sprawić, żeby mnie zatkało. Zakręciła buteleczkę z lakierem i poruszyła świeżo pomalowanymi palcami u stóp. Potem znowu się do mnie obróciła.

– No co? – spytała. – Przestań się na mnie gapić.

Sezon podatkowy zawsze pachniał gulaszem. W większość dni mama stawiała na blacie kuchennym musztardowej barwy wolnowar, w którym niespiesznie gotowało się coś na obiad. Bez względu na to, co się w nim znalazło – kurczak, warzywa, fasola – po wyjęciu z wolnowaru i tak pachniało jak gulasz.

Była czwarta po południu i Greta została w szkole na próbie przedstawienia. Grała jedną z głównych postaci w musicalu *Południowy Pacyfik* – Krwawą Mary – którą to rolę dostała z uwagi na to, że potrafi śpiewać jak nikt inny i ma ciemną urodę. W każdym razie ma ciemne włosy i oczy, więc wystarczy nałożyć jej odpowiedni podkład i pomalować oczy, żeby zaczęła wyglądać jak Polinezyjka. Greta oświadczyła nam, że co wieczór musi zostawać w szkole „do późna”.

Każdy dobrze wiedział, że ze wszystkich szkół w regionie nasza wystawiała najlepsze musicale. Zdarzały się lata, gdy na widowni zasiadali nawet ludzie z Nowego Jorku. Ludzie teatru, choreografowie, reżyserzy, tego typu osoby. Krążyła plotka, że jakieś dziesięć lat temu pewien choreograf po obejrzeniu przedstawienia uznał, że jedna ze starszych dziewcząt jest aż tak dobra, że gdy ukończyła szkołę, załatwił jej rolę w *Chórze*. Historię tę co rok wszyscy sobie powtarzają i chociaż nikt się nie przyznaje, że w nią wierzy, można wyczuć coś dokładnie odwrotnego. Tak naprawdę każdy chce wierzyć, że i jemu mogłoby przytrafić się coś równie bajecznego.

* * *

Od kilku dni temperatura utrzymywała się na poziomie kilkunastu stopni poniżej zera i było za zimno na spacer po lesie, siedziałam więc sama w domu, odrabiając lekcje z geologii przy kuchennym stole, gdy zadzwonił telefon.

– Pani Elbus? – spytał jakiś mężczyzna. Jego głos był rozmyty. Wodnisty.

– Nie.

– A... rozumiem. Przepraszam. Mogę prosić panią Elbus? – Nie tylko wodnisty, ale i z obcym akcentem. Być może angielskim.

– Jeszcze nie wróciła do domu. Mam coś przekazać?

Nastąpiła dłuższa pauza, a potem:

– June? Czy rozmawiam z June?

Mężczyzna, którego głosu nigdy wcześniej nie słyszałam, znał moje imię, i miałam wrażenie, że jego palce wyciągają się w moją stronę za pośrednictwem linii telefonicznej.

– Proszę zadzwonić później – powiedziałam, po czym szybko odłożyłam słuchawkę.

Przypomniał mi się film, w którym ktoś dzwoni do opiekunki do dzieci i mówi, że ją obserwuje i że powinna sprawdzić, co u dzieci, a ona zaczyna wpadać w coraz większe przerażenie. Tak właśnie czułam się po tym telefonie. Mimo że facet nie powiedział niczego dziwnego, obeszłam cały dom, żeby zamknąć wszystkie okna i drzwi. Usiadłam na podłodze w kuchni obok lodówki i otworzyłam puszkę yoo-hoo.

Wtedy telefon zadzwonił raz jeszcze. Dzwonił i dzwonił, aż włączyła się automatyczna sekretarka. Rozległ się ten sam głos.

– Strasznie mi przykro, jeśli cię wystraszyłem. Dzwonię w sprawie twojego wujka. Wujka Finna z Nowego Jorku. Spróbuję później. To wszystko. Przepraszam.

Wujek Finn. On znał wujka Finna. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Wstałam i wylałam resztę yoo-hoo do zlewu. Następnie zaczęłam dreptać tam i z powrotem po brązowych płytkach linoleum w kuchni. Finn odszedł. Wiedziałam, że Finn odszedł.

Podniosłam słuchawkę i wybrałam jego numer, który znałam na pamięć. Telefon zadzwonił dwa razy, zanim został odebrany, i gdy dobiegło mnie kliknięcie słuchawki, pierś wypełniła mi fala radości.

– Finn? – Po drugiej stronie panowała cisza, więc odczekałam chwilę. – Finn? – spytałam raz jeszcze. Słyszałam rozpacz wzbierającą w moim głosie.

– Obawiam się, że nie... On nie...

Szybko się rozłączyłam. To był ten sam głos. Ten sam mężczyzna, który zostawił wiadomość na naszej sekretarce.

Pobiegłam do swojego pokoju. Nigdy wcześniej nie wydawał mi się równie mały. Skurczony. Omiotłam wzrokiem moje głupie bezdymne świece, moją durną kolekcję książek *Wybierz własną przygodę*, moją pstrokatą czerwoną kołdrę z nadrukiem udającym gobelin. Miałam wrażenie, że Nowy Jork znajduje się na wysokości wielu tysięcy kilometrów, jakby bez Finna zabrakło mu czegoś, co przyciskało go do ziemi, i całe miasto wzbilo się w powietrze.

Wczołgałam się pod łóżko i mocno zacisnęłam powieki. Leżałam tam przez dwie godziny, wdychając stęchły zapach gulaszu. Udawałam, że jestem bardzo stara i leżę zamknięta w grobowcu, a jednocześnie nasłuchiwałam dźwięku otwieranych drzwi, żebym mogła w porę przycisnąć dłonie do uszu, zanim usłyszę, jak ktoś odtwarza raz jeszcze tę durną wiadomość na automatycznej sekretarce.

Greta prawdopodobnie nie kłamała, mówiąc, że wiedziała o chorobie wujka Finna przede mną. Nie było jej przy mnie, gdy się dowiedziałam. Tamtego dnia jechałam z mamą do dentysty, ale w pewnym momencie ona bez słowa skręciła z głównej ulicy w lewo zamiast w prawo i zanim się obejrzałam, byłyśmy już w restauracji Mount Kisco. Powinnam się była od razu domyślić, że coś jest nie tak, bo zawsze jeździłyśmy do dentysty z Gretą, a tym razem towarzyszyła mi tylko mama. Może miała nadzieję, że poczuję tak wielką ulgę z powodu odwołania wizyty, że wieści dotyczące wujka Finna wydadzą mi się mniej straszne. Myliła się. Lubię chodzić do dentysty. Lubię smak żelu fluorkowego i podoba mi się to, że przez dwadzieścia minut, jakie spędzam na fotelu w gabinecie doktora Shippee, moje zęby są dla niego najważniejszą rzeczą na świecie.

Usiadłyśmy w boksie, co oznaczało, że miałyśmy do dyspozycji szafę grającą. Zanim zdążyłam sama o to poprosić, mama podała mi dwudziestopięciocentówkę i powiedziała, żebym wybrała kilka piosenek.

– Coś dobrego, okej? – poprosiła. – Coś wesołego.

Skinęłam głową. Nie wiedziałam, o czym miałyśmy rozmawiać, więc wybrałam *Ghostbusters*, *Girls Just Want to Have Fun* i *99 Luftballons*. W szafie grającej dostępna była zarówno angielska, jak i niemiecka wersja tej ostatniej piosenki. Wybrałam niemiecką, bo wydawała mi się fajniejsza.

Mama zamówiła tylko filiżankę kawy. Ja zamówiłam placek cytrynowy z bezą i mleko czekoladowe.

Gdy przebierałam w utworach dostępnych w szafie grającej, włączyła się piosenka *Ghostbusters*. Przewracałam strony, odczytując każdy z tytułów i zastanawiając się, czy dokonałam dobrego wyboru. Nagle dłoń mamy znalazła się na mojej dłoni.

– June – powiedziała takim tonem, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Tak?

Powiedziała coś tak cicho, że nie zrozumiałam ani słowa.

– Co? – spytałam, nachylając się nad stołem.

Odezwała się raz jeszcze, ale znowu mogłam tylko czytać z ruchu jej warg – jakby w ogóle jej nie zależało, żeby ją było słyhać.

Pokręciłam głową. Szafa grająca ryczała głosem Raya Parkera Juniora śpiewającego o tym, że nie boi się duchów.

Mama wskazała na miejsce obok siebie, a ja przeniosłam się na jej stronę stołu. Ujęła moją głowę w dłonie i przyciągnęła mnie do siebie, tak że jej usta prawie stykały się z moim uchem.

– Finn umiera, June.

Mogła powiedzieć, że Finn jest chory – nawet poważnie chory – ale nie zrobiła tego. Wypaliła prosto z mostu, że Finn umiera. Mama normalnie taka nie była. Zazwyczaj unikała mówienia rzeczy trudnych wprost, tym razem jednak musiała uznać, że pozwoli to skrócić czas potrzebny na wyjaśnienia. No bo jak mogłaby coś takiego wytłumaczyć? Jak ktokolwiek mógłby coś takiego wytłumaczyć? Przyciągnęła mnie

jeszcze bliżej do siebie i przez kilka sekund tkwiłyśmy w tej pozycji, a żadna z nas nie miała ochoty spojrzeć drugiej w oczy. Miałam wrażenie, że w moim mózgu powstało coś w rodzaju korka drogowego złożonego z setki różnych słów, które powinnam powiedzieć.

– Beza cytrynowa?

Obok stolika wyrosła kelnerka z moim plackiem w ręku, musiałam więc odsunąć się od mamy i kiwnąć głową. Spojrzałam na niedorzecznie puszystą i radosną bezę, nie mogąc uwierzyć, że jeszcze kilka minut temu miałam na nią ochotę.

– Na co umiera? – spytałam w końcu.

Patrzyłam, jak mama przesuwając palcem wskazującym po stole. „AIDS”, napisała. A potem – jakby stół był szkolną tablicą i mógł utrwalić to, co napisała – przetarła go otwartą dłonią.

– Aha. – Wstałam i wróciłam na swoją stronę stołu. Czekają tam drwiące ze mnie ciastko. Wbiłam widelec w tę durną, pełną nadziei bezę i rozerwałam ją na pół. Następnie przysunęłam się bliżej do szafy grającej i przycisnęłam ucho do głośnika. Zamknęłam oczy w nadziei, że cała restauracja zniknie. Gdy rozpoczął się utwór 99 *Luftballons*, czekałam na moment, gdy Nena powie „Kapitan Kirk” – jedyne dwa słowa, które rozumiałam z całej piosenki.

Na pogrzebie Finna trumny nie otwierano i wszyscy odetchnęli z tego powodu. Zwłaszcza ja. Wyobrażałam sobie jego zamknięte oczy. Okryte cienką skórą powieki. Zastanawiałam się, jak dałabym radę powstrzymać się przed delikatnym przytknięciem do nich opuszek palców i otwarciem ich. Tylko po to, by raz jeszcze spojrzeć w błękitne oczy Finna.

Pogrzeb odbył się dokładnie tydzień po tamtej rozmowie telefonicznej. Był czwartek i opuściłyśmy z jego powodu popołudniowe zajęcia w szkole. Podejrzywałam, że tylko dlatego Greta zgodziła się na niego pojechać. Był to również jeden z nielicznych dni w moim życiu, gdy oboje rodzice pomimo trwania sezonu podatkowego mieli dzień wolny od pracy.

Mama wzięła ze sobą nasz portret namalowany przez Finna, bo wydawało jej się, że może dobrze byłoby postawić go gdzieś, żeby pokazać, jakim był człowiekiem, ale gdy dojechaliśmy na parking domu pogrzebowego, zmieniła zdanie.

– On tu jest – powiedziała. W jej głosie pobrzmiwała dziwaczna mieszanka paniki i złości.

Tato zaparkował samochód, po czym wyjrzał przez okno.

– Gdzie?

– No tam, nie widzisz? Siedzi sam, tam z boku.

Tato kiwnął głową i ja też spojrzałam. Na niskim ceglany murku siedział jakiś zgarbiony mężczyzna. Wysoki, chudy facet przypominający mi Ichaboda Crane'a z *Legendy o sennej kotlinie*.

– Kto to? – spytałam, wskazując przez okno.

Rodzice obrócili się jednocześnie, żeby na mnie spojrzeć. Greta dźgnęła mnie łokciem w zębra i niezwykle złośliwym tonem kazała mi się przymknąć.

– Sama się przymknij – odparowałam.

– To nie ja zadaję głupie pytania. – Poprawiła okulary, a potem odwróciła wzrok.

– Cicho bądźcie jedna z drugą – powiedział tato. – Mamie i tak jest ciężko.

Mnie też jest ciężko, pomyślałam, ale się nie odezwałam. Siedziałam cicho, zdając sobie sprawę, że smutek, który odczuwam, nie przystoi siostrzenicy. Wiedziałam, że Finn nie był tak naprawdę mój, więc nie mam prawa do tego typu uczuć. Teraz, gdy nie żył, należał już tylko do mamy i babci. To im współczuli wszyscy naokoło, mimo że żadna z nich nie wydawała się być z nim w zbyt bliskich relacjach. Dla osób obecnych na pogrzebie Finna byłam tylko jego siostrzenicą. Wyjrzałam przez okno i uświadomiłam sobie, że znajduję się w miejscu, w którym nikt w najmniejszym nawet stopniu nie zdaje sobie sprawy z tego, co noszę w sercu. Nikt nie miał pojęcia, jak wiele minut każdego dnia poświęcam myślom o Finnie, i na szczęście nikt nie wiedział, jakiego rodzaju są to myśli.

Mama zorganizowała ceremonię w domu pogrzebowym w naszym miasteczku zamiast w Nowym Jorku, gdzie mieszkali wszyscy znajomi Finna. Nie było w tej kwestii żadnej

dyskusji. Wydawało się, że chce go zagarnąć dla siebie. Sprawić, żeby Finn należał już tylko i wyłącznie do niej.

Tato spojrzał na mamę.

– Mam więc zostawić go w bagażniku?

Skinęła głową, mocno zaciskając wargi.

– Zostaw.

W końcu to tato pojechał do miasta odebrać portret na drugi dzień po śmierci Finna. Pojechał wieczorem i żadna z nas nie zaproponowała, że dotrzyma mu towarzystwa. Mama dała mu klucz do mieszkania Finna nawleczony na jedwabną czerwoną wstążkę. Klucz leżał u nas w domu od lat, ale nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek go kiedyś użył. Mama zawsze mówiła, że to tylko tak „na wszelki wypadek”. Bo Finn chciał, żebyśmy mieli ten klucz.

Tato wrócił do domu dopiero późno w nocy. Wszedł i trzasnął drzwiami i nawet ja słyszałam, jak rozmawiają z mamą.

– Był tam? – spytała.

– Danni...

– Był?

– Oczywiście, że tak.

Wydawało mi się, że słyszę, jak mama płacze.

– Boże. Gdy tylko o nim pomyślę... Nie spodziewałam się, że to wszystko skończy się aż tak niesprawiedliwie. Nie do tego stopnia.

– Ciii. Danni, musisz się z tym pogodzić.

– Nie pogodzę się. Nie potrafię. – Zamilkła, a chwilę potem spytała: – No dobrze, gdzie on jest? Przywiozłeś go, prawda?

Musiał skinąć głową, bo następnego ranka obraz leżał już na stole, zawinięty w czarny worek na śmieci. Wstałam pierwsza i gdy go tam dostrzegłam, wyglądał bardzo niepozornie. Obeszłam stół dookoła, po czym wyciągnęłam dłoń, żeby dotknąć worka. Przycisnęłam do niego nos w poszukiwaniu zapachu Finna, ale niczego nie wyczułam. Otworzyłam worek, włożyłam głowę do środka i odetchnęłam głęboko, ale chemiczny zapach plastiku zacierał wonie, które mogły być utrwalone w płótnie. Zamknęłam oczy i zaczęłam robić coraz głębsze i powolniejsze wdechy, jednocześnie zaciskając torbę wokół szyi.

– Cześć, głąbie. – Poczulałam silne klepięcie w plecy. Greta. Wygramoliłam się z worka.

– Nie będę cię powstrzymywać, jeśli masz ochotę pożegnać się z życiem, tylko pozwól nam zabrać obraz, okej? Jest wystarczająco obleśny bez kolejnej historii o trupie.

Trup. Finn był trupem.

– Dziewczynki? – Mama stała w połowie schodów owinięta różowym pikowanym szlafrokiem. Spojrzała na nas, mrużąc zaspane oczy. – Chyba nic nie kombinujecie z obrazem, co?

Obie pokręciłyśmy głowami, po czym Greta się uśmiechnęła.

– Jedna z nas próbowała popełnić samobójstwo przy użyciu worka na śmieci, to wszystko.

– Co takiego?

– Przymknij się, Greto – powiedziałam, ale nic to nie dało. Greta nigdy nie potrafiła zamknąć się w stosownym momencie.

– Nakryłam ją z głową w worku.

Mama zeszła na dół i uścisnęła mnie tak mocno, że myślałam, że mnie zadusi. Potem, nadal mnie trzymając, odsunęła się o krok.

– Wiem, co czułaś do Finna, i chcę, żebyś wiedziała, Junie, że jeśli tylko będziesz chciała o tym porozmawiać...

– Wcale nie próbowałam się zabić.

– Już dobrze – odparła. – Nie musisz nic mówić. Jesteśmy tu z tobą. Ja, tato, Greta. Wszyscy cię kochamy.

Za plecami mamy Greta wybałuszyła oczy i udawała, że dynda na stryczku.

Nie było sensu się sprzeczać, więc przytaknęłam tylko, a potem usiadłam przy stole.

Mama podniosła worek i zabrała go na górę. Oznajmiła, że potrzebna nam chwila wytchnienia od portretu i że schowa go w bezpiecznym miejscu. Następnym razem zobaczyłam go dopiero w dniu pogrzebu.

Szliśmy teraz ścieżką prowadzącą ku drzwiom wejściowym, a Greta i ja zostałyśmy odrobinę w tyle za rodzicami. Tato zatrzymał się i położył dłoń na ramieniu mamy.

– Wejdz do środka – powiedział, wskazując schody. – Poszukaj mamy. Sprawdź, jak się czuje.

Mama skinęła głową. Miała na sobie elegancki płaszcz z czarnej wełny, pod nim wąską czarną spódnicę i ciemnoszarą bluzkę, a na głowie mały czarny kapelusz z woalką. Wyglądała ładnie, jak zwykle. Padał drobny śnieg, którego płatki osiadały na jej kapeluszu, gdzie leżały przez kilka sekund, po czym topiły się, znikając w czarnym filcu.

Babcia rozmawiała w holu z kimś, kogo nie znałam. W ogóle nie była podobna do mamy, co wydawało się typowe dla Weissów w mojej rodzinie. Wyglądało na to, że Finn i moja mama przyjrzeni się kiedyś swoim rodzicom i uznali, że bez względu na wszystko chcą się od nich różnić. Dziadek Weiss, mocno zbudowany mężczyzna, był wojskowym, podczas gdy Finn postanowił zostać artystą. Babcia Weiss spędziła całe życie na gotowaniu obiadów, prasowaniu ubrań i układaniu sobie włosów dla dziadka Weissa, podczas gdy moja mama zapłaciłaby każdą cenę, żeby tylko nie musieć prasować ani gotować, a włosy strzygła na krótko, żeby nie musieć nic z nimi robić. Jeśli ta tradycja obejmie też Gretę i mnie, żadna z nas nie będzie chciała podjąć pracy w biurze, co w moim przypadku jak na razie było zgodne z prawdą. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, będę pracować na kiermaszu renesansowym jako sokolniczka. Nie będę musiała się martwić o ścieżkę kariery czy awanse, bo w sokolnictwie nie o to chodzi. Albo się jest sokolnikiem, albo nie. Albo ptaki do ciebie wracają, albo odlatują w siną dal.

Tato poczekał, aż mama wejdzie do domu pogrzebowego, po czym obrócił się do nas. Zauważyłam wąski pasek zarostu biegnący wzdłuż jego szczęki w miejscu, gdzie niedokładnie się ogolił, oraz to, że tego dnia ciągle marszczył brwi. Niczym żongler, który musi się ogromnie skupiać, żeby utrzymać wszystkie piłki w powietrzu. Nie

wyglądał na zasmuconego śmiercią Finna. Jeśli już, to zachowywał się, jakby mu ulżyło.

– Dajcie mi znać, jeśli zobaczycie, że tamten mężczyzna wchodzi do środka, okej?

Obie skinęłyśmy głowami.

– Dla dobra waszej mamy i babci, rozumiecie?

Ponownie przytaknęłyśmy.

– Grzeczne dziewczynki. Wiem, że sytuacja jest trudna, ale obie świetnie sobie radzicie. – Ucisnął moje ramię, a potem ramię Grety. – Niedługo wszystko się uspokoje, okej?

Raz jeszcze kiwnęłyśmy głowami. Przez chwilę na nas patrzył, a potem obrócił się i wbiegł po schodach ku otwartym drzwiom wejściowym.

Stałyśmy z Gretą na pokrytej lodem ścieżce. Czasami bardzo łatwo można było dostrzec, że jestem wyższa od Grety, mimo że to ona jest starsza. Pochyliłam się ku niej i skinęłam głową w stronę mężczyzny.

– Kto to w ogóle jest? – szepnęłam.

Byłam prawie pewna, że mnie tego nie zdradzi, i nie myliłam się. Nic nie powiedziała, pokazała mi tylko gestem, żebym ruszyła ścieżką w jego kierunku. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że mężczyzna wpatruje się we mnie. Nie w Gretę, tylko we mnie. Pochylił się, jakby miał zamiar wstać, jakby myślał, że idę się z nim przywitać. Chciałam zawrócić i ruszyć w drugą stronę, ale Greta położyła mi dłoń na ramieniu i zaczęła popychać naprzód. Szłyśmy do momentu, gdy znalazłyśmy się w odległości kilku kroków od mężczyzny. Wtedy Greta się zatrzymała, odczekała chwilę, a następnie odchrząknęła.

– To jedna z tych osób, które nie zostały zaproszone na pogrzeb – powiedziała wystarczająco głośno, żeby ją usłyszał.

Spojrzałam na mężczyznę, który jeszcze sekundę temu próbował zwrócić na siebie moją uwagę, ale teraz już na mnie nie patrzył. Włożył ręce do kieszeni i wbił wzrok w chodnik.

– Po co tak powiedziałaś?

– Nie będę się przed tobą tłumaczyć – odparła.

Greta wie o rzeczach, o których nie mam pojęcia, dzięki temu, że szpieguje. Są miejsca w naszym domu, gdzie można usłyszeć wszystko. Nie znoszę ich, ale Greta je uwielbia. Jej ulubionym jest łazienka na dole, bo rzadko się jej używa i wszyscy zapominają, że ktoś w niej może być. Nawet jeśli zostanie się dostrzeżonym, można zawołać „chwileczkę” i dopiero jakiś czas później otworzyć drzwi i wpuścić tego, kto pukał, do środka. A do tej pory człowiek zdąży dowiedzieć się wszystkiego.

Nie lubię podsłuchiwać, bo z doświadczenia wiem, że lepiej nie wiedzieć o rzeczach, które próbują przemilczeć rodzice. Nie jest miło dowiedzieć się, że dziadkowie są w separacji, bo dziadek stracił panowanie nad sobą i uderzył babcię w twarz po pięćdziesięciu dwóch latach zgodnego małżeństwa. Nie jest miło dowiedzieć się z wyprzedzeniem, co dostanie się na Gwiazdkę czy urodziny, i udawać później zaskoczenie, zwłaszcza gdy jest się kiepskim kłamcą. Nie jest miło usłyszeć, że nauczyciel powiedział mamie na zebraniu rodziców, że jestem średniakiem z matmy i angielskiego i powinno mi to wystarczyć.

Greta popędziła w kierunku drzwi domu pogrzebowego. Gdy tam dotarła, zatrzymała się i obróciła.

– A zresztą mogę ci powiedzieć – zawołała dźwięcznym głosem.

Starła grzbietem dłoni roztopiony śnieg z policzka.

Zrobiło mi się zimno i niedobrze. Z informacjami pochodzącymi od Greta była zawsze ta sama historia. Chciałam je poznać, ale jednocześnie się bałam. Posłałam w jej kierunku najłżejsze z możliwych skinienie głową.

Wskazała na mężczyznę i oznajmiła:

– To facet, który zabił wujka Finna.

Obróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć, ale zdążył już odwrócić się i odejść. Zobaczyłam tylko, jak ten wysoki, chudy mężczyzna pochyła się, żeby wsiąść do swojego niewielkiego błękitnego autka.

Podczas nabożeństwa pogrzebowego siedziałam w pierwszym rzędzie, starając się słuchać wszystkich miłych rzeczy, które ludzie mieli do powiedzenia na temat Finna. W pomieszczeniu było duszno i ciemno, a krzesła wymuszały pozycję o wiele bardziej wyprostowaną, niż miało się na to ochotę. Greta nie siedziała z nami na przedzie. Powiedziała, że woli zająć miejsce w tylnym rzędzie, i gdy obróciłam się, żeby na nią spojrzeć, zobaczyłam, że siedzi z opuszczoną głową, przykrywa uszy dłońmi i ma zamknięte oczy. Nie tylko zamknięte, ale zaciśnięte z całych sił, jakby chciała odciąć się od tego, co działo się wokół niej. Przez chwilę wydawało mi się, że może nawet płacze, ale nie było to zbyt prawdopodobne.

Mama wygłosiła krótką mowę na temat wspólnego dzieciństwa jej i Finna. Tego, jakim dobrym był bratem. Wszystko, o czym opowiadała, pozbawione było konkretów, jakby zbyt duża ostrość szczegółów mogła ją pokaleczyć. Po mamie kilka słów wygłosił jakiś kuzyn z Pensylwanii. Potem przez chwilę paplał właściciel zakładu pogrzebowego. Starłam się słuchać, ale nie mogłam przestać myśleć o mężczyźnie, spotkanym przed uroczystością.

Nie chciałam się domyślać, jak Finn zaraził się AIDS. To nie było moje zadanie. Jeśli tamten facet faktycznie zabił Finna, to musiał być jego chłopakiem, a jeśli był chłopakiem Finna, to dlaczego nic o nim nie wiedziałam? I skąd znała go Greta? Gdyby wiedziała już wcześniej, że Finn ma chłopaka, którego istnienie utrzymuje w tajemnicy, mogłaby wykorzystać ten fakt, żeby mnie dręczyć. Nigdy nie przegapiła okazji do uświadomienia mi, że wie więcej ode mnie. Były zatem dwie możliwości. Albo dopiero teraz dowiedziała się o tym facecie, albo nic z tego nie było prawdą.

Postanowiłam uwierzyć w opcję numer dwa. Niełatwo jest postanowić, że uwierzy się w jedną rzecz zamiast drugiej. Zazwyczaj umysł podejmuje takie decyzje bez naszego udziału. Ale zmusiłam się do tego, bo na samą myśl, że Finn zataiłby przede mną coś równie ważnego, ogarniały mnie mdłości.

Nabożeństwo dobiegło końca i wszyscy opuścili budynek. Kilka osób zatrzymało się w holu, żeby porozmawiać, ale ja ruszyłam prosto do drzwi, żeby odnaleźć ten mały niebieski samochód. Nie było po nim śladu. Ani po mężczyźnie. Śnieg padał coraz mocniej, sprawiając, że ulice i trawniki stawały się białe i czyste. Podciągnęłam suwak płaszcza tak wysoko, jak tylko się dało, a potem popatrzyłam na szosę z jednej i drugiej strony, jednak niczego tam nie dostrzegłam. Mężczyzna zniknął.

Jeden z najlepszych momentów na spacer po lesie przychodzi zaraz po zamieci śnieżnej, bo wtedy wszystkie puste puszkę po piwie i napojach gazowanych oraz opakowania po cukierkach znikają i nie trzeba się aż tak bardzo wysilać, żeby przenieść się w inne czasy. Poza tym jest coś pięknego w stąpieniu po śniegu, po którym nikt jeszcze nie szedł. Zaczynasz wierzyć, że jest w tobie coś wyjątkowego, choć jednocześnie wiesz, że to nieprawda.

Na dłonie nałożyłam pomarańczowe rękawiczki zrobione dla mnie na drutach przez Grete, gdy ta należała w piątej klasie do klubu szydełkowego. Były duże, niekształtne i miały kciuki pośrodku zamiast na zewnętrznych krawędziach. Nie chciało mi się ubierać w sukienkę Gunne Sax, ale włożyłam moje średniowieczne botki. Nie było wcale tak zimno i doszłam dalej niż zwykle – przeszłam przez niewielki strumyk biegnący u stóp wzgórza, na które następnie zaczęłam się wspinać. Starłam się nie myśleć o Finnie i tajemnicach, jakie mógł przede mną skrywać. Próbowałam skupić się na opowiadanej sobie samej historii, w której byłam jedyną osobą w wiosce wystarczająco silną do polowania i musiałam brnąć przez śniegi, tropiąc jelenie. Dziewczęta nie mogły polować, zmuszona więc byłam wiązać włosy do góry i udawać, że jestem chłopcem. Taka to była opowieść.

Pod świeżym śniegiem znajdowała się warstewka lodu, więc z każdym krokiem w górę zjeżdżałam odrobinę w dół. Gdy w końcu dotarłam na szczyt, usiadłam wyczerpana. Panowała tu kompletna cisza i pozwoliłam sobie zamknąć oczy. Przez chwilę widziałam twarz Finna i uśmiechnęłam się, mocniej zaciskając powieki w nadziei, że go tam zatrzymam. Ale wizja zniknęła. Opadłam na plecy i leżałam w śniegu, patrząc na pokręcone wzory tworzone przez nagie gałęzie drzew na tle szarego nieba. Gdy moje ciało ułożyło się wygodnie na ziemi, świat zamarł w bezruchu i chociaż starałam się kierować myśli ku średniowieczu, do głowy wkradał mi się Finn. Żałowałam, że został skremowany, a nie pogrzebany, bo wtedy mogłabym zdjąć rękawiczki, przycisnąć dłonie do ziemi i wiedzieć, że gdzieś tam jest; że mogę się z nim połączyć za pośrednictwem cząsteczek zmrożonej gleby. Potem przypomniał mi się facet stojący przed domem pogrzebowym i zarumieniłam się na myśl o własnej głupocie. Przecież to jasne, że ktoś tak niesamowity jak Finn miał chłopaka. Czemu miałby nie mieć? To musiał być ten sam facet, który zadzwonił tamtego dnia. Anglik, który wiedział, jak mam na imię. Mężczyzna telefonujący z mieszkania Finna. Znajdujący się w mieszkaniu Finna. Z moim wujkiem Finnem. Po policzku spłynęła mi gorąca łza.

Wtedy rozległo się przeciągłe, smutne wycie. Przez chwilę wydawało mi się, że wydobywa się ze mnie. Zupełnie jakby świat przemienił moje uczucia w dźwięk.

Zanim usiadłam, wycie dobiegało już z dwóch źródeł. Psy, kojoty albo wilki. Ani jedno, ani drugie wycie nie było jednostajne. Oba dźwięki urywały się i rozbrzmiewały na zmianę. Najpierw dało się słyszeć jeden z nich, a kilka sekund później dołączał do niego drugi. A potem kolejne. Trzy albo cztery. Wyteżałam słuch, starając się ustalić,

jak daleko się znajdowały, ale dźwięk otaczał mnie ze wszystkich stron. Był blisko i daleko. Oblepiał drzewa i chmury. Wycie stało się głośniejsze, a w mojej głowie pojawił się obraz wielkiego szarego wilka o matowej sierści, który rzuca się na mnie. Przez jedną głupawą chwilę naprawdę miałam wrażenie, że znajduję się w średniowiecznym lesie, gdzie wilki mogą porwać dziecko czy pożreć człowieka żywcem.

– Nie boję się was! – zawołałam w kierunku wzgórz.

Zaczęłam biec, potykając się i zataczając. Źle wymierzyłam skok i wpadłam jednym z botków prosto w strumyk, po czym wspięłam się na drugi brzeg, chwytając się dla równowagi rosnących tam wątych drzewek. Kilka minut później wyszłam z lasu na szkolny parking. Nie było na nim już prawie żadnych samochodów i przez jakąś minutę stałam zgięta wpół, próbując złapać oddech.

– Kurczę – powiedziałam, patrząc na swoją prawą dłoń.

Wymierzyłam kopniaka dużej stercie brudnego śniegu zsuniętego na krawędź parkingu. Zgubiłam jedną ze zrobionych przez Gretę rękawiczek.

– Chcesz iść na imprezę?

Greta nie uśmiechała się, zadając mi to pytanie. Nawet na mnie nie spojrzała. Gdy mijałam drzwi do jej pokoju w drodze na śniadanie, stała pochylona nad komodą.

Byłam pewna, że się przesłyszałam, więc przystanąłam, czekając, aż powie coś jeszcze. Musiałam wyglądać jak idiotka, gdy tak stałam w korytarzu z rozdziawionymi ustami.

Greta obróciła się i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Im-pre-za – powiedziała, akcentując każdą sylabę przesadnym ruchem warg. – Czy. Chcesz. Iść.

Weszłam do jej pokoju, którego białe meble i różowe ściany zwieńczone cienkim paskiem tapety z Holly Hobbie wyglądały identycznie jak wtedy, gdy miała siedem lat. Sądząc po wystroju tego wnętrza, ktoś, kto nie wiedział niczego na temat Greta, mógł pomyśleć, że mieszka tu jakaś grzeczna dziewczynka. Usiadłam na krawędzi jej łóżka.

– Co to za impreza?

– Fajna.

– Ta, jasne.

Greta dobrze wie, że dla mnie nie istnieją fajne imprezy. Mogę znieść jedną czy dwie osoby, ale jeśli jest ich więcej, zamieniam się w kretoszczura. Takie to właśnie uczucie, gdy jest się nieśmiałym. Skóra staje się zbyt cienka, światło zbyt jaskrawe i najchętniej schowałoby się w tunelu wydrążonym w głębi chłodnej, mrocznej ziemi. Kiedy ktoś zadaje mi pytanie, wbijam w tę osobę tępe spojrzenie i mózg mi się zapycha, gdy gorączkowo staram się znaleźć coś ciekawego do powiedzenia. W konsekwencji jestem w stanie jedynie kiwać głową albo wzruszać ramionami, bo światło bijące z wpatrzonych we mnie, wyczekujących oczu okazuje się nie do zniesienia. Potem rozmowa się kończy i kolejna osoba na tym świecie zaczyna uważać mnie za kompletną nudziarę.

A najgorsza w tym wszystkim jest głupia nadzieja. Na każdym kolejnym przyjęciu, w towarzystwie nowej grupy osób zaczynam się łudzić, że może oto nadeszła moja szansa. Że tym razem uda mi się zachowywać normalnie. Nowy rozdział w życiu. Nowy początek. Ale kończy się to tak, że jestem na przyjęciu i myślę sobie: No tak. Znowu to samo.

Staję więc pod ścianą i trzymam kciuki, modląc się, żeby nikt nie spojrzał mi prosto w oczy. I na szczęście zazwyczaj nikt tego nie robi.

– Chyba nie mam ochoty – odparłam.

– No chodź, June. Obiecuję, że nie będzie okropnie.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Brzmiało to zbyt szczerze.

Całkiem nie w stylu Greta.

– Naprawdę. Daję słowo. – Przyłożyła obie dłonie do piersi. Robiłam, co mogłam, żeby się nie uśmiechnąć, ale czułam, że wyraz mojej twarzy mnie zdradza.

– W takim razie, gdzie ta impreza będzie? – spytałam po chwili.

– Jeszcze nie wiem, ale organizuje ją Jillian Lampton. Znasz ją, prawda?

Faktycznie, znałam Jillian. Była jedną z osób zajmujących się oświetleniem musicalu *Południowy Pacyfik*. Miała ufarbowane na czarno włosy ostrzyżone na pazia. Wyglądała tak, jak sama chciałabym kiedyś wyglądać. Jillian chodziła do trzeciej klasy, czyli o rok niżej od Greta, chociaż pewnie była od niej starsza.

Niewiele osób wie, że Greta jest w czwartej klasie liceum, chociaż ma dopiero szesnaście lat. Nikt z jej znajomych nie zdaje sobie sprawy, w jakim ona naprawdę jest wieku. Ani jedna osoba. Gdy przeprowadziliśmy się do naszego miasteczka z Queens, miałam pięć lat, a Greta siedem. Powinna pójść do drugiej klasy, ale zamiast tego poszła od razu do trzeciej. Za radą nauczycielki, która stwierdziła, że Grecie brakuje wyzwań, i zapewniła naszych rodziców, że ich córka bez problemów poradzi sobie w wyższej klasie. Podobno tato nie był co do tego przekonany, ale mama uznała to za fantastyczny pomysł. „Życiowe szanse odpłyną w siną dal, jeśli wyrzucisz je za burtę”. Tak brzmiało jej wielkie motto. Zazwyczaj odnoszące się do Greta. Tak jakby szanse życiowe były małymi, śliskimi w dotyku rybkami. Grecie było wszystko jedno, więc tak właśnie zrobili. Mimo że należała do najmłodszych dzieci w klasie, przeskoczyła cały rok. Obecnie jest co najmniej o rok młodsza od wszystkich osób w swojej klasie, a od większości z nich prawie o dwa lata. Utrzymuje to jednak w tajemnicy. Na jej przyjęciach urodzinowych mama wkłada w tort dodatkową świeczkę dla zachowania pozorów. Stało się już tradycją, że każdego roku Greta sama wybiera „świeczkę kłamczuszkę” i stara się jej nie zgasić, żeby nie anulować wszystkich swoich życzeń. Zapis o jej wieku znajduje się w szkolnych dokumentach, ale poza tym najwyraźniej całkiem o nim zapomniano. Czasami jednak jestem w stanie to dostrzec. Nigdy bym nie wspomniała o tym Grecie, ale czasem widać, że o wiele bardziej przypomina dziecko niż jej znajomi.

– No nie wiem, Greta. Nie wydaje mi się, żeby mama...

– Mamą się nie przejmuj. Ja się nią zajmę. Sezon podatkowy trwa już od półtora miesiąca. Mamie będzie wszystko jedno.

Greta położyła dłonie na biodrach i przechyliła głowę.

– To co, wpadniesz?

– Ale... dlaczego właściwie zależy ci na mojej obecności?

W oczach Greta zamruła jakaś iskierka. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy była to iskierka miłości, żalu czy podłości, a wtedy ona spytała:

– A czemu miałoby mi nie zależeć?

Bo mnie nie cierpisz, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos.

Trzy lata wcześniej Keri Westerveldt przestała być naszą opiekunką na czas trwania sezonu podatkowego. Greta przejęła jej rolę. Rodzice jej ufali. „Obie jesteście rozsądne”, stwierdziła mama. W trakcie tego pierwszego roku bez Keri Westerveldt Greta była na bieżąco ze wszystkim, co robiłam. Pomagała mi odrabiać lekcje i siedziała obok mnie w autobusie jadącym do domu. Robiła dla nas małe kanapeczki z serem w plasterkach i majonezem, a potem siedziałyśmy w jej pokoju, jedząc je i udając, że jesteśmy sierotami, które oprócz siebie nawzajem nie mają nikogo. W domu było czasami tak spokojnie, cicho i pusto, że łatwo dało się w to uwierzyć. Gdyby wtedy zaprosiła mnie na imprezę, nie wahałabym się nawet przez chwilę. Zgodziłabym

się pomimo tego, że nie znoszę przyjęć. Nie miałabym żadnych wątpliwości.

Cieężko powiedzieć, kiedy dokładnie przestałyśmy być najlepszymi przyjaciółkami i coraz mniej zaczęłyśmy przypominać siostry. Greta poszła do liceum, a ja byłam jeszcze w gimnazjum. Greta miała nowych znajomych, a ja miałam Finna. Greta robiła się coraz ładniejsza, a ja... coraz dziwniejsza. Nie wiem. Żadna z tych rzeczy nie powinna mieć znaczenia, ale chyba jednak miały. Trochę tak jak woda, która z początku jest delikatna i nieszkodliwa, aż nagle zalewa cię fala wielkości Wielkiego Kanionu.

– No, zgódź się. Proszę, June.

– Nie wiem, może – wymamrotałam.

Chciałam wierzyć w jej dobre intencje. Spojrzałam Grecie głęboko w oczy, starając się wypatrzeć źródło, z którego płynęły jej słowa. Ale niczego nie dostrzegłam. Wtedy przyszło mi do głowy, że może jakimś cudem była to sprawka Finna. Może po śmierci możliwe jest wpełzanie w innych ludzi i sprawianie, że stają się milsi. Nie bardzo wierzę w tego typu rzeczy, ale i tak się do niej uśmiechnęłam. Tak na wszelki wypadek, gdyby Finn naprawdę patrzył na mnie w tej chwili oczami Grety.

– Czyli przyjdiesz? – spytała.

Rozejrzałam się po jej pokoju. W każdym kącie leżały kupki wymiętych ubrań. Szminki i kredki do oczu, które stoczyły się z nierównego blatu biurka Grety, leżały na kserokopii scenariusza do *Południowego Pacyfiku*. Na nieułożonej kostce Rubika leżała zgnieciona puszka po napoju 7Up. W prawym górnym rogu lustra, gdzie wetknęła zrobione w budce fotograficznej zdjęcie siebie i swoich znajomych, dostrzegłam własne stopy. Nasze stare zdjęcie, na którym moje brudne białe sandały i rąbek żółtej sukienki na ramiączkach w kropki wyzierały spod pozostałych fotografii.

Może chodziło o fakt, że Greta ciągle miała to zdjęcie u siebie, a może o to, jak zaskakująco przyjemnie było zostać zaproszoną przez nią do zrobienia czegoś wspólnie, a może po prostu wiedziałam, że spędzam z nią ostatni rok. Została już przecież przyjęta do Dartmouth. Chociaż brzmiało to nierealnie, za sześć miesięcy miało jej już tu nie być. Mogło chodzić o którąkolwiek z tych rzeczy albo o to, że impreza wydawała się bardzo odległa. Wiedziałam, że będzie jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby się z niej jakoś wymigać. Po co psuć tak piękną chwilę? Może właśnie dlatego kiwnęłam głową.

– Okej – powiedziałam z półuśmiechem. – To może przyjdę.

Greta klasnęła w dłonie i lekko podskoczyła. Następnie wyciągnęła ręce i uniosła moje warkoczki, układając mi je na czubku głowy.

– Zajmę się tobą – oznajmiła. – Mam jeszcze trochę rozjaśniacza do włosów Sun-In. Megan mówiła, że on działa, nawet gdy nie ma lata, jeśli stanie się wystarczająco blisko żarówki. Mogę ci też zrobić makijaż.

Zamilkła na chwilę i pozwoliła moim włosom opaść na ramiona. Podniosła okulary z komody i nałożyła je na nos. Następnie posłała mi intensywne spojrzenie.

– Znowu razem, co? Tak jak dawniej? Pomogę ci zapomnieć o wujku Finnie. Teraz, gdy jego już nie ma, ty i ja... – Greta się uśmiechała. Niemalże beztrzesko.

Odsunęłam się od niej i wbiłam w nią wzrok.

– Ja wcale nie chcę zapomnieć o Finnie.

Tak właśnie powiedziałam. Słowa te wyrwały mi się prosto z serca, a potem przeszły przez usta, i chociaż były szczere, dużo czasu spędziłam na żałowaniu ich. Płułam sobie w brodę, że nie przytaknęłam Grecie, przyznając, że znowu jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami i wszystko może być tak jak dawniej.

Chciała się szybko odwrócić, ale zanim zdążyła to zrobić, dostrzegłam jeszcze, że na jej twarzy odmalowuje się wyraz rozczarowania. Przez chwilę bawiła się czymś na biurku odwrócona do mnie plecami. Gdy ponownie na mnie spojrzała, zawiedziona minę zastąpiła już typowa dla niej pełna wyższości niechęć.

– Jezu, June. Czy ty zawsze musisz być taka durna?

– Ja...

– Idź już. Możesz wyjść.

Gdy doszłam do drzwi, obróciłam się.

– Greta?

Wydała z siebie pełne irytacji westchnienie.

– Co?

– Nie chciałam...

Machnęła w moim kierunku ręką.

– Nie chcę tego słuchać. Po prostu wyjdź. Wynoś się.

Finn był nie tylko moim wujkiem, ale i ojcem chrzestnym. Rodzicami chrzestnymi Greta byli Ingramowie: Fred Ingram, kierownik kontroli jakości w Pillsbury, oraz Becca Ingram, jego żona. Ich syn Mikey jest ode mnie o kilka lat młodszy. Znałyśmy z Gretą Mikey'ego od dnia, gdy przyszedł na świat z tym dziwnym znamieniem podobnym do plamy z wina biegnącym mu przez ramię. Latem Ingramowie często przychodzili do nas na grilla, a pan Ingram zawsze przynosił własne mięso. Gdy chodziliśmy na basen albo włączaliśmy spryskiwacze do trawnika, Mikey ukrywał znamię pod koszulką z krótkimi rękawami. Wstydził się nawet przede mną i Gretą, chociaż widziałyśmy je już wcześniej.

Ingramowie byli w porządku, ale trudno byłoby się domyślić, że są rodzicami chrzestnymi Greta. Za to Finn traktował rolę ojca chrzestnego poważnie. Spytałam kiedyś mamę, dlaczego nie jest też ojcem chrzestnym Greta, i odpowiedziała, że gdy Greta się urodziła, Finn jeszcze się nie ustatkował. Nieustannie przebywał „poza domem” i podróżował, gdy tylko nasza go ochota. Dla mnie brzmiało to fajnie, ale według mamy nie zdałby egzaminu.

Mama powiedziała, że nawet gdyby Greta urodziła się po mnie, i tak nie poprosiłaby Finna, żeby ponownie został ojcem chrzestnym, bo za bardzo brał sobie tę funkcję do serca. Nie spodziewała się, że będzie okazywał mi aż tyle zainteresowania, i teraz, gdy byłam starsza, bała się, że jego uwaga może mnie rozpraszać. Jakiś czas przed jego śmiercią stwierdziła też, że może i dobrze, że nie będę mogła na nim zbyt wiele polegać.

Wkurzyło mnie to. Podobnie jak każde zdanie, które zaczynała od słów: „Dziewczynka w twoim wieku...”.

Wiedziałam też, że Gretę wkurza fakt, że ja mam wujka Finna, a ona skazana była na Ingramów. Finn nigdy nie zabronił Grecie nigdzie z nami pójść. Nigdy jej nie wykluczał. Ona sama się izolowała. Czasem mówiła przemądrzałym tonem: „Nie chcę się narzucać, skoro masz okazję spędzić trochę czasu z twoim chrzestnym”. Nie namawiałam jej na siłę, bo przecież chciałam mieć Finna tylko dla siebie.

W zeszłe lato Mikey próbował pocałować Gretę. Uznała to za obleśne, bo pocałunek z bratem chrzestnym to przecież kazirodztwo.

– Ale możesz pocałować June – dodała.

Mikey się zaczerwienił i nie wiedział, gdzie oczy podziać. Nikt nie miał ochoty mnie całować – nawet on – a Greta chciała mieć pewność, że zdaje sobie z tego sprawę. Ale dla mnie ważniejsze było odkrycie, że Greta w dalszym ciągu nie potrafi zapomnieć, kto jest moim chrzestnym. Ta świadomość tkwiła w jej sercu niczym zadra. Poszczyliło mi się z Finnem – i dobrze o tym wiedziała.

Portret został ostatecznie wyjęty ze wstrętnego czarnego worka na śmieci w pierwszy wtorkowy poranek po pogrzebie wujka Finna. Tego ranka lekcje miały zacząć się z dwugodzinnym opóźnieniem, ale śnieg padał tak mocno, że w końcu odwołano wszystkie zajęcia. Lubię śnieg, a zwłaszcza jego hałdy na trawniku wznoszące się na pół metra czy metr, po których można chodzić, udając, że stąpa się po niebiańskich obłokach.

Gdy byłyśmy małe, jeszcze zanim Greta zrobiła się podła, bawiłyśmy się wspólnie na podwórku za domem ubrane w obszerne zimowe kombinezony. Leżałyśmy na plecach, starając się nie mrugać, gdy płatki śniegu osiadały nam na twarzach. Kiedyś Greta powiedziała, że płatek śniegu wylądował jej na gałce ocznej i mogła przyjrzeć się wszystkim jego subtelnym szczegółom. Każdemu kryształkowi. Przez jedną krótką chwilę. Zupełnie jakby jego widok został wyryty w jej oku. Powiedziała, że był to najpiękniejszy płatek śniegu, jaki potrafiła sobie wyobrazić. Piękniejszy nawet od aniołów. Potem wbiegła do domu. Chwyciła mamę za spódnicę i zaniósła się płaczem, bo zrozumiała, że nigdy już nie będę miała okazji przyjrzeć się tamtemu płatkowi. Dotarło do niej, że nigdy nie będzie w stanie pokazać mi czegoś równie cudownego. Oto historia, którą mama opowiada czasami, żeby przypomnieć, jak kiedyś wyglądały moje relacje z Gretą. Czasem w nią wierzę, a czasem nie.

– Musimy go oprawić – powiedziała mama.

Tato pojechał tego dnia do biura, ale mama została z nami w domu. Przemierzała kuchnię w tę i w tę, przyciskając zawinięty w worek obraz do piersi. W kuchni unosił się zapach jajecznicy i kawy, a za oknem padał tak gęsty śnieg, że nie byłam w stanie dojrzeć stojącego na podjeździe samochodu.

– Wcale nie musimy – odparła Greta. – Kto mówi, że musimy?

– Obrazy się oprawia – oznajmiła mama. – Niech któraś z was go wyjmie. Przyjrzymy mu się.

Nie było się czego bać. Tak sobie powtarzałam. Sięgnęłam po worek. Mama podała mi go, a potem cofnęła się o krok. Greta przysunęła się do mnie, gdy kładłam obraz na stole i wyciągałam go z worka.

Spojrzałyśmy na nasze podobizny rozłożone na kuchennym stole. Moje włosy wyglądały tak jak zwykle – dwa cienkie warkoczyki po obu stronach głowy spięte razem z tyłu, a Greta miała na nosie okulary, bo Finn powiedział jej, że jego zdaniem powinnyśmy wyglądać tak, jak zazwyczaj wyglądamy. Portret powinien oddawać rzeczywistość. Finn namalował mnie z taką miną, jakbym znała jakiś wielki sekret, ale nie miała zamiaru nikomu go zdradzić. Powinien był przedstawić w ten sposób Gretę, bo to bardziej w jej stylu, ale zamiast tego sprawił, że wyglądała, jakby właśnie wyjawiała komuś jakąś tajemnicę i czekała na reakcję. Gdy patrzyło się na portret, łatwo było zrozumieć, jak fantastycznym malarzem był Finn. Nie potrafię nawet częściowo pojąć, jakim cudem potrafił wydobyć myśli z czyjejś głowy i przenieść je na płótno. Jak to możliwe, żeby niewidzialne myśli mogły zostać przekształcone w smugi czerwieni,

zółci i bieli?

Żadna z nas nie była w stanie oderwać oczu od portretu. Mama wsunęła się pomiędzy nas i objęła nas w talii. Chłonełam każde pociągnięcie pędzla, każdy odcień koloru, każdy kąt i linię znajdujące się na tym obrazie. Miałam wrażenie, że mama i Greta robią to samo, że mają ochotę zanurzyć się w płótnie. Ramię mamy zaciskało się wokół mnie coraz mocniej, aż w pewnym momencie poczułam, że gniecie moją koszulę w pięści. Gwałtownie odwróciła głowę i otarła policzek rękawem swetra.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

Mama szybko skinęła głową ze wzrokiem utkwionym w obrazie.

– Co za strata. Spójrzcie na to. Zobaczcie, jaki był zdolny. Dostał od życia wszystko, co potrzebne...

Zdawało mi się, że zaraz zacznę płakać, ale mama przerwała ten moment szybkim, mocnym klaśnięciem w dłonie. Potem powiedziała przesadnie radosnym tonem:

– No, dobrze. Ramy? Jakież pomysły?

Przechyliłam głowę na bok.

– Czy nie wydaje wam się, że wygląda... Nie wiem... jakoś inaczej?

– No, nie wiem – odezwała się Greta, pocierając podbródek w udawanym zamyśleniu. – W każdym razie ty dalej wyglądasz jak głupek.

– Nie teraz, Greto – powiedziała mama, powoli wypuszczając powietrze z płuc.

Ale obraz naprawdę wyglądał jakoś inaczej. Poprzednio widziałam go podczas ostatniej wizyty u Finna. Farba była wtedy jeszcze wilgotna, a Finn zdawał się jeszcze drobniejszy niż wcześniej. Psuł mu się wzrok i stwierdził, że nie uda mu się go dopracować. Położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: „Wybacz, June. Przykro mi, że nie jest wystarczająco dobry”. Oznajmił też, że będziemy dalej nad nim pracować.

My. Tak właśnie powiedział. Jakbym miała z tym cokolwiek wspólnego.

– Skończyłyście oglądać? – spytała mama, sięgając po portret.

– Jeszcze chwileczkę. – Wpatrywałam się w obraz w poszukiwaniu elementu, który uległ zmianie. Spojrzałam prosto w oczy sobie, a następnie Grecie. Nie. Tam nic się nie zmieniło. Wtedy je zauważyłam. Na mojej koszulce znajdowało się pięć guzików. Gdy je dostrzegłam, nie byłam w stanie zrozumieć, jak mogłam ich od razu nie zauważyć. Przecież w ogóle nie wyglądały na dzieło Finna – raczej jakiegoś dziecka. Były całe czarne z wyjątkiem odrobiny bieli, która miała sugerować odbijanie się światła. Po co Finn miałby umieszczać guziki na T-shircie? Przytknęłam opuszkę palca do pierwszego od góry guzika. Farba była tam grubsza niż gdziekolwiek indziej i w jakiś sposób mnie to przygnębiło.

Spojrzałam na mamę i Gretę i postanowiłam nie wspominać o guzikach.

– Okej – powiedziałam. – Skończyłam. Możesz go schować.

W piątek po szkole pojechaliśmy do sklepu z ramami w centrum miasteczka. Mały, pyzaty pan Trusky oświadczył, że rozumie, jak ważne jest, żebyśmy wszystkie były zadowolone z dokonanego wyboru, w związku z czym pozwolił nam zostać w sklepie jeszcze przez pół godziny po umieszczeniu na drzwiach wywieszki „ZAMKNIĘTE”. Mama prosiła pana Trusky’ego o wkładanie portretu w kolejne ramy i za każdym razem któraś z nas uznawała, że coś jest nie tak. Gdy wychodziłyśmy ze sklepu, obraz był

w dalszym ciągu nieoprawiony. Wrócił do bagażnika samochodu owinięty w ten sam czarny worek, w którym go przywieźliśmy.

– Spróbujemy jeszcze raz jutro – powiedziała mama na parkingu. – Mówił, że ma ich więcej.

– Może po prostu pojedziesz sama? – spytała Greta.

– Nie ma mowy. Finn namalował go dla was obu. To wasz obowiązek.

– W takim razie weźmy tę prostą z czarnego drewna.

Prosta rama z czarnego drewna w ogóle mi się nie podobała. Sprawiała, że wyglądałyśmy przewrotnie.

Każda z ram, w których pan Trusky umieszczał portret, zdawała się kompletnie go odmieniać. Ta, która podobała się mamie, nosiła nazwę „Walencja” i zrobiona była z ciemnego drewna, a na jej krawędziach wyrzeźbiono drobny wzór przypominający ziarenka kawy. Moim zdaniem sprawiała one, że portret wydawał się nudny.

– Mnie się podoba ta złota staromodna.

– Cóż za zaskoczenie – mruknęła Greta.

Nazywała się „Złoto Toskanii” i według mnie wyglądała sztywnie. Z taką ramą nasz portret mógłby od razu zawisnąć w muzeum.

– Finnowi by się spodobała – stwierdziłam.

– Skąd możesz wiedzieć, co spodobałoby się Finnowi? – spytała Greta ostrym tonem.

– Udało ci się przenieść na skakance do krainy umarłych?

Pamięć Grety momentami wprawiała mnie w zdumienie. Gdy miałam dziewięć lat, przyszedł mi do głowy pewien pomysł związany z podróżą w czasie. Pomyślałam, że gdyby udało mi się skakać na skakance do tyłu z wystarczającą prędkością, mogłabym cofnąć się w czasie. Gdyby tylko możliwe było wzburzenie powietrza wokół mnie z dostateczną siłą, mogłabym stworzyć bąbel wirujący do tyłu.

Już w to nie wierzyłam. Nie wierzyłam, że ktokolwiek mógłby osiąść taką moc.

Mama wyglądała, jakby lada chwila miała się załamać, więc szturchnęłam Gretę łokciem.

– Jutro. Może jutro spojrzemy na to świeżym okiem – powiedziała mama.

I jakimś cudem tak właśnie się stało. Wybrałyśmy pierwszą ramę, jaką pokazał nam następnego ranka pan Trusky. Być może udało nam się szybko dokonać wyboru, bo Greta znalazła pretekst, żeby z nami nie jechać, więc w sklepie byłam tylko z mamą. Może byłyśmy już zmęczone albo ta rama naprawdę okazała się najlepsza: brązowa, o ściętych krawędziach, niemalże zlewała się z płótnem, pozwalając obrazowi zachować swój charakter.

– Proszę go u mnie zostawić na dwa dni. Oprawimy go, powiedzmy, do wtorku rano.

– Pan Trusky nabazgrał coś na bloczku do notowania.

– Zostawić? – powtórzyłam za nim.

Mama położyła mi dłoń na ramieniu.

– Kochanie, tego nie da się zrobić od ręki. Potrzeba na to trochę czasu.

– Ale nie podoba mi się, że musimy go tu zostawić. Tak daleko od domu.

– No daj już spokój, nie bądź niegrzeczna. Pan Trusky zrobi, co w jego mocy.

Mama uśmiechnęła się do pana Trusky’ego, który w dalszym ciągu pisał na bloczku.

– Zróbmy tak: specjalnie dla ciebie zajmę się nim już jutro po południu i przywiezę

go wam do domu, gdy tylko będzie gotowy. Okej?

Skinęłam głowę. Obraz i tak miał spędzić całą noc poza domem, ale wyglądało na to, że nic lepszego nie da się wynegocjować.

– Podziękuj panu Trusky'emu, June. To bardzo miło z jego strony. Podziękowałam i wyszłyśmy. Pan Trusky dotrzymał słowa i nazajutrz obraz do nas wrócił. Postawił go na blacie kuchennym, żebyśmy mogły dobrze się mu przyjrzeć.

– Prawdziwe dzieło sztuki – przyznał tato z dłońmi opartymi o biodra.

– A rama pasuje idealnie. Jesteśmy bardzo wdzięczni za wszystko, co pan dla nas zrobił – powiedziała mama.

– Wie pani, rama dużo zmienia – oznajmił pan Trusky.

Oboje rodzice przytaknęli, chociaż nie jestem pewna, czy go w ogóle słuchali.

– A ty, June? Jesteś zadowolona? – spytał pan Trusky.

Było to jedno z tych pytań, na które trzeba odpowiedzieć „tak”. Ale w rzeczywistości nie byłam zadowolona. Widziałam tylko siebie i Gretę wciśnięte razem w tę ramę. Cokolwiek by się stało, obie już na zawsze pozostaniemy uwięzione między czterema kawałkami drewna.

– Możesz potwierdzić odbiór... – Listonosz wskazał na linię biegnącą przez środek kartki leżącej na podkładce do pisania. Na czoło nasuniętą miał czapkę, której daszek skrywał mu oczy. Przesunął wzrokiem po liście nazwisk. – ...June? June Elbus.

Zdarzyło się to po południu, kilka tygodni po pogrzebie Finna, gdy byłam w domu sama. Skinełam głową i wzięłam długopis z jego lekko drżającej dłoni. Pisząc swoje nazwisko, kątem oka widziałam, jak listonosz zagląda do wnętrza domu. Gdy się podpisałam, wręczył mi pudełko.

– Dziękuję – powiedziałam, podnosząc na niego wzrok.

Spojrzał na mnie i przez chwilę wydawało się, że chce coś powiedzieć, jednak uśmiechnął się tylko i odparł:

– Tak. Jasne. Nie ma sprawy... June.

Mężczyzna obrócił się, żeby odejść, ale zatrzymał się odwrócony do mnie plecami.

Zaczęłam zamykać drzwi, lecz listonosz ciągle nie ruszał się z miejsca. Przez chwilę miałam wrażenie, że się odwróci. Uniósł palec w powietrze, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale w końcu się nie odezwał. Pozwolił dłoni opaść i odszedł.

Poszłam prosto do mojego pokoju i wskoczyłam na łóżko. Usiadłam po turecku z paczką na podołku. Pudełko było całe oklejone taśmą. Zupełnie jakby ktoś wziął rolkę brązowej taśmy do pakowania i owijał nią pudełko pod każdym możliwym kątem, dopóki całe nie zniknęło. Bezskutecznie próbowałam odnaleźć koniec taśmy, za który dałoby się pociągnąć, i w końcu użyłam nożyczek, żeby przebić się przez wieko. Nie były to moje urodziny, a od Bożego Narodzenia upłynęły już dwa miesiące. Na pudełku nie znalazłam żadnego adresu zwrotnego. Jedyne moje imię, nazwisko i adres wypisane na taśmie czarnym niezmywalnym markerem.

W środku znajdowały się dwa grubo opakowane przedmioty o pękatych kształtach, z których jeden był mniejszy od drugiego. Najpierw otworzyłam ten mniejszy. Gdy zdierałam ostatnie warstwy folii bąbelkowej i gazet, zaczęłam przeczuwać, co jest w środku. W oczach zamigotało mi od błękitu, złota i czerwieni, i zdałam sobie sprawę, że patrzę na pokrywkę od należącego do Finna rosyjskiego czajniczka. Mało brakowało, a upuściłabym ją na podłogę. Tyle czasu poświęcono na jej zapakowanie, a ja prawie pozwoliłam wyślizgnąć się jej z palców. W pośpiechu zabrałam się za większy przedmiot. Rozrywałam opakowanie, nie mogąc się doczekać, aż znowu zobaczę czajniczek w całej okazałości.

Ostatni raz miałam okazję go oglądać podczas naszej ostatniej niedzielnej wizyty u Finna. Wtedy, gdy Greta nie chciała z nami jechać. Tamtego dnia mama kłóciła się z Finnem o czajniczek. On chciał, żeby go wzięła, lecz ona odmawiała. Podał go jej obiema rękami, ale je odsunęła.

– Przestań się tak zachowywać. Jeszcze się zobaczymy – powiedziała.

Finn spojrzał na mnie, jakby chciał sprawdzić, czy może powiedzieć prawdę na głos. Odwróciłam wzrok. Miałam ochotę wyjść do innego pokoju, ale Finn mieszkał w kawalerce i jedynym pomieszczeniem, jakie miałam do wyboru, była maleńka

kuchnia znajdująca się za parą wahadłowych drzwi rodem z Dzikiego Zachodu.

– Danni, weź go po prostu. Dla June. Chociaż raz w życiu mi ustąp.

– Ha. Raz w życiu. Dobrze. – Głos mamy stał się piskliwy. – Niepotrzebny nam twój czajnik, koniec, kropka.

Przeszedł przez pokój w moim kierunku, tuląc czajniczek w dłoniach.

Mama spiorunowała mnie wzrokiem.

– Nawet o tym nie myśl, Junie.

Siedziałam jak sparaliżowana. Mama próbowała powstrzymać Finna i wyrwać mu czajniczek. Finn trzymał go nad głową i próbował mi go przekazać.

Wtedy właśnie ujrzałam przyszłość czajniczka. W wyobraźni widziałam, jak roztrzaskuje się o drewnianą podłogę salonu Finna, jak w kolorowych kawałkach odbijają się wpadające przez duże okna promienie słońca, jak pozbawiony głowy tańczący niedźwiedź szybuje w kierunku sufitu.

– Ty niemądre, stare babsko – powiedział Finn. Zawsze określał mamę w ten sposób. Powiedziała mi kiedyś, że robił tak, od kiedy byli dziećmi. Mieli też inne wspólne żarty. Finn mówił na nią „dzidzia-piernik”, co nie do końca było prawdą, a ona w zamian nazywała go „piernik-dzidzia”, co się akurat zgadzało. Finn faktycznie ubierał się niczym staruszek: nosił rozpinane swetry z brązowymi guzikami, stare, rozczłapane buty, a do kieszeni wtykał chusteczki. Ale było mu w tym wszystkim do twarzy.

– Ty niemądre, stare babsko.

Mama przestała wyciągać dłonie w kierunku czajniczka. Uśmiechnęła się leciutko.

– Może i masz rację – zgodziła się, a jej całe ciało oklapło.

Finn opuścił czajnik i zaniósł go do kuchni. Był taki blady, że barwy naczynia wydawały się przy nim jaskrawe. Chętnie wzięłabym od niego czajniczek. Wcale nie musiałyby to znaczyć, że już nigdy się nie zobaczymy.

– June – zawołał z kuchni Finn ochryplym, zmęczonym głosem. – Możesz tu przyjść na chwilę?

Gdy tam weszłam, uściskał mnie. Potem szepnął mi do ucha:

– Wiesz, że bez względu na wszystko ten czajniczek jest twój, prawda?

– Okej.

– Obiecuj, że będziesz go używać tylko dla najlepszych z możliwych osób. – Jego głos łamał się, rozszczępiał. – Dla samej śmietanki towarzyskiej, dobrze?

Jego wilgotny policzek zetknął się z moim, a ja skinęłam głową, nie patrząc na niego.

Przysięgłam. Wtedy on uściskał mi dłoń, odsunął się ode mnie i uśmiechnął.

– Tego właśnie ci życzę – oznajmił. – Chciałbym, żebyś poznawała tylko najlepszych z możliwych ludzi.

Nie mogłam już dłużej wytrzymać i zaczęłam płakać, bo przecież poznałam już taką osobę. Był nią Finn.

Wtedy po raz ostatni widziałam ten czajniczek w mieszkaniu Finna. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś go ujrzę. Do dnia, gdy pojawił się na progu mojego domu.

Rozerwałam resztę opakowania, a następnie postawiłam czajniczek na komodzie. W ogóle się nie zmienił. Podniosłam pokrywkę z łóżka, żeby ją na nim umieścić. Wtedy właśnie zobaczyłam, że miał coś w środku. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na kawałek papieru do pakowania, ale był zbyt starannie złożony. Potem dostrzegłam na nim swoje imię. „Dla June”. Liścik? Czyżby od Finna? W sercu poczułam przypływ radości i strachu.

Zawinęłam czajniczek w folię bąbelkową, ale liścika nie schowałam z powrotem. Włożyłam czajnik do pudełka i spojrzałam na niego raz jeszcze. Jak to możliwe, że na paczce nie było żadnych znaczków? Przez głowę przemknęła mi głupawa myśl, że może to duch Finna przyniósł mi ten czajnik. Ale wtedy przypomniał mi się listonosz. Im dłużej o nim myślałam, tym bardziej zastanawiał mnie fakt, że w jego stroju nie było nic oficjalnego. Granatowe czapka z daszkiem i kurtka? Rodzice by mnie zabili, gdyby się dowiedzieli, że otworzyłam mu drzwi. Ale chodziło o coś jeszcze. Coś w spojrzeniu mężczyzny. Co takiego? Co mi przypominało? Wtedy zrozumiałam. To był facet z pogrzebu. Ten, którego Greta nazwała mordercą. Przeszedł mnie dreszcz. Mężczyzna zjawił się na progu mojego domu.

Podniosłam liścik z łóżka, a pudełko wepchnęłam głęboko do szafy. Zbiegłam ze schodów i chwyciłam płaszcz. Wsunęłam liścik do kieszeni, a następnie mimo zapadającego mroku ruszyłam w kierunku lasu.

26 lutego 1987

Droga June,

mam na imię Toby. Byłem bliskim przyjacielem Twojego wujka Finna i zastanawiam się, czy moglibyśmy się spotkać. Pewnie zgadniesz, kim jestem, bo rozmawialiśmy kiedyś przez telefon. Strasznie przepraszam, jeśli Cię wtedy zdenerwowałem. Co więcej, wiem, że widziałaś mnie na pogrzebie. To ja byłem osobą, której wszyscy starali się nie zauważać.

Proszę, nie zrozum mnie źle ani się nie wystrasz, ale radziłbym Ci nie mówić rodzicom ani Twojej siostrze o tym liście, bo sama zdajesz sobie pewnie sprawę z tego, jak mogliby zareagować. Mam wrażenie, że jesteś jedyną osobą, która tęskni za Finnem tak bardzo jak ja, i myślę, że jedno spotkanie mogłoby nam obojgu wyjść na dobre.

Oto moja propozycja: 6 marca w piątek o 15.30 będę czekał na waszym dworcu kolejowym. Jeśli się tam wtedy spotkamy, możemy pojechać gdzieś pociągiem. Spokojnie porozmawiać. Podoba Ci się ten pomysł?

Nie wiem, co Ci powiedziano na mój temat, ale to prawdopodobnie nieprawda.

Mam nadzieję, że się niedługo zobaczymy,

Toby

Tak właśnie przedstawiała się treść listu. Byłam zmuszona przeczytać go, siedząc na krawężniku pod latarnią na szkolnym parkingu, bo gdy dotarłam do lasu, było już za ciemno. Kilkoro dzieciaków grających w sztuce czekało na mamy, które miały podrzucić im obiad. Znajdowałam się w najodleglejszym krańcu parkingu z kapturem na głowie i miałam nadzieję, że nikt mnie nie zauważy.

Po przeczytaniu listu wsadziłam go z powrotem do kieszeni i weszłam do wypełniającego się mrokiem lasu. Było tam mokro i zimno, ale nie obchodziło mnie to. Szłam bez przerwy, aż dotarłam do strumyka. Na krawędzi wody znajdowały się cienkie tafle lodu przykryte brązowymi liśćmi, ale główny nurt płynął szybko, wijąc się, jakby ze strachu, że może zostać unieruchomiony. Przeskoczyłam przez strumyk i przeszłam jeszcze kawałek, po czym usiadłam na dużym, wilgotnym głazie. Musiałam zejść dalej, niż mi się wydawało, bo znowu słyszałam to samo smutne wycie, które dobiegło mnie, gdy ostatni raz byłam w lesie. A może to nie ja poszłam dalej, tylko wilki, czy cokolwiek to było, podchodziły coraz bliżej. Rozłożyłam liścik i próbowałam znowu go przeczytać. Mrużyłam oczy, żeby dostrzec poszczególne słowa, ale na próżno. Nawet mimo braku liści drzewa zasłaniały ostatnie promienie słońca.

Było to jednak nieistotne. Nie potrzebowałam światła. Słowa listu zdążyły już wryć mi się w pamięć. *Mam wrażenie, że jesteś jedyną osobą, która tęskni za Finnem tak bardzo jak ja.* Co to miało znaczyć? Jak miałam rozumieć to, że mężczyzna, który postanowił udawać listonosza, żeby pojawić się w domu siostrzenicy swojego chłopaka, uważał, że tęskni za Finnem, moim wujkiem Finnem, tak bardzo jak ja? Mężczyzna, który zabił Finna. Miałam ochotę krzyczeć razem z wilkami. Pozwolić, by gorące wycie przemieniło mój oddech w zjawę w zimowym chłodzie lasu. Powstrzymałam się jednak

i dalej siedziałam w ciszy.

Przyszło mi do głowy, żeby podrzeć liścik na tysiąc maleńkich kawałków, a potem wrzucić je do rwącego, lodowatego strumyka i patrzeć, jak odpływają. Zamiast tego złożyłam go w mały, opasły kwadracik, wsadziłam do kieszeni i poszłam do domu.

– Mamo?

– Tak?

– Co się stanie z mieszkaniem Finna?

Był to ciągle ten sam wieczór. Poczekiałam, aż Greta pójdzie spać. Tato oglądał w telewizji nocne wydanie wiadomości, a mama myła w kuchni wolnowar. Na dłoniach miała żółte gumowe rękawice, a jej ramiona trzęsły się od wysiłku związanego z szorowaniem. Stadium sezonu podatkowego można było ocenić po tym, co robiła wieczorami mama. Obecnie ciągle jeszcze zmywała naczynia przed pójściem spać. Wraz z nadejściem połowy marca wolnowar będzie już tylko leżał w zlewie zalewany na noc wodą, a ona i tato będą siedzieć na kanapie z na wpół przymkniętymi powiekami i teczkami pełnymi dokumentów na kolanach.

Usłyszawszy moje pytanie, przestała szorować i przez kilka sekund wpatrywała się w noc przez kuchenne okno. Następnie zdjęła rękawice i wrzuciła je do zlewu. Gdy się obróciła, miała lekko zmarszczone brwi, ale widziałam, że stara się to ukryć.

– Usiądźmy. – Wskazała w kierunku salonu. – No, idź. Ja zaraz przyjdę.

Złożony liścik ciągle znajdował się w mojej kieszeni i teraz wsunęłam tam dłoń, żeby musnąć palcami krawędzie papieru. Spojrzałam na mamę, wiedząc, że nie ma pojęcia, co trzymam w ręku, i postanowiłam powiedzieć jej o liście w stosownym momencie.

W salonie wlepiły się we mnie oczy z wiszącego na ścianie portretu. Umieściliśmy go tam kilka godzin po dostarczeniu go przez pana Trusky'ego. Na początku mama uważała, że powinien znaleźć się w naszych pokojach. Przez miesiąc u Grety, potem przez miesiąc u mnie, na zmianę. Mówiła, że Finn namalował go przecież dla nas. Greta od razu powiedziała, że nie chce go w swoim pokoju. Przyprawiał ją o gęsią skórę, a ponadto nie podobało się jej, jak przedstawił ją Finn. Twierdziła, iż celowo sprawił, że wygląda na nim jak idiotka. Powiedziała też, że nie podoba jej się, jak namalował mnie.

– Czemu? – spytałam. – Mnie się podoba.

– Wiadomo. Na obrazie wyglądasz o niebo lepiej niż w rzeczywistości. Nie może ci się nie podobać.

Miała rację. Na portrecie wyglądałam super. Z moich oczu biła inteligencja, której raczej nie było widać w rzeczywistości, a do tego byłam szczuplejsza. Greta, Finn i mama mieli te same delikatne kości. Tato i ja byliśmy korpulentni niczym bezkształtne niedźwiedzie. Ale na portrecie Greta i ja miałyśmy niemal tę samą figurę.

Mimo wszystko jednak, gdy spojrzę na Gretę i na portret, wyraźnie było widać, że jest ode mnie ładniejsza zarówno tam, jak i w rzeczywistości – i tak właśnie jej powiedziałam.

– Nie jestem ładniejsza, debilko. Po prostu jestem starsza. Nie rozumiesz, na czym polega różnica?

Zrobiło mi się miło, że tak powiedziała. W pewien sposób. Gdy rozmawia się z Gretą, konieczne jest wychwytywanie miłych rzeczy, które zagrzebane są w całej reszcie

wydobywających się z jej ust podłości. To, co mówi Greta, przypomina geodę. Z zewnątrz jest brzydkie jak nie wiem co – w środku w większości też – ale raz na jakiś czas błyszczy tam kryształ.

– W takim razie będę samolubna – oświadczyła mama. – Nie wydaje mi się, żeby umieszczenie tego obrazu na stałe w pokoju jednej osoby było sprawiedliwe, więc proponuję zawiesić go nad kominkiem. Jakież obiekcje?

Greta jęknęła.

– To jeszcze gorsze. Cały salon zarazi dziwnością. Poza tym każdy, kto do nas przyjdzie, będzie na niego patrzył.

– Obawiam się, że tak właśnie zrobimy, Greto. June, masz coś przeciwko?

– Nie. Może być.

– No, to ustalone. Poprosimy tatę, żeby go zawiesił.

Od kiedy obraz zagościł na ścianie salonu, zdarzało mi się nieraz przyłapywać mamę na wpatrywaniu się w niego. Przez cały czas, który spędziłyśmy u Finna, wydawała się kompletnie nim niezainteresowana, wręcz zde gustowana, ale od momentu gdy pojawił się w naszym domu, miała na jego punkcie obsesję. Widziałam, że patrzy na niego takim samym wzrokiem jak wcześniej Finn. Przechyla głowę na bok. Mamrocze coś pod nosem. Podchodzi bliżej, a potem się cofa. Działo się to zazwyczaj w nocy, gdy powinnam już spać, i jeśli mama przyłapywała mnie na podglądaniu, uśmiechała się tylko zażenowana, po czym wychodziła z pokoju, jak gdyby nigdy nic.

Zanim zadałam pytanie dotyczące mieszkania, upewniłam się, że Greta nie ma w pobliżu. Pomyślałam, że prawdopodobnie zna już wszystkie drastyczne szczegóły dotyczące jego losów. Wiedziała pewnie, że będzie szorowane wybielaczem, dopóki nie zniknie najślubsza nawet woń lawendy i pomarańczy. Prawdopodobnie znała też tożsamość nowych – potwornych – właścicieli, którzy zamienią mieszkanie w obskurne miejsce pełne telewizorów, zestawów stereo i walających się wszędzie kabli. Finn nie znosił kabli. Nie tolerował w swoim otoczeniu urządzeń podłączonych do prądu.

Po wejściu do salonu mama nie od razu się odezwała. Spojrzała na portret, a potem na mnie. Usiadła obok mnie na kanapie, blisko, i objęła mnie ramieniem. Pachniała cytrynowym płynem do mycia naczyń.

– Junie – zaczęła. – Musisz zrozumieć kilka kwestii dotyczących Finna.

Na chwilę odwróciła twarz, a potem znowu spojrzała na mnie.

– Wiem, jak bardzo kochałaś wujka. Ja też go kochałam. Był moim młodszym bratem. Strasznie go kochałam.

– Kocham.

– Co?

– „Kocham”, nie „kochałam”. Możemy go dalej kochać.

Mama uniosła głowę.

– Oczywiście, że tak. Masz rację. Ale rzecz w tym, że Finn nie zawsze podejmował najlepsze decyzje. Robił, co chciał, kiedy chciał. Nie zawsze...

– Przejmował się tym, co radzili mu robić inni?

– Tak.

– Nie przejmował się twoim zdaniem.

– To nieistotne. Ważne, abyś zrozumiała, że Finn był romantykiem i dobrym człowiekiem, ale czasami okazywał się zbyt ufny.

Mama często mówiła w ten sposób o Finnie. Utrzymywała, że nigdy nie dorósł. Przedstawiała to jako coś złego, ale dla mnie była to jedna z jego największych zalet.

– A co to ma wspólnego z mieszkaniem?

– Nic. Tyle że, hm... Finn miał trochę niecodzienny styl życia. Wiesz, co mam na myśli?

– Mamo, wiem, że Finn był gejem. Wszyscy o tym wiedzą.

– Oczywiście, że wiesz. Oczywiście. Zakończymy więc na tym, dobrze? Nie musimy się już martwić o jego mieszkanie.

Mama z uśmiechem pogłaskała mnie po plecach. Zaczęła się podnosić, ale ja jeszcze nie skończyłam.

– No a co, jeśli chciałabym się tam wybrać?

Mama potrząsnęła głową, po czym na dłuższą chwilę wbiła wzrok w portret. Gdy w końcu na mnie spojrzała, minę miała pełną powagi.

– Posłuchaj, June, mieszka tam teraz pewien mężczyzna. Okej? Był on dla Finna... specjalnym przyjacielem. Rozumiesz, o czym mówię? – Na twarzy mamy pojawił się lekki grymas, chociaż widziałam, że próbuje z nim walczyć. – Nie chciałam poruszać tego tematu...

„Specjalny przyjaciel”? Ledwo powstrzymałam się od śmiechu. „Specjalni przyjaciele” kojarzyli mi się z wycieczkami w przedszkolu. Przypomniało mi się trzymanie Donny Folger za rękę i rozglądanie się w obie strony przed przejściem przez ulicę.

– Co to ma niby znaczyć? – spytałam.

– Myślę, że dobrze wiesz, co to znaczy. Możemy już przestać o tym rozmawiać?

Ciągle jeszcze trochę się śmiałam w środku, ale gdy cała ta sytuacja zaczęła do mnie docierać, mina mi zrzedła. Finn nigdy mi nie powiedział, że po jego śmierci ktoś się wprowadzi do jego mieszkania. Dlaczego nie poinformował mnie o czymś tak istotnym?

Znowu odszukałam palcami list. *Jedyna osoba, która tęskni za Finnem tak bardzo jak ja.* Tak było w nim napisane. Toby. Znałam imię tego specjalnego przyjaciela. I wiedziałam, że dzwonił do mnie z tamtego mieszkania, ale zakładałam chyba, że znajdzie sobie jakieś inne miejsce.

Spytałabym mamę od razu, dlaczego nikt nigdy nie wspomniał przy mnie o specjalnym przyjacielem Tobym, ale nie mogłam się na to zdobyć. Nie chciałam się zbłąźnić, pokazując, że było to dla mnie ważne. Przez ostatnie kilka lat uważałam Finna za swojego najlepszego przyjaciela. Najlepszego z najlepszych. Może się jednak myliłam.

Kiwnęłam głową, nie patrząc mamie w oczy. Nagle pomysł, żeby powiedzieć jej o pojawieniu się na naszym progu specjalnego przyjaciela Finna, który wiedział, iż tęsknię za Finnem równie mocno jak on sam, i poprosił mnie o spotkanie, wydał mi się niemożliwy do zrealizowania.

– Tak, dobrze. Już przestaję – powiedziałam i mimo że powstrzymałam się od łez siłą wszystkich moich mięśni, tak naprawdę miałam ochotę po prostu wybuchnąć

płaczem. Finn ani słowem nie wspomniał mi o istnieniu tego faceta i było za późno, żeby go o to spytać. Wydaje mi się, że dopiero wtedy zrozumiałam, że naprawdę odszedł.

– Pamiętasz o imprezie? – szepnęła mi do ucha Greta, chwytając mnie za rękę, gdy wychodziłam z łazienki na piętrze. Wilgotne dłonie wytarłam o sweter.

– Yyy...

Greta westchnęła ze znużeniem.

– Oczywiście, że pamiętasz. Pytałam, czy chcesz iść na imprezę u Jillian Lampton. Pamiętasz czy nie?

Wcale nie zapomniałam. Wydaje mi się, że zepchnęłam zaproszenie gdzieś na dno pamięci. A może od początku traktowałam je jako żart. Coś okrutnego, co powiedziała Greta, żeby zobaczyć, jak zareaguję. Ale i tak skinęłam głową.

– Kilka razy ją przekładano, ale w końcu ma odbyć się dzisiaj.

– Dzisiaj? Ale...

– Powiedziałam mamie, że potrzebna jest dodatkowa pomoc przy przedstawieniu.

– Ale ja w nim nie gram.

Greta przewróciła oczami i wzięła głęboki oddech.

– Tak. Wiem. Będziesz wtedy na imprezie.

– Aha. – Nigdy wcześniej nie okłamałam rodziców na temat tego, dokąd się wybieram. Być może dlatego, że nie miałam za bardzo gdzie chodzić.

– Możesz wziąć ze sobą Beans. Jeśli masz ochotę.

Z Beans przestałam się przyjaźnić już kilka lat wcześniej. Gdy w trzeciej klasie przeprowadziła się tutaj z Ohio, z fryzurą w stylu

Dorothy Hamill i naszywkami organizacji 4-H na plecaku, nie miała żadnych znajomych i zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Przez długi czas, aż do końca podstawówki, Beans była moją jedyną przyjaciółką. Zawsze tak miałam. Do szczęścia potrzebny mi naraz tylko jeden dobry przyjaciel. Większość ludzi się w tym względzie różni. Chcą bez przerwy poznawać nowe osoby. Beans okazała się podobna do większości ludzi. Po pewnym czasie miała już dziesiątki znajomych, a gdy byłyśmy w piątej klasie, stało się jasne, że przyjaźń, jaką ją darzyłam, nie była odwzajemniona.

Jakimś cudem cała moja rodzina przegapiła moment, w którym przestałam przyjaźnić się z Beans. Mogłam do niej dzwonić i była dla mnie miła, ale w dziwny sposób. Bez względu na to, ile razy mówiłam mamie, że Beans ma mnóstwo innych koleżanek, ona dalej traktowała naszą znajomość tak jak kiedyś. Być może sama nie chciałam, aby dostrzegła, że coś się zmieniło, bo wtedy zaczęłyby mnie namawiać do szukania nowych przyjaciół. Nie chciało mi się jej tłumaczyć, jakiego typu jestem osobą. Dziwaczką, która chowa w plecaku wytarמושony egzemplarz *Kieszonkowej antologii tekstów średniowiecznych*, dziewczyną, która nosi tylko i wyłącznie spódnice, zazwyczaj w połączeniu ze średniowiecznymi botkami, osobą notorycznie przyłapywaną na gapieniu się na innych. Nie chciało mi się wyjaśniać, że ludzie nie ustawiali się w kolejkę, żeby móc spędzać ze mną czas.

Poza tym, gdy miało się przyjaciela takiego jak Finn, raczej niemożliwe było znalezienie w liceum kogoś, kto by mu dorastał do pięt. Czasem zastanawiałam się, czy

będę musiała spędzić całe życie na poszukiwaniu kogoś, kto choć trochę będzie go przypominał.

Greta otworzyła portmonetkę.

– Mama bardzo się ucieszyła, że będziemy robić coś razem. I wiesz, co zrobiła?

Pokręciłam głową.

– Dała mi dziesięć dolców. – Greta wyszczerzyła zęby w uśmiechu, po czym wyjęła z portmonetki banknot dziesięciodolarowy i pomachała mi nim przed nosem.

– Powiedziała, że powinnam cię później zabrać na lody. Czyli jesteśmy ustawione. Nie rozmyślałaś się?

– Chyba nie.

– Dobrze. Włóż botki. I ubierz się ciepło. Idziemy do lasu.

– Greta?

– Hm?

– Znasz tego faceta, który był na pogrzebie?

– Mhm.

– To był chłopak Finna, prawda? – Staralam się, jak mogłam, udawać, że jest mi to obojętne.

Od dnia otrzymania czajniczka wydawało mi się, że na każdym kroku widzę Toby'ego. Nie pamiętałam dokładnie, jak wyglądał, tylko jego ogólną sylwetkę, co było jeszcze gorsze. Wszędzie widywało się wysokich, chudych mężczyzn, a na pierwszy rzut oka każdy z nich mógł być Tobym.

Przez kilka ostatnich dni czekałam na okazję, by zaskoczyć Gretę. Wydawało mi się, że jeśli zadam jej pytanie, którego się nie spodziewa, być może zdradzi mi więcej, niż miałaby ochotę. Lata praktyki nauczyły mnie, że najlepiej udawać głupka. Gdy tylko Greta sądziła, że nie mam o czymś pojęcia, atakowała mnie całą dostępną sobie wiedzą.

– Moje gratulacje, Sherlocku. Rozpracowanie tego zajęło ci zaledwie kilka stuleci.

– To nie wszystko, o co chciałam spytać.

– No dobra, w takim razie co jeszcze?

– On teraz mieszka u Finna, tak?

– Zgadza się. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Zabijasz kogoś, a w zamian dostajesz supermieszkanie na Upper West Side.

– Czyli uważasz, że to bez dwóch zdań on zaraził Finna AIDS? Jesteś tego pewna?

– Nie tylko pewna, ale wiem, że zrobił to specjalnie. Ten facet wiedział, że ma AIDS, gdy poznał Finna. Wiedział o tym.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

– Po prostu wiem. Słyszę to i owo.

– Więc on naprawdę jest mordercą?

– Właśnie. – Ton jej głosu uległ zmianie. Wyglądała na zadowoloną, że interesuje mnie posiadana przez nią wiedza. Przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć jej o czajniczku, liście oraz spotkaniu na stacji kolejowej szóstego marca. Może by mnie wysłuchała i zaimponowałoby jej, że to ja dla odmiany mam jakieś wieści do przekazania. Ale nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. W liście wspomniane było wyraźnie, żeby nikomu o niczym nie mówić, i może Toby miał rację. Może nawet mordercy czasami się nie mylą.

- Okej.
- Co: „okej”?
- To wszystko. Chciałam się tylko upewnić.
- Niech ci będzie, June. Dorośnij w końcu. Już po wszystkim.
- Tak, wiem.

Zadzwoiłam do Beans. Wydawało mi się chyba, że powinnam ją jednak zaprosić, ale powiedziała, że nie może iść. Miałam więc wybrać się na imprezę sama. Ja kontra cała zgraja znajomych Greta.

Gdy jakiś czas później schodziłyśmy na dół na obiad, Greta szturchnęła mnie w ramię, a potem wsunęła mi karteczkę do tylnej kieszeni dżinsów. „Impreza odwołana”. Okazało się, że zbyt wielu osobom nie udało się wyjść z domu. Ale Greta okłamała już rodziców, więc i tak zmuszona byłam pójść z nią na próbę przedstawienia. Miałam zasiąść na obitym czerwonym aksamitem fotelu na tyłach audytorium i patrzeć, jak przemienia się w Krwawą Mary.

Naturalnie ulżyło mi, że impreza została odwołana. Nie chodziło wyłącznie o moją nieśmiałość i kompletne upośledzenie towarzyskie. Nie byłam zainteresowana piwem i wódką, paleniem papierosów czy resztą rzeczy, których według Greta nie jestem sobie nawet w stanie wyobrazić. Nie chcę ich sobie wyobrażać. Każdy może je robić. Ja chcę wyobrażać sobie łąki w czasie, lasy pełne wilków oraz ponure wrzosowiska o północy. Marzą mi się ludzie, którzy nie potrzebują seksu, żeby móc się kochać. Ludzie, którzy całują się tylko w policzki.

Wieczorem siedziałam w szkolnym audytorium, słuchając, jak olśniewający i charyzmatyczny Ryan Cooke śpiewa o czarownych wieczorach. Reżyser, pan Nebowitz, co chwila mu przerywał i kazał powtarzać pewne partie piosenki w taki sposób, aby twarz aktora wyrażała zawarte w nich treści.

– Musimy być w stanie czytać w twojej twarzy tak, jakbyśmy czytali wiersz. Nawet jeśli nie odezwiesz się ani słowem, każda osoba na widowni powinna dokładnie wiedzieć, jakie są twoje odczucia.

Pan Nebowitz był młody i miał ciemne kręcone włosy. Zależało mu, aby Ryan dobrze zaśpiewał końcówkę. Fragment, w którym mowa jest o tym, żeby nie dopuścić do odejścia ukochanej osoby.

Ryan nie ustawał w staraniach. Osobiście nie byłam w stanie dostrzec różnicy, ale pan Nebowitz stwierdził:

- Lepiej. Coraz lepiej.
- Pozwolił Ryanowi odejść, a potem zawołał na scenę Gretę.
- *Opowiedz o szczęściu, dobrze?*

Greta skinęła głową i weszła na scenę bez makijażu i kostiumu. Miała na sobie zwykłe dżinsy i T-shirt. Nie zdjęła nawet okularów. Jedną ręką ściągnęła włosy do tyłu i na chwilę zamknęła oczy. Pan Nebowitz zaczął grać na pianinie.

– Prześpiewaj całość – powiedział, dając Grecie znak głową. Wykonała całą piosenkę, a ja nie dostrzegłam ani nie usłyszałam ani jednego błędu. Gdy skończyła, pan Nebowitz zaczął bić brawo i obrócił się do reszty obsady siedzącej na widowni.

- To właśnie jest poziom, o jaki mi chodzi, moi drodzy.

Potem ponownie spojrział na stojącą na scenie Gretę i podziękował jej za włożony przez nią wysiłek. Coś takiego wprowadziłoby mnie w niewyobrażalne zakłopotanie, ale Greta złożyła tylko przesadny, błazeński ukłon, prawie zamiatając czubkiem głowy o scenę, co zostało nagrodzone donośnym śmiechem reszty dzieciaków. Ja też się zaśmiałam, bo już dawno nie widziałam jej tak rozluźnionej i skorej do żartów. Byłam zadowolona, że dałam się zaciągnąć na tę próbę.

Greta zeszła ze sceny, a ja znowu zaczęłam myśleć o Tobym. Przyszło mi do głowy, że określenie „specjalny przyjaciel” może oznaczać wiele rzeczy. To wcale nie musi być ktoś istotny. Może Finn nigdy o nim nie wspomniał, bo Toby nie był dla niego zbyt ważny. To mama określiła go słowem „specjalny”. Finn nigdy by tak na nikogo nie powiedział. Może ten facet wylądował w jego mieszkaniu przez przypadek. Może Finn się nad nim zlitował.

Próba skończyła się około wpół do dziewiątej. Nie ruszałam się z siedzenia i patrzyłam, jak Greta, Ryan i kilka innych osób z obsady siedzi na krawędzi sceny, śmiejąc się i majtając nogami. To z nimi teraz spotykała się Greta. Z mądrymi dziećmi. Nie tylko mądrymi, ale i lubianymi. Tymi, które potrafią właściwie wszystko. Z Ryanem Cookiem, Megan Donegan i Julie Contolli. Greta sprawiała wśród nich wrażenie szczęśliwej. Zrelaksowanej. Jakby naprawdę znajdowali się na jakiejś wyspie na Południowym Pacyfiku. Ale wyglądała też na młodszą niż pozostali. Nie wiem, jakim cudem nie było to dla nich oczywiste, gdy siedzieli w grupie. Ryan miał nikły wąsik. Nogi Megan i Julie były nogami kobiet. Były krągłe i kształtne. Ze swoimi chudymi nogami dyndającymi ze sceny Greta przypominała dziecko na huśtawce.

Pan Nebowitz życzył wszystkim dobrej nocy, a potem spytał Gretę, czy ma chwilę. Dzieciaki jedne po drugich zeskakiwały ze sceny i podnosiły swoje płaszcze i torby. Greta wyszła z audytorium za panem Nebowitzem. Zostałam w tylnym rzędzie, zastanawiając się, czy powinnam wyjść bez niej.

– Hej, ty tam. Wyłączam światła. – Zobaczyłam trzecioklasistę Bena Dellahunta, który pełnił funkcję asystenta kierownika sceny.

Skinęłam głową w mroku.

– Czekam na siostrę – poinformowałam. – Zaraz pójde.

Ben był jednym z chłopaków, po których można się było spodziewać, że gdy dorosną, zrobią majątek. Nie było w nim niczego wyjątkowego, ale wydawał się mieć na wszystko plan. Włosy nosił związane w kucyk i krążyły plotki, że wynalazł nowy język komputerowy, chociaż to pewnie nieprawda. Nie był najlepszym uczniem w klasie, ale był dosyć bystry. Wystarczająco bystry. Osłonił oczy dłonią i zmrużył je, wbijając wzrok w tylny rząd foteli, jakby spoglądał na morze. Potem zaczął wchodzić po schodkach biegnących pośrodku sali. Gdy był już blisko, omiótł mnie spojrzeniem i zatrzymał wzrok na moich stopach.

– Hej, to ty jesteś tą dziewczyną w botkach. – Uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby udało mu się właśnie rozwiązać jakąś zagadkę. Chciał usiąść obok mnie, ale zanim to zrobił, z prawej strony sceny pojawiła się Greta. Stała w miejscu i przesunęła wzrokiem po rzędach foteli.

– Idziesz czy nie? – zawołała, kierując się jednocześnie do wyjścia.

– Tak, idę! – krzyknęłam. Pożegnałam się z Benem, a potem pobiegłam dogonić

Grete. Parła przed siebie w takim tempie, że przez całą drogę zostawałam kilka kroków w tyle. Gdy w końcu dotarliśmy do domu, nie odezwała się ani słowem. Wbiegła po schodach na górę prosto do swojego pokoju i trzasnęła za sobą drzwiami.

Po śmierci Finna spędzałam dużą część weekendów w lesie. Rodzice jeździli do biura, żeby załapać się na parę dodatkowych godzin pracy, Greta chodziła na nadprogramowe próby musicalu, a ja ruszałam do lasu. Niekiedy zdejmowałam płaszcz i chowałam go pod murem, żeby odczuwać ból wywołany zimnem. Czasem dobrze było poczuć się jak mała nędzarka, której brakowało ubrań na mroźną pogodę.

Co prawda wcześniej nie w każdym weekend robiłam coś z Finnem, ale zawsze istniała taka możliwość. Telefon mógł zadzwonić wczesnym rankiem – zazwyczaj w niedzielę – i w słuchawce odzywał się Finn, który pytał, czy któraś z nas ma ochotę gdzieś się wybrać. Zawsze tak robił – pytał, czy „któraś z nas” ma ochotę na przejażdżkę, ale wiedziałam, że tak naprawdę chodzi mu o mnie.

– Jesteś zakochana w wujku Finnie – stwierdziła którejś niedzieli Greta po jednym z tych telefonów.

Obserwowała mnie z drugiej strony kuchni. Patrzyła, jak twarz mi się rozjaśnia, gdy Finn oznajmia, że to dobry dzień na wyprawę do Cloisters. Odłożyłam słuchawkę, a Greta przez chwilę przyglądała mi się z wymownym uśmiechem na twarzy. Potem powiedziała, że jestem zakochana w Finnie, i daję słowo, że byłam gotowa jej wtedy przyłożyć. Zacisnęłam pięści, wepchnęłam je głęboko w kieszenie i wyszłam z kuchni, ale ona podążyła za mną.

– Wszyscy o tym wiedzą.

Zatrzymałam się i przymknęłam oczy odwrócona do Grety plecami.

– Wiesz, co powiedziała pani Alphonse? – spytała.

Pani Alphonse była znajomą mamy z klubu ogrodniczego. Mama nie lubiła pracy w ogrodzie, ale mimo to raz w miesiącu, w czwartek, chodziła na wieczorne spotkania klubu, żeby wypić kawę i pogawędzić z innymi mamami, które też pewnie rzadko robiły coś w swoich ogrodach.

Nadal stałam odwrócona plecami do Grety, coraz mocniej zaciskając pięści.

– Słyszałam, jak pytała mamę o ciebie i Finna. „To troszkę dziwne, że dziewczynka spędza tyle czasu sam na sam z wujkiem, prawda? Nie chcę przez to sugerować, że dzieje się między nimi coś niewłaściwego. Nic z tych rzeczy”. Tak właśnie powiedziała, ale można się było zorientować, że według niej sytuacja jest niesmaczna. Domyśliłam się, że rozmawiała na ten temat z innymi matkami. A nasza biedna mama nie wiedziała, co jej odpowiedzieć...

Pięści zaczęły mi się rozluźniać, tak bardzo skupiłam się na słowach Grety. Przypomniała mi się pani Alphonse z tą jej głupawą trwałą na głowie. Co ją w ogóle obchodził Finn i ja?

– Chciałam tylko, żebyś wiedziała, co mama musi przez ciebie znosić, i że wszyscy o tym wiedzą.

– Jacy „wszyscy”? – spytałam, chociaż miałam zamiar nie mówić już ani słowa.

– No cóż, jeśli wydaje ci się, że pani Alphonse nie przedyskutowałaby tego z Kimmy, to jesteś w błędzie. A jeśli myślisz, że Kimmy nie powtórzyłaby wszystkim swoim

znajomym, to ja już nie wiem.

Kimmy Alphonse to dziewczyna z mojej klasy, która robiła raczej przeciętne wrażenie. Do tej pory nigdy nawet o niej nie myślałam.

– Idź więc spotkać się z twoim drogim wujaszkiem Finnem. Miłej zabawy.

Nie mogłam pozwolić, żeby Greta tak po prostu sobie poszła, odebrawszy mi całą radość płynącą z niedzieli.

– Nie ma w tym nic wstępnego, bo Finn jest gejem i wszyscy o tym wiedzą. – Obróciłam się, żeby zobaczyć, czy moje słowa zrobiły wrażenie na Grecie, czy jej uśmiech zbladł. Nic z tych rzeczy. Zrobił się jeszcze szerszy.

Odczekała chwilę, a potem oznajmiła:

– Stwierdziłam przecież, że to ty jesteś w nim zakochana. Nie mówiłam, że Finn też ciebie kocha, prawda?

I co mogłam na to powiedzieć? Nic. Tak jak zwykle.

Na przekór wszystkiemu tamtego dnia widziałam się z Finnem. Pojechałam pociągiem do miasta i spotkałam się z nim na dworcu Grand Central, a potem wybraliśmy się do muzeum Cloisters, które było naszym najbardziej ulubionym miejscem na świecie. Zazwyczaj jeździliśmy tam, gdy w środku było prawie pusto – bardzo wcześnie albo pod koniec dnia, na chwilę przed zamknięciem. Cloisters było wtedy lepsze niż jakakolwiek galeria czy kino w Greenwich Village, gdzie puszczano stare filmy. Lepsze nawet niż bufet Horn & Hardart, gdzie wrzucało się pieniądze do automatu, żeby otrzymać talerz ciepłego jedzenia niczym w *Jetsonach*.

Cloisters jest od nich wszystkich lepsze, bo przypomina górujący nad Manhattanem wycinek z innej epoki. Nie tylko dlatego, że ja tak mówię. Budynek muzeum powstały z olbrzymich fragmentów średniowiecznych francuskich klasztorów, które przewieziono statkami do Nowego Jorku i złożono do kupy. Nawet rozciągający się z Cloisters widok jest idealny, bo Rockefeller wykupił cały teren znajdujący się na drugim brzegu rzeki w New Jersey, żeby nikt niczego tam nie zbudował. Może nawet on potrzebował raz na jakiś czas przenieść się w inne czasy.

Nie byłam w stanie zapomnieć o słowach Grety i zatruwały mi one cały dzień. Starłam się nie stać zbyt blisko Finna ani nie uśmiechać się zbyt często. Nic to jednak nie dało. Może Greta miała rację. Może byłam wstępną.

Tego dnia nie mówiliśmy wiele. Ani Finn, ani ja. Snuliśmy się kamiennymi korytarzami, prawie na nic nie zwracając uwagi. Przyszło mi do głowy, że fajnie byłoby być mnichem. Takim, któremu nie wolno się odzywać. Wyobraziłam sobie, że siedzimy z Finnem w absolutnej ciszy w wielkiej kamiennej sali wraz z innymi mnichami i wszyscy jesteśmy zajęci iluminowaniem manuskryptów cieniutkimi listkami ze złota. Bez słowa patrzylibyśmy na siebie z Finnem z przeciwległych krańców pomieszczenia. Słyszelibyśmy się nawzajem. Tak właśnie wyobrażałam sobie miłość do Finna. Tak sobie powtarzałam. Miłość, w której nie ma nic wstępnego, bo wszystko dzieje się w innych czasach, a ja nie jestem w nich sobą.

Ale bycie mnichem to tylko kolejne niemożliwe do spełnienia marzenie – podobnie jak podróże w czasie czy zachowanie Finna przy życiu – bo żeby zostać mnichem, trzeba było być mężczyzną i wierzyć w Boga, a ani jedno, ani drugie nigdy nie będzie

w moim wypadku możliwe. Nie wydaje mi się, żeby Bóg mógł stworzyć chorobę, która zabija ludzi tak dobrych jak Finn, a jeśli tak właśnie było, to nie ma mowy, żebym miała oddawać mu cześć.

Tamtego dnia w Cloisters usiedliśmy z Finnem na kamiennej ławie w jakimś ciemnym kącie, a on zapytał mnie, co według mnie dzieje się z ludźmi po śmierci. Potrząsnęłam głową, udając, że nie dosłyszałam. Czasami robiłam tak podczas rozmowy z Finnem. Udawałam, że mam problemy ze słuchem, żeby zbliżył się do mnie. I tak właśnie zrobił. Przysunął się do mnie na ławce, objął mnie ramieniem i powtórzył pytanie.

– Co się wtedy dzieje z całym światem? – spytał, patrząc mi prosto w oczy.

Wzruszyłam ramionami i odparłam, że pewnie nic. Że moim zdaniem wszystko się nagle kończy i nastaje ciemność.

Finn pokiwał głową i powiedział:

– Też mi się tak wydaje.

Gdybym wiedziała, że w tamtej chwili mówił o sobie, wymyśliłabym coś innego. Od ręki wyśniłabym mu idealne Finnowe niebo.

W sobotni poranek poszłam do lasu z liścikiem od Toby'ego. Na każdej gałęzi zalegał stary śnieg, przez co las wydawał się kruchy, jakby miał się za chwilę zawalić. Ruszyłam wzdłuż linii lodu skuwającego brzeg strumyka, nasłuchując wycia wilków. Osłoniłam uszy dłońmi, zamknęłam oczy i wyteżyłam słuch, ale nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Panowała kompletna cisza.

Czytałam liścik w kółko. Nie byłam w stanie oderwać się od terażniejszości. Nawet z botkami od Finna na nogach. Nawet gdy myślałam o sokołach. Miałam wrażenie, że sama myśl o istnieniu Toby'ego zakotwicza moje myśli w chwili obecnej.

Wcześniej byłam całkowicie przekonana, że nie chcę się z nim spotkać, ale teraz zaczynałam to brać pod uwagę. No bo co, jeśli wie coś ciekawego? Co, jeśli moje istnienie też było utrzymywane przed nim w tajemnicy? Co, jeśli pojawię się na dworcu i będę, kim tylko zechcę?

„Dział D, strona 26!”

To właśnie napisała pani Jansky na kopercie, którą w niedzielę rano wetknęła w naszą skrzynkę na listy. W środku znajdował się wczorajszy numer „New York Timesa”. Moi rodzice nie czytują „Timesa”. Czytają „New York Post”, i to tylko w niedziele, więc gdyby nie wścibska pani Jansky, nikt z rodziny Elbusów nie dowiedziałby się o artykule dotyczącym portretu. Obraz nadal wisiałby nad naszym kominkiem, czyli tam, gdzie jego miejsce.

Kopertę znalazła Greta i to ona odczytała artykuł całej rodzinie. Zawołała nas do salonu. Ubierałam się właśnie na górze, bo Beans jechała z grupą znajomych do centrum handlowego i zadzwoniła zapytać, czy mam ochotę wybrać się tam z nimi. Byłam prawie pewna, że mama gadała o mnie z jej mamą. Naturalnie nie miałam ochoty nigdzie iść, ale mama bez przerwy wracała do tego tematu, twierdząc, że wyjście dobrze mi zrobi i że ciężko jest przyjaźnić się z kimś, kto nigdy nie ma na nic ochoty. Oddzwoniłam więc i zgodziłam się, bo w przeciwnym wypadku mama robiłaby mi wyrzuty przez kilka kolejnych tygodni. Chodziło jednak o coś jeszcze. Tuż przed ceremonią wręczenia Oscarów w tamtejszym kinie odbywały się w niedziele specjalne seanse. Pokazywano filmy, które w ostatnich latach zdobyły Oscara. W tym tygodniu wyświetlano *Amadeusza*, którego widziałam już dwa razy z Finnem. Właśnie dlatego się zgodziłam.

Od czasu wieczornej próby Greta trzymała się na uboczu jeszcze bardziej niż zwykle. Miałam ochotę spytać, co takiego powiedział jej w swoim gabinecie pan Nebowitz, ale wiedziałam, że to nie miałyby sensu. Jeśli będzie chciała się zwierzyć, i tak zrobi to, dopiero gdy będzie gotowa, czyli prawdopodobnie nigdy. W każdym razie przede mną się raczej nie otworzy.

Usiedliśmy na kanapie, Greta stanęła przed nami odwrócona plecami do portretu. Miała rację. Obraz zaraził dziwnością cały salon. O ile tylko było to możliwe, staraliśmy się do niego nie wchodzić. Nikt z nas nie miał ochoty przebywać w towarzystwie portretu. Albo siedziałyśmy z Gretą przy stole w kuchni, albo szłyśmy do swoich pokojów. Tato najczęściej spędzał czas w niewielkim gabinecie obok kuchni. A mama ani przedtem, ani po pojawieniu się portretu nie lubiła siedzieć zbyt długo w jednym miejscu.

Jednak teraz usiedliśmy twarzą do obrazu. Greta przeniosła cały ciężar ciała na lewą nogę i położyła dłoń na biodrze. W drugiej ręce trzymała gazetę.

– No dobrze, Greto, już jesteśmy. Mów, o co chodzi. Mam kupę papierkowej roboty do odwalenia – ponaglił ją tato.

– Okej. Spokojnie – odparła Greta znużonym tonem. – To nic takiego. Po prostu... staliśmy się sławni.

– No dalej, pokaż, co tam masz. – Mama siedząca z nogą założoną na nogę niecierpliwie zastukała stopą.

– Okej. – Greta przekreśliła gazetę, żebyśmy mogli się jej przyjrzeć. Był w niej portret

Finna. Nasz portret. My. Wydrukowano go w kolorze, a zajmował aż pół strony. Następnie Greta zaczęła czytać.

– „Gdy ktoś od dekady nie wystawił żadnego obrazu i ten ktoś nazywa się Finn Weiss, to nie powinno dziwić, że publiczność jest spragniona widoku jego najnowszego dzieła. O ile ostatnie doniesienia są zgodne z prawdą, zmarły w tym miesiącu Weiss (niepotwierdzone źródła jako przyczynę śmierci wskazują powikłania związane z AIDS)” – głos Greta załamał się na słowie „AIDS”, ale czytała dalej – „zasmakował najwyraźniej w tworzeniu portretów. Obraz zatytułowany *Powiedz wilkom, że jestem w domu* przedstawia dwie nastolatki, blondynkę i brunetkę, w których twarzach jest tyle zatrzważającej przenikliwości, że wydaje się, iż są one w stanie zajrzeć wprost do serca osoby spoglądającej na portret. Zupełnie jakby znały jej najmroczniejsze sekrety.

Według Harriet Barr, redaktorki magazynu «Sztuka», Weiss znany był z różnorodności swoich prac. Píše ona: «Finn Weiss był niedoścignionym mistrzem różnorodnych form. Był prawdziwie renesansowym artystą, który tworzył błyskotliwie oryginalne dzieła nie tylko przy użyciu farb olejnych i akrylowych, lecz także kamienia, drewna oraz bardziej złożonych koncepcyjnie instalacji».

Krytycy oraz inni artyści po dziś dzień zachodzą w głowę, dlaczego prawie dziesięć lat temu Weiss zszedł do podziemia i zaczął prowadzić życie do tego stopnia samotnicze, że jedynie jego najbliżsi przyjaciele i członkowie rodziny wiedzieli, gdzie mieszka. Część osób przyjęła to wycofanie się z blasku jupiterów z uznaniem. Bardziej cyniczni opiniodawcy doszukiwali się przyczyn pustelniczego stylu życia Weissa w chęci podniesienia rangi jego prac. Teorię tę może potwierdzać fakt, że kilka starszych dzieł z prywatnej kolekcji artysty, które pojawiły się na rozmaitych aukcjach, zostało wylicytowanych za wysokie sumy”.

– Okej, Greta, wystarczy. – Mama sięgnęła po gazetę, ale Greta błyskawicznie schowała ją sobie za plecami.

Siedziałam na samej krawędzi kanapy, czekając na ciąg dalszy opowieści.

– Niech czyta – powiedziałam. – Chcę to usłyszeć.

– Daj spokój, Danielle, nic się przecież nie stało. – Tato położył dłoń na kolanie mamy.

– Właśnie, że się stało – powiedziała, odsuwając nogę.

Wstała i wyszła z pokoju, a tato skinął głową Grecie, dając jej znak, że może kontynuować. Odchrząknęła, poklepała się po mostku i znowu zaczęła czytać.

– „Pomimo rozbieżnych interpretacji motywów artysty wszyscy zgadzają się co do tego, że niedawne pojawienie się owego portretu może być okazją do pobieżnego chociażby zapoznania się z pracami, które wyszły spod pędzla Weissa w «samotniczym» okresie jego twórczości. Sama Barr uważa tę pracę za być może największe dzieło w jego karierze.

Obraz tego typu to przejaw absolutnego intelektualnego lub – co pewnie ważniejsze – emocjonalnego związku artysty z modelem. Patrząc na ten obraz, można odnieść wrażenie, że dotknięcie jego powierzchni skończyć się może oparzeniem palców. Że dziewczęta owe żyją naprawdę. Że mogą odgryźć ci dłoń, jeśli za bardzo się zbliżysz”.

Dobiegło nas trzaśnięcie drzwi w kuchni świadczące o tym, że mama wyszła na dwór. Greta podniosła wzrok, gubiąc przy tym miejsce, w którym przerwała czytanie

artykułu. Przez chwilę przesuwając opuszką palca po stronie, aż udało jej się go znaleźć.

– „W obecnej chwili położenie obrazu jest nieznane. Do przekazanego redakcji «Timesa» slajdu nie dołączono żadnych informacji oprócz nazwiska artysty i tytułu portretu...”.

Dłoń Greta opadła, a gazeta zawisła u jej boku.

– Nie podoba mi się to – oznajmiła.

– Co? – spytałam.

– Ta cała sprawa. My, ja, w artykule o kimś, kto umarł na AIDS.

– O kimś? Chodzi o wujka Finna, Greta – powiedziałam.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie życzę sobie, żeby moja podobizna wisiała nad słowem „AIDS”, rozumiano? Masz z tym jakiś problem? – Cisnęła gazetę na stolik do kawy. – Nigdy nie chciałam mieć nic wspólnego z tym portretem, ale wszyscy powtarzali: „Twój wujek Finn to, twój wujek Finn tamto”. Grrr. Mogłabym go zabić, gdyby nie fakt, że sam umarł. Do tego jest sławny? Naprawdę sławny? Jakoś nigdy nam o tym nie wspomniał.

– Uspokój się. To tylko artykuł. – Tato wziął do ręki gazetę i zaczął składać ją na coraz mniejsze ćwiartki. – Nieprawdziwy zresztą. Wydrukowali go na samym końcu działu o sztuce „New York Timesa”. Kto by takie rzeczy czytał, co? Ludzie nic z niego nie zapamiętają.

– Tak, to tylko największa gazeta w kraju.

– Przecież nie jest w nim napisane, że masz AIDS – zauważyłam.

– Okej. Dostyc tego dobrego. – Tato wrzucił gazetę do kominka i wyciągnął zapalniczkę. – Skoro artykuł wzbudza tak wielkie emocje... – pochylił się, pstryknął zapalniczką i przytknął płomień do krawędzi papieru – ...to musimy się go pozbyć.

Ponad mizernym ogieńkiem wisiał jednak prawdziwy portret. Greta i ja spoglądając z obrazu na prawdziwą Gretę i mnie wpatrzone w płonącą kopię nas samych.

Nie napatrzyłam się jeszcze na artykuł, ale nie mogłam nic poradzić. Nawet nie przeczytałam go w całości. Chciałam dowiedzieć się więcej na temat Finna. O tym, jakim wspaniałym był artystą. Poznać powody, dla których przestał zajmować się sztuką. Zdawałam sobie sprawę, że Finn był w jakimś stopniu sławny. Gdy chodziliśmy do galerii, ludzie rzucali nam ukradkowe spojrzenia. Uśmiechali się do niego, wyciągali ręce, żeby ucisnąć mu dłoń. Przy mnie nigdy nie zachowywał się jak celebryta, więc chyba nigdy tak naprawdę nie zastanawiałam się, jak bardzo może być sławny.

Zaraz po lunchu przyjechała Beans z mamą zabrać mnie do centrum handlowego. Powiedziałam Beans, że mogę usiąść z przodu z jej mamą. Nie miałam ochoty cisnąć się na tylnym siedzeniu z bandą dziewczyn, które ledwo znałam. Gdy dotarliśmy do centrum handlowego, oznajmiłam Beans, że spotkam się z nią później przy stoiskach z jedzeniem. Skłamałam, że muszę odebrać coś dla taty z Searsa. W rzeczywistości jednak zjechałam na najniższy poziom i poszłam sama do kina obejrzeć *Amadeusza*. Chodzę na filmy, kiedy tylko mam okazję, bo kino jest jak las. To kolejne miejsce, które działa niczym wehikuł czasu. Beans było wszystko jedno.

– Rób, co chcesz – powiedziała. – I tak wiem, że pojechałaś z nami tylko dlatego, że mama ci kazała.

– Nie... ja...

– W porządku. Rozumiem. Po prostu spotkaj się z nami przy stoiskach z jedzeniem o trzeciej.

Amadeusz to jeden z najlepszych filmów wszech czasów. Finn szalał za nim tak jak ja, ale stwierdził też, że pochrzanili historię dotyczącą *Requiem*. Nikt tak naprawdę nie wierzy, że Salieri zlecił Mozartowi napisanie tego utworu, a potem go otruił. Gdyby Finn żył, tego popołudnia poszlibyśmy pewnie zobaczyć *Amadeusza* jeszcze raz. Dla muzyki, żeby przenieść się w czasie i dlatego, że oboje mieliśmy słabość do filmów, które kończą się tragicznie.

Mama przyjechała do domu zaraz po moim powrocie z centrum handlowego. W samą porę, żeby ugotować obiad. Spaghetti, pulpety i pieczywo czosnkowe. Przy stole rozmawialiśmy głównie o tym, kto mógł wysłać portret do „Timesa”. Za każdym razem, gdy padało imię Toby’ego, nadstawiałam uszu żadną świeżych informacji. W końcu wszyscy zgodziliśmy się, że to raczej musiał być Toby. Mama się nie odzywała. W dalszym ciągu nie miała ochoty na rozmowy ani o artykule, ani o Tobym, ale nie próbowała nas powstrzymać przed omawianiem tych kwestii.

– To mógł być pan Trusky – powiedziałam. – Miał go u siebie całą noc.

– Nie ma mowy – ucięła Greta. – Po co pan Trusky miałby zawracać sobie czymś takim głowę?

– Może po prostu lubi sztukę. Może chce dać wszystkim szansę na zapoznanie się z obrazem Finna.

– Ta, jasne.

Wzruszyłam ramionami, ale wiedziałam, że Greta prawdopodobnie ma rację. To mógł być tylko Toby. Z powodu tytułu. Żadne z nas nie miało pojęcia, że obraz nosi tytuł *Powiedz wilkom, że jestem w domu*. Tylko Toby mógł go znać.

– Co to w ogóle znaczy: *Powiedz wilkom, że jestem w domu*? – spytała Greta.

Nikt się nie odezwał, bo żadne z nas nie miało pojęcia. Była to kolejna zagadka, którą zostawił po sobie Finn. Kolejna rzecz, o którą nie mogłam go spytać przez telefon.

Następnego dnia po lekcjach poszłam do szkolnej biblioteki, co okazało się nie najlepszym pomysłem. Myślałam, że odnajdę artykuł i zrobię sobie kopię. Potem pójde do lasu przeczytać go dwa, sto, a może i więcej razy. Nie wiedziałam jednak, że ksero na piętrze biblioteki nie działa i będę musiała poprosić o skopiowanie dla mnie artykułu kogoś z obsługi. Gdybym zwróciła się o pomoc do bibliotekarki na piętrze, prawdopodobnie nic by się nie stało, ale byłam na tyle głupia, że zesłam na dół do działu z literaturą dla dzieci. W dalszym ciągu uwielbiałam tę część biblioteki wypełnioną jaskrawymi kolorami oraz książkami zawierającymi opowieści z prawdziwego zdarzenia. Było to jednak nierozsądne, bo pani Lester, bibliotekarka w wypożyczalni dla dzieci, znała mnie, od kiedy skończyłam pięć lat, i gdy tylko zobaczyła artykuł, oczy jej rozblęły.

– Ooo, Junie. Macie z siostrą śliczny portret!

Skinęłam głową.

– Obie wyglądacie bardzo... dorośle. Bardzo dojrzałe.

Ponownie przytaknęłam.

– No i pięknie. Obie ładne, hm, jak z obrazka. – Pani Lester zachichotała. – Teraz u nas stoi ta większa kopiarka. Mogę zmieścić większość tej strony na jednej kartce papieru.

– Wspaniale – odparłam.

Musiałam sprawiać wrażenie niespokojnej, bo pani Lester potruchtała za kontuar z podwójną prędkością. Gdy wróciła, trzymała w ręku dwie kserokopie artykułu.

– A, nie, potrzebna mi tylko jedna.

– Wiem, kochanie, ale ta druga przyda nam się do gazetki.

– Gazetki?

– Gazetki ściennej. Jesteście z Gretą sławne. Stałyście się dziełem sztuki. Miło nam będzie obcować z miejscowymi celebrytkami. Jeśli macie...

– Nie. Naprawdę, nie trzeba. My... żadna z nas nie lubi być w centrum uwagi.

– Nalegam, June. Zostałyście odkryte. Nie powinnyście kryć swego blasku pod korcem.

Wiedziałałam, że jedynym sposobem na powstrzymanie pani Lester przed wywieszeniem artykułu byłoby wyjawienie jej, że obraz został namalowany przez wujka, który zmarł niedawno na AIDS, i że cała moja rodzina jest lekko przewrażliwiona na tym punkcie. Prawdopodobnie wystarczyłoby, żeby pani Lester usłyszała słowo „AIDS”, ale nie mogłam się na to zdobyć. Nie byłam w stanie udawać, że wstydę się Finna.

Wzięłam swoją kopię, złożyłam ją tak, żeby obraz znajdował się po wewnętrznej stronie, a potem wróciłam na piętro do wypełnionej brązem i szarością biblioteki głównej. Podeszłam do gazetki ściennej, żeby sprawdzić, czy jest jakiś sposób na usunięcie z niej artykułu, gdy zostanie wywieszony. Gdy nikt nie będzie patrzył. Nie było żadnych szans. Wszystkie obwieszczenia znajdowały się w zamkniętej na klucz

gablocie.

Zabrałam kopię artykułu do lasu. Złożyłam ją tak, żeby zmieściła mi się do kieszeni płaszcza, i szłam, dopóki nie dobiegło mnie wycie wilków. W tekście nie pozostało wiele informacji na temat Finna oprócz: „*Starszy pan*, ostatni sprzedany przez Weissa obraz i prawdopodobnie najbardziej znane jego dzieło, to autoportret artysty w luźnej wełnianej marynarce narzuconej na goły tors. Malarz wyciąga dłoń, w której znajduje się większych niż naturalne rozmiarów ludzkie serce, w kierunku pływających krokodyli. W poprzek piersi artysty biegnie nierówno zagojona blizna, która układa się w słowo «PUSTKA». To właśnie szczerłość tego gestu najbardziej porusza oglądającego. Jest on pozbawiony ironii i sprawia, że naprawdę czujemy się świadkami chwili poprzedzającej wypuszczenie wilgotnego, tętniącego życiem serca z dłoni i odnosimy wrażenie, że otrzymaliśmy od artysty wszystko, co był w stanie nam dać. Obraz został sprzedany za ponad 200 000 dolarów na aukcji w roku 1979. Dom aukcyjny Sotheby's szacuje, że *Powiedz wilkom, że jestem w domu* może osiągnąć cenę przekraczającą 700 000 dolarów”.

Fakt, że obraz wart był majątek, powinien pewnie zrobić na mnie wrażenie, ale tak się nie stało. Nigdy go nie sprzedamy, więc jego cena nie miała znaczenia. Moją uwagę zwrócił za to brak guzików. Na zdjęciu w gazecie mój zwykły czarny T-shirt był ich całkowicie pozbawiony.

Gdy wróciłam do domu, obraz nie wisiał już nad kominkiem. Rodzice włożyli go z powrotem do czarnego worka na śmieci, a potem zawieźli do banku, gdzie został ukryty w podziemnym skarbcu. Wyobraziłam sobie nasze twarze – swoją i Gretę – o oczach wpatrzonych w mrok skarbcu. Cieszyłam się, że przynajmniej nie jestem tam sama. Nawet towarzystwo Grety było lepsze niż samotny pobyt w tak ciemnym miejscu.

Moi rodzice specjalizują się w prowadzeniu ksiąg rachunkowych dla restauracji. Dzięki temu Elbusowie stołują się za darmo w wielu działających w Westchesterze lokalach. Dostajemy stolik, nawet gdy przy wejściu stoi kolejka. Pewnie powinnam się czuć jak ktoś sławny, ale wcale tak nie jest. Wyraźnie widać, że jesteśmy zwykłymi ludźmi, więc wychodzimy na palantów, którzy wpychają się bez kolejki. Greta uważa to za żenujące. Tato też. Tylko mama lubi od czasu do czasu posmakować tego typu sławy.

Z powodu pogrzebu, sezonu podatkowego i próby przedstawienia Greta całkowicie przegapiliśmy kolację urodzinową dla taty. Od jego urodzin upłynął już prawie miesiąc. W końcu mama postawiła na swoim, oświadczając, że nic ją nie obchodzi, że jest wtorek w samym środku sezonu podatkowego. Wystarczająco długo odkładaliśmy jego kolację urodzinową i tyle.

Tato wybrał Gasho of Japan, co było idealne, bo rodzice nie prowadzili dla nich ksiąg, ale również dlatego, że gdy jest się w odpowiednim nastroju, Gasho okazuje się bardzo fajną restauracją. Osoba, która ją otworzyła, poleciła rozebrać na kawałki szesnastowieczną japońską farmę, przetransportować wszystkie jej elementy do Ameryki, a potem złożyć je i zamienić w restaurację. Kucharze pieką jedzenie na rozgrzanych grillach umieszczonych pośrodku stołów, a na tyłach budynku znajduje się japoński ogród ze strumykiem, mostkami łukowymi i ławkami poustawianymi w zacisznych zakątkach.

Jeśli się jest we właściwym nastroju, miejsce wydaje się miłe. Ale nikt z nas tak naprawdę nie był we właściwym nastroju.

Rzecz w tym, że zawsze chodziliśmy na urodzinowe kolacje w towarzystwie Finna. Zawsze. Czasami jeździliśmy do Nowego Jorku i wtedy to on wybierał lokal. Innym razem przyjeżdżał do nas. Były to pierwsze urodziny bez niego. Mama proponowała, żeby zamiast niego zaprosić Ingramów, ale ten pomysł nikomu nie przypadł do gustu. Nawet Grecie.

– Pięknie wyglądacie, dziewczynki – powiedział tato, gdy wsiadałyśmy do furgonetki. Wymieniłyśmy z Gretą spojrzenia, po czym obie przewróciłyśmy oczami.

Greta usiadła przede mną ubrana w dżinsy w prążki z dziurami na kolanach. Ja miałam na sobie czarną spódnicę i olbrzymi sweter. Nie włożyłam butów, które dostałam od Finna. Tego wieczoru nie byłabym w stanie ich znieść.

Jedynym dźwiękiem towarzyszącym nam w trakcie jazdy do Gasho była muzyka z należącej do taty kasy z największymi hitami Simona i Garfunkela. Rodzice słuchali wyłącznie składanek z przebojami. Tak jakby przerażała ich myśl, że mogą natknąć się na jakiś kiepski kawałek. Gdy mknęliśmy autostradą, myślałam o urodzinach, które świętowaliśmy w przeszłości. Trzydzieste piąte urodziny taty obchodziliśmy w mrocznym marokańskim lokalu w Greenwich Village, który znał Finn. W dziesiąte urodziny Greta poprosiliśmy w restauracji Il Vecchio o ułożenie z papryczek napisu „Sto lat, Greta” na każdej pizzy. Na moje dwunaste urodziny Finn zarezerwował jadalnię w starym hotelu i namówił nas do udziału w wiktoriańskich zabawach

towarzyskich, o których gdzieś przeczytał. Pojawił się ubrany w cylinder i frak i przez cały czas mówił z angielskim akcentem. Pod koniec wieczoru wszyscy już zwracaliśmy się do siebie w taki właśnie sposób. Nawet Greta. W powietrzu roilo się od zwrotów takich jak „najmocniej przepraszam”, „czy byłby to wielki kłopot, gdyby” oraz „jak po maśle”, a do tego wszyscy szukali byle pretekstu, żeby nazwać kogoś ordynusem czy kanalią.

Kiedy nadeszły czterdzieste urodziny mamy, siedziałam obok Finna w eleganckiej restauracji, gdzie w jednym z kątów grał pianista jazzowy, a na stołach znajdowały się świece w grubych kanciastych świecznikach ze szkła. Miałam wtedy dziesięć lat – Greta dwanaście – i patrzyłam, jak blask świecy migocze na policzku mamy, gdy ta ostrożnie rozpakowywała prezent, który dostała od Finna. Jego podarunki łączyło jedno. Zawsze zachowywaliśmy papier, w który zostały owinięte, bo był on piękniejszy niż jakikolwiek inny, który mieliśmy okazję oglądać. Tamten był ciemnoczerwony i przypominał prawdziwy aksamit. Mama rozwijała go powoli, żeby go nie podrzeć, a gdy jeden z boków został odsłonięty, delikatnie wyjęła z niego czarny szkicownik.

Szkicownik wylądował ostatecznie na regale w pokoju Grety. W środku Finn napisał: „Wiesz, że tego chcesz...”, a obok znajdował się maleńki szkic piórkiem przedstawiający mamę z ołówkiem w ręku. Zdumiewające było to, że na rysunku, którego wysokość wynosiła niewiele ponad jeden centymetr, momentalnie dało się rozpoznać mamę. Tak wyśmienitym artystą był Finn.

Wszyscy oprócz Finna coś mówili. Tato po cichu kłócił się z Gretą, która nie chciała położyć sobie serwetki na kolanach. Siedzący obok mnie Finn składał i zaginał swoją serwetkę, aż w końcu wyciągnął ją spod stołu i ujrzeliśmy, że ułożył z niej motyla. Patrzyliśmy, jak podlatuje nim do Grety i mówi:

– Proszę bardzo, mam tu kogoś, kto ma ochotę spocząć na pewnych kolanach.

Greta zachichotała, wzięła motyla od Finna i położyła go sobie na podołku, a tato spojrział na szwagra z uśmiechem. Pamiętam, że też miałam ochotę dostać serwetkę-motyła. Chciałam, żeby Finn coś dla mnie ułożył. Już miałam go o to poprosić, ale gdy się obróciłam, zobaczyłam, że siedzi wpatrzony w mamę. Otworzyła okładkę szkicownika i wbiła wzrok w maleńki portret samej siebie. Po chwili spojrzała na Finna. Wolno uniosła głowę i ani się nie uśmiechnęła, ani mu nie podziękowała, jak to się zazwyczaj robi, gdy ktoś daje ci prezent. Nic. Siedziała w milczeniu, patrząc na niego smutnymi oczami, a potem potrząsnęła głową i mocno zacisnęła usta. Owinęła szkicownik w papier i włożyła go pod stół. To jeden z fotograficznych okruczeń pamięci. Nie wiem, dlaczego niektóre wspomnienia wiernie uwieczniają najdrobniejsze szczegóły. Zamrażają je. To konkretne – wymiana spojrzeń między mamą a Finnem i jej kręcenie głową – takie właśnie jest.

Gdy dotarliśmy do Gasho, hostessa poprowadziła nas do jednego z wysokich stołów, gdzie wdrapaliśmy się na stołki. Po jednej stronie każdego ze stołów siedziało wokół sporych rozmiarów grilla jakieś dwanaście osób, a na drugim końcu kucharz siekał mięso małym toporkiem. Tato zamówił dwie szklanki japońskiego piwa, a potem spojrział na nas i spytał, czy mamy ochotę na koktajl Shirley Temple.

– Wiesz, nie mam już trzech lat – odparła Greta. – Poproszę dietetyczną colę.

– To ja też wezmę colę – powiedziałam, chociaż tak naprawdę nie miałabym nic

przeciwko Shirley Temple.

Była to najdłuższa rozmowa, jaką odbyliśmy tamtego wieczoru. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek w restauracji domyślił się, że świętujemy urodziny. Tato spytał Gretę, jak idzie z musicalem, a ona bąknęła tylko, że „dobrze”. Mama zauważyła jakąś zmianę w menu i na tym się skończyło. Żadne z nas nie potrafiło zachowywać się jak Finn. Próbowalam przypomnieć sobie jedną z tych wiktoriańskich zabaw, ale na próżno. Może mówiliśmy coś jeszcze, może niektóre słowa zagłuszyło skwierczenie papryki i cebuli, ale tak to właśnie wspominam. Patrzyłam, jak japoński kucharz w wysokiej białej czapie smaży dla nas obiad, i zastanawiałam się, co się ze mną stanie bez Finna. Czy na resztę życia pozostanę już głupia? Kto będzie odkrywał przede mną prawdziwą historię skrytą pod tym, co dostrzega większość ludzi? Jak zostać osobą, która zna się na tego typu rzeczach? Jak zostać kimś, czyj wzrok przenika wszystko na wylot? Jak zostać Finnem?

W drodze do domu jeszcze raz przypomniał mi się liścik od Toby’ego. Szósty marca był już za trzy dni, a spotkanie się z nim byłoby z mojej strony kompletną bezmyślnością. Znowu przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć o wszystkim rodzicom. Wyjawić im, że ten facet przyszedł do naszego domu. Prosił, żebym się z nim spotkała i nikomu o niczym nie mówiła. Nie było za późno, żeby im o wszystkim opowiedzieć.

Rodzice mi ufali, wiedziałam o tym. I mieli rację. Byłam dziewczyną, która zawsze robi, co do niej należy. Ale to było coś innego. Wiedziałam, że Toby zna różne historie. Znał tę część Finna, której nigdy nie poznałam. No i miał mieszkanie. Może dałoby się je jeszcze raz zobaczyć. Mama stwierdziłaby, że na bezrybiu i rak ryba i że zadowolam się byle czym. Mama określiłaby moje zachowanie jako chciwość, ale nic mnie to nie obchodziło. Jeśli wyobrazić sobie opowieści jako rodzaj cementu, którym spaja się cegły – taki, który zanim zaschnie, przypomina lukier na cieście – może dałoby się wykorzystać wiedzę Toby’ego do złożenia obrazu Finna w całość, żeby jeszcze przez jakiś czas mógł mi towarzyszyć.

– Impreza. Jutro wieczorem. Na sto procent. Nieodwołalnie. Greta weszła do łazienki, gdy brałam prysznic, i szeptała przez różową zasłonkę.

– Co?

Greta powtórzyła wolniej i głośniej, uważając, żeby nie usłyszeli jej rodzice. W dalszym ciągu nie słyszałam jej wyraźnie, więc zakręciłam prysznic i dłonią otarłam uszy z wody. Wystawiłam głowę zza zasłonki.

– Co?

Westchnęła ze zniecierpliwieniem, a potem powtórzyła. Tym razem ją usłyszałam.

– Rodzice będą w pracy do siódmej. Możemy im po prostu powiedzieć, że potem będziesz znowu pomagać przy przedstawieniu. Okej?

Kiwnęłam głową, ale biłam się z myślami. Impreza miała odbyć się tego samego dnia, co spotkanie z Tobym.

– Okej? – spytała ponownie Greta.

– Ta-ak... Chyba tak. Okej.

– W lesie za szkołą.

W moim lesie. Impreza miała odbyć się w moim lesie. Uśmiechnęłam się sama do siebie. Chociaż raz będę wiedzieć więcej niż Greta. Będę jedyną osobą, która wie cokolwiek na temat tego miejsca.

Greta stała z dłońmi opartymi na biodrach, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakby czekała, aż coś powiem.

– Znasz ten las, zgadza się?

– No... tak. Widać go za stołówką.

Odczekała jeszcze kilka sekund, a potem pokiwała głową. Ponownie odkręciłam prysznic na pełną moc, pozwalając wodzie chłostać mnie po karku.

Dostrzegłam zarys czoła Grety przez zasłonkę i dźgnęłam je palcem. Odwdzięczyła mi się tym samym, celując w moje ramię. Obie zaczęłyśmy się śmiać i na ślepo trącać palcami przez różowy plastik.

– Przestań – powiedziała Greta, dalej mnie szturchając. Wysunęłam mokrą rękę zza zasłonki i połaskotałam Gretę pod pachą. Żadna z nas nie była w stanie pohamować śmiechu.

– Dziewczynki? – zadudnił z dołu głos taty. Cofnęłam rękę.

– Wszystko w porządku! – odkrzyknęła Greta.

Raz na jakiś czas zdarzało nam się z Gretą coś takiego. Przez minutę czy dwie. Przelotne wspomnienie tego, jak kiedyś między nami było.

Wsadziła głowę za zasłonkę, ustawiając twarz tak, żeby nie zobaczyć mojej nagości.

– Przyjdziesz?

– Tak. Idź pierwsza. Spotkamy się w lesie.

Spisałam sobie kilka technik na podtrzymanie nienawiści do Toby'ego. Chciałam być przygotowana. Nie miałam zamiaru stanąć przed nim ogłupiała od łez. Chciałam być twarda. Chciałam być w stanie wyłożyć mu, jak wygląda sytuacja.

Pamiętaj, że to on zabił Finna. Być może celowo. Pamiętaj, że to on wysłał NASZ portret do gazety bez pytania, mimo że należy on do nas, a jemu nic do tego.

Pamiętaj, że tylko prawdziwy świr mógłby wysłać czternastoletniej dziewczynce list i zabronić jej mówić o tym rodzicom.

Patrzyłam na listę, ale w ogóle na mnie nie działała. Nie potrafiłam znienawidzić tego faceta. Finn nie nienawidził Toby'ego. Mógł go wręcz kochać. A Toby był prawdopodobnie ostatnią osobą na świecie, która rozmawiała i widziała się z Finnem przed jego śmiercią. Dodałam więc:

Toby był ostatnią osobą, która rozmawiała z Finnem. Toby był ostatnią osobą, która trzymała Finna za rękę. To on uściskał go po raz ostatni. Nie ja, tylko Toby.

Dopiero wtedy lista zaczęła działać. To ja chciałam być tą ostatnią osobą. A nie jakiś patykowaty Anglik o wodnistym głosie.

Gdy stoi się na Sumac Avenue w miejscu, gdzie ulica wznosi się nad torami kolejowymi, znad balustrady obserwować można całą stację. Spóźniłam się i byłam przemarznięta, bo swój głupawy jasnoniebieski płaszcz z ortalionu wepchałam wcześniej do plecaka. Poszłam okrężną drogą prowadzącą obok sklepu z rowerami i stacji benzynowej Mobil, a potem przez pokryte chwastami pola nieopodal kościoła luterańskiego. Gdy byłam już blisko, zaczęłam się zastanawiać, co będzie, jeśli Toby wcale się nie zjawi. Może zaczeka gdzieś w ukryciu, żeby sprawdzić, czy przyjdę, tak jak sama miałam w planie.

Wyjrzałam sponad balustrady, starając się zbytnio nie wychylać. Nie byłam pewna, czy go w ogóle rozpoznam, ale rozpoznałam. Od razu go wypatrzyłam. Siedział na ławce na samym końcu peronu z kolanami przyciągniętymi do piersi i bawił się sznurowadłami. Był chudy, ale nie była to chudość kojarząca się z AIDS. Nie wyglądał tak jak Finn pod koniec. Sprawiał wrażenie, jakby zawsze tak wyglądał.

Przypatrywałam mu się przez chwilę. Raz na jakiś czas unosił zniecierpliwioną głowę i rozglądał się dookoła. Jakby go coś wystraszyło. Jakby czuł, że jestem gdzieś w pobliżu. Za każdym razem, gdy tak robił, odskakiwałam poza zasięg jego wzroku.

Toby wyglądał na młodszego od Finna. Młodszego od moich rodziców. Gdybym chciała zgadywać, to pewnie strzeliłabym, że miał około trzydziestki, ale nie jestem w tym zbyt dobra. Z miejsca, w którym się znajdowałam, mogłam dostrzec jego chudą szyję i wystające jabłko Adama. Włosy pokrywały mu głowę niczym miękkie ptasie piórka. Wstał i zaczął przechadzać się po peronie. Miał mały niebieski plecak, a ubrany był w dzinsy, trampki, gruby szary sweter, czerwony wełniany szalik i był bez płaszcza. Nie robił wrażenia osoby wyjątkowej i zachodziłam w głowę, dlaczego ktoś taki jak Finn chciałby się z nim umawiać. Spojrzał na tory, a potem na zegarek. Dobiegł mnie łoskot zbliżającego się pociągu.

Toby ponownie zerknął na zegarek, a potem podniósł wzrok w kierunku miejsca, w którym stałam, nie dając mi czasu na zastanowienie. Odskoczyłam, zanim mnie zobaczył, i w tym samym momencie postanowiłam, że nie zejdę do niego. Nie spotkam się z Tobym. Nie byłam w stanie się do tego zmusić. Co miałabym mu powiedzieć? Nie. Nigdzie nie pójdę. Będę obserwować z góry. Poczekam, aż odjedzie stąd pociągiem. Zrozumiem, o co mi chodzi.

Ostrożnie zbliżyłam się do balustrady i spojrzałam w dół. Ujrzałam Toby'ego, który patrzył prosto na mnie, wbijał wzrok w moją kryjówkę. Jedną ręką osłaniał oczy, a gdy mnie zobaczył, rozsunął nieznacznie palce drugiej dłoni i delikatnie nimi pomachał. Zanim zdążyłam się powstrzymać, zrobiłam to samo. Wysunęłam dłoń znad balustrady i rozstawiłam palce.

Potem się uśmiechnęłam. Był to leciutki uśmiech, który pojawił się mimowolnie. Nie mam pojęcia, jak mogłam się uśmiechać do człowieka, który zabił Finna, ale tak właśnie zrobiłam, i to zaważyło. Miałam wrażenie, że uśmiech do czegoś mnie zobowiązał, zupełnie jakbym złożyła nim przysięgę, która obligowała mnie do zejścia

po schodach prowadzących na peron.

Toby wpatrywał się we mnie z dołu z lekko zaniepokojoną miną. Światło zalewało mu twarz, a on wznosił dłoń niczym postać na średniowiecznym obrazie osłaniająca oczy przed czymś o wiele od siebie potężniejszym. Wskazał palcem na peron i skinął na mnie głową. Zanim zdołałam się powstrzymać, odpowiedziałam mu kiwnięciem i ruszyłam w kierunku zabudowanych schodów. Miałam wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie, a stopnie, po których schodzę, mogą ciągnąć się w nieskończoność.

Na peronie było jasno i ciepło i właśnie zatrzymał się pociąg. Toby szedł w moim kierunku z uśmiechem, który różnił się od bezmyślnych, przesadnie szerokich uśmiechów, posyłanych czasem dzieciom przez dorosłych. Był to uśmiech szczerzy. Jakby sam nie mógł uwierzyć, jakim jest szczęściarzem, że może się ze mną spotkać.

– Chodźmy – powiedział, jakbyśmy się już znali.

Była to dziwna pora dnia. Prawie wszyscy siedzieli jeszcze w pracy, a ci, którzy już ją skończyli, w większości kierowali się na północ i wracali z Nowego Jorku do domu. Wsiedliśmy do pociągu jadącego na południe, a ja starałam się nie myśleć zbyt wiele o tym, co robię.

Wybrany przez nas wagon był prawie pusty. Toby wskazał na parę znajdujących się naprzeciwko siebie podwójnych siedzeń.

– Tutaj?

Kiwnęłam głową i usiadłam. Toby zajął miejsce od strony korytarza, na ukos ode mnie. Jego kolana wystawały w moją stronę, co zmuszało mnie do pochylania się w kierunku okna, żeby uniknąć stykania się z nimi.

– Dziękuję, że przyszłaś – powiedział.

Widziałam, że próbuje nawiązać ze mną kontakt wzrokowy, ale nie miałam na to ochoty. Odwróciłam głowę i zaczęłam gapić się przez okno na stojący na peronie billboard wódki Absolut. W dolnej części reklamy ktoś dopisał „Def Leppard wymiata”, a ktoś jeszcze inny poprawił słowo „wymiata” na „wymioty”.

– Nie ma za co – odparłam, dalej wyglądając przez okno.

– Nie jesteś wystraszona, prawda? Bo zdaję sobie sprawę, jakie mogłem zrobić wrażenie, gdy rozmawialiśmy przez telefon, i wiem, co myśli o mnie twoja rodzina, ale za wszelką cenę chciałem znaleźć jakiś sposób na pogadanie z tobą.

Pociąg ruszył ze stacji, kołyszac się wolno na boki.

– Nie. Nie boję się.

– Dobrze. To dobrze.

Zapatrzył się w puste siedzenie po drugiej stronie przejścia, a potem niespiesznie obrócił się do mnie.

– Mówiłaś rodzicom, gdzie się wybierasz?

Z początku nic nie odpowiedziałam. Potem obróciłam się, spojrzałam mu prosto w oczy i odparłam:

– To trochę dziwaczne pytanie, prawda?

Toby przez chwilę wyglądał na zaniepokojonego. Lekko się skrzywił, jakby zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Ale potem się roześmiał.

– Masz rację. Dziwaczne. I to bardzo. Nie o to mi chodziło. – Przewrócił oczami. Były

ciemnobrązowe, a ich miękkie spojrzenie przypominało wzrok zwierzęcia. Były niczym duże, brązowe oczy konia. – Finn zawsze mawiał...

Na dźwięk imienia Finna wyprostowałam się na siedzeniu. Całe moje ciało napięło się i Toby musiał to zauważyć, bo zmarszczył brwi i posłał mi błagalne spojrzenie.

– A, nieważne – powiedział, machając smukłą dłonią w powietrzu. Przechylił głowę i ponownie spróbował spojrzeć mi w oczy. Sprawdzić, czy mu ufam.

– W każdym razie odpowiedź brzmi „nie”. Nikomu nic nie mówiłam. – W kieszeni płaszcza miałam scyzoryk z rozłożonym korkociągiem. Na wszelki wypadek.

Toby sięgnął do plecaka i wyjął z niego wymiętą torbę z Dunkin' Donuts, w której znajdował się pączek z dziurką. Oderwał kawałek dla siebie, a resztę podał mi. Lepki lukier trochę się stopił, przez co ciastkiem nie dało się nie upaprać. Wcale nie chciałam go przyjąć, ale przyszedłam na spotkanie prosto ze szkoły i byłam strasznie głodna.

– Dzięki – powiedziałam.

Zaczęłam rozdzielać obie części ciastka, a gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że Toby robi dokładnie to samo. Uśmiechnęliśmy się do siebie nerwowo, nie wiedząc, co powiedzieć. Chwilę później pożałowałam tego uśmiechu, bo nie chciałam, żeby sobie pomyślał, że już jesteśmy przyjaciółmi czy coś w tym stylu.

Pociąg zwolnił. Drzwi się rozsunęły i do środka wpadł powiew zimnego powietrza. Toby chyba nawet nie zauważył, że się zatrzymaliśmy. Pomyślałam, że musi być już koło czwartej, ale nie chciałam nic mówić. Powiedziałam już, że się nie boję, i była to prawda. Drzwi się zamknęły i pociąg ruszył dalej.

– Przypomina DNA, prawda? – Toby przysunął w połowie rozdzielone ciastko do okna. – No wiesz, podwójną helisę.

Coś takiego mógł powiedzieć do mnie Finn i nie byłam w stanie powstrzymać uśmiechu. Toby miał w sobie coś znajomego, co sprawiało, że chciałam pociągnąć jego pomysł dalej.

– DNA Dunkin', krwinki Dunkin', dwunastopak gałek ocznych Dunkin'...

Toby przycisnął dłoń do ust, żeby powstrzymać się przed wypluciem ciastka. Wargi miał umazane lepkiem lukrem.

– No i bakterie i wirusy Dunkin'...

Od razu się zorientowałam, że nie miał zamiaru użyć słowa „wirusy”. Odwróciłam głowę. Toby wbił wzrok w podłogę, a gdy jakiś czas później go uniósł, jego twarz miała poważny wyraz.

– Hej – powiedział. – Tęsknię za nim, wiesz?

Zjadłam ostatni kęs ciastka i spojrzałam na ogrodzone płotami podwórka domów położonych przy torach. W niektórych oknach można było dojrzeć ludzi gotujących w kuchni obiad. Wytarłam lepkie palce o siedzenie.

– Ja też – powiedziałam po chwili.

– Bez przerwy o tobie opowiadał – oznajmił Toby. – Wiesz o tym, prawda?

Zaczęłam się jednocześnie uśmiechać i rumienić, więc szybko odwróciłam twarz. Dotarło do mnie, że moje istnienie nie było dla niego sekretem. Toby o mnie wiedział.

– Ta, jasne – odparłam, wzruszając ramionami, jakby było mi wszystko jedno.

– Naprawdę.

Siedzieliśmy w ciszy. Patrzyłam, jak Toby obraca w palcach bilet na pociąg. Raz za

razem składał go i rozkładał.

– Czyli... ty też jesteś jakimś artystą? – spytałam.

– Nie, nic z tych rzeczy. Pod tym względem jestem kompletnie do niczego. – Toby się roześmiał. – Finn próbował mi kiedyś pokazywać jakieś rzeźby, ale...

Spojrzał na mnie. Musiałam zmarszczyć czoło, bo zmienił ton głosu.

– No, nie wiem. Po prostu nic z tego nie wyszło.

– To tak jak ze mną.

– Czemu tak mówisz?

– Bo nie jestem dobrą artystką. Nie należę nawet do klasowej czołówki.

Nie zamierzałam zdradzać niczego na swój temat, ale wszystko działo się tak szybko, że nie byłam w stanie się powstrzymać.

– No cóż, Finn uważał, że jesteś niezła. A nawet bardzo dobra. – Toby zdjął nogę z nogi i pochylił się do przodu. – Finn twierdził, że w sztuce nie chodzi o rysowanie czy malowanie idealnych misek pełnych owoców, tylko o pomysły. A z tego, co mówił, tobie dobrych pomysłów wystarczy do końca życia.

– Tak powiedział?

– Mhm.

Znowu oblałam się rumieńcem i odwróciłam do okna. Przez chwilę miałam wrażenie, że Finn jedzie z nami pociągiem. Jak gdyby na ramieniu Toby'ego siedział maleńki duch Finna, który mówił mu, co ma powiedzieć.

Nie chciałam dać się złapać na jego gładką gadkę, ale nie było to łatwe. Pragnęłam słuchać bez końca o pięknych rzeczach, jakie mówił na mój temat Finn. Zerknęłam na Toby'ego. Prawdopodobnie wszystko zmyślił. Czyli jednak był kimś wyjątkowym, a ja byłam tylko głupawą siostrzenicą. Nagle uderzyła mnie potworna niesprawiedliwość związana z faktem, że ten obcy facet rozmawiał o mnie z Finnem. Tyle na mój temat wiedział, a ja o nim nic.

– A więc przejąłeś mieszkanie po Finnie? – spytałam.

Usłyszałam w swoim głosie coś wrednego, co sprawiło, że zabrzmiałam bardziej jak Greta niż ja sama, ale było mi wszystko jedno.

Toby pochylił głowę.

– Ja...

– Nieważne. Nie chcę wiedzieć.

Znowu cisza.

– Wiesz, że możesz tam przyjeżdżać, kiedy tylko masz ochotę – powiedział. – O dowolnej porze. Naprawdę. W dzień czy w nocy.

Wzruszyłam ramionami, ale po chwili zapiekły mnie oczy. Łzy wezbrały i im bardziej starałam się je powstrzymać, tym bardziej parły, by wydostać się na wolność. Odwróciłam się i poczułam, że Toby kładzie mi dłoń na plecach. Odsunęłam się. Oddychałam najwolniej, jak tylko byłam w stanie, dopóki nie poczułam, że się uspokajam.

– Hej, wszystko będzie dobrze – powiedział.

Wziął leżący na siedzeniu obok sweter i położył go sobie na kolanach. Tylko tyle. Pokazywał w ten sposób, że mogę tam usiąść, jeśli mam ochotę. Spojrzałam na puste siedzenie, żeby dać mu do zrozumienia, że wiem, co właśnie zrobił i co chciał przez to

powiedzieć, ale nie mam zamiaru się ruszać. Nie potrzebowałam jego pomocy.

Toby nie odłożył swetra. Ścisnął go na kolanach, pozostawiając między nami wolne miejsce. Pociąg zatrzymał się jeszcze na czterech stacjach, a ja pozwalałam mu nieść się coraz dalej od domu. Coraz dalej od lasu. Z dala od przedmieść, w kierunku kamiennego chłodu miasta.

Gdy pociąg zatrzymał się na stacji Grand Central, oboje wysiedliśmy.

Toby ze dwadzieścia razy podziękował mi za spotkanie i wyraził nadzieję, że nie widzimy się po raz ostatni. Otworzył plecak i podał mi brązową papierową torbę.

– To od Finna – powiedział, przysuwając się do mnie, a potem szybko odsuwając. – Jest tego więcej.

Wzięłam torbę, nie patrząc na nią, jakby nie było to nic istotnego.

– No to dlaczego nie przyniosłeś wszystkiego? Skoro jest coś jeszcze.

Toby wyglądał na zakłopotanego. Zaczął wykręcać ręce za plecami, wbijając wzrok w brudną podłogę dworca.

– Bo pomyślałem, że jeśli dostaniesz wszystko, nie będziesz chciała się więcej spotkać. A ja potrzebuję, chcę, żebyśmy się jeszcze spotkali. Bardzo.

Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął z niej garść banknotów i podał mi je. Nie były schludnie ułożone ani nic w tym stylu – wyglądały, jakby zgarnął je z jakiejś wielkiej sterty i wepchnął do kieszeni.

– Proszę. Wiesz, na wypadek, gdybyś czegoś potrzebowała.

Nie przyjrzałam im się dokładnie, ale zorientowałam się, że to spora suma pieniędzy. Nasza sąsiadka, pani Kepfler, próbowała kiedyś wciskać nam z Gretą po dolarze. Za to, że wyglądamy na grzeczne dziewczynki, jak to określała. Ale mama nigdy nie pozwalała nam niczego od niej przyjąć. „Pieniądze możecie brać tylko od rodziny”, powtarzała za każdym razem, a potem kazała nam iść je oddać.

– Nie mogę – powiedziałam Toby’emu, zwracając mu banknoty.

– Nie, nie. Możesz. To pieniądze Finna. Nie bierzesz ich ode mnie. Jeszcze mnóstwo ich zostało. Nie martw się.

– Tego, na czym mi zależy, nie da się kupić za pieniądze – powiedziałam, wciskając mu banknoty w dłoń.

Nie jestem pewna, czy zrozumiał, że pragnęłam, aby cofnął się czas i żeby Finn nigdy go nie spotkał, nie został zarażony AIDS i ciągle jeszcze był tu ze mną. Tak, jak sobie wymarzyłam.

– Aha – powiedział Toby i chyba nagle zrobiło mu się głupio.

Zastanawiałam się, jak musimy razem wyglądać, gdy tak stoimy w samym środku hali dworca Grand Central, a Toby trzyma w ręku garść banknotów, samemu się prosząc, żeby ktoś podbiegł i wyrwał mu je z dłoni. Próbował wepchnąć pieniądze z powrotem do kieszeni, ale nie chciały się zmieścić, i wtedy – na jedną krótką chwilę – zrobiło mi się go żal.

– Dobrze już, dobrze – powiedziałam i podstawiłam otwarty plecak. – Tylko szybko.

Uśmiechnął się i wepchnął pieniądze do środka.

– Finn by tego chciał, rozumiesz?

Już miałam powiedzieć, że nikt nie ma pojęcia, czego chciałby Finn, ale przez głowę

przemknęła mi okropna myśl, że może Toby jednak to wiedział. Może tylko ja nie miałam o niczym pojęcia.

– Moglibyśmy... Nie wiem, pójść na kawę? Lody? Coś do picia? – Toby skinął głową w kierunku baru dworcowego.

Spojrzałam na duży zegar: czwarta pięćdziesiąt. Nawet jeśli miałabym ochotę wybrać się gdzieś z Tobym, to było już za późno. Musiałam wracać na imprezę.

Pokręciłam głową.

– Muszę gdzieś pojechać.

– Jasne. To może kiedy indziej, co? Zobaczymy się jeszcze?

Zmierzyłam Toby'ego wzrokiem. Stał przede mną zgarbiony. Jego palce bawiły się nitką wystającą z rąbka swetra, a duże brązowe oczy wpatrywały się we mnie, jakby moja odpowiedź była dla niego naprawdę ważna.

– Może do ciebie zadzwonię. Kiedyś. Jeśli nie będę miała nic lepszego do roboty.

Twarz Toby'ego się rozpromieniła. Skinął głową i wyciągnął do mnie rękę, jakby chciał przypieczętować umowę uściskiem dłoni, ale ja jej nie ujęłam.

– Cudownie. Kiedy tylko będziesz miała ochotę, dobrze? O dowolnej porze. Ja zawsze mam czas. I gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała... czegokolwiek. Mówię poważnie.

Na tym skończyliśmy. Toby spytał mnie jakieś pięć czy sześć razy, czy poradzę sobie z powrotem do domu, i gdy w końcu uwierzył, że tak, pożegnaliśmy się. Ruszył w kierunku wyjścia przez sklepione przejście, ale zaraz potem zatrzymał się, obrócił i jeszcze raz na mnie spojrzał. Uśmiechnął się, pomachał, zrobił gest wybierania numeru na niewidzialnym telefonie, po czym wskazał na mnie palcem. Kiwnęłam głową, żeby już sobie poszedł, a potem kupiłam bilet do domu. Użyłam do tego pieniędzy, z którymi przyszedłam na spotkanie. Moich własnych, a nie tych, które przed chwilą wręczył mi Toby. Nie spojrzałam już w jego kierunku. Stałam na peronie, gapiąc się na brudne tory i myśląc, że prawdopodobnie nigdy więcej już go nie zobaczę.

W lesie za szkołą siedziała teraz prawie cała obsada musicalu *Południowy Pacyfik*: Ryan Cooke, Julie Contolli, Megan Donegan. Oraz część ekipy technicznej – oświetleniowcy i konstruktorzy scenografii, czyli osoby, które przemykały po scenie w czarnych strojach w przerwach między aktami. Gdybym brała udział w wystawianiu musicalu, należałabym do tej właśnie grupy. Kryjąc się za drzewem i obserwując, jak wszyscy siedzą skuleni wokół ognia, czułam się właśnie jak ktoś z ekipy technicznej. Usłyszałam Gretę, zanim zdążyłam ją wypatrzeć. Jej głos szczebiotał pośród drzew. Strzępki *Bali Ha'i*, głównej piosenki Krwawej Mary. „Morzem... wyspą... do mnie...” Śpiew ucichł i wtedy ją zobaczyłam. Widziałam, jak Greta przystawia butelkę do ust. Coś brązowego: whisky albo brandy. Nie wiedziałam nawet, że Greta pija alkohol. Nie chciałam tego wiedzieć.

Przybiegłam tam prosto z dworca, upatrując w imprezie ostatnią szansę na stanie się kimś normalnym. Pędziłam na przekór zimnemu powietrzu, poprzez płaty skrzypiącego śniegu, a każdy krok oddalał mnie od dziwności, jaką stanowiło popołudnie spędzone z Tobym. Czułam się nieswojo. Miałam wrażenie, że biorę udział w programie telewizyjnym o kimś niesamowicie do mnie podobnym, a jednak nie do końca.

Czekałam na właściwy moment, żeby wynurzyć się zza drzewa i przyłączyć się do zabawy, ale stosowna chwila nie nadchodziła. Robiło mi się coraz zimniej, aż w końcu wyjęłam z plecaka płaszcz i włożyłam go na siebie. Już mnie nie obchodziło, jak w nim wyglądam. Zrobiłam krok do tyłu, potknęłam się i wtedy zobaczyło mnie kilka osób. Jedną z nich była Greta, która przez chwilę się uśmiechała, a potem obróciła się, żeby powiedzieć coś do siedzącego obok niej chłopaka. Zobaczył mnie też Ben Dellahunt. Najpierw spojrział na moje stopy, a potem do mnie podszedł.

– A więc znowu się spotykamy. To ty jesteś tą młodszą Elbusówną.

Zarumieniłam się.

– Tak. June.

– Zwróciłem uwagę na twoje botki.

Wsunęłam jedną stopę za drugą, chcąc sprawić, aby moje buty stały się mniejsze niż w rzeczywistości. Nie chciałam, żeby Ben Dellahunt przyglądał się moim botkom. To był długi dzień i nie miałam nawet siły bronić najwspanialszego prezentu, jaki kiedykolwiek dostałam od Finna.

– Ostatnio też tak mówiłeś. O co ci chodzi? – Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzałam.

– Hej, spokojnie. – Ben uniósł dłonie w obronnym geście. – O nic. Po prostu... są fajne. To wszystko. Też bym takie chciał.

– No cóż, nie są na sprzedaż.

– Wiem – powiedział ze śmiechem. – Nie obawiaj się.

Zastanawiałam się, czy Greta poprosiła Bena, żeby się mną zajął.

Czy to dlatego zaprosiła mnie na imprezę? Może tamtego wieczoru widziała, jak rozmawiam z nim na widowni.

Ben podszedł do lodówki turystycznej i wyjął z niej butelkę. Podał mi ją.

– Piwko?

Otworzył już butelkę, więc pozostało mi jedynie wziąć ją od niego. Pomyślałam, że wypiję łyczek, a potem wyleję gdzieś resztę.

– Dzięki – powiedziałam.

Ben zmierzył mnie wzrokiem.

– Jesteś o wiele wyższa od siostry.

– Tak, wiem.

Przez moment staliśmy w niezręcznej ciszy.

– Chcesz się przejść? – spytał Ben.

Kilka chwil się zastanawiałam. Być może było to o kilka chwil za dużo, bo Ben dodał:

– To tylko spacer, a nie kwestia życia czy śmierci.

Zgodziłam się więc. Nie dlatego, że zależało mi na spacerze z Benem Dellahuntem, chodziło raczej o możliwość opuszczenia imprezy. Nie miałam ochoty siedzieć przy ognisku w pobliżu pijącej alkohol Greta, w towarzystwie osób, których nie znam. Gdybyśmy poszli głębiej w las, to właściwie przestalibyśmy być na imprezie. A na wypadek, gdyby coś poszło bardzo nie tak, nadal miałam w kieszeni korkociąg. Częściowo złożyłam go podczas jazdy pociągiem z Tobym, ale w dalszym ciągu tkwił tam w pełnej gotowości. Miałam też latarkę, której nie spodziewałam się użyć, ale Greta nalegała, żebym ją ze sobą wzięła.

Gdy zagłębialiśmy się w las, usłyszałam, jak jeden z chłopców woła:

– Dajesz, Benno!

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Ben, przysuwając się do mnie.

Szliśmy w kierunku strumyka, kiedy on nagle się zatrzymał.

– Słyszysz to? – spytał. – Brzmi jak, nie wiem, psy albo coś w tym rodzaju.

– To mogą być wilki – powiedziałam i od razu tego pożałowałam.

Zaśmiał się.

– Tak, jasne. Wszystkie wilki zostały tu wybite jakieś sto lat temu. Żeby się na nie natknąć, trzeba by pojechać cholernie daleko na północ.

– Nie wiadomo. Może wilki z północy zawędrowały aż tutaj, do Westchesteru. Skąd mielibyśmy o tym wiedzieć? – Upiłam kolejny łyk piwa przepełniona nagłą śmiałością.

– Ciii – powiedział. – Posłuchajmy.

Unióś w powietrze dwa palce.

– W każdym razie – szepnął – nie wszystkie wilki są złe.

Opuściłam wzrok.

– Nie. Nie wszystkie. Nie są złe, tylko... samolubne. Właśnie tak: żarłoczne i samolubne.

Ben nie wiedział, co odpowiedzieć.

– No cóż, to pewnie tylko kojoty albo psy. Prawdopodobnie jakieś przybłądy. – Rozejrzał się dookoła, a potem spojrzał na mnie i wziął mnie za rękę. – Jeśli chcesz, możemy ich poszukać.

Za naszymi plecami ciągle buzowało ognisko. Zgromadzone wokół niego osoby przykładają do ust butelki z piwem. Głębiej w lesie można było dostrzec niewielkie błyski świec i latarek dzieciaków, które oddaliły się od ognia.

– Chyba wolę nie wiedzieć. – Nie miałam ochoty zdradzać mu, że lubię wierzyć

w istnienie wilków.

– Czemu nie? – Wsadził rękę do kieszeni płaszcza, a potem wyciągnął ku mnie otwartą dłoń. – Grywasz czasem w *Dungeons & Dragons*?

Pokręciłam głową.

– No, w takim razie... – Ben dumnie wypiął pierś i zaczął tłumaczyć mi zawiłości współczynników procentowych, rozwoju postaci i punktów doświadczenia. Następnie podał mi kostkę o dziwnym kształcie i kazał mi nią rzucić.

– Śmiało – powiedział. – Tutaj.

Rozłożył obie dłonie wnętrzem do góry. Miały wielkość dłoni taty, a jego głos był niski i spokojny. Podbródek pokrywał mu lekki zarost. Byliśmy sami i w jakiś sposób różnica dwóch lat dzielących Bena Dellahunta i mnie wydawała się większa i mroczniejsza niż piętnaście czy dwadzieścia lat pomiędzy mną a Tobym kilka godzin wcześniej. Nie do końca rozumiejąc, co właściwie robię, wypuściłam kostkę z palców wprost na jego dłoń.

– Super – powiedział.

– Co?

– Właśnie cię przekonałem, żeby iść poszukać wilków.

– Naprawdę?

– Pewnie, że tak. Nie masz przecież żadnych punktów doświadczenia.

Przez kilka sekund stałam, zastanawiając się, czy nie powinnam przypadkiem zawrócić. Tak naprawdę chciałam po prostu stamtąd odejść. Ale Greta zniknęła mi już z oczu, a jeśli zjawiłabym się w domu sama, Greta miałaby przechlapane. Nie chciałam jej tego robić.

– No, dobrze – powiedziałam. – W takim razie chodźmy.

Wskazałam w niewłaściwym kierunku, z dala od miejsca, gdzie znajdowały się wilki, i zaczęliśmy iść. Ben nie przestawał gadać o *Dungeons & Dragons*, misjach i swoich ulubionych częściach serii *Autostopem przez galaktykę*. Raz na jakiś czas zatrzymywaliśmy się, Ben wyciągał kolejną butelkę piwa z kieszeni płaszcza i siadaliśmy na chwilę. Nie powiem, żebym się świetnie bawiła, ale było to w miarę miłe. Sprawiało, że imprezę dało się znieść.

Poprowadziłam Bena tak, że zatoczyliśmy wielkie koło i w końcu dotarliśmy z powrotem na wzgórze wznoszące się nad ogniskiem.

– No i zero wilków – podsumował, po czym położył mi dłoń na plecach.

Był drugą nienależącą do mojej rodziny osobą, która tego dnia celowo mnie dotykała, i było to dziwne uczucie. Jakby ciało Bena zrobione było z czegoś innego niż moje.

– Najwyraźniej. – Zrobiłam krok do przodu i jego ręka opadła. Następnie uśmiechnęłam się i powiedziałam: – Ale to nie znaczy, że nie istnieją, co nie?

Chciał się sprzeczać, lecz ja zaczęłam już zbiegać ze wzgórza w kierunku ogniska. Gdy dotarłam na dół, jeszcze się żarzyło, a spod liści, które na nie rzucono, wydobywał się dym. W powietrzu unosił się drożdżowy zapach niedopitego piwa i chociaż było chyba jeszcze dosyć wcześnie, dzieciaki zaczynały się zbierać. Nikt nie chciał przeginać z powrotem do domu. Przebiegałam wzrokiem od twarzy do twarzy. Nie wiedziałam, ile dokładnie czasu upłynęło, do tej pory spodziewałam się już powrotu Grety. Tak się

jednak nie stało. Widziałam jej znajomych, ale jej samej nigdzie nie było.

Nie miałam pojęcia, co robić. Plecak ciążył mi na ramionach i myślałam tylko o tym, jak bardzo chcę już być w domu. Miałam ochotę policzyć otrzymane od Toby'ego pieniądze. Rozłożyć całą zawartość pogniecionej torby z brązowego papieru na podłodze w moim pokoju. Chciałam spać. A do tego potrzebna mi była Greta.

Zaczęłam pytać, czy ktoś ją widział, ale wszyscy mówili, że nie. Jakiejś dziewczynie wydawało się, że Greta szła gdzieś z Robem Jordanem, ale nie była pewna.

Nie podejrzewałam Grety o porzucenie mnie tu. Nie tym razem. Gdyby wróciła do domu beze mnie, znalazłaby się w poważnych tarapatach.

Część osób ruszyła w kierunku szkoły. Wśród nich był Ben, który zawołał:

– Wszystko okej?

Skinęłam głową i pomachałam.

– Tak.

Odmachnął mi, a potem zniknął między drzewami.

Wokół ogniska zostało już tylko kilka osób. Oczy piekły mnie od dymu, a do tego byłam spragniona i głodna. Cofnęłam się kilka kroków w mrok i bez większego wysiłku zdołałam poczuć się jak uboga średniowieczna wieśniaczka. Zagubiona w lesie dziewczyna rozpaczliwie poszukująca swej jedynej siostry.

– Greta – szeptałam pod ciemnymi konarami drzew. – No, dalej, Greta, powiedz mi, gdzie jesteś.

Zaczęłam schodzić ze wzgórza, oddalając się od szkoły i ogniska, aż znalazłam się przy strumyku. Przez cały czas wołałam Gretę. Najpierw cicho, a potem głośniej, nasłuchując jakiejś odpowiedzi, ale jedyne dobiegające mnie dźwięki pochodziły z góry. Sowa na gałęzi albo spadające patyczki. Ruszyłam głębiej w las i podążyłam za strumykiem, tak, jak robiłam, gdy przychodziłam tu sama. Na niebie widniał jedynie cieniutki sierp księżyca, ale się nie bałam. Powtarzałam sobie, że wcale się nie boję.

Przypomniałam sobie o latarce, włączyłam ją i znowu zaczęłam wołać Gretę po imieniu.

– No wyłaż. To nie jest śmieszne.

Najpierw bałam się, że nakryję ją z jakimś chłopakiem na robieniu rzeczy, których podobno nie byłam sobie nawet w stanie wyobrazić. Myślałam o tym, jak żenujące byłoby to dla nas obu – a nawet dla naszej trójki – ale teraz przestałam się tym przejmować. Zaczynałam tracić czucie w palcach u stóp z zimna i chciałam iść do domu.

W dalszym ciągu szłam z biegiem strumyka, bo nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić. Parę razy prawie już zawróciłam, ale powtarzałam sobie: „Jeszcze kilka kroków”, bo myślałam, że tyle może wystarczyć. Szłam, omiatając ziemię światłem latarki. Błysnęła mi puszka po piwie oraz pęk kluczy, które schowałam do kieszeni. Dalej wołałam Gretę, za każdym razem głośniej. Może sobie poszła. Może całkiem o mnie zapomniała.

Wtedy właśnie światło latarki odbiło się od czegoś leżącego u podstawy dużego drzewa. Rozejrzałam się. To było moje drzewo. Klon. A nieopodal stary kamienny mur. Byłam u siebie. Ta myśl na chwilę mnie pocieszyła, ale zaraz potem znikła, bo nocą w tym miejscu nie było nic wyjątkowego. Nic średniowiecznego. Tylko ziab i mrok.

Skierowałam światło na błyszczący na ziemi punkt i ruszyłam w jego kierunku, spodziewając się rozbitej butelki po piwie, ale gdy podeszłam bliżej, dostrzegłam, że światło odbija się od okularów. Znajdowały się na czyjeś twarzy. Pokrytej błotem twarzy Greta. Z leśnego poszycia wyłaniała się jedynie jej twarz, lśniąca czarne włosy ściągnięte mocno w koński ogon i okrągłe okulary w srebrnych oprawkach. Miała zamknięte oczy i w pierwszej chwili cała zastygłam, bo wydawało mi się, że na liściach leży sama głowa.

– Greta.

Wyciągnęłam ku niej ręce i od razu poczułam, że pod grubą warstwą zimnych, mokrych liści ukryta jest reszta jej ciała. Wyglądało to tak, jakby ziemia służyła jej za łóżko, a ona podciągnęła leśne poszycie aż pod brodę niczym kołdrę. Bił od niej spokój, jakby czuła się jak u siebie. Gdyby nie była moją siostrą i gdyby nie było tak zimno, prawdopodobnie bym ją tam zostawiła, myśląc, że na pewno dobrze wie, co robi. Potrząsnęłam nią, a ona zwinęła się w kłębek.

– Greta, no chodź. Wstawaj. – Posadziłam ją i oparłam o swoje ramię. Zmiotłam z jej piersi zbutwiałe liście i potrząsnęłam nią, żeby ją ocucić.

Wydała z siebie jęk i próbowała znowu się położyć, ale mocno ją trzymałam. Obejrzałam się za siebie. W ogóle nie byłam już w stanie dostrzec blasku ogniska. Ktoś musiał je zagasić. Wszyscy już pewnie poszli. Zostałyśmy z Gretą same.

Wsadziłam brudne okulary Greta oraz latarkę do kieszeni i jeszcze raz spróbowałam ją obudzić. Potrząsnęłam nią za ramiona, krzyżąc:

– Greto! Michelle! Elbus! Obudź! Się!

Jej powieki zadrżały i szarpnęła ramionami, żeby strącić z nich moje dłonie.

Zazwyczaj dałabym wszystko, żeby móc się skurczyć i stać się mała i zgrabna jak Greta, ale tej nocy, pod prawie pozbawionym księżycą niebem, cieszyłam się ze swoich rozmiarów i siły. Zaciągnęłam ją pod drzewo, o które oparłam ją w pozycji półsiedzącej. Przełożyłam plecak na jedno ramię. Następnie przykucnęłam odwrócona do niej plecami i zaplotłam jej ręce wokół swojej szyi.

– Raz... dwa... trzy – powiedziałam, a potem pochyliłam się do przodu i chwiejnie stanęłam na nogi. Jej pijane palce pozbawione były siły, więc nie przestawałam się garbić, żeby nie spała. Przypomniały mi się wszystkie chwile z dzieciństwa, kiedy Greta brała mnie na barana i nosiła po podwórku za domem.

Nie miałam pojęcia, co zrobię, gdy wrócimy do domu, wiedziałam tylko, że musimy tam dotrzeć. Pożułam gumę, aż stała się miękka, a potem wsadziłam ją Grecie do ust – wiem, że to ohydne, ale nie przyszedł mi do głowy żaden inny sposób na zamaskowanie zapachu jej oddechu. Następnie ruszyłam w drogę – biegiem, z siostrą na plecach i wilkami depczącymi mi po piętach. Miałam wrażenie, że obie jesteśmy częścią jakiejś opowieści. Prawdziwej, nie takiej, którą sama wymyśliłam.

Kilka razy zatrzymywałam się, żeby posadzić Gretę na ziemi, gdy odczuwałam zmęczenie. Odczekałam w lesie tak długo, jak tylko się dało, zanim wyszłam na Evergreen Circle, skąd mogłam przejść pomiędzy domami Morellich i Kleinów do Young Street, która łączyła się z naszą ulicą. W tym właśnie miejscu, pośród zapuszczonej trawy rosnącej między obydwoma domami, Greta szepnęła mi w szyję:

– Pamiętasz niewidzialne syreny?

Głos miała zachrypnięty i zmęczony. Brzmiał jak głos kogoś innego, nie Grety. Zasapałam się, więc przystanąłam, żeby złapać oddech.

Skinęłam głową. Faktycznie pamiętałam. W Queens był taki sklep z tropikalnymi rybkami. „Grotą Neptuna”. Wielkie, pogrążone w półmroku pomieszczenie przypominające magazyn. Akwaria były ustawione jedno na drugim w przynajmniej sześciu sięgających aż do sufitu warstwach. Zebrasomy żółte, molinezje żaglopłetwe, tęczanki zielone, gurami całujące.

Greta łąpała mnie za rękę i razem ganiałyśmy między półkami. Historyjka, którą sobie wymyśliłyśmy, była taka, że wszystkie ryby zostały uwięzione, a my byłyśmy wolne, bo byłyśmy niewidzialnymi syrenami. Chowałyśmy się, chociaż nikt nas nie szukał. Właściciel sklepu był dobrym znajomym dziadka, więc mimo że już dawno nie mieszkaliśmy w Queens, tato nadal prowadził dla niego księgowość.

– Pamiętasz to niebieskie miejsce? Ten mały błękitny pokoik? – wymamrotała Greta.

Kiwnęłam głową. Była tam wylęgarnia, gdzie trzymali świeżo wyklute rybki.

Bolały mnie plecy i miałam wielką ochotę postawić Gretę na ziemi. Była przytomna, więc powinna ustać na nogach. Mogłam posadzić ją na krawężniku i zaczęłybyśmy rozmowę o niewidzialnych syrenach. Ale zdawałam sobie sprawę, że gdybym to zrobiła, magiczna chwila dobiegłaby końca. Gdyby tylko zobaczyła moją twarz, przypomniaby sobie o byciu podłą. Przypomniaby sobie, kim jest.

– O co ci chodzi? – spytałam.

– Nie wiem, po prostu czasami... czasami myślę sobie o takich rzeczach. O tym, jak kiedyś było.

Prawie jej powiedziałam, że mogłybyśmy do tego wrócić. Gdyby tylko przestała być wredna, mogłoby być między nami tak jak dawniej. Ale nie powiedziałam tego. Nie byłam pewna, czy to prawda.

Zamiast tego zaproponowałam:

– Może mogłybyśmy gdzieś kiedyś razem wyskoczyć.

– Tak. Mogłybyśmy, prawda? – I wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo się za nią stęskniłam. Za prawdziwą, dawną Gretą.

– Greta? – Poczulałam, jak kiwa głową. – Czego chciał wtedy pan Nebowitz?

Wiedziałałam, że pytanie jej o to było ryzykowne. Zlazła mi z pleców i zataczając się, stanęła na ulicy. Owinęła się mocno płaszczem i wbiła wzrok w ziemię.

– Niczego – wymamrotała. – Niczego nie chciał.

– Czy on przypadkiem nie...? – Posłałam jej spojrzenie, które sugerowało cokolwiek, co mogła chcieć powiedzieć. Sam pomysł ją ocucił i przywrócił do normalności.

– Fuj, June. Ohydna jesteś. – Pijackim gestem machnęła w moim kierunku dłonią.

– O co w takim razie chodziło?

Zmierzyła mnie wzrokiem, a grymas na jej twarzy zmienił się nagle w szeroki, chytry uśmiech.

– O możliwości rozwoju, June. Nieopisane możliwości.

Obróciła się i ruszyła ulicą w kierunku domu. Kilka sekund później zatrzymała się i odwróciła do mnie. Najwyraźniej zrobiła to zbyt szybko, bo straciła równowagę i musiała złapać się czyjejś skrzynki na listy, żeby się nie przewrócić. Gdy już stanęła prosto, na nowo skupiła się na mnie.

– Wiesz, co powiedziała Megan, gdy jej wyznałam, że mój wujek umarł na AIDS? Zgadnij. No, dalej.

– Greta, chodź. Musimy iść.

– Nie. To coś niesamowitego. Spodoba ci się. Megan spojrzała na mnie poważnym wzrokiem i powiedziała: „Wow, z tego byłby superesej do college’u. Z czymś takim miałybyś fory już na starcie”.

Greta zarechotała. Usiadła na szosie, trzęsąc się ze śmiechu, który w końcu przemienił się w kaszel.

– No chodź – powiedziałam.

– Śmieszne, co? Mam rację?

– Tak, strasznie śmieszne. Przezabawne.

Złapałam Gretę za dłoń, żeby postawić ją na nogi, ale mi się wyrwała. Przestała się śmiać, a jej twarz przybrała nagle chłodny wyraz.

– Wydaje ci się, że nie chciałam jeździć do Finna, dlatego że mi na nim nie zależało? Naprawdę myślisz, że mogłam mieć gdzieś, że umiera osoba, którą znałam od zawsze?

Zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, podniosła się z jezdni. Machnęła na mnie pogardliwie ręką, a potem zaczęła biec. Patrzyłam, jak gna szosą w kierunku domu, co chwila się potykając.

Nocne powietrze ocuciło Gretę do tego stopnia, że była w stanie wejść po schodach, tak by z nich nie spaść, przebrać się w piżamę i położyć spać.

Zdjęłam przesycone dymem ubrania, po czym zesłam na dół powiedzieć rodzicom, że wszystko jest w porządku.

– Nie masz nawet pojęcia, June, jak bardzo się cieszę, że znowu spędzasz czas z Gretą – oznajmiła mama.

Miałam wrażenie, że nawet skinięcie głową byłoby w tej sytuacji kłamstwem.

Oto, co znajdowało się w brązowej papierowej torbie od Toby'ego:

4 kasety z *Requiem* Mozarta
1 liścik

Wskoczyłam na łóżko i przycisnęłam ucho do ściany. Gdy Greta i ja leżymy w swoich łóżkach, nasze głowy znajdują się tuż obok siebie. Gdyby nie ściana, leżałybyśmy jedna obok drugiej. Nasłuchiwałam przez jakąś minutę, żeby upewnić się, że śpi, i gdy niczego nie udało mi się usłyszeć, otworzyłam plecak i wysypałam z niego kasety. Od razu je rozpoznałam.

Związane były z niedzielą, w którą Finn zabrał mnie do działu z muzyką klasyczną w sklepie Tower Records przy Czwartej Ulicy. Kupił wtedy cztery różne wersje *Requiem* Mozarta, żebyśmy mogli wybrać tę najlepszą. Nie wiedziałam nawet, że istniały różne wersje tego utworu, dopóki Finn mi ich nie pokazał.

Porównał nasz test do „wyzwania smaku pepsi”, bo mieliśmy wybierać, nie wiedząc, której wersji akurat słuchamy. Bałam się, że wszystkie będą brzmieć dla mnie tak samo i że ośmieszę się przed Finnem, ale tak się nie stało.

– Będiesz zaskoczona tym, jak odmiennie zabrzmia – powiedział. Na ustach błąkał mu się półuśmiešek i czułam, że wie, o czym myślę.

Wróciliśmy taksówką do mieszkania Finna, a gdy tam dotarliśmy, zrobił herbatę w rosyjskim czajniczku i napełnił wielką misę pistacjami w czerwonych skorupkach. Następnie odsunął stolik do kawy, żebyśmy mogli wyciągnąć się na plecach na jego pięknym tureckim dywanie. A potem zaczęliśmy słuchać.

Dwie wersje były od siebie tak różne, że aż się wściekłam. Miały dosłownie inne zakończenia i Finn wytłumaczył mi później, że to dlatego, iż Mozart tak naprawdę nie zdążył ukończyć *Requiem* przed śmiercią i po dziś dzień ludzie spierają się, której części nie napisał i jaka właściwie powinna być ich kolejność. Mnie to jednak nie obchodziło. One po prostu brzmiały źle. Nawet pozostałe dwie nie były tak dobre jak stara wersja, której przeważnie słuchaliśmy, i tak właśnie powiedziałam Finnowi.

Wyglądał, jakby go to zasmuciło. Poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że wie, co mam na myśli – zazwyczaj do końca życia uwielbia się pierwszą usłyszaną przez siebie wersję.

Drugą rzeczą w torbie był liścik. Oto, co było w nim napisane:

Droga June,

jeśli to czytasz, to znaczy, że spotkałaś się ze mną na dworcu, chciałbym Ci zatem podziękować za przybycie. A więc... dziękuję!

Muszę wyznać, że zajrzałem wcześniej do torby i zobaczyłem te kasety, dzięki czemu zdałem sobie sprawę, iż jest pewnie wiele rzeczy, które wiesz

Finnie, o których ja nie wiem; i wiele rzeczy, z których ja zdaję sobie sprawę, a Ty nie.

Prawdopodobnie moglibyśmy opowiedzieć sobie mnóstwo historii. Ale potem pomyślałem sobie, że tak się pewnie nie stanie.

Gdybyś jednak była tym zainteresowana, to nic się nie zmieniło. Adres

I numer telefonu pozostały bez zmian. Są takie same jak Finna. Nieczęsto gdzieś wychodzę. Zazwyczaj jestem w domu.

Z wyrazami sympatii,

Toby

Po przeczytaniu listu wysypałam wszystkie pieniądze, które dał mi Toby. Były wśród nich różne rodzaje banknotów – jedno-, pięcio- i dwudziestodolarowe, a nawet kilka pięćdziesiątek. W sumie ich wartość wyniosła 763 dolary, czyli więcej niż kiedykolwiek miałam w życiu. Taka ilość pieniędzy sprawiała, że czułam się jak złodziejka, ale złodziejka pośrednia, bo miałam wrażenie, że to Toby był tu prawdziwym rabusiem.

Ukryłam wszystkie rzeczy razem z czajniczkiem i pierwszym listem od Toby'ego głęboko w szafie, a potem zasnęłam. Łóżko było ciepłe, normalne, idealne, a za sobą miałam bardzo długi dzień. Prawdopodobnie najdłuższy w moim życiu. Odniosłam wrażenie, że zdobyłam dowód na to, że nie wszystkie dni są tej samej długości, a czas nie zawsze waży tyle samo. Że może istnieć nieskończona liczba światów wewnątrz innych światów, jeśli tylko im się na to pozwoli.

– Spójrz na to. – Tato pokazał mamie złożoną na pół stronę z „New York Post”. Mama stała przy blacie kuchennym i kroila pieczarki do omletu.

– Co to?

– Zobacz sama.

Wytarła dłonie w ręcznik i pochyliła się nad ramieniem taty, który uniósł artykuł. Gdy czytała, na jej czole zaczęły pojawiać się zmarszczki. Odwróciła się.

– Nie, dziękuję – powiedziała.

– Można by się zastanowić – zaproponował tato.

Greta jeszcze spała, więc siedzieliśmy z tatą sami przy stole, czekając na omlety. Oboje lubiliśmy je z pieczarkami i serem szwajcarskim. Sączyłam sok pomarańczowy ze starej, obdrapanej słoikoszkłanki po dżemie firmy Welch, na której dało się jeszcze dostrzec fragmenty pomarańczowego stroju Freda Flintstona.

– Co to takiego? – spytałam.

– Nic – odparła mama. – Zabierz to.

Tato posłał mi bezradne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że gdyby to zależało od niego, bez problemu mogłabym zerknąć na artykuł. Jeszcze przez chwilę trzymał gazetę w dłoniach.

– Ona ma już czternaście lat, Danni.

– Nic mnie to nie obchodzi. – Mama wyrwała mu ją z dłoni. – Koniec, kropka.

Pociągnęłam ostatni łyk soku.

– Nie jestem dzieckiem – oświadczyłam, żeby poprzeć tatę.

Mama westchnęła i odłożyła nóż. Zmierzyła mnie wzrokiem i jeszcze raz westchnęła.

– Wiem, Junie. Wiem.

Spojrzała na gazetę, a potem na mnie.

– Proszę – powiedziała i podała mi ją.

Oczekiwałam kolejnego artykułu na temat portretu. Nie spodziewałam się jednak wielkiego nagłówka dotyczącego jakiegoś żołnierza, który zrobił to z kobietą i mężczyzną, chociaż wiedział, że ma AIDS. Teraz cała trójka była już zarażona AIDS, a żołnierz prawdopodobnie miał pójść za to do więzienia.

– No i? – spytał ojciec.

– Nie rozumiem.

– Ten człowiek, ten Toby. To daje do myślenia – powiedział tato, nie patrząc mi w oczy.

– Uważasz, że powinien pójść do więzienia? – Pomyślałam o jeździe pociągiem. O tym, że Toby przywiózł mi z miasta kasety i wcale nie wydawał się taki zły.

– No tak, pewnie, że powinien. W końcu to *morderca* – dobiegł nas głos od drzwi. Stała tam oparta o ścianę Greta. Poprzedniego wieczoru brała udział w próbie przedstawienia i wciąż miała wokół oczu szare smugi z makijażu, które upodabniały ją do upiora. Patrzyła prosto na mnie.

– Zgadza się?

– Chyba tak.

– Chyba?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Od imprezy, która odbyła się dwa dni wcześniej, Greta nie odezwała się do mnie ani słowem. A teraz stała z kubkiem kawy w ręku i wydawało jej się, że jest taka super. Zaczęła pić kawę zaledwie parę tygodni wcześniej, ale zachowywała się, jakby raczyła się nią od urodzenia.

– Dlaczego wy zawsze musicie się o wszystko kłócić? – spytała mama.

Greta uśmiechnęła się złośliwie.

Tej samej niedzieli, tylko później, siedziałyśmy z Gretą przy stole w kuchni i kończyłyśmy odrabiać lekcje. Padał lekki śnieg, a mama zrobiła nam po kubku gorącej czekolady. Kręciła się po kuchni, sprawiając wrażenie, jakby na coś czekała. Od śmierci Finna często się tak zachowywała. Pewnego razu, gdy nie wiedziała, że ją obserwuję, zobaczyłam, jak podnosi słuchawkę telefonu, przykładając ją do ucha i czeka. Nie wybrała żadnego numeru. Teraz stała ze wzrokiem wbitym w toster.

– Dziewczynki – odezwała się po chwili.

Podniosłyśmy wzrok.

– To dla was. – Wyciągnęła w naszym kierunku dwie niewielkie brązowe koperty. Na jednej było moje imię, a na drugiej imię Grety.

– Co w nich jest? – spytała Greta.

– Klucze. – Mama wcisnęła nam koperty w dłoń. – Jeśli pójdziecie z nimi do banku przy North Street, będziecie mogli obejrzeć portret, kiedy tylko będziecie chcieli. Obie.

Otworzyłam swoją kopertę i wytrząsnęłam kluczyk na dłoń.

– Skrytka numer dwa dziewięć sześć trzy. Tylko tyle musicie im powiedzieć. Wyjmą go i zaniósą do osobnego pomieszczenia, żebyście mogli spędzić z nim tyle czasu, ile wam będzie potrzebne.

– Już lecę – burknęła Greta.

– Nikt nie mówi, że musisz to zrobić, Greta, ale to twój obraz. Należy do ciebie i June, i powinnyście mieć możliwość oglądać go, kiedy macie ochotę. To wszystko.

Wrzuciłam kluczyk z powrotem do koperty. Pomyślałam, że schowam go w szafie razem z listami od Toby'ego, czajniczkiem i kasetami z *Requiem*. Wydawało mi się, że raczej nigdy nie wybiorę się go obejrzeć, ale nie byłam pewna.

Greta dopiła czekoladę i powiedziała:

– Jak chcesz.

Następnie zabrała swój kluczyk i wyszła z kuchni, nawet na mnie nie patrząc.

Po obiedzie, gdy wszyscy zapomnieli już o gazecie, odnalazłam stronę z artykułem dotyczącym żołnierza. Przeczytałam go jeszcze raz i jego osoba wzbudziła we mnie wstręt. Jak można być takim egoistą? Nigdy nie wsiadłabym do pociągu z kimś takim. Nigdy nie wzięłabym od takiej osoby pączka.

Złożyłam artykuł na pół i włożyłam do koperty, na której napisałam imię Toby'ego oraz adres Finna. Wzięłam znaczek z szuflady stojącego w salonie biurka, polizałam go i przykleiłam. Spojrzałam na list. Mogłam go wysłać w takiej formie, ale tego nie zrobiłam. W lewym górnym rogu napisałam swoje imię, nazwisko i adres. Chciałam,

żeby Toby wiedział, że to ode mnie.

* * *

Kilka dni później dostałam odpowiedź. Zazwyczaj wracałam do domu pierwsza i wyjmowałam pocztę ze skrzynki, ale Toby o tym nie wiedział, więc zadał sobie wiele trudu, żeby zakamuflować swój list. Na dużej brązowej kopercie widniał napisany na maszynie adres zwrotny Ligi Młodych Sokolników, co sprawiło, że się uśmiechnęłam, ale tylko na chwilę, bo prawie od razu wkurzyło mnie, że Finn powiedział mi o sokolnictwie. Najpierw myślałam, że to jakieś reklamy, ale moje nazwisko i adres zostały napisane odręcznie. W środku znajdowało się kilka kartek czystego papieru, które miały dodać listowi masy, aby wyglądał bardziej przekonująco, oraz jeden arkusz z tekstem.

*Droga June,
to wcale tak nie wyglądało. Przyrzekam Ci.
Mam nadzieję, że Cię to przekona.
Toby*

W Cloisters znajduje się posąg, który Finn pokazał mi, gdy zabrał mnie tam po raz pierwszy. Przedstawia Maryję Dziewicę z pozbawioną szczegółów twarzą wyrzeźbioną w drewnie brzoszowym. Kobieta siedzi, a jej twarz jest bez wyrazu. Ma krzepkie, mocne ciało, a na kolanach trzyma coś, co wygląda jak lalka przedstawiająca ją samą. Tak naprawdę ma to jednak być mały Jezus, a Maryja ujmuje go obiema rękami, tak jak trzyma się książkę. Pierwszą rzeczą, jaka rzuca się w oczy, jest to, że Jezusowi brakuje głowy. Zamiast niej z szyi wystaje mu cienki, najeżony drzazgami kawałek drewna. Do tego trzyma on książkę, a Maryja patrzy na ciebie, jakby nie zauważyła, że jej dziecku brakuje głowy. Być może tylko udaje, żeby sprawdzić, czy ktoś odważy się o tym wspomnieć. A może chodzi o coś innego. Może jej chłodna mina wynika stąd, że Maryja jakimś cudem wie o wszystkim, co przydarzy się jej jednemu synkowi.

Po raz już chyba dziewięćdziesiąty siódmy przyglądaliśmy się z Finnem temu posągowi, a z zewnątrz dobiegał nas dźwięk deszczu całującego stary kamienny podwórzec.

– Chciałbym namalować portret – oznajmił. – Twój. Twój i Grety.

– Dlaczego?

– Tak po prostu. Bo jesteś we właściwym wieku, a ja już dawno nie malowałem portretów.

Finn przechylił głowę na bok i zmrużył jedno oko, patrząc na posąg.

– Trzyście lat to dobry wiek na portret?

– Pewnie, że tak – powiedział, zerkając na mnie zmrużonym okiem. – To chwila, która poprzedza pogrążenie się w reszcie życia.

– W takim razie co z Gretą?

Finn się roześmiał.

– No cóż, będę musiał ją uchwycić, zanim pogrąży się w nim do końca.

Niezbyt uśmiechało mi się pozowanie do portretu. Nawet jeśli miał malować go Finn i wiedziałam, że będzie wyglądał wspaniale. Ale i tak skinęłam głową.

– Ile czasu to zajmie? – spytałam.

– O, to zależy – odparł.

– Od czego?

Finn znowu spojrział na posąg Maryi. Następnie wskazał na niego palcem.

– Jak myślisz, ile czasu zabrało stworzenie jej?

Nie miałam pojęcia. Była to mało subtelna rzeźba z niewielką liczbą linii. Posąg był prosty, ale wyrażał pewne emocje. Sprawiał, że miało się ochotę zapatrzeć w twarz Maryi. Stworzenie czegoś takiego mogło zabrać dzień albo rok.

Wzruszyłam ramionami.

– No właśnie – zgodził się Finn. – Ciężko powiedzieć, dopóki się nie zacznie.

– Tak, tyle że jestem nie do końca przekonana.

– Proszę, Krokodylku. Pozwól mi to dla ciebie zrobić. Dla ciebie i Grety.

Finn posłał mi smutne spojrzenie, z którego umiał korzystać, kiedy tylko chciał. Do

tego nazwał mnie Krokodylkiem, co sprawiło, że uśmiechnęłam się w środku.

– Chodźmy usiąść na podwórku – powiedział. – Mam ze sobą dwie puszki herbaty mrożonej. Będziesz mogła to przemyśleć.

Tamtego dnia Finn zdawał się być w świetnym nastroju. Przypominało mi to uczucie, którego doświadcza się zaraz po ułożeniu ogromnych puzzli składających się z tysiąca prawie identycznych kawałków. Biła wtedy z niego podobnego rodzaju radość.

– Okej – odparłam. – Za chwilę przyjdę.

Zostałam jeszcze chwilę w towarzystwie posągu. Patrzyłam na bezgłowego Jezusa, zastanawiając się, czy ktoś na świecie jest w posiadaniu jego głowy. Ciekawiło mnie, czy Jezus i Maryja mieliby w ogóle ochotę być obiektem sztuki. Założę się, że nie. Z dziełem sztuki jest jak z chorym. Człowiek nagle staje się przedmiotem dyskusji, badań, spekulacji. Nie miałam ochoty, żeby ludzie gapili się na mnie, próbując zrozumieć, o czym myślę. „Spójrzcie na tę potężniejszą dziewczynkę, tę z warkoczami. To oczywiste, że jest zakochana w artyście. Jakie to smutne. Jakie żałosne”. Nie było mi to do niczego potrzebne.

Tym razem Toby czekał na mnie przed szkołą. Siedział na masce tego samego niebieskiego samochodziku, do którego wsiadł podczas pogrzebu, i nagle zdałam sobie sprawę, że już wcześniej widywałam to auto zaparkowane przed budynkiem Finna. Zawsze myślałam, że należy do Finna, bo czasami schodził na dół, żeby wyjąć z bagażnika płótna malarskie, a raz zielony płaszcz przeciwdeszczowy.

Gdy tylko Toby mnie dostrzegł, stanął obok samochodu i zaczął wymachiwać swoimi długimi rękoma jak obłąkany. Niczym rozbitek na bezludnej wyspie. Po plecach przebiegł mi dreszcz, bo chociaż wiedziałam, że nie powinnam, byłam w jakiś sposób podekscytowana faktem, że Toby mnie odnalazł.

Dzień był słoneczny i rześki. Dopiero co zabrzmiał dzwonek i przez drzwi wylewały się tłumy dzieciaków. Przyszło mi do głowy, żeby zawrócić, ale musiałam najpierw sprawić, żeby Toby przestał dawać mi znaki. Nie chciałam nawet myśleć, co by się stało, gdyby Greta zobaczyła, że do mnie macha, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. Szybko rzuciłam okiem na ubrania, które miałam na sobie: botki od Finna (dobrze), długą, czarną sztruksową spódnicę (kiepsko) oraz kasztanowy sweter, o którym mama mówiła, że jest na mnie ze trzy razy za duży (dobrze). Raz jeszcze się rozejrzałam, po czym podbiegłam do samochodu z pochyloną głową, starając się wyglądać nonszalancko.

Gdy dotarłam do auta, Toby ujął moje dłonie, jakbyśmy byli kuzynami, którzy odnaleźli się po wielu latach poszukiwań.

– June, fantastycznie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak ciężko może być cię znaleźć – powiedział. – No, śmiało, wsiadaj.

Przez kilka sekund stałam obok samochodu, mierząc go wzrokiem. Moja głowa radziła, żeby nie wsiadać do samochodu z prawie obcym facetem, ale serce myślało: „A co, jeśli gdzieś w środku znajduje się upuszczony ołówek, zagubione pudełko landrynek Good & Plenty, kilka płowej barwy włosów albo odcisk ciała Finna na fotelu? Co, jeśli pozostał tam choć jeden atom powietrza, którym oddychał Finn?”.

W dalszym ciągu przyglądałam się autu, podczas gdy Toby wsiadł już do środka. Sięgnął ręką ponad fotelem pasażera, otworzył zamek i popchnął dla mnie drzwi. Obejrzałam się przez ramię. Dzieciaki zmierzały w naszą stronę, ale nie widziałam wśród nich nikogo, kto mógłby interesować się tym, co robię. Rzuciłam więc plecak na podłogę samochodu i wsiadłam do środka.

Auto wypełniał zapach dymu papierosowego i owoców. Syntetycznych truskawek. Namierzyłam źródło ich woni w żutym przez Toby'ego ogromnym kawałku gumy balonowej. Miał na sobie kusą tweedową marynarkę, a pod nią zielony T-shirt pokryty nadrukami kaktusów saguaro. Od razu poznałam, że koszulka wyszła spod rąk Finna, i musiałam gapić się na nią zbyt długo, bo Toby szczelniej owinął się marynarką.

Uśmiechnął się do mnie filuternie i pokiwał głową.

– Wiedziałem, że nie zadzwonisz.

– No cóż...

– Nie, nie, nie ma sprawy. Rozumiem. Jestem dla ciebie tylko obcą osobą. To moja wina.

Nieznacznie zmrużyłam oczy.

– Ja dla ciebie też jestem tylko obcą osobą, prawda? Tak że tego.

– Oczywiście, że jesteś – zgodził się.

Przez kilka sekund wpatrywał się we mnie, jakby rozważał powiedzenie mi czegoś więcej. Potem uśmiechnął się i machnął ręką.

– Masz rację. Dobrze to ujęłaś: „Tak że tego”.

Toby sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej mięsisty kawałek gumy do żucia, którą mnie następnie poczęstował.

– Dzięki – odparłam.

Wyjrzał przez okno.

– To chyba nie był dobry pomysł, żebym tu przyjechał.

Wzruszyłam ramionami.

– Jesteś dorosły. Możesz jeździć, gdzie ci się podoba.

Natychmiast pożałowałam tej dziecinnej odzywki. Czekałam, aż

Toby mi ją wytknie, ale on tylko się uśmiechnął. Następnie obrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

– W takim razie co z tobą?

– Co ze mną?

– No, czy tobie wolno jeździć, gdzie tylko masz ochotę?

Opuściłam oczy na plecak. Serce łomotało mi w piersi. Cała ta sytuacja daleko wykraczała poza normalność mojego codziennego życia. Siedziałam w starym samochodzie Finna z jego chłopakiem, którego wszyscy w mojej rodzinie zdawali się nienawidzić. Robiłam coś bardzo niewłaściwego. Ale gdy podniosłam wzrok, ujrzałam ciepły uśmiech Toby'ego, jego brązowe oczy oraz wyraz twarzy, który obiecywał, że jeśli powiem „tak”, nie stanie się nic złego. Ale jakim cudem było to możliwe? Rozejrzałam się po wnętrzu samochodu i z początku nie byłam w stanie dostrzec żadnych śladów obecności Finna. Przeniosłam wzrok z deski rozdzielczej na kierownicę, a potem na podłogę. Wtedy moją uwagę przykuła dźwignia zmiany biegów i poczułam, jak rozpiera mnie radość. Na czubku drążka przyklejona była maleńka błękitna rączka. Dłoń smerfa. Wyciągnęłam rękę i przytknęłam do niej palec. Była to świeża pamiątka po Finnie, której nigdy wcześniej nie widziałam. Zerknęłam na Toby'ego i pomyślałam, że to dopiero początek. Muszą istnieć jeszcze setki – a może i tysiące – tego typu drobiazgów, a Toby był moją przepustką do nich. Dlatego zdobyłam się na prawie niedostrzegalne skiniecie głową.

– Pewnie, że tak – powiedziałam. – Dlaczego miałabym nie móc jeździć, gdzie mi się podoba?

Uśmiech Toby'ego momentalnie stał się jeszcze bardziej promienny, a on sam zastukał dłońmi o kierownicę, jakby były to najlepsze wieści, jakie słyszał od lat. Uszczęśliwienie go okazało się bardzo przyjemne. Niewiele osób byłoby równie podekscytowanych kiwnięciem przeze mnie głową.

Dostrzegłam przez okno, że w naszym kierunku idzie Diane Berger, z którą chodziłam na matematykę. Osunęłam się nisko na fotelu.

– Słuchaj, czy możemy pojechać gdzie indziej? – spytałam.

– A, tak. Pewnie.

Toby włączył silnik. Opony zapiszczały, gdy odjeżdżał od krawężnika, a ja zsunęłam się jeszcze niżej na fotelu. Zaśmiał się.

– Ojej.

Przejechaliśmy przez sam środek miasteczka, minęliśmy kościół luterński i 7-Eleven, a potem wyjechaliśmy na Youngstown Road. Toby skręcił w Taconic Parkway i skierował się na południe.

– Tak sobie myślałem... Co powiesz na Playland?

– Playland? Tam, gdzie są kolejki górskie? – spytałam.

– Tak. Ale nie chodzi mi o jazdę kolejką. Mają tam coś jeszcze.

– Co takiego?

– Zobaczysz.

Taconic Parkway to wąska autostrada, a Toby okazał się niezbyt dobrym kierowcą. Przez całą drogę pędził tak blisko barierki, że momentami zmuszona byłam zamykać oczy. Mocno trzymałam się siedzenia. Nie miałam przy sobie zegarka ani pieniędzy, tylko plecak, a w nim podręcznik do geometrii i krótkie wypracowanie na temat powieści *Zabić drozda*, za które dostałam czwórkę z plusem.

W głowie zaczęła mi się układać długa lista pytań do Toby'ego, ale gdy spojrzałam na niego gotowa je zadać, zdałam sobie sprawę, jak głupio by zabrzmiały. Już dawno temu powinnam była poznać odpowiedzi na nie. Gdybym się w ogóle liczyła, ktoś by mi je już zdradził. Wtedy przypomniałam sobie artykuł, który wysłałam Toby'emu, i gdy siedziałam z nim teraz w jego ciasnym samochodziku, poczułam wstyd, że mogłam coś takiego zrobić.

– Przepraszam za artykuł. To było podłe.

Długie palce Toby'ego zacisnęły się na kierownicy.

– To wcale tak nie wyglądało – powiedział. – Chcę, żebyś o tym wiedziała.

„A jak?“, miałam ochotę spytać. Poprosić o szczegóły. Ale tak naprawdę nie chciałam chyba poznać odpowiedzi na to pytanie. Zmieniłam więc temat.

– To był samochód Finna?

Wydawało mi się, że to raczej proste pytanie, ale Toby nie odpowiedział na nie od razu.

– No cóż, Finn faktycznie go kupił – odrzekł po chwili. – Ale z auta korzystałem głównie ja. Finn nie potrafił prowadzić. Wiedziałaś o tym?

Starłam się zignorować to „Wiedziałaś o tym?“, mimo że było niczym ukłucie małą ostrą igiełką.

– Czyli to ty byłeś kierowcą, gdy wybieraliście się gdzieś razem? – spytałam.

Toby skinął głową.

– Tak. No dobrze, formalnie rzecz biorąc, może i nie mam amerykańskiego prawa jazdy, ale jeździć potrafię. Tak że nie musisz się o nic martwić.

– Nie martwię się, tylko pytam.

Przesunęłam dłoń po fotelu pod swoimi nogami. Finn siadał dokładnie w tym miejscu. Jego palce mogły mocno wpijać się w siedzenie dokładnie w punkcie, który dotykałam. Miałam ochotę otworzyć schowek na rękawiczki i zajrzeć do środka, ale nie

wydawało się to stosowne, więc opuściłam tylko szybę w oknie. Niebo było bardzo jasne, a ja mknęłam po autostradzie w towarzystwie Toby'ego i nikt nie miał pojęcia, gdzie się znajduję. Miałam ochotę dotknąć wiatru.

– Jesteś Anglikiem, tak?

Widziałam, że Toby coś mówi, ale huk wiatru zagłuszał jego słowa, więc zamknęłam okno.

– Co?

– W połowie.

– A jaka jest druga połowa?

– Moja mama była Hiszpanką.

– To ma sens – stwierdziłam.

– Tak?

– Twoje oczy. Są bardzo ciemne.

– Oczy mieszańca.

– Wcale nie – powiedziałam.

Przez kilka sekund wyglądałam przez okno, a potem nie odwracając się, dodałam:

– Mnie się podobają.

Nie miałam pojęcia, po co to powiedziałam. Zazwyczaj nie mówiłam takich rzeczy. Naciągnęłam sweter na kolana. Kątem oka zerknęłam na Toby'ego i przyłapałam go na uśmiechu, mimo że bardzo starał się go ukryć.

Zjechaliśmy na drogę numer 287, która była szeroka i o wiele mniej przerażająca niż Taconic Parkway. Rozluźniłam uścisk palców na krawędzi fotela. Toby przyspieszył i bez włączenia kierunkowskazu zjechał na lewy pas, żeby wyprzedzić wielką ciężarówkę należącą do jakiegoś supermarketu.

– Hej, przywiozłem ci coś. Zerknij na tylne siedzenie.

Obróciłam się. Na fotelu leżała czarna papierowa teczka na dokumenty.

– To?

– Tak – powiedział, odrywając wzrok od jezdni.

– Co w niej jest?

– Sama zobacz.

Powoli otwierałam teczkę, ostrożnie uchylając okładkę, i szykując się na to, co mogło znajdować się w środku. Od razu rozpoznałam szkice Finna. Spojrzałam na Toby'ego. Uśmiechnął się i wskazał ruchem głowy na teczkę.

– Śmiało – powiedział.

Pierwsza strona wypełniona była małymi rysunkami kolan wykonanymi ołówkiem. Kolan z częścią nogi poniżej i powyżej, z których każde zgięte było pod odrobinę innym kątem. Wszystkie szkice składały się z zaledwie kilku kresek, ale i tak były o wiele lepsze niż to, co ja kiedykolwiek byłabym w stanie narysować. Następną kartkę wypełniały łokcie. Niektóre proste, niektóre zgięte. Potem usta. Moje usta. Zdałam sobie z tego sprawę po kilku sekundach. Wróciłam do kolan i łokci i za drugim razem stało się jasne, że one także należały do mnie. Do mnie i Grety. Zaczęłam szybciej przerzucać strony. Rąbek spódnicy Grety, wąska krawędź mojego wystającego zza włosów ucha, jedno z ciemnych oczu Grety, a nad nim łuk jej brwi. To byłyśmy my. Każda z kartek zawierała szczegóły namalowanego przez Finna portretu. Zostałyśmy

z Gretą pocięte na kawałki i upchnięte do teczki.

Kontynuowałam przerzucanie sterty rysunków. Doszłam do szkicu, na którym pustka pomiędzy ramieniem moim i Greta – kształt dzielącej nas przestrzeni – została zamalowana na czarno. Przestrzeń negatywna. Tak określał ją Finn. Często tłumaczył mi zasady jej działania. Rozumiałam to, co mówił, ale dostrzeganie jej nie przychodziło mi naturalnie. Musiał mi przypominać o konieczności szukania rzeczy, których na pierwszy rzut oka nie widać. Na tym konkretnym szkicu zamalowana przez Finna przestrzeń negatywna układała się w kształt psiej głowy. Albo nie – chodziło o łeb wilka, odchylony do tyłu, z otwartym pyskiem, z którego wydobywa się wycie. Nie było to wcale takie oczywiste. Przestrzeń negatywna przypominała pod tym względem gwiazdozbiory. Ktoś musiał ci na nią zwrócić uwagę. A sposób, w jaki wykorzystał ją Finn, był wyjątkowo sprytny. Tworzył ją kątem między rękawem Greta a moim zgiętym łokciem. Czysta perfekcja. Wpatrywanie się w nią było niemalże źródłem bólu, tak sprytnie została stworzona. Tylko Finn mógł wpaść na coś takiego. Przyłożyłam palec do surowych kresek ołówka, żałując, że nie mam jak okazać Finnowi uznania dla jego osiągnięcia. Pokazać, że wiem o istnieniu ukrytego pomiędzy Gretą a mną zwierzęcia.

Spojrzałam na Toby'ego, który włożył wcześniej do odtwarzacza kasetę Johnny'ego Casha i obecnie śpiewał na dwa głosy piosenkę *Jackson*. Przez chwilę miałam ochotę pokazać mu wilka, ale szybko ugryzłam się w język. Finn prawdopodobnie już to zrobił. Po raz kolejny wyskoczyłabym z czymś, o czym wszyscy i tak już wiedzieli.

Przez resztę drogi rzadko się odzywaliśmy. Samochód przemykał obok zjazdów z autostrady prowadzących do White Plains i Harrison, i mimo że setki razy miałam okazję mijać te miejsca, tego popołudnia sprawiały one dziwne, obce wrażenie. Jeszcze niedawno wychodziłam ze szkoły z zamiarem udania się do domu autobusem, a teraz stałam na parkingu parku rozrywki Playland w towarzystwie żującego gumę o smaku truskawkowym faceta w tweedowej marynarce.

Stało tu tylko kilka samochodów i udało nam się zaparkować tuż przy wejściu. Marynarka Toby'ego była wygnieciona od jazdy i wyglądał ją teraz obiema rękami. Obserwując go na otwartej przestrzeni, doszłam do wniosku, że wyglądał mniej więcej tak samo jak ostatnio, może tylko z wyjątkiem oczu. Wydawały się teraz odrobinę większe.

Toby zapłacił za nas oboje, co było mi na rękę, bo nie miałam przy sobie żadnych pieniędzy. Obok budki z biletami znajdowała się duża, hałaśliwa fontanna. Toby popatrzył na nią, a potem podszedł do mnie i nachylił się, mówiąc:

– To, co chcę ci pokazać, jest na samym końcu. Obiecujesz, że będzie ci się podobało?

– Nie mogę tego obiecać.

Uśmiechnął się.

– Jasne, że nie. Dobra odpowiedź.

Ruszyliśmy główną aleją o nazwie Knickerbocker Avenue. Mijaliśmy wszystkie kolejki, którymi kiedyś jeździliśmy z Gretą: huśtawki, starego, rozklekotanego Smoka, Mieszacza Umysłu, Pajaka. Greta zawsze wybierała te najstraszniejsze i najszybsze, a ja zmuszona byłam jej towarzyszyć, mimo że dostawałam mdłości jak nie wiem co.

Szliśmy dalej i chociaż tego dnia w Playlandzie nie było prawie nikogo, wszędzie

i tak unosiła się woń popcornu i waty cukrowej. Jakby ktoś przyrządzał je tylko po to, żeby uzyskać zapach, który skłoni ludzi do dobrej zabawy. Minęliśmy rząd automatów do skeeballu oraz strzelnicę, gdzie z beczek wyskakiwały przerażające kukielki wieśniaków. Toby wskazał na węższą alejkę po prawej.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. – Finn mówił, że lubisz historię, przeszłość i tym podobne, więc...

Znowu doszłam do niepokojącego wniosku, że Toby znał mnóstwo różnych faktów na mój temat, a ja nie wiedziałam o nim prawie nic. To nie było sprawiedliwe. W ogóle. Za każdym razem, gdy wyobrażałam sobie, jak Toby rozmawiał z Finnem za moimi plecami, czułam, że w piersi wzbiera mi gorąca fala złości.

Toby zatrzymał się przed budką, nad którą wznosił się namalowany farbą napis „Obrazy przeszłości”. Na chodniku przed nią rozłożone były tablice ze zdjęciami w kolorze sepia, przedstawiającymi ludzi w staromodnych ubraniach. Wśród nich znajdowały się fotografie całych rodzin albo samych dzieci, a czasami trafiały się takie, na których widać było pojedynczego mężczyznę lub pojedynczą kobietę.

Niektóre osoby ubrane były w stroje rodem z Dzikiego Zachodu. Na jednym ze zdjęć siedział jakiś naburmuszony facet w mundurze z wojny secesyjnej ze strzelbą i flagą konfederatów na kolanach. Na innym kobieta stała za swoją córką, a obie zostały wciśnięte w dopasowane wiktoriańskie suknie. Niektóre z tych fotografii były naprawdę przekonujące, bo nie dało się poznać, że widoczni na nich ludzie wcale nie pochodzili z przeszłości. W wypadku innych było to oczywiste. Nie chodziło o fryzury ani nic w tym rodzaju – czasami wystarczył niewielki uśmiezek, który wszystko zdradzał.

– I co ty na to? – Głos Toby’ego zabrzmiał nerwowo. Jakby nagle zdał sobie sprawę, że przywiezienie mnie tutaj było dziwne.

W przeszłości widziałam wiele takich miejsc, ale nikt z mojej rodziny nie był zainteresowany zajrzeniem do środka.

– Nie wychodzę dobrze na zdjęciach – powiedziałam.

– Właśnie, że wychodzisz. Widziałem przecież portret.

– To co innego – oznajmiłam.

I miałam rację. Portret to obrazek, którego autor decyduje, jak będziesz wyglądać. Jak chce cię widzieć. Aparat utrwała taką wersję ciebie, jaka widoczna jest w momencie pstryknięcia migawki.

– Wcale nie – powiedział.

Przeszedł na drugą stronę tablicy ze zdjęciami, żebym go nie widziała.

– Jeśli chcesz, możemy tam wejść razem – zaproponował.

Pokręciłam głową. Ale potem przemyślałam sprawę. Z pewnością sytuacja byłaby mniej żenująca, gdybym nie siedziała tam sama jak jakaś dziwaczka. Nie miałam pojęcia, która może być godzina ani czy ktoś w domu zauważył moją nieobecność, ale nagle poczułam wielką ochotę, żeby zrealizować pomysł Toby’ego.

– No dobrze. Niech będzie. Skoro chcesz.

– Słucham?

– Dobrze. Pójdziemy razem.

Głowa Toby’ego wyłoniła się ponad górną krawędzią tablicy.

– Super – powiedział, szczerząc zęby.

Na stołku za budką siedziała kobieta po pięćdziesiątce z powiekami pokrytymi cieniem w trzech różnych odcieniach błękitu. Czytała magazyn „People”, na którego okładce widniało zdjęcie Paula Hogana z filmu *Krokodyl Dundee*. Gdy usłyszała głos Toby’ego, zagięła czytaną stronę i odłożyła pismo.

– Dwa, prosimy – powiedział Toby.

– Dwa?

– Tak, jest nas dwoje i chcemy sobie zrobić zdjęcia.

Toby posłał jej ten sam uśmiech, którym poprzednio obdarzył mnie. Uśmiech dziecka. Tak bym go określiła. Kobieta spojrzała najpierw na niego, a potem na mnie. Następnie posłała Toby’emu surowe spojrzenie, jakby go oceniała, starając się podjąć jakąś decyzję. Sięgnęła do szuflady i wyjęła z niej cennik.

– No dobrze, proponuję zatem, żebyście państwo przyjrzeni się naszym kostiumom. Proszę je poprzymierzać, a potem dać mi znać, które wybieracie. Okej? Mamy mnóstwo opcji dla pań i panów.

Oboje skinęliśmy głowami. Kobieta otworzyła zamknięte na skobel drzwi wahadłowe prowadzące na zaplecze budki.

– Widziałas? – szepnęła Toby.

– Co?

– Tej pani wydaje się chyba, że jesteśmy parą.

– Fuj – skomentowałam.

Nie jestem pewna, ile czasu spędziliśmy, przebierając w kostiumach. Przymierzyłam suknie wiktoriańską i średniowieczną. Wyglądały w porządku, ale w końcu i tak wybrałam rubinowo-złotą suknię elżbietańską. Miała głęboki dekolt, ale ponieważ nie mam biustu, nie byłam zbyt speszona. Toby zdecydował się na błękitny mundur żołnierza z czasów wojny o niepodległość. Wcale się nie przejął, gdy poinformowałam go, że to jedna z barw narodowych Ameryki. Stwierdził, że zdjęcie i tak będzie czarno-białe, więc nikt się nie zorientuje. Według mnie w tym mundurze naprawdę wyglądał jak żołnierz. Ktoś, kto napatrzył się na różne okropieństwa. Stał pod ścianą z atrapą strzelby na ramieniu.

Czekaliśmy, aż kobieta przygotuje sprzęt. Ustawiła trójnog, a potem przyjrzała nam się uważnie.

– Chyba państwo nie zrozumieli – powiedziała.

– Słucham?

– Trzeba się trzymać jednej epoki. Nie wolno łączyć różnych okresów. Rozumie pan?

– To nic – powiedział Toby. Ton jego głosu był spokojny i przekonujący. – Wiemy, co robimy.

– Proszę pana, najwyraźniej pan nie rozumie – powtórzyła kobieta, skrzyżowawszy ręce na piersi. – To niedozwolone. Nie pozwalamy na mieszanie okresów historycznych i tyle. Jak już mówiłam, mamy mnóstwo kostiumów do wyboru.

Spojrzałam na swoje stopy. Elżbietańskie buciki były lekko przyciasne, więc pięty nie wsunęłam do środka. Toby położył mi dłoń na ramieniu, dzięki czemu poczułam, że jesteśmy po tej samej stronie. Nie byłam pewna, czy mam na to ochotę, ale w tej

konkretnej sytuacji z głupio zachowującą się kobietą nie miałam nic przeciwko.

– Przepraszam, ale skoro to my płacimy za zdjęcie, to co za różnica, jakie kostiumy wybierzemy? – spytał Toby.

– Nie chcę pana zanudzać szczegółami technicznymi, ale chociażby ze względu na tło...

– Jest nam wszystko jedno, czy tło będzie pasować. Proszę dobrać do nas coś pośredniego. Naprawdę, tło nie robi nam różnicy.

Łagodny ton głosu Toby'ego zniknął. Widziałam jednak, że kobieta nie zamierza ustąpić.

– Proszę pana, niech pan spojrzy na dowolne zdjęcie przed budką, a potem powie mi, czy na którymkolwiek z nich mieszają się okresy historyczne. Dobrze? Po akcencie poznaję, że przyjechał pan z daleka, i nie wiem, jak robi się te rzeczy w pana stronach...

Toby nie wiedział, co odpowiedzieć. Zapadła cisza. Każde z nas czekało, aż ktoś inny coś zrobi.

– Pójdę się przebrać – powiedziałam głosem tak cichym, że graniczącym z szeptem.

– Co takiego, kochanie? – spytała kobieta.

– Powiedziałam, że się przebiorę. Włożę coś z czasów kolonialnych.

– Nie, June. Mieliśmy to zrobić dla ciebie. Znajdziemy jakieś inne miejsce. Musi istnieć miejsce, w którym nikt nie będzie nam mówić, co mamy robić.

Ale nie było innych miejsc tego typu. Spojrzałam na Toby'ego i ogarnęła mnie panika na myśl, że może już nigdy nie spotkam osoby, która zgodziłaby się zrobić ze mną coś równie głupiego. Nigdy. I co wtedy? Co wtedy pocznę?

– Nie – powiedziałam. – Chcę to zrobić.

Wymieniliśmy spojrzenia, a potem Toby skinął głową.

– Dlaczego wszystko zawsze musi być takie trudne? – spytał. – Przebiorę się. Daj mi minutę.

Kiwnęłam głową i Toby wyszedł. Elżbietański kostium niezbyt dobrze na nim leżał. Był zbyt krótki, a rajtuzy podkreślały przesadną chudość jego nóg. Taka była moja pierwsza myśl, ale potem przyjrzałam im się raz jeszcze. W końcu nie miałam okazji oglądać wielu mężczyzn w rajtuzach. Zwłaszcza tak kościstych facetów jak Toby. Może tak właśnie wyglądały męskie nogi. Może to, co o nim opowiadano, nie było prawdą. Może był po prostu przyjacielem Finna. Nie specjalnym, tylko zwyczajnym – takim jak ja.

Kobieta przeprosiła za kłopot, a potem poradziła nam eksperymentować z różnymi pozami, gdy będzie nas fotografować. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak wyjdziemy na większości zdjęć. Na jednym z nich Toby objął mnie swoim kościstym ramieniem i szepnął mi do ucha:

– Nie bój się, June.

Od czasu do czasu Toby zerkał na mnie kątem oka, jakby znał mnie od lat. Było to jednocześnie dziwaczne i sympatyczne i nagle cała sytuacja wydała mi się tak bardzo nedorzeczną, że z trudem powstrzymałam się od śmiechu.

– Koniec sesji – oznajmiła kobieta.

Poinformowała nas, że dostarczy nam zdjęcia najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Nie możemy ich otrzymać od razu? – spytał Toby.

– Oczywiście, że nie. Trzeba je przecież wywołać.

Toby wyglądał jak chłopiec, któremu nie pozwolono wyjść ze sklepu obuwniczego w nowych butach.

– No dobrze, ale potrzebne nam będą dwie odbitki.

Kobieta zapisała coś na bloczku do notowania.

– Nie ma problemu – powiedziała. – A przy okazji – zagaiła – skąd pan właściwie jest?

Toby z początku się nie odezwał. Popatrzył na mnie, a potem zmrużył powieki i spojrzał kobiecie prosto w oczy.

– Z pewnego bardzo egzotycznego miejsca – oznajmił tajemniczym głosem. – Oboje pochodzimy z bardzo daleka.

Uzgodniliśmy, że w drodze do domu każde z nas opowie jedną historię związaną z Finnem. Toby opisał mi, jak Finn namówił go na wycieczkę na plażę w Cape Cod, dokąd jeździł w dzieciństwie na wakacje z moją mamą. Toby był kiepskim gawędziarzem. Głędził bez końca, cofał się, żeby uzupełnić brakujące informacje, zaciął się w połowie zdania albo robił długie pauzy, w trakcie których próbował sobie przypomnieć, co się właściwie wydarzyło. Nie był to jednak wielki problem, bo przecież opowiadał o szczegółach związanych z Finnem, o których nigdy wcześniej nie słyszałam. Opowieść nie miała żadnej pointy i kończyła się sceną, w której Finn i Toby trzęsą się z zimna, bo Finnowi udało się namówić Toby'ego na spędzenie nocy na plaży. Pod koniec zrobiło mi się trochę żal, że usłyszałam to wszystko, bo też miałam ochotę tam wtedy być.

Historia Toby'ego wypełniła sporą część drogi do domu, w związku z czym zabrakło już czasu na moją opowieść, z czego się cieszyłam. Zdobyłam świeżutką historię związaną z Finnem i nie musiałam oddawać niczego w zamian.

Nie wiedziałam, która jest godzina, ale poprosiłam Toby'ego, żeby wysadził mnie pod biblioteką. Stamtąd mogłam pójść do domu pieszo. Przez kilka sekund siedzieliśmy w milczeniu. W samochodzie nie było żadnych zegarów ani zegarków i przyszło mi do głowy, że może w końcu znalazłam swój bąbel do podróży w czasie. Mały niebieski bąbel, w którym czas nie istniał, a Finn mógł kryć się w schowku na rękawiczki. Bałam się, że otwarcie drzwi wszystko zepsuje.

– Chcesz jeszcze kawałek? – spytał Toby, podając mi bryłkę truskawkowej gumy do żucia, a ja ją przyjąłem.

– Prawdopodobnie jest już bardzo późno. Pewnie będę miała spore kłopoty.

– No to proszę.

Toby opuścił szybę w oknie, po czym sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej monetę. Ujął ją palcem wskazującym i kciukiem, a następnie zamknął w pięści i cisnął na parking.

– Na szczęście – powiedział. – Idź zobaczyć, czy wypadł rewers.

Nie chciałam mu mówić, że to nie działa w ten sposób. Że grosik na szczęście musi być znaleziony przypadkiem. Włożyłam teczkę ze szkicami do plecaka, a potem otworzyłam drzwi.

– No to cześć, i dzięki, w sumie było fajnie.

– Przyjedź mnie odwiedzić, dobrze? U Finna. I gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek...

– Ostatnim razem też to mówiłeś.

– Bo to szczerą prawdą.

Zamknęłam drzwi i ruszyłam w kierunku miejsca, gdzie upadła moneta. Dobrze wiedziałam, że w ten sposób nie da się zagwarantować szczęścia, ale i tak miałam nadzieję, że wypadła reszka. Zaczęłam biec, ale już z odległości kilku kroków dostrzegłam, że moneta upadła awersem do góry. Schyliłam się i podniosłam ją mimo wszystko. Obróciłam się do Toby'ego i z uśmiechem uniosłam kciuk. Nie musiał znać prawdy.

Gdy dotarłam do domu, była w nim tylko Greta. Sezon podatkowy zaczynał wchodzić w zaawansowaną fazę. Rodzice określali ten czas jako „punkt krytyczny”, co znaczyło, że w większość wieczorów wracali najwcześniej o ósmej. Greta leżała na kanapie i oglądała nagrany na wideo odcinek serialu *Fame*. Leroy stał z dłońmi opartymi na biodrach i pyskował nauczycielowi baletu, jak to miał w zwyczaju.

Od imprezy upłynął już prawie tydzień i żadna z nas nie wspomniała ani słowem o tym, co wydarzyło się w lesie. Nie przestawałam zachodzić w głowę, jakim cudem Greta znalazła moje miejsce, ale nie mogłam jej o to spytać. Musiałabym najpierw zdradzić, co robię w lesie. Czasami obserwowałam ją, gdy czekałyśmy na autobus albo jadłyśmy obiad, starając się wywnioskować, czy pamięta cokolwiek z tego, co wtedy mówiła – nic na to jednak nie wskazywało. Gdy usłyszała, jak wchodzę do domu, uśmiechnęła się.

- Wielkie. Tarapaty.
- Co?
- Gdzie łąziłaś?
- A co cię to obchodzi?

W jakiś sposób przebywanie z Tobym i oddalenie się od domu bez niczyjej wiedzy wypełniło mnie siłą. Górowałam nad leżącą Gretą, która nagle zaczęła sprawiać wrażenie małej i smutnej. Jednak, gdy tylko wyłączyła telewizor i usiadła prosto, odzyskała kontrolę nad sytuacją.

- No i?
- Byłam w bibliotece. Z Beans. Czy to zaspokaja twoją ciekawość?

Greta uśmiechnęła się szeroko, wpatrując się we mnie, jakby czekała, aż coś do mnie dotrze.

- No co? – spytałam.
- Czyżby biblioteka organizowała Dzień Sobowtóra Nieletnich Prostytutek?
- Co ty wygadujesz?

Włączyła telewizor i odwróciła się do mnie plecami. Potem dodała:

- Niezła tapeta.

Miałam wrażenie, że serce przeciska mi się przez żołądek. Wciąż miałam na sobie tonę makijażu z sesji fotograficznej. Żadne z nas nie chciało go użyć, ale kobieta w Playlandzie nalegała. Tobby starł go z twarzy, gdy już było po wszystkim, ale ja tego nie zrobiłam. Nie dlatego, że podobałam się w nim sobie. Chodziło raczej o przyjemność płynącą z wyglądu inaczej niż zazwyczaj. I może troszkę ładniej.

Okazało się, że rodzice poszli na kolację z klientem, więc nalałam sobie miskę rosółu z ryżem z wolnowaru i usiadłam przy stole. Niełatwo było stłumić w sobie chęć wparowania do salonu i opowiedzenia Grecie o Tobym – byłam pewna, że szczeka opadłaby jej na podłogę. Strasznie chciałam powiedzieć jej, jak o mnie rozpytywał, jak przyjechał mnie odnaleźć. Miałam ochotę otworzyć teczkę i cisnąć jej szkice Finna prosto w twarz, mówiąc: „Widzisz? Ja też wiem o rzeczach, o których ty nie masz

pojęcia”. Ale oczywiście nie mogłam tego zrobić.

Zupa była gorąca i słona, a ja jadłam ją najszybciej, jak się dało. Następnie poszłam prosto do swojego pokoju i włączyłam wszystkie świece – zestaw sześciu migoczących świeczek elektrycznych kupionych na poświętecznej wyprzedaży w Woolworths w zeszłym roku. Płomyki były stanowczo zbyt pomarańczowe, ale nie miałam niczego lepszego. W moim pokoju znajdują się dwa okna i w każdym z nich ustawiłam po jednej świeczce. Resztę zgromadziłam na biurku. Gdy będę miała swój własny dom, wszędzie będą stały prawdziwe świece. Na kominkach umieszczę kandelabry, a z sufitu zwisać będą ogromne żyrandole na świece. Nawet jeśli przyjdzie mi mieszkać w jakimś ciasnym mieszkanku, to urządzę je tak, żeby wyglądało jak z innej epoki. Każdemu, kto mnie odwiedzi, szczęka opadnie z wrażenia.

Kiedyś wyjawiałam swój pomysł Finnowi. Znajdowaliśmy się na wystawie szesnastowiecznej ceramiki tureckiej w nowojorskim muzeum sztuki. Staliśmy akurat przed lichtarzami pomalowanymi w złożone niebiesko-białe wzory, a ja opowiadałam mu, jak pewnego dnia będzie wyglądać mój dom. Finn obrócił się do mnie z uśmiechem, a jego oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne niż kiedykolwiek wcześniej, po czym stwierdził:

– Niezła z ciebie romantyczka, June.

Stałam tuż obok Finna, żeby nie uronić ani słowa z tego, co mówił na temat eksponatów. Jego słowa sprawiły, że błyskawicznie się odsunęłam i oblałam rumieńcem tak intensywnym, że prawie nie mogłam oddychać. Miałam wrażenie, że cała krew napłynęła mi do twarzy, pozostawiając skórę wokół serca całkowicie przezroczystą.

– Wcale nie – odparłam szybko.

Odwrociłam twarz, bo bałam się, że Finn zauważy, jak bardzo jestem zawstydzona. Przeraziła mnie wizja, że mógłby odczytać z niej każdą dziwną myśl, jaka kiedykolwiek przyszła mi do głowy.

Gdy w końcu ponownie na niego spojrzałam, zauważyłam, że patrzy na mnie w dziwny sposób. Przez krótką chwilę na jego twarzy malował się niepokój. Potem się uśmiechnął, jakby chciał to zakamuflować.

– Chodziło mi o marzycielkę, ty mała pąkło, a nie jakieś ckliwe miłosne historie.

Pochylił się ku mnie, jakby miał zamiar trącić mnie ramieniem, ale zaraz się odsunął.

– Na czym polega różnica? – spytałam ostrożnie.

– Bycie romantykiem oznacza, że zawsze potrafisz dostrzec piękno. Dobro. Nie dopuszczasz do siebie szarej rzeczywistości. Wierzysz, że wszystko skończy się dobrze.

Wypuściłam powietrze z płuc. To nie było nic złego. Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

– A ty? – odważyłam się spytać Finna. – Też jesteś romantykiem?

Finn przez chwilę się zastanawiał. Spojrzał mi prosto w oczy, mrużąc powieki, jakby starał się odgadnąć moją przyszłość. Takie odniosłam wrażenie. Potem powiedział:

– Czasami tak, a czasami nie.

Wyciągnęłam teczkę ze szkicami i otworzyłam ją na rysunku z łbem wilka. Półmrok panujący w pokoju zdawał się jeszcze bardziej wydobywać jego kształt. A może działało

się tak dlatego, że już wcześniej go widziałam i moje oczy wiedziały, gdzie szukać przestrzeni negatywnej. Przesunęłam opuszką palca po jej krawędzi, z każdą sekundą stawałam się coraz bardziej senna.

Tej nocy spałam z teczką pełną szkiców pod poduszką, a świece elektryczne migotały przez całą noc. Śniły mi się wilki w lesie. Śniłam, że wyłażą z przestrzeni dzielącej Gretę i mnie. Widziałam, jak z gracją przechodzą z portretu do rzeczywistości. Jeden po drugim otrząsały malowane futra i stawały się prawdziwe, aż w końcu było ich całe stado. Stado wygłodniałych wilków pędzących przez las po stwardniałym śniegu. Śniło mi się, że też tam byłam i rozumiałam ich język.

– Ty weźmiesz serce, a ja oczy – szepnął jeden z nich.

We śnie nie próbowałam nawet uciekać. Stałam w miejscu, czekając, aż wilki rozerwą mnie na strzępy.

Fabulę *Południowego Pacyfiku* tworzą dwa główne wątki. Jeden kończy się dobrze, a drugi nie. Ten, w którym pojawia się Krwawa Mary, jest smutny. Kobieta swata swoją córkę Liat z porucznikiem Cable'em, który ma do wypełnienia bardzo ważną i tajemniczą misję w rejonie Południowego Pacyfiku. Dziewczyna jest młoda i piękna i młodzi zakochują się w sobie, ale porucznik Cable nie chce jej poślubić z racji jej polinezyjskiego pochodzenia, bo w głębi duszy facet ma w sobie coś z rasisty.

Bohaterką drugiego wątku jest Nellie, irytująco radosna amerykańska pielęgniarka z Arkansas, która zakochuje się w szarmanckim Francuzie w średnim wieku o imieniu Emile, będącym właścicielem plantacji. Emile wydaje się całkiem w porządku i za każdym razem, gdy oglądam ten musical, zachodzę w głowę, po co ktoś taki miałby brać sobie za żonę Nellie, ale rzecz chyba w tym, że taka właśnie jest prawdziwa miłość. Wychodzi na jaw, że Emile jest mordercą, ale dla Nellie nie stanowi to problemu. Trudno jest jej natomiast zaakceptować fakt, że był żonaty z Polinezyjką, która zmarła, i miał teraz dwoje dzieci w połowie polinezyjskiej krwi. Podobnie jak porucznik Cable Nellie to niezła rasistka.

Najbardziej zastanawia mnie, dlaczego porucznik Cable i Nellie nie zostali parą. Przecież byli dla siebie stworzeni. Najwyraźniej chodziło o pokazanie, że przeciwieństwa się przyciągają, ale nie wydaje mi się, żeby w rzeczywistości tak to działało. Myślę, że w prawdziwym życiu ludzie chcą poznać kogoś, kto będzie im najbliższy. Kogoś, kto będzie dobrze rozumiał ich sposób myślenia.

Według Greta Krwawa Mary to jedyna postać w całej sztuce, która ma trochę oleju w głowie. Wie o wszystkim, co dzieje się na wyspach.

– Ale jest wredna – zauważyłam.

Czekałyśmy rano na autobus i było przyjemnie, bo wiosenne błoto na pokrytym trawą skrawku ziemi obok skrzynki na listy zdążyło już obeschnąć. Słońce świeciło mocno i musiałam mrużyć i osłaniać oczy dłonią, żeby móc patrzeć na Gretę.

– Wcale nie – odpowiedziała.

– Trochę. Przecież manipuluje ludźmi.

– Nieprawda. Po prostu jest bystra. To wszystko.

– Niech ci będzie – odparłam, ale byłam pewna, że większość osób i tak uznałaby Krwawą Mary za wredną.

– Zresztą nie o tym chciałam z tobą porozmawiać – kontynuowała Greta. – Chcę usłyszeć, gdzie wczoraj byłaś.

– Już ci mówiłam. W bibliotece i u Beans, a ty nie powinnaś wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

Greta się uśmiechnęła.

– No, dobrze. W takim razie spytam o to Beans.

Raczej by tego nie zrobiła, ale nie mogłam mieć pewności.

– Czemu cię to w ogóle obchodzi? – spytałam.

Naprawdę chciałam zrozumieć, dlaczego ktoś, kto tak bardzo mnie nie znosi,

troszczy się o to, gdzie chodzę po szkole.

Uśmiech zniknął na chwilę z jej warg i Greta odwróciła się do mnie plecami. Zza zakrętu wynurzył się autobus i obie spojrzałyśmy na jego wielkie żółte cielsko wpełzające na naszą ulicę. Greta obróciła się do mnie, zadzierając podbródek.

– Nie obchodzi – oświadczyła.

Przez cały dzień nosiłam kluczyk do skrytki bankowej w przedniej kieszonce spodnicy. Chciałam obejrzeć portret po szkole, żeby zobaczyć, jak wyglądałam przed śmiercią Finna. Poza tym skarbiec przypominał kryptę, która z kolei przypomina loch, więc miałam ochotę się przekonać, jak coś takiego wygląda.

W dniu, w którym mama przekazała nam klucze, złożyłyśmy z Gretą podpisy na specjalnym formularzu, żeby pracownicy banku mogli je potem rozpoznać. Dostęp do skrytki mogłyśmy uzyskać dopiero po okazaniu klucza oraz złożeniu podpisu, który potwierdzi, że my to my. Bałam się, że mój podpis będzie się różnił od wzorca. Nie byłam pewna, kiedy w życiu przychodzi taki moment, że człowiek potrafi już zawsze podpisywać się w taki sam sposób, ale w moim przypadku to jeszcze nie nastąpiło. Do tej pory tylko trzy razy miałam okazję coś podpisać. Raz był to zestaw zasad zachowania się na wycieczce szkolnej do Filadelfii w ósmej klasie, innym razem pakt zawarty z Beans i Frances Wykoski w piątej klasie, który zezwalał nam na spotkanie się z chłopakami dopiero w liceum. (Z naszej trójki tylko ja dotrzymałam tej przysięgi.) No i formularz z banku. Nie pamiętam, jak wyglądał mój podpis w obu pierwszych sytuacjach, ale jestem raczej pewna, że nie przypominał tego, który złożyłam w banku.

Okazało się, że niepotrzebnie się martwiłam, bo osobą opiekującą się skarbcem był tato Dennisa Zimmera, który znał mnie od przedszkola.

– Mała Junie Elbus... – Pan Zimmer obdarzył mnie uśmiechem. Miał jedną z tych twarzy, które przypominają pysk żółwia. Było to związane z kształtem górnej wargi. Nie miałam pewności, czy się ze mnie nie nabija, nazywając mnie małą, bo w rzeczywistości byłam od niego jakieś pięć centymetrów wyższa. Pan Zimmer był starszy od większości rodziców i przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie zachowuje się jak żartowniś, żeby ująć sobie lat. Przytrzymał dla mnie drzwi prowadzące na schody.

– Dziękuję – powiedziałam.

Spodobał mi się przypominający czysty kurz zapach banku i głęboko się nim zaciągnęłam. Pan Zimmer wyprzedził mnie i poprowadził w dół długich schodów. W połowie drogi zatrzymał się i obrócił do mnie z poważnym wyrazem twarzy. Teraz był jeszcze niższy, ponieważ stał dwa schodki pode mną.

– Widziałem ciebie i Gretę w bibliotece – oznajmił.

– Tak?

– W gazecie, w artykule dotyczącym portretu.

– A. Tam.

Pan Zimmer zmarszczył brwi.

– Wasz wujek... miał AIDS?

Spuściłam wzrok i skinęłam głową, nie patrząc na pana Zimmera.

– Chodzi o to, że... dowiedziałem się, że mój kolega z college'u też jest na to chory. –

Postukał palcem o poręcz.

– Przykro mi – powiedziałam, w dalszym ciągu nie patrząc mu w oczy.

– Okropnie to wyglądało? Czy... – W jego głosie pobrzmiwała dziwna desperacja.

Nie byłam w nastroju do rozmowy o AIDS z tatą Dennisa Zimmera na schodach prowadzących do bankowej piwnicy. Nie miałam dla niego żadnych odpowiedzi.

– Dosyć okropnie – odparłam. Tak naprawdę jednak nie mogłam tego wiedzieć. To nie ja byłam z Finnem na sam koniec. Nie pozwolono mi tam być.

– Wybacz – powiedział. – Przepraszam, że zawracam ci głowę, i przykro mi z powodu waszego wujka. To bardzo dobry obraz.

Gdy zeszedliśmy ze schodów, pan Zimmer wskazał na korytarz, na którego końcu zobaczyłam grube drzwi prowadzące do otwartego skarbca. Niezbyt przypominał on loch i nie był tak tajemniczy, jak oczekiwałam. Jego klimat bliższy był filmom o Jamesie Bondzie.

– Jesteśmy na miejscu. Potrzebny mi będzie twój klucz.

Podaliśmy panu Zimmerowi swój kluczyk, a on wyciągnął z kieszeni własny, po czym użył ich obu do otwarcia drzwi prowadzących do wąskiej, podłużnej skrytki.

– Wasza mama miała fart, że udało jej się dostać tak dużą skrytkę w takim krótkim czasie – powiedział.

Kiwnęłam głową.

– Tak. Miała fart – zgodziłam się.

– Zabiorę cię do pokoju numer trzy. Co ty na to?

– W porządku – odparłam.

Pan Zimmer zapalił światło.

– Nie musisz się spieszyć – powiedział, a potem wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Wystrój pomieszczenia sprawiał wrażenie kosztownego – ściany pokryte były do połowy ciemnoczerwoną tapetą, a sufit ozdobiono falistą sztukaterią, która wydała mi się staroświecka. Wyglądało to tak, jakby bank chciał sprawić, aby twoje kosztowności poczuły się w swoim nowym pokoiku jak u siebie w domu, mimo że tak naprawdę były od niego daleko.

Usiadłam i przez jakąś minutę nie otwierałam skrytki. Przyjemnie było siedzieć w tak małym odosobnionym miejscu głęboko pod ziemią. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że jestem więźniarką. Buntowniczką wtrąconą tu na rozkaz króla. Zastanawiałam się, czy ten pokój jest dźwiękoszczelny. Czy ktokolwiek by mnie usłyszał, gdybym zaczęła śpiewać *Requiem*.

Gdy wyjęłam portret i położyłam go na biurku, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, było pięć czarnych guzików. Nadal tkwiły na swoim miejscu niczym zagubione lukrecjowe cukierki.

Potem odszukałam wilka. Na prawdziwym portrecie wcale nie tak łatwo było go dostrzec. Musiałam oprzeć portret o ścianę i przejść na drugi koniec pokoju, żeby go wypatrzeć – a nawet wtedy konieczne było zmrużenie oczu. W tle obrazu znajdują się różne elementy. Okno. Łopocząca zasłona. Jakieś rzeczy na parapecie oraz obrazki wiszące na ścianie za nami. Przestrzeń negatywna była pocięta na kawałki i niemalże nie dało się utrzymać wzroku na wilku, nie gubiąc go przy tym. Też mi się to przydarzyło. Myślałam, że już go mam, ale zniknął.

Moja twarz prawie się nie zmieniła, chociaż zauważyłam, że na obrazie wyglądam na odrobinę młodszą niż obecnie. Już teraz zdawałam sobie sprawę, że portret na zawsze pozostanie krzywym zwierciadłem, które będzie mi przypominać, jaka kiedyś byłam. Druga różnica polegała na tym, że teraz chciałam już wiedzieć, jaką tajemnicę wmalował mi do głowy Finn. Szkoda, że go o to nie spytałam.

Uważnie przyjrzałam się Grecie. Z początku wydawało mi się, że wygląda tak samo, ale to nie była prawda. Na grzbiecie jej dłoni pojawił się zarys czarnej czaszki. Był rozmiarów kapsla od butelki i musiał zostać namalowany najcieńszym z możliwych pędzli. Widywałam je u Finna – ich rączka zakończona była pojedynczym włosem. Nie mogłam oderwać oczu od czaszki, bo wydawało mi się niemożliwe, że ani ja, ani mama jej wcześniej nie dostrzegłyśmy, ale z drugiej strony nikt nie mógł jej później domalować. Kto niby miałby coś takiego zrobić?

Pochyliłam głowę tak nisko, jak tylko się dało – niemalże przycisnęłam czubek nosa do płótna. Pomyślałam, że jeśli wystarczająco uważnie mu się przyjrzę, zrozumiem, co jest źródłem tych czarów. Zrozumiem, jak to możliwe, że na grzbiecie lewej dłoni mojej siostry nagle pojawiła się maleńka czaszka. Ale nie. Nic to nie dało.

Schowałam portret na miejsce. Gdy otworzyłam drzwi, czekał za nimi pan Zimmer.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak sobie myślałam... – zagałam. – Zastanawiam się, czy ktoś inny przychodził już zaglądać do skrytki.

– No cóż, nie za bardzo mogę o tym mówić. Ochrona prywatności i takie tam. – Zabębnił palcami o metalową skrzynkę. – Ale z tego, co wiem, obecnie tylko ty i twoja siostra macie do niej klucze. Tak powiedziała nam wasza mama. Takie było jej życzenie.

Tak jak myślałam. Czyli Greta musiała się tu pojawić. Przyszła przede mną i domalowała czaszkę na swojej własnej dłoni.

Wszystko wskazywało na to, że odwilż zaczęła się na dobre. W sobotę Greta wyciągnęła z garażu leżak i rozłożyła go na podwórku za domem. Tato powiedział, żeby się nie wygłupiała, ale zrobiła kwaśną minę i oświadczyła mu, że ma zamiar czytać książkę do szkoły, więc w końcu ustąpił. Obecnie wylegiwała się na leżaku z zamkniętymi oczami, ubrana w za dużą bluzę i szorty, a na jej piersi okładką do góry spoczywała *Odyseja*.

Mama pojechała do supermarketu Grand Union na poranne zakupy, a gdy wróciła, trzymała w dłoni plik listów.

– Jest tu coś do ciebie, Junie.

– Do mnie?

Mama uniosła dużą brązową kopertę.

– Amerykańskie Stowarzyszenie Młodych Serowarów?

Toby. Byłam pewna, że to od niego. Walczyłam ze wzbierającą paniką.

– A, tak... Ja... Mam coś zadane na technikę.

– No to proszę. – Uśmiechnęła się. – Zamawiam pyszny, dojrzały camembert. O ile masz go w planie.

– Okej... jasne. Camembert. – Położyłam kopertę na stole, jakby nie było to nic ważnego, ale gdy tylko nadarzyła się okazja, podniosłam ją i czmychnęłam do swojego pokoju.

Toby przysłał mi staromodną fotografię nas dwojga zrobioną w Playlandzie. Uśmiechnęłam się, bo nasz sekret przeszedł przez dłonie mamy bez jej wiedzy.

Zdjęcie zostało wykonane w sepii i gdybym wierzyła w bajki, powiedziałabym, że Toby wygląda na nim prawie jak anioł. Złączone dłonie trzymał za plecami, głowę miał pochyloną, a jego oczy wzniesione były do góry, jakby przed chwilą usłyszał gdzieś nad sobą dźwięk dzwonka. Stał po lewej stronie, ja natomiast siedziałam na krześle w samym środku kadru. Nie uśmiechałam się, co tylko wzmagało autentyczność ujęcia, bo w tamtych czasach nie szczerzyło się zębów na zdjęciach. Ręce trzymałam złożone na podołku i patrzyłam prosto w obiektyw. Oboje mieliśmy na szyjach wielkie bufiaste krezy, co sprawiało wrażenie, jakby nasze głowy spoczywały na tacach. Zdjęcie wyszło okej, ale w samej scenie było coś bardzo dziwnego.

Po kilkuminutowej analizie uświadomiłam sobie, o co chodzi. Przede wszystkim była to fotografia, a one przecież jeszcze nie istniały w czasach elżbietańskich, więc chociaż oboje prezentowaliśmy się nieźle w naszych kostiumach, było w tym coś głupawego. Niedorobionego. Gdybym znajdowała się tam w towarzystwie Finna, ten od razu zauważyłby, że powinniśmy wybrać stroje z okresu, gdy wynaleziono już aparat fotograficzny. W okamgnieniu namówiłby mnie, żebym przebrała się za Annie Oakley czy kogoś takiego.

Obróciłam zdjęcie i zobaczyłam, że Toby przykleił na jego odwrocie karteczkę. Napisane na niej było tylko: „Możesz mnie wyciąć, jeśli chcesz!”. Z początku nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale potem dotarło do mnie, że ma na myśli przecięcie zdjęcia na pół. Że jeśli mam ochotę, mogę wyrzucić część, na której się znajdował.

Następnego ranka, w niedzielę, siedziałam z rodzicami w kuchni, czytając stronę z komiksami w gazecie. Poranek był całkiem normalny, dopóki nie pojawiła się Greta. Przeszła przez kuchnię w piżamie i sięgnęła po dzbanek z kawą.

– Oto i ona. Nasza przyszła gwiazda – powiedział tato.

Rodzice obdarzyli Gretę promiennymi uśmiechami. Jakby naprawdę byli pod urokiem jej sławy.

Spojrzałam na nich jak na szaleńców. Następnie przeniosłam wzrok na Gretę, żeby sprawdzić, czy faktycznie miała w sobie to coś. Jej powieki były na wpół przymknięte.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Wygląda na to, że z tobą Greta też nie podzieliła się nowinami.

Pokręciłam głową.

– No, dalej, kochanie – zachęcił ją tato – powiedz siostrze.

– Nie ma o czym mówić – ucięła Greta. – Jeszcze nawet nie wiem, czy w ogóle mam na to ochotę.

– Oczywiście, że masz – wtrąciła się mama. – Życiowe szanse odpłyną w siną dal...

– Tak, mam. Wiemy.

Omiotłam ich wzrokiem.

– No i? Co to za wieści?

– Wczoraj wieczorem zadzwonił do nas pan Nebowitz i...

– I powiedział – kontynuowała mama – że jakiś jego znajomy zaangażowany w wystawianie *Annie* na Broadwayu pytał go, czy nie ma przypadkiem uczennic, które nadawałyby się do zastąpienia latem aktorki grającej Pepper, no i pan Nebowitz uznał, że jedyną osobą, którą mógłby polecić, jest twoja siostra. Możesz w to uwierzyć?

Greta zazgrzytała zębami, stukając lewą stopą o podłogę w kuchni.

– Mamo, prawdopodobnie się nie zgodzę, rozumiesz? Może w przyszłym roku.

Uśmiech zniknął z warg mamy, a jej dłonie nagle znalazły się na biodrach.

– Żadne „w przyszłym roku”. Myślisz, że oni będą czekać na ciebie cały rok? A nawet gdyby tak było – a możesz mi wierzyć, że tak się nie stanie – do tego czasu będziesz już za stara. To niepowtarzalna życiowa szansa.

– Może jest mi wszystko jedno – oznajmiła Greta.

Mama otworzyła szeroko oczy.

– Ale mi nie jest wszystko jedno. Ludzie marzą o czymś takim. Jeśli przegapisz tę szansę, to gdy będziesz w moim wieku, pozostanie ci tylko siedzieć w kuchni i rozmyślać nad własną głupotą.

Twarz mamy zaczęła się robić czerwona.

– Myślisz może, że ktoś da ci drugą szansę? Tak? No, to się rozczarujesz. Okazje takie jak ta pojawiają się i znikają. Zanim się zorientujesz... zanim zdasz sobie sprawę, co się stało, uciekną. I co wtedy zrobisz? Zadzwonisz do mnie i przyznasz, że trzeba mnie było posłuchać. Że powinnaś była skorzystać z danej ci szansy, póki miałaś okazję. A ty...

Patrzyliśmy na nią zszokowani. – Mamo, ty płaczesz? – spytałam.

Pokręciła głową, ale wszyscy widzieliśmy, że w oczach ma łzy.

W końcu Greta zgodziła się zagrać w *Annie*. Ludzie z miasta mieli jeszcze przyjechać, żeby zobaczyć ją na własne oczy przed ostatecznym podjęciem decyzji, ale doskonale wiedzieliśmy, że dostanie tę rolę. Wejdzie na scenę i zagra prawdziwą sierotę. Gdy Greta wyraziła zgodę, mama bardzo długo wypytywała, czy na pewno tego chce, i zapewniała ją, że nie ma żadnej presji. Absolutnie żadnej.

Oglądaliśmy razem *Więzy rodzinne*. Cała rodzina, nawet Greta, która od czasu awantury dotyczącej roli w *Annie* zrobiła się jeszcze bardziej markotna niż zwykle. Wyglądało na to, że miłe wieczory przytrafiały się nam tylko wtedy, gdy w telewizji leciały *Więzy rodzinne* albo *Bill Cosby Show*. Byłam prawie pewna, że Greta ogląda z nami program tylko dlatego, że podoba jej się Alex Keaton grany przez Michaela J. Foxa. Słyszałam kiedyś, jak wyznała to komuś przez telefon.

– Popcorn? – spytała mama, gdy skończył się serial.

– Tak – powiedziałam.

– Dla mnie też.

Tato kupił na Gwiazdkę maszynę do robienia popcornu i wszyscy za nią przepadałiliśmy. Obserwowanie, jak rośnie liczba pękających ziarenek kukurydzy, aż jest ich na tyle dużo, żeby same wysypały się do miski, samo w sobie było fascynującym zajęciem.

Zaczęły się wiadomości i zapach topionego masła zmieszał się z doniesieniami na temat zbrodni wojennych Klausego Barbie oraz afery Iran-Contras.

– Jak wam idzie z *Południowym Pacyfikiem*? – zagał tato.

Greta wzruszyła ramionami.

– Chyba dobrze. Może być.

Tato sprawiał wrażenie, jakby chciał usłyszeć coś więcej, ale Greta szybko podniosła program telewizyjny i zaczęła go przeglądać.

Do pokoju weszła mama, niosąc wielką metalową miskę, z której wysypywał się popcorn.

– Dwie porcje – oznajmiła. – I większa ilość masła, niż jestem skłonna przyznać.

Uśmiechnęła się i postawiła miskę na stole. Sięgnęliśmy ku niej i nabraliśmy pełne dłonie popcornu.

Wiadomości lokalne rozpoczęły się od historii pożaru w Mount Kisco, który zniszczył apartamentowiec. Następnym tematem było zarządzenie przez sędziego z Yonkers, aby wszyscy znajdujący się w sali rozpraw wyszli na parking przed budynkiem, bo facet, którego miał skazać, był chory na AIDS.

– Żeby zażyć świeżego powietrza i słońca – jak określił to sędzia, który opisywał, jak doszedł do wniosku, że bezpieczniej dla pracowników sądu, jeśli nie będą musieli przebywać w ciasnej sali rozpraw, w której znajdują się tego typu zarazki. W ramach sondy ulicznej kilka osób spytano, czy uważają zachowanie sędziego za rozsądne. Jakaś kobieta stwierdziła, że sama nie wie, ale chyba lepiej dmuchać na zimne. Następnie wypowiadał się facet, który powiedział, że to nie sędzia jest szalony – to AIDS jest szaleństwem.

Potem nastąpiło płynne przejście do materiału zawierającego ogólne informacje na temat AIDS. Jak zwykle na pierwszy ogień poszły ujęcia dusznego wnętrza klubu wypełnionego gejami tańczącymi w durnowatych skórzanych strojach. Nie mogłam sobie nawet wyobrazić Finna tańczącego przez całą noc w stroju półnagiego kowboja.

Byłoby miło, gdyby choć raz telewizja pokazała mężczyzn pijących herbatę w salonie albo rozmawiających o sztuce czy filmach. Gdyby wyświetlili coś takiego, może ludzie stwierdziliby: „A, okej, może oni wcale nie są tacy dziwacznicy”.

Już chciałam wyjść z pokoju, gdy prezenter zaczął omawiać lek o nazwie AZT, który podobno miał umożliwić ludziom życie z AIDS. Usiadłam z powrotem, czekając na to, co powie, i gdy go wysłuchałam, nie byłam w stanie podnieść się z miejsca. Lek uzyskał właśnie aprobatę Agencji ds. Żywności i Leków i najpóźniej za sześć miesięcy miał zostać wprowadzony do obrotu.

Nikt z nas się nie odezwał. niesprawiedliwość związana z tym, co właśnie usłyszeliśmy, odebrała nam głos. Wbiłam pięści w siedzenie kanapy. Finn prawie załapał się na terapię. Jeszcze kilka miesięcy i...

Mama wstała i wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie, a ja wrosłam w kanapę. Na ekranie pojawił się dziennikarz naukowy, który zaczął przedstawiać szczegóły działania AZT, ale tego już nie słyszałam. Tato, który zazwyczaj zachowywał spokój, krzyknął: „Dostyc tego!” w kierunku ekranu. Następnie ciężkim krokiem przeszedł przez pokój, trzasnął dłonią we włącznik telewizora i wyszedł.

Siedemnastego marca minęło czterdzieści jeden dni od śmierci Finna. Na zajęciach z nauk o Ziemi pan Zerbiak opowiadał nam o czarnych dziurach. Ów temat nie należy do programu nauczania tego przedmiotu, ale pan Zerbiak taki właśnie jest. Wystarczyło, żeby Adam Bell zadał pytanie dotyczące meteoroidu, który znalazł za domem, a pan Zerbiak już ostrzegał, że „może nieco odejść od tematu, ale...” – i naturalnie wszyscy okazywali nagle wielkie zainteresowanie. Gdyby nauczyciele udawali, że wszystko, co mówią, jest niezwiązane z lekcją, szkoła byłaby pełna piątkowych uczniów. Ja bym tak właśnie robiła, gdybym została nauczycielką, co na pewno wezmę pod uwagę, jeśli plan z sokolnictwem nie wypali. Gdy pan Zerbiak zbaczał z głównego wątku, w jego spojrzeniu pojawiał się błysk, który mógł oznaczać, że od zawsze marzył o zostaniu astronomem, a nie nauczycielem w liceum. Jego dłonie poruszały się jak szalone i mógł bez końca opowiadać o grawitacji i prędkościach kosmicznych.

Na zmianę podnosiliśmy ręce, starając się powstrzymać pana Zerbiaka od powrotu do sedna zajęć tak długo, jak tylko się dało. Podniosłam dłoń i spytałam, czy to prawda, że czarne dziury mogą pełnić rolę sekretnych przejść do innych epok, bo czytałam kiedyś, że mogą istnieć czarne dziury, które działałyby jak wehikuł czasu. Pan Zerbiak odparł, że nie wydaje mu się to możliwe.

– To przenosi nas w sferę science fiction, panno Elbus – dodał, po czym uznał, że za daleko odbieглиśmy od tematu lekcji i pora wracać.

Cała klasa wydała z siebie jęk zawodu. Jenny Halpern spojrzała na mnie, gniewnie mrużąc oczy. Nie zrobiło to na mnie wrażenia, bo przez kolejne parę dni nie musiałam oglądać ani jej, ani żadnego z nich. Nazajutrz miała się odbyć rada pedagogiczna, a to oznaczało dzień wolny od zajęć.

Kilka dni wcześniej zadzwoniłam do Toby’ego, żeby zapowiedzieć się z wizytą. Przez telefon mówił takim tonem, jakby nie był w stanie uwierzyć, że naprawdę do niego dzwonię, a ja myślałam sobie: „Nie ekscytuj się zbyt, koleś”, bo dla mnie była to tylko i wyłącznie misja polegająca na zdobyciu rzeczy, które otrzymał od Finna.

Greta wybierała się pociągiem do centrum handlowego Galleria w White Plains w towarzystwie Julie i Megan. Powiedziałam mamie, że może przejdę się do biblioteki, co nawet nie do końca zabrzmiało jak kłamstwo. Spytała, czy spotkam się tam z Beans, a ja odparłam, że niewykluczone, co już było czystym kłamstwem, ale sprawiło, że mama się uśmiechnęła. Dzięki temu mogłam spędzić cały dzień w mieście, nie martwiąc się, że ktoś się za mną stęskni.

Wsiadłam w następny pociąg po tym, którym pojechała Greta, i przez całą drogę miałam wrażenie, że wszyscy wiedzą, że nie powinno mnie w nim być. Włożyłam średniowieczne botki, a tuż przed wyjściem z domu wślizgnęłam się do pokoju Grety i psiknęłam się jej perfumami Jean Naté. Ukryta pod zapachem Grety czułam się, jakbym była w przebraniu. Jechałam pociągiem do Nowego Jorku i wydawało mi się, że jestem całkiem inną osobą – kimś, kto pachnie cytryną i zasypką dla niemowląt

zamiast mną.

Toby polecił mi wziąć taksówkę z dworca Grand Central do mieszkania. Przez całą jazdę patrzyłam przez okno, bo padał deszcz, a wtedy Nowy Jork podoba mi się najbardziej. Wygląda, jakby go wypolerowano. Każda z ulic lśni, a od jej czerni odbijają się światła. To trochę tak, jakby całe miasto zostało zanurzone w syropie cukrowym niczym wielkie jabłko na patyku.

Toby powiedział, że gdy dotrę na miejsce, będzie czekał na dworze, żeby zapłacić za taksówkę. W apartamentowcu, w którym mieszkał Finn, nie ma odzwiernego. Żeby wejść do środka, trzeba zadzwonić domofonem, i gdy dojechalismy, zobaczyłam, że Toby stoi w niewielkim przedsionku między drzwiami wejściowymi a tymi prowadzącymi bezpośrednio do budynku. Wyszedł na zewnątrz i uśmiechnął się, a ja zauważyłam, że ma na sobie jeden z rozpinanych swetrów Finna. Dla Finna był on zbyt duży i workowaty, dla Toby'ego natomiast za krótki, więc raz za razem obciągał go do dołu. Sweter źle na nim leżał. Żenująco źle. Musiałam zmarszczyć brwi, bo Toby wybiegł w deszcz, żeby otworzyć mi drzwi, a pierwsze jego słowa brzmiały: „Wszystko w porządku?”. Odparłam, że tak. Bardzo się starałam nie patrzeć na miękki, brązowy sweter Finna, ale nie mogłam się powstrzymać. Toby zdał sobie z tego sprawę i nie wiedział, co powiedzieć.

– Tak, no cóż – odezwał się, lekko się garbiąc i pochylając głowę.

Toby zapłacił taksówkarzowi i pożegnał go machnięciem dłoni, nie czekając na resztę.

– Prowadź – powiedział.

Drzwi przytrzymała gruba książka telefoniczna Manhattanu, którą Toby podniósł, gdy wchodziliśmy do budynku. Sięgnął długą ręką ponad moim ramieniem, żeby przycisnąć guzik windy. Jej drzwi zrobione były ze lśniącej stali i widziałam, że obserwuje moje odbicie.

– Dzięki – powiedział. – No wiesz, dzięki, że przyjechałaś.

– Nie ma sprawy – odparłam, mimo że wyprawa do miasta bez wiedzy rodziny tak naprawdę była dla mnie wielkim przedsięwzięciem.

Winda w budynku Finna była stara i powolna i zawsze mi się wydawało, że dotarcie na dwunaste piętro zabiera jej dużo czasu.

– Otwarte – poinformował Toby, gdy doszliśmy do drzwi mieszkania.

Położyłam dłoń na okrągłej klamce, ale zawahałam się i obróciłam do Toby'ego.

– Czy coś się w środku zmieniło? – Nie chciałam sprawiać wrażenia wystraszonej, ale zdradził mnie ton głosu.

Toby nie odpowiedział. Zamiast tego sięgnął ręką ponad moją głowę i popchnął drzwi. Za nimi znajdowało się mieszkanie Finna. Takie jak zawsze. Turecki dywan. Słoń z masy papierowej stojący na starym, pokrytym rzeźbieniami kufrze. Czarno-białe fotografie dłoni mojego dziadka w tak dużym zbliżeniu, że przypominały krajobraz innej planety. Oprawione zdjęcia lewej i prawej dłoni wisały osobno po obu stronach wielkiego okna wychodzącego na Osiedziesiątą Trzecią Ulicę. Jediną różnicą było to, że mieszkanie nie pachniało już lawendą i pomarańczami. Teraz unosił się tu głównie stęchły zapach dymu papierosowego.

Toby podniósł z kanapy stertę gazet, książek i ubrań i przełożył ją na jedno ze

stojących przy stole krzesel.

– O, tak lepiej – powiedział. – Wejdz, siadaj.

Zachowywał się nerwowo – zbyt często się uśmiechał i zwracał uwagę na nieistotne drobiazgi: tu wygładził zmarszczkę na poduszce, tam poprawił przekrzywiony obrazek na ścianie. Gdy wchodziliśmy, zdjął sweter Finna, pod którym miał czarną, znoszoną koszulkę z emblematem Muzeum Historii Naturalnej pokrytą świecącymi w ciemności kośćmi dinozaura. Po chwili usiadł naprzeciwko mnie na kanapie.

– Jak ci się podobało zdjęcie?

– Dobrze wyszło.

– Super. – W głosie Toby’ego można było wyczuć zaskoczenie. – Miałem wrażenie, że jest w nim coś dziwnego. Ale cieszę się, że tobie się podoba.

– No cóż... jest trochę dziwne.

– Ojej.

– Ale w ciekawy sposób. Taki artystyczny.

Uśmiech Toby’ego na chwilę zbladł, ale teraz znowu odzyskał pełną moc.

– Tak. Artystyczny. Dokładnie tak.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby uważał mnie za najmądrzejszą osobę, jaką kiedykolwiek spotkał.

– Tak jak pisałem, możesz mnie wyciąć, jeśli chcesz. Pomiędzy nami jest dużo miejsca. Nie mam nic przeciwko.

– Nie trzeba – odpowiedziałam. – Nie zrobiłabym czegoś takiego.

– To twoja odbitka, więc jeśli zmienisz zdanie...

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby.

Siedzieliśmy przez jakiś czas, nie wiedząc, co powiedzieć. Po kilku minutach Toby wstał.

– Herbaty?

Gdy był w kuchni, miałam okazję samotnie rozejrzeć się po mieszkaniu. Stary fotel Finna obity niebieskim aksamitem ciągle stał na swoim miejscu. Siedzenie miało wytarte, ale kolor oparcia był w dalszym ciągu intensywny, bo Finn zawsze siedział na nim pochylony do przodu w kierunku płótna.

Na stoliku w kącie stała lampa, którą Finn wykonał z żarówki zagrzebanej w wypełniającym kuliste akwarium szkle morskim. Pojemnik zawierał gładkie kawałki szkła we wszystkich odcieniach zieleni, jakie tylko można sobie wymarzyć, a gdy włączyło się światło, lampa wyglądała jak obiekt z przyszłości. Obok niej znajdował się zestaw szachowy, który Finn zrobił jeszcze jako student akademii sztuk pięknych. Mówił, że zachował go tylko po to, żeby nigdy nie zapomnieć, jak łatwo można stać się pretensjonalnym bubkiem. Wszystkie pola szachownicy były czarne, więc ciężko było stwierdzić, czy jest się na właściwym. Polakierowane pionki miały kształt maleńkich szczurzych czaszek. Na każdym z nich znajdował się symbol, który informował, jaka to figura. Gońce miały na czubku niewielkie krzyżyki, a skoczki końskie główki. Oprócz tego niczym się nie różniły. Były praktycznie identyczne, chyba że przyjrzało im się z bliska i zaczęło dostrzegać detale. Na przykład któryś z nich miał ułamany ząb. Nie rozumiałam, na czym polega ich pretensjonalność. Pomysł był trochę obrzydliwy, ale mi się one podobały.

Trzymałam w dłoni jedną z czaszek, gdy Toby wrócił z herbatą.

– Masz ochotę na partyjkę? – spytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Jeśli chcesz.

Tak naprawdę nie umiałam grać w szachy, ale nie chciałam się do tego przyznać. Przyniosłam szachownicę i położyłam ją między nami na stoliku do kawy.

Zrobił herbatę w zwykłym białym dzbanku, który przeciekał przy nalewaniu i daleko mu było do rosyjskiego czajniczka. Widziałam, że oboje zdajemy sobie z tego sprawę, ale żadne z nas nic nie powiedziało.

– Cukru? – spytał Toby, unosząc łyżeczkę nad wypełnioną do połowy papierową torbę. Finn układał kostki cukru na talerzyku wraz z maleńkimi szczypcami, które przypominały kształtem szpony jakiegoś zwierzątka. Toby najwyraźniej o tym nie wiedział, bo przyniósł po prostu pogniecioną torebkę z cukrem.

– Dwie łyżeczki – powiedziałam.

– Wyśmienicie. Lubię kobiety, które nie boją się cukru.

Odwróciłam twarz i uśmiechnęłam się – głównie dlatego, że nazwał mnie kobietą. Toby rozmieszał w mojej filiżance dwie łyżeczki cukru, a potem zrobił to samo w swojej z dwa razy większą jego ilością.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wysunął z niej jednego. Następnie zerknął na mnie, jakby nie był pewny, jak się zachować.

– Czy ty... – Przechylił paczkę w moim kierunku i uniósł brwi. Pierwszy raz w życiu ktoś częstował mnie papierosem i zaczęłam się zastanawiać, czy Toby w ogóle wie, ile mam lat.

Wyciągnęłam jednego i podziękowałam, jakby była to dla mnie najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Nie dałam niczego po sobie poznać, tak jak zrobiłaby Greta. Toby wziął swojego papierosa, a następnie zapalił oba jaskrawopomarańczową zapalniczką.

– Uff, o to chodziło – powiedział, zaciągając się głęboko, i od razu zaczął wyglądać na odrobinę bardziej zrelaksowanego.

Wciągnęłam dym tak lekko, jak tylko się dało, zakaszlałam i odłożyłam papierosa do popielniczki. Czekałam, aż Toby zacznie się ze mnie śmiać, ale tak się nie stało.

– Ty czy ja? – spytał, ruchem głowy wskazując na szachownicę.

– Możesz zacząć. Wszystko mi jedno.

Toby ustawił wszystkie pionki, a następnie wykonał ruch jednym ze swoich.

Patrzyłam na to, co robi, a potem przesunęłam prawie identyczną figurę po swojej stronie.

– A gdzie właściwie są twoje rzeczy? – spytałam, lustrując wzrokiem mieszkanie.

Zawahał się i skrzyżował swoje patykowate nogi. Przez chwilę wpatrywał się w szachownicę, a potem poruszył jednym ze swoich pionków.

– No cóż – odezwał się – część z tych rzeczy należy do mnie.

Rozejrzałam się dookoła. Byłam w stanie dostrzec jedynie rzeczy

Finna, które znajdowały się tu od zawsze. Przesunęłam jeden z pionków, prawie nie patrząc na szachownicę.

– Jak to?

Toby nie patrzył mi w oczy. Trzymał palec na jednym ze swoich skoczków, ale zdjął

go, żeby upić łyk herbaty. Następnie mocno zaciągnął się papierosem i oparł go o krawędź popielniczki. W dalszym ciągu na mnie nie patrzył i nagle zdałam sobie sprawę, co miał na myśli. Jeszcze raz się rozejrzałam, tym razem patrząc na wszystko pełnym podejrzliwości wzrokiem.

– No wiesz... – powiedział, przesuając skoczka przez pół szachownicy.

– Co w takim razie jest tu twoje? – Machnęłam dłonią, wskazując cały pokój.

– June, mieszkam tu już od prawie dziewięciu lat. Ciężko powiedzieć, co konkretnie jest moje.

Dziewięć lat. Dziewięć lat? Dziewięć lat temu miałam pięć lat. Musiał kłamać.

– Ale ja chciałabym wiedzieć. Chcę zobaczyć, co jest twoje.

Toby popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby naprawdę zaczynał mi współczuć. Rozejrzał się po pokoju, po czym wskazał na dużą drewnianą półkę w pobliżu drzwi.

– Tamten słoć z kostkami do gitary. One na przykład są moje.

Kostki gitarowe Finna, który mawiał, że jeśli chcę, żeby to zabrzmiało tak, jakbym znała się na rzeczy, powinnam nazywać je „plektronami”. Gdy byłam mała, mnóstwo czasu spędzałam na bawieniu się nimi. Rozsypywałam je na dywanie, a każda z nich była w innym, cukierkowym kolorze. Przez wiele godzin sortowałam je, rozdzielałam na kupki i układałam z nich długie linie przypominające drogi ciągnące się przez całą długość salonu Finna. Robiliśmy z Gretą konkursy, które polegały na znalezieniu najładniejszej kostki pośród kłębowiska marmurkowatych wzorów zamkniętych w słoju. Jakim cudem mogły one nie należeć do Finna?

– Jesteś pewny?

– June, Finn nie potrafił grać na gitarze. Wiedziałaś o tym, prawda? Jeśli chodzi o instrumenty muzyczne, był raczej kiepski.

Nie miałam pojęcia. Oczywiście, że nie, bo przecież o niczym nie mam pojęcia.

– Tak. Pewnie, że wiedziałam. Nie musisz mi robić wykładu o Finnie. Był przecież moim wujkiem.

Uniosłam króla i głośno postawiłam go w samym środku szachownicy. Toby przesunął swojego pionka o trzy pola na ukos.

– Nie chciałem...

– No to dlaczego Finn nigdy mi o tobie nie powiedział? – Bardzo się starałam, żeby w moim głosie nie było słycać złości.

Toby wzruszył ramionami i opuścił wzrok.

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że nie jestem kimś, kim można by się chwalić. Spójrz sama: straszny flejtuch ze mnie...

– To żadne wytłumaczenie. Ja też nie jestem kimś, kim można by się chwalić, ale ty o mnie wiedziałaś, zgadza się?

– June, posłuchaj, kiedyś to ja byłem o ciebie zazdrosny.

To mnie dopiero wkurzyło, bo wcale nie jestem tego typu osobą.

W ogóle. Dlaczego miałabym być zazdrosna? O co? Spojrzałam na siedzącego na krawędzi kanapy Toby'ego, pochylonego do przodu z nogą założoną na nogę, próbującego złożyć swoje długie ciało jak scyzoryk. Toby i ten jego głupawy akcent. Angielski, ale jakiś nieprawdziwy. Nie taki, jaki można usłyszeć w *Pokoju z widokiem* albo *Lady Jane*, tylko niemożliwy do zidentyfikowania, rozlazły bełkot. Patrzyłam, jak

siedzi z rękawami pełnymi asów, całymi taliami kart-niespodzianek, które mógł wyjmować, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. Za każdą z nich kryła się opowieść o nim i Finnie, której nigdy wcześniej nie słyszałam. Nie miałam z nim szans. Moja talia była cieniutka. Wytarta od nieustannego tasowania jej w głowie. Moje historyjki o Finnie były nudnawe i zwyczajne. Głupie i nieważne.

– Wcale nie jestem zazdrosna – zaprzeczyłam.

– Okej. Przepraszam. Oczywiście, że nie jesteś. – Toby poskrobał paznokciem o podłokietnik kanapy, a potem spojrział na mnie. – Ale ja byłem o ciebie zazdrosny. O wszystkie te niedziele...

Chciał mnie po prostu pocieszyć. Nie miałam co do tego wątpliwości.

– I już nie jesteś?

– Nie, już nie.

– Bo Finn nie żyje?

Toby zaczął bawić się rąbkiem koszulki. Była to kolejna rzecz, z jakiej zdałam sobie sprawę. Zawsze obracał coś w palcach. Dlaczego Finn, który mógł wybrać na swojego chłopaka – tak zwanego specjalnego przyjaciela – dosłownie każdego, zdecydował się na Toby'ego?

– Chyba tak – odparł.

Opuścił wzrok na podłogę, a potem podniósł go na mnie.

Deszcz bębnił o szybę, a my przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu, sącząc ostygłą herbatę. Toby zapalił kolejnego papierosa.

Opuściłam wzrok na szachownicę, bo nie chciałam, żeby Toby widział moje oczy. Potem wstałam i powiedziałam, że muszę iść do łazienki. Ruszyłam korytarzem i od razu zauważyłam, że drzwi sypialni Finna są otwarte – a przecież do tej pory zawsze były zamknięte, tajemnicze. Podeszłam do drzwi łazienki i przymknęłam je, ale nie weszłam do środka. Zamiast tego cofnęłam się na palcach i stanęłam przed sypialnią Finna. W pokoju panował półmrok, a wpadające do wnętrza przez cieką białą zasłonę światło było przyćmione. Przez chwilę patrzyłam tylko, stojąc w progu. Potem jednak zrobiłam to, czego robić nie powinnam – weszłam do środka.

W kącie stała duża czerwona gitara. Były tam też dwie pary kapci oraz dwa szlafroki przewieszane przez oparcie krzesła. Żółty należał do Finna. Ten drugi miał kolor niebieski. Łóżko było niezasłane i próbowałam zgadnąć, po której stronie sypiał Finn. Stało się to oczywiste, gdy na jednym z nocnych stolików zauważyłam dwie puste paczki po papierosach, pół butelki dżinu oraz folię po miętowym ciasteczku firmy York. Na drugim stoliku znajdował się staromodny budzik oraz ramka z trzema fotografiami. Podeszłam bliżej, żeby ją podnieść. Na górnym zdjęciu widoczny był Finn w towarzystwie Toby'ego. Było czarno-białe i wyglądało, jakby zrobiono je w Londynie, bo w tle dało się dostrzec jedną z tych dużych czarnych taksówek. Obaj byli młodzi i wyglądali na szczęśliwych. Toby był wyższy od Finna i opierał policzek o czubek jego głowy. Zakryłam kciukiem twarz Toby'ego, żeby na zdjęciu pozostał tylko Finn – Finn z moim kciukiem na głowie w roli kapelusza. Na środkowym zdjęciu była Greta i ja, o wiele młodsze niż teraz. Znajdowałyśmy się w mieszkaniu Finna i obie malowałyśmy coś na osobnych sztalugach. Trzecia fotografia była z nich najstarsza. Finn w towarzystwie mojej mamy. Zdjęcie z wakacji. Na jakiejś plaży.

Przez chwilę nasłuchiwałam, żeby sprawdzić, czy Toby nie poszedł mnie szukać, a potem wdrapałam się na łóżko. Położyłam się po stronie zajmowanej przez Finna i przykryłam kołdrą. To tutaj Finn i Toby uprawiali seks. To właśnie mogło być miejsce zbrodni. Miejsce, w którym Toby zaraził Finna AIDS. Przesunęłam dłońmi po kołdrze, a potem przycisnęłam twarz do poduszki Finna. To tę właśnie tajemnicę kryła ich sypialnia.

– Czyja teraz kolej? – spytałam Toby’ego po powrocie do salonu. Bardzo się starałam, żeby nie zadrżał mi głos.

– Słuchaj, June, tak naprawdę to nie umiem grać w szachy. Powinienem być od razu o tym wspomnieć.

Spojrzałam na maleńkie sznurki czaszki rozsiane po gładkiej powierzchni czarnej szachownicy, po której oboje je przesuwaliśmy, jakby to miało jakieś sens.

– Ja też nie.

– W takim razie nieważne, czyja to kolej. Rusz się, gdzie tylko chcesz.

Niespiesznie przyjrzałam się moim pionkom. Dotknęłam palcem wskazującym skoczka i powoli przesunęłam go na drugą stronę szachownicy na pole sąsiadujące z królem Toby’ego.

– No, śmiało – powiedział. – Czyń swoją powinność.

Toby podniósł się z kanapy i przeszedł przez pokój. Stał odwrócony do mnie plecami, gdy pstryknięciem palców zrzuciłam jego króla z szachownicy. Zanim zdążył się odwrócić i zobaczyć, co zrobiłam, szybko podniosłam pionka i odstawiłam go na miejsce.

Toby spytał, czy jestem głodna, a następnie, nie czekając na moją odpowiedź, włożył płaszcz i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się przy biurku Finna, otworzył trzecią szufladę, wyjął z niej garść banknotów i wsadził je do kieszeni kurtki.

– Aha, zanim zapomnę. – Obrócił się na pięcie i popędził do sypialni. Gdy wrócił, w rękę trzymał małą, niebieską paczuszkę.

– To dla ciebie – powiedział.

Przyjęłam podarunek i obróciłam go w dłoniach.

– Od Finna. To należało do niego. Kazał ci to przekazać, jeśli kiedyś pojawisz się w mieszkaniu.

Czułam, że to prawdopodobnie książka. Pakunek owinięty był w jedwabisty chiński papier pokryty rysunkami niebieskich motyli. Bałam się, że jeśli za długo będę trzymać go w dłoniach lub na niego patrzeć, rozplacę się na oczach Toby’ego, a na to nie miałam ochoty. W ogóle. Podziękowałam więc tylko, podeszłam do plecaka i włożyłam do niego prezent. Potem wyszliśmy z mieszkania.

Gdy tylko znaleźliśmy się na ulicy, przeszył mnie chłodny, wilgotny wiatr i zaczęłam szczerkać zębami. Skręciliśmy na południe z Columbus Avenue i przemierzaliśmy przecznice za przecznice, a Toby trzymał nad nami duży czarny parasol. Po jakimś czasie Toby się zatrzymał i wskazał na chińską restaurację o nazwie Smok Imperium. Był to jeden z tych lokali, gdzie można znaleźć pociągnięte czerwonym lakierem lampiony i długie akwaria, w których skrzydlice pływają nad ustawionymi na

kolorowych kamyczkach pagodami. Mimo że byliśmy tam tylko we dwoje, Toby zamówił aż trzy dania główne. A do nich spring rollsy, zupę wonton oraz dwie dodatkowe miseczki chrupiących klusek z sosem z kaczki. Pożeraliśmy to wszystko niczym wygłodzone zwierzęta, nie odzywając się ani słowem.

Posiłek dobiegał końca i zaczęłam wsypywać cukier do filiżanki z zieloną herbatą.

– Hej – odezwał się Toby. – To dla ciebie.

Wyciągnął spod stołu złotej barwy serwetkę złożoną w kształt motyla.

Wbiłam w nią wzrok.

To była sztuczka Finna. Toby na moich oczach próbował podwędzić sztuczki Finna.

– Nie, dziękuję – powiedziałam, przesuwając serwetkę po stole w jego kierunku.

– Nie lubisz motyli? – spytał.

Trzymał złotego motyla w dłoni, patrząc na niego tak, jak patrzy się na rannego ptaka.

– Nie mam nic do motyli – odparłam.

– Chodzi zatem o serwetkę? Cierpisz na jedną z tych rzadkich odmian serwetkofobii, o których tyle się teraz słyszy?

Przewróciłam oczami.

– Ciekawe, gdzie się tego nauczyłeś? Kto ci pokazał, jak ułożyć takiego motyla?

Czekałam, aż powie „Finn”, bo wtedy skomentowałabym to, mówiąc: „Tak myślałam”.

Toby delikatnie położył motyla obok swojej filiżanki.

– Z książki o origami, którą miałem w dzieciństwie. To jedna z czynności, którymi staram się zająć dłonie. Triki karciane, pchli cyrk, gitara, origami. Gdy... Jeśli się lepiej poznamy, pokażę ci któreś z nich.

W mojej głowie momentalnie pojawiła się wizja Toby’ego uczącego Finna, jak ułożyć motyla z kawałka materiału. Jego dłoń kierująca dłonią Finna. Obaj śmieją się, gdy Finnowi nic nie wychodzi. Myśl o nich obu sprawiła, że serce zalała mi fala żalości.

– Aha – powiedziałam, unikając wzroku Toby’ego. – Chyba po prostu nie przepadam za takimi rzeczami.

– W porządku – odparł, po czym jednym ruchem uniósł serwetkę i strzepnął ją w powietrzu. Patrzyłam, jak wszystkie fałdki i węzélki zostają strząśnięte ze złotego materiału i motyl znika, a w dłoni Toby’ego zostaje tylko zwykła, stara serwetka.

Mój smutek jednak nie zniknął. Nie chodziło tylko o żal wywołany faktem, że nie należałam do świata Toby’ego i Finna, lecz również o świadomość, że Finn wcale nie był autorem wielu Finnowych sztuczek. Moje wspomnienie Finna układającego motyla w restauracji było błędne. A co, jeśli wszystko, co uwielbiałam w Finnie, tak naprawdę wyszło od Toby’ego? Może dlatego miałam wrażenie, że znamy się z Tobym od lat. Może przez cały ten czas to on wyzierał z Finna.

– Przepraszam za wszystko – powiedział chwilę później Toby. – Obiecuję, że następnym razem nie będzie tak źle. Najgorsze mamy już za nami, prawda?

Nie wierzyłam mu. Wcale nie miałam najgorszego za sobą. Ale podobnie jak poprzednio na dworcu Toby obiecał, że ma dla mnie więcej podarunków. Rzeczy, które chciał przekazać mi Finn.

– Przyjadę po ciebie, zgoda? Znajdę cię. Nie będziesz musiała niczego robić.

Wzruszyłam ramionami.

– Skoro chcesz.

– Chcę.

– No dobra, niech będzie, ale to musi być czwartek. Tylko ten dzień mi pasuje.

– W czwartki zatem.

– Czwartek, a nie czwartki.

Toby uśmiechnął się i uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Dobrze, w czwartek. Na początek.

Wyszliśmy ze Smoka Imperium, a Toby otworzył parasol i przywołał taksówkę. Gdy samochód podjeżdżał, położył mi dłoń na ramieniu i pociągnął mnie do tyłu, żebym nie została ochlapana.

– Uwaga – powiedział.

To było miłe. Taka drobna uprzejmość. Ale zamiast mu podziękować, wysunęłam ramię spod jego ręki i powiedziałam:

– Wiem, jak się czeka na taksówkę.

– Wiem, że wiesz – odparł, a potem pochylił głowę i zmusił mnie do spojrzenia sobie w oczy. – Jeśli będziesz czegoś potrzebować... czegokolwiek...

Otworzył drzwi samochodu, a ja wsiałam do środka. Gdy taksówka miała już ruszać, Toby zapukał w szybę. Opuściłam ją.

– Cokolwiek – powiedział. – Naprawdę. Nie żartuję...

I wtedy taksówka odjechała z piskiem opon na mokrej od deszczu jezdni, a Toby urwał w połowie zdania. To i tak było nieistotne. Nie mogłam sobie wyobrazić, do czego mogłaby mi być potrzebna jego pomoc. Nic mi nie przychodziło do głowy.

Gdy miałam dwanaście i pół roku, niedługo przed tym, jak dowiedziałam się o chorobie Finna, udało mi się spędzić całe cztery dni w jego mieszkaniu podczas długiego weekendu, w który wypadał Dzień Niepodległości. Greta była na letnim obozie w Rhode Island, a rodzice mieli w planie wypad do Maine w towarzystwie Ingramów i jeszcze jednej pary. Chcieli zostawić mnie pod opieką kogoś innego, ale nikogo nie znaleźli, więc poszczęściło mi się. Musiałam pojechać do Finna.

Każdego wieczoru Finn zdejmował z półki w kuchni książkę zatytułowaną *Radość gotowania*. Unosił ją i pytał:

– To czym dzisiaj nakarmimy krokodyla?

Stukał palcem o okładkę, jakby miał zamiar zabrać się do szukania przepisów. Ale ja wiedziałam, na czym polega sztuczka. Finn wydrążył książkę i zamienił ją w tajną skrytkę, w której przechowywał karty menu z najlepszych restauracji w mieście. Wszystkie wieczory wyglądały podobnie. Przeglądaliśmy karty menu dopóty, dopóki nie znaleźliśmy tego, na co mieliśmy akurat chrapkę. Każdego wieczoru inny kraj. Tak właśnie wyglądało mieszkanie z Finnem. Nie chodziło o to, że kompletnie nie potrafił gotować. Twierdził po prostu, że woli zdać się na profesjonalnych szefów kuchni.

– Ludzie powinni zajmować się tym, co wychodzi im najlepiej, prawda, Krokodylku?

W Dzień Niepodległości spytałam, czy możemy pójść popatrzeć na fajerwerki. Finn wzruszył ramionami.

– Będę z tobą szczerą, June. Średnio mnie to kręci. Nie widzę w tym wielkiego sensu.

– Przecież jest Dzień Niepodległości.

– Niepodległości od czego?

– No, wiesz. Od Anglików.

– Powiedz mi w takim razie, co jest nie tak z Anglikami?

– Nie wiem. Nakładali na nas podatki, dobrze mówię? Zwozili tu swoją herbatę, a potem kazali sobie za nią płacić różne cła.

– Podatki to jeszcze nie koniec świata.

– Powiedz to moim rodzicom.

Parsknęliśmy śmiechem. Włosy Finna były już długie i zakładał je za uszy, ale za każdym razem, gdy się śmiał, kilka kosmyków wymykało się na wolność. Miałam ochotę wyciągnąć rękę i wsunąć je na miejsce, ale wiedziałam, że to byłoby dziwne.

– Przyjaźnię się z wieloma Anglikami, June. – Zrobił pauzę. – Jeden z moich najlepszych przyjaciół jest Anglikiem.

Spojrzał na mnie tak, jakby miał nadzieję, że zapytam go o owego przyjaciela. I prawie tak zrobiłam. To jedyny moment, jaki przychodzi mi do głowy, kiedy miałam okazję dowiedzieć się o istnieniu Toby'ego. W ciągu ośmiu lat przydarzyła się tylko jedna taka okazja. Gdybym zadała pytanie, być może Finn wszystko by z siebie wyrzucił. Ale tamten dzień nie różnił się od pozostałych. Nie miałam ochoty rozmyślać o innych przyjaciółach Finna. Chciałam wierzyć, że jest taki jak ja, że mamy tylko siebie nawzajem, więc nie spytałam. Pozwoliłam chwili przeminąć, a potem

przewróciłam oczami.

– Anglicy przestali być źli. Wszyscy wiedzą, że teraz są uprzejmi i nieszkodliwi.

Finn wyciągnął dłoń i poklepał mnie po plecach.

– Zgadza się. Idź po płaszcz. Znam pewien dach, z którego możemy popatrzeć na fajerwerki.

Tamtego ciepłego wieczoru Finn wziął mnie za rękę i wspólnie ruszyliśmy w miasto. Wiedziałam, że poci mi się dłoń, ale on nic na ten temat nie wspomniał. Gdy w zasięgu naszego wzroku pojawiało się coś ciekawego albo ktoś, kogo chcieliśmy sobie nawzajem pokazać, ściskaliśmy sobie dłonie. Niezbyt mocno, tak tylko, żebyśmy wiedzieli, że mamy na coś spojrzeć. Robiliśmy tak, odkąd sięgam pamięcią. Zazwyczaj to Finn ścisnął moją dłoń, bo zawsze dostrzegał wszystko pierwszy, i wtedy musiałam szybko się rozejrzeć, żeby wypatrzeć to, o co mu chodziło. Ale tamtego wieczoru otaczało nas tak wiele dziwacznych osób, że ściskaliśmy sobie dłonie jednocześnie, a ich wnętrza mocno do siebie przylegały. Czasami ścisnąłam go za rękę, nawet gdy nie miałam nic do pokazania, bo nie mogłam się pohamować. Patrzyłam, jak Finn podnosi wzrok, rozgląda się i w końcu posyła mi zdezorientowane spojrzenie. Wybuchalam wtedy śmiechem, a on trącał mnie ramieniem. Uwielbiałam to.

O 15:37 wsiadłam do pociągu jadącego do domu. Unosił się w nim zapach ludzi wracających z pracy – perfum, potu i papieru gazetowego – i prawie nie było wolnych miejsc. Poszczęściło mi się jednak i znalazłam dwa puste siedzenia na samym końcu jednego z wagonów. Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, ale położyłam plecak na miejscu obok, żeby nikt na nim nie usiadł.

Na kolanach trzymałam niewielki pakunek owinięty w błękitny papier z motylami. Nie otworzyłam go od razu, bo trochę strasznie było otrzymać coś od człowieka, który już nie żył. Zwłaszcza kogoś, kogo się kochało. Otwieranie prezentu od żywej osoby wydawało się wystarczająco przerażające. Zawsze istniała możliwość, że podarunek będzie do tego stopnia chybiony, tak kompletnie niezwiązany z rzeczami, które lubisz, iż stanie się jasne, że ten ktoś w ogóle cię nie zna. Byłam przekonana, że prezent od Finna nie okaże się taki. Przerażała mnie pewność, że będzie idealny – całkowicie, kompletnie idealny. A jeśli już nikt nigdy nie będzie znał mnie tak dobrze jak on? A jeśli przez resztę życia będę otrzymywać poślednie prezenty – zestawy do kąpiel, bombonierki i grube skarpety – i nigdy już nie spotkam kogoś, kto będzie o mnie wiedział tyle co Finn?

Zamknęłam oczy i przesunęłam opuszkami palców po jedwabistym papierze, a następnie tak delikatnie, jak tylko się dało, odkleiłam taśmę. Papier był drogi i solidny, więc nietrudno ją było usunąć bez pozostawiania śladów. Opakowanie miało powędrować do szafy, gdzie trzymałam wszystko, co sekretne i cenne.

Wyjęłam książkę i położyłam ją sobie na kolanach.

Kobieta w średniowieczu. Ilustrowana księga dni.

Okładka miała rdzawoczerwoną barwę i znajdowało się na niej malowidło przedstawiające średniowiecznych mężczyzn i kobiety zbierających jabłka oraz gruszki. W samym środku stała kobieta z koszem jabłek na głowie. Jedną ręką trzymała się za

brzuch, jakby zjadła zbyt wiele owoców.

Przycisnęłam książkę do podołka, bojąc się ją otworzyć, bo Finn był osobą, która zawsze umieszczała w nich dedykacje, a nie miałam ochoty rozplakać się w pociągu. Zamiast otworzyć okładkę, przerzuciłam tylko kilka środkowych stron.

Książka była ładna. Na stronach po lewej znajdowały się obrazy, a po prawej kalendarz na dany tydzień. Lipiec zawierał kobiety rzeźbiarki, kobiety piekarzy oraz parę kobiet w roli pszczelarzy. W sierpniu jakaś kobieta sprzedawała pory, trzy kobiety murarki budowały mur miejski, a kobieta chirurg wykonywała cesarskie cięcie. Na tym malowidle dziecko było już do połowy urodzone i przypominało zdeorientowaną ośmioletnią dziewczynkę, a nie noworodka, przez co cała scena robiła trochę odrażające wrażenie.

Przerzucałam kolejne strony, bo książka mi się podobała. Przyszło mi do głowy, że być może jest to najlepsza książka, jaką posiadam. Wtedy właśnie dotarłam do tygodnia trwającego od trzynastego do osiemnastego sierpnia i poczułam się, jakby po ręce przebiegł mi pająk. Po całej stronie pełzały cienkie linie odręcznego pisma Finna. Plasnęłam otwartą dłońią w zapisane przez niego słowa, po czym z trzaskiem zamknęłam książkę.

Kobieta po drugiej stronie przejścia zerknęła na mnie badawczo.

– Wszystko w porządku?

Skinęłam głową i wróciła do czytania magazynu.

Powoli otworzyłam książkę. Pismo było koszmarnie – pełne gryzmołów, nierówne.

Najdroższa June,

muszę Ci to wyznać.

Wszystko jest nie tak, jak powinno. A Tobie został sam jak palec.

Proszę, Krokodylku, uwierz mi. On jest dobry i miły.

Zaopiekuj się nim. Dla mnie.

Potrzebne mi nowe dłonie. Te się już całkiem zużyły! Jesteś to w stanie rozczytać?

Nawiedzę dla Ciebie Cloisters, jeśli będę w stanie.

Z wyrazami wielkiej miłości,

Finn

Na stronie obok znajdował się fragment francuskiego obrazu z piętnastego wieku, zatytułowanego *Pielęgniarka karmiąca chorego mężczyznę*. Pacjent leżał na łóżku w pokoju pełnym innych łóżek przykryty kocem w kolorze morskiego błękitu. Mężczyzna wyglądał dosyć kiepsko – był szary i łysy, a jedną z dłoni trzymał na piersi, jakby nie chciał przegapić momentu, w którym jego serce przestanie bić – ale pielęgniarka prezentowała się jeszcze gorzej. Wkładała mu coś łyżką do ust, a jej spanikowana twarz była jeszcze bardziej szara niż twarz pacjenta.

Zamknęłam książkę i włożyłam ją do plecaka, który następnie wsunęłam pod siedzenie naprzeciwko mnie. Przez pozostałą część podróży wyglądałam przez okno. Budynek, drzewo, samochód, samochód, mur, teren niezabudowany, furgonetka. Wytężałam wzrok, starając się wychwycić jakąś regularność. Przyszło mi do głowy, że jeśli będę patrzył wystarczająco uważnie, może elementy tego świata znowu ułożą się

w coś, co będę w stanie zrozumieć.

Czasami lubię udawać, że wyślizgnęłam się ze swoich czasów. Że tak naprawdę jestem dziewczyną ze średniowiecza, która przeniosła się do roku 1987. Mogę to robić wszędzie. W szkole, w centrum handlowym – im nowocześniejsze miejsce, tym lepiej. To dobry sposób na uświadomienie sobie, jak naprawdę wygląda świat. Ostatnim razem bawiłam się w to w supermarkecie Grand Central, gdzie kupowałam jakieś rzeczy dla mamy. Miało to miejsce dzień po mojej wizycie u Toby'ego i robiłam, co mogłam, żeby wyrzucić liścik od Finna z pamięci.

Gdy tylko wróciłam do domu z miasta, wepchnęłam *Księgę dni* w najgłębszy kąt szafy i zatrzasnęłam jej drzwi. Mój plan miał polegać na ignorowaniu jej. W końcu, gdyby udało mi się udawać, że nigdy nie przeczytałam notki, nikt nigdy by się o niej nie dowiedział.

Ale to oczywiście nie zdało egzaminu. Gdy już się wie o istnieniu jakiejś rzeczy, nie da się po prostu wymazać tej wiedzy, a obecność książki w mojej szafie była niczym pożar. Przypominała coś, co musiałam ugasić. Może sytuacja nie byłaby aż tak zła, gdyby moje wspomnienia na temat Finna nie zostały wcześniej rozszarpane na kawałki. Lub gdyby poprosił mnie o opiekę nad kimkolwiek innym, tylko nie facetem, który obrócił wszystko w pył.

Wyszłam ze szkoły z listą zakupów dla mamy w kieszeni. W Grand Central spojrzałam na sufit i przyszło mi do głowy, że wiszące pod nim lampy panelowe przypominają gwiazdy, które ktoś rozwałkował jak ciasto na pieczywo. Wózki sklepowe nadawałyby się do wożenia drewna, gdyby tylko miały większe kółka. Banany, mango i kiwi nie przypominały niczego, co widziałam kiedykolwiek wcześniej. Trzymałam akurat przed sobą banana i gapiłam się na jego woskową skórę, mamrocząc do siebie, gdy nagle tuż koło mnie pojawił się Ben Dellahunt i spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym była największą dziwaczką na świecie. Poczułam gorąco na twarzy i wiedziałam, że muszę rumienić się jak diabli.

– Czym jest ta rzecz, którą wy, Ziemianie, określacie mianem banana? – spytał głosem Pana Spocka.

Przez głowę przemknął mi milion różnych wyjaśnień. Byłam gotowa wcisnąć Benowi jakieś kłamstwo, ale zmieniłam zdanie. Jaki byłby w tym sens? Miałam poważniejsze zmartwienia. Niech Ben myśli sobie, co chce.

Obróciłam się, spojrzałam mu prosto w oczy i powiedziałam:

– Jestem dziwna. – Widziałam, że tego się nie spodziewał, bo na jego twarzy pojawił się szeroki ironiczny uśmiech. – Czasami udaję, że jestem nastolatką ze średniowiecza, która trafiła do naszych czasów i wszystko dookoła jest dla niej dziwne, nowe i niedorzeczne. Zadowolony? Skoro już wiesz, jakie ze mnie dziwadło, możesz się śmiać albo opowiedzieć o tym znajomym, albo co tylko chcesz. Śmiało. Nie krępuj się.

Zaskoczony Ben stał przede mną bez ruchu, a z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Wolno pokiwał głową, jakby był w trakcie podejmowania jakiejś decyzji.

– Brzmi fajnie – powiedział po chwili.

Odpowiedź Bena zbiła mnie z tropu i moja przelotna zadziorność rozplynęła się w powietrzu. Poczułam, że znowu się czerwienię, i starałam się nie patrzeć mu w oczy.

– A nie powinno – odparłam.

– Ach, „nie powinno”, dwa z moich najmniej ulubionych słów.

Ben był takim lamusem, że w porównaniu z nim na kilka sekund mogłam poczuć się fajna. Próbowałam dyskretnie odłożyć banana na kupkę, ale oczywiście straciłam przy tym dwa kolejne. Ben schylił się, żeby je podnieść, a potem oznajmił:

– Nic nikomu nie powiem. To nie w moim stylu.

– Dzięki.

– June? Twój wujek... Widziałem artykuł w bibliotece. – Ben na chwilę odwrócił wzrok. – On naprawdę miał AIDS?

Kiwnęłam głową. Już kilkoro dzieciaków ze szkoły pytało mnie o artykuł. Najwyraźniej byliśmy jednymi z pierwszych osób w jakikolwiek sposób związanych z tym roztrąbionym przez media tematem. A przynajmniej pierwszymi osobami, które ludzie znali osobiście, i to ich fascynowało. Gdy mnie wypytywali, w ich głosach słychać było lekki podziw. Jakby fakt, że Finn zaraził się AIDS, sprawiał, że w ich oczach stawałam się fajniejsza. Nigdy nie próbowałam tego wykorzystywać. Gdy ludzie poruszali ten temat, wydawało im się, że mówią o jakimś moim dalekim krewnym. Większość osób nie była ze swoimi wujkami w zbyt zażyłych relacjach. Nie mieli pojęcia, jakimi uczuciami darzyłam Finna. Nie rozumieli, że gdy mówią o AIDS, jakby to ono było najistotniejszą częścią tej historii – ważniejszą od Finna, mojej miłości do niego czy tego, jak w dalszym ciągu łamał mi serce w każdej sekundzie każdego dnia – mam ochotę krzyknąć.

– Przykro mi – powiedział Ben.

Tylko tyle. Nie zadawał żadnych dociekliwych pytań i byłam mu za to bardzo wdzięczna.

Następnego dnia przyszłam do szkoły ubrana we wszystkie moje staromodne rzeczy – sukienkę Gunne Sax, na którą włożyłam sweter, grube wełniane pończochy, no i oczywiście moje botki. Włosy jak zwykle zaplecione miałam w warkocze, ale tego dnia związałam je z tyłu głowy czerwoną wstążką, którą wycięłam z encyklopedii. Nie obchodziło mnie, co ludzie powiedzą. Gdziekolwiek szłam, towarzyszyła mi sporządzona przez Finna notka, która nie chciała opuścić mojej głowy, a te ubrania, to drugie wcielenie, były sposobem na ukrycie się przed nią.

Ostatnią lekcją była informatyka i gdy się zaczęła, klapnęłam na jednym z obrotowych krzesel. Niektórzy uczniowie w mojej klasie dostali pozwolenie na programowanie w Fortranie, ale ja ciągle tkwiłam w Basicu. Od tygodni projektowałam program, który po wpisaniu zwykłych liczb obliczałby procenty, ale jakimś cudem nic mi nie wychodziło. Tego dnia nie chciało mi się nawet zaczynać pracy nad programem do procentów, bo jedyne, o czym byłam w stanie myśleć, to słowa: „Zaopiekuj się nim. Dla mnie”. Wstukałam na klawiaturze jedyny program, który nigdy nie zawodził:

10 print „Co mam zrobić?”

20 goto 10

Patrzyłam jak zaczarowana na niekończący się ciąg wyrazów pojawiających się na ekranie. Czekałam w nadziei, że może komputer okaże się mądrzejszy ode mnie i zatrzyma bezmyślny wodospad słów, które zmusiłam do zalewania ekranu, i wydusi z siebie odpowiedź. Ale on oczywiście nie był w stanie tego zrobić. Wyświetlał po prostu moje głupawe pytanie, dopóki nie podszedł do mnie pan Crowther i kazał wziąć się do prawdziwej pracy.

Gdy wróciłam ze szkoły, czerwone światełko na automatycznej sekretarce informowało o dwóch nagranych wiadomościach. Rzuciłam plecak na stół i zaczęłam je odsłuchiwać. Najpierw dobiegł mnie głos mamy.

– Dziewczynki, dzwonię, żeby powiedzieć, że wracając z pracy, kupimy pizzę. Będziemy w domu około ósmej. Tak że nie przejmujcie się kolacją. Odróbcie lekcje. Niedługo wracamy. Kocham was.

Następnie włączył się głos Greta.

– Cześć. Mamo? Czy kto tam jest akurat w domu. Zjem z Megs obiad na mieście, okej? Próba potrwa przynajmniej do dziewiątej. Na razie.

Wieczorem rodzice przywieźli pizzę z pieczarkami i dużą sałatkę grecką. Obie zazwyczaj bardzo lubię, ale tym razem zamiast się na nie rzucić powiedziałam, że chyba łapie mnie przeziębienie. Najpierw zaczęli na zmianę przykładać mi dłonie do czoła, a potem pozwolili położyć się do łóżka.

Kolejną godzinę spędziłam na trzykrotnym wolnym przewertowaniu stron *Księgi dni* w poszukiwaniu innych zapisków, które powiedziałyby mi, co dokładnie mam zrobić, ale niczego nie znalazłam.

Około wpół do dziesiątej do domu wróciła Greta. Przyłożyłam ucho do ściany i usłyszałam, że włączyła piosenkę *New Year's Day* U2. Zaczęła śpiewać, więc mocniej przycisnęłam ucho do ściany. Uwielbiałam słuchać, jak Greta śpiewa, zwłaszcza gdy nie wiedziała, że ją podsłuchuję.

Wsunęłam *Księgę dni* pod poduszkę, wzięłam dwie puszki yoo-hoo, które kupiłam po szkole, i zapukałam do drzwi jej pokoju. Nie odpowiedziała, ale i tak weszłam do środka.

Greta siedziała odwrócona do mnie plecami, bo przebierała się we flanelową pizamę w szkocką kratę. Babcia Elbus zawsze przysyłała nam na Gwiazdkę identyczne flanelowe pizamy.

– Co? – spytała Greta.

– Nie wiem, chciałam tylko pogadać.

– Nie masz co zrobić z czasem, co?

– A, nieważne.

– Nie – zatrzymała mnie Greta. – Tylko się wydurniam. Zamknij drzwi.

Przymknęłam je, a potem postawiłam puszki z napojem na biurku. Przełożyłam ubrania z krzesła na łóżko, a potem usiadłam na tym pierwszym.

Greta rozpięła biustonosz i wyciągnęła go przez rękaw. Gdy skończyła się przebierać, obróciła się do mnie. Kiedy zobaczyła, że mam na sobie identyczną piżamę co ona, przewróciła oczami.

Greta była jedyną osobą, której mogłam powiedzieć o książce oraz prośbie Finna. Obgryzała paznokcie, chociaż wydawało mi się, że przestała to robić wiele lat temu, a ja siedziałam przed nią, zmagając się z decyzją, czy mogę jej zaufać.

– Podobno jutro przyjeżdża choreograf, więc całe popołudnie będziemy ćwiczyli układy taneczne – oznajmiła.

Znowu się obróciła i zaczęła szcztokować włosy.

– To dobrze czy źle?

– Ani jedno, ani drugie. Już mi wszystko jedno. – Spojrzała na mnie, a potem powiedziała: – Możesz przyjść popatrzeć, jeśli chcesz.

– No, nie wiem. To może być trochę dziwne. Jak myślisz? Jeśli nagle się tam pojawię?

Zarówno tę, jak i wszystkie inne rozmowy z Gretą zawsze cechowała pewna kruchość.

– Wcale nie. Mogłabyś dołączyć do reszty dziwaków i zająć się oświetleniem czy co tam oni robią.

– Greta?

– Co.

– Byłaś kiedyś w sytuacji, w której nie wiedziałaś, czy powinnaś coś zrobić, a nawet gdybyś zdecydowała się to coś zrobić, to i tak nie wiedziałabyś jak?

Greta przyjrzała mi się uważnie, mrużąc oczy, jakby chciała siłą wyrwać ze mnie prawdę. Następnie na jej twarzy powoli pojawił się uśmiech. Usiadła blisko mnie.

– Wiedziałaś – powiedziała, poklepując łóżko otwartą dłonią. – Masz kogoś. Wymykanie się z domu, makijaż. O mój Boże, wiedziałam, że masz jakiegoś sekretnego kochasia. Już po tobie. Jeśli mama się dowie...

– Nie mam. Wcale nie o to mi chodzi...

– June, posłuchaj. Na pewno nie powinnaś uprawiać seksu, dopóki nie poczujesz, że jesteś całkowicie gotowa. Nie żartuję. To przytrafiło się Hallie Westerveldt, młodszej siostrze Keri, wiesz? Dziewczyna będzie żałować tego do końca życia.

– Nie chodzi o seks. Naprawdę... – I nagle wybuchłam śmiechem na myśl, że Toby miałby być moim sekretnym kochasiem, tak głupi był to pomysł.

– Widzisz? Rozgryzłam cię. Wiedziałaś. Śmiech cię zdradził.

– Nie. Cicho. Nie mam żadnego chłopaka. Zresztą kto chciałby to ze mną zrobić, co? Zastanów się.

– Trafna uwaga, ale najwyraźniej ktoś ma na ciebie ochotę. Ben? Ben Dellahunt? To on, prawda? Mówił mi, że podobają mu się twoje botki.

– W takim razie może to zrobić z moimi botkami.

Obie parsknęłyśmy śmiechem.

– To obleśne, June. Obrzydliwa jesteś.

Miło było zaśmiewać się z Gretą w jej pokoju, gdy obie miałyśmy na sobie identyczne piżamy.

Ciągle jeszcze chichotałam, ale Greta przestała, a jej twarz nagle przybrała surowy

wyraz.

– June, mówię poważnie. Nie zrób niczego głupiego.

– Okej.

– Na serio. Nie żartuję.

– Okej.

– I nie obraż się, ale mogę ci pomóc w kwestii makijażu. Tobie wychodzi on trochę topornie.

Znowu się zaśmiałam.

– Dobrze – zgodziłam się.

– To na pewno wybierasz się na imprezę w przyszłą sobotę, co?

Nie miałam pojęcia, o czym mowa, więc na mojej twarzy odmalowało się całkowite zaskoczenie.

– Znowu będzie w lesie. Tak jak ostatnio. Cała obsada, techniczni, no i... Ben.

– No nie wiem.

– Oczywiście, że przyjdiesz – powiedziała.

W tamtym momencie po raz kolejny przypominała mi Gretę, którą kiedyś była. Dziewięciolatkę obejmującą mnie ramieniem, gdy miałam siedem lat i razem czekałyśmy na autobus. Elbusówny. Tak na nas mówiono. Jakby niepotrzebne nam były osobne imiona. Jakbyśmy były jedną i tą samą, nierozdzieloną osobą.

Byłam zadowolona, że nie wzięłam ze sobą książki. Greta chciała, żebym wyznawała jej normalne rzeczy. Historie o chłopakach, seksie i miłości. Coś, co mogło nas połączyć. A ja miałam do dyspozycji tylko opowieści o dziwnym mężczyźnie mieszkającym w wielkim mieście, potajemnych wypadach do Playlandu i prośbach o pomoc od zmarłych.

Poczekalnia dla aktorów mogła przyprawić o gęsią skórę. Porzucone kostiumy na wieszakach. Piwniczny zapach wilgoci. Stare, poszarpane kanapy i krzesła. Gołe żarówki dyndające z zawilgoconego sufitu. Miejsce przerażało na wiele sposobów. Ale przez cały czas trwania próby przebywało tam tak wiele strojących żarty i wygłupiających się osób, że atmosfera była daleka od ponuractwa.

Przyszłam, bo chciałam zobaczyć, jak Greta tańczy. Chciałam móc jej powiedzieć, że ją widziałam. Sama mnie zaprosiła, co było miłe. Do poczekalni zeszłam wąskimi schodkami znajdującymi się po lewej stronie sceny. Rozglądałam się, ale nigdzie nie widziałam Greta, za to dostrzegłam plecy Bena Dellahunta pochylonego nad szkolną ławkę. Miał na sobie długą czarną pelerynę z aksamitu, która wyglądała jak część kostiumu z jakiejś przeszłej sztuki, a w dłoni trzymał kostki. Potrząsnął nimi i wypuścił je z klekotem na blat.

– Trzy punkty życia!

Naprzeciwko niego siedziało z zasepionymi minami dwóch innych chłopaków z ekipy technicznej. Miałam nadzieję, że przejdę obok nich niezauważona, ale Ben mnie zobaczył.

– Hej – powiedział.

– Hej.

– Jesteś zainteresowana? – Wskazał na rozłożoną na ławce mapę pokrytą siatką współrzędnych. Byłam pewna, że ma ona coś wspólnego z *Dungeons & Dragons*.

– Nie, szukam Greta. Widziałeś ją?

Ben rozejrzał się dookoła.

– Nie.

Obróciłam się do wyjścia.

– Hej, poczekaj chwilę. – Ponownie skinął głową w kierunku gry. – Zastanów się. Mogłabyś być, kim tylko chcesz. Wilczą Królową Odległych Rubieży albo...

– Nie, dzięki... – Usłyszałam, jak głos Greta odbija się echem na schodach. – Muszę lecieć.

Wpadłam na Gretę na schodach. Podążały za nią trzy czy cztery nieznane mi dziewczyny. Wieści o możliwym udziale Greta w *Annie* zaczęły się roznosić i chociaż oficjalnie nie dostała jeszcze roli, ludzie wydawali się ją traktować, jakby już była sławna. W porze lunchu widywałam ją w stołówce otoczoną przez dzieciaki z jej klasy, zarówno chłopców, jak i dziewczęta, którzy pożerali ją wzrokiem. Nie potrafiłam stwierdzić, czy Grecie się to podoba, czy nie.

Gdy mijałam ją na schodach, upewniłam się, że mnie widzi. Chciałam, żeby wiedziała, że przyszłam zobaczyć, jak tańczy. Nie powiedziałyśmy sobie cześć ani nic w tym stylu, ale dostrzegła mnie i otarłyśmy się o siebie ramionami, gdy ja wchodziłam, a ona schodziła po schodach. Zobaczyłam, że zerka na Bena, a na jej ustach gościł przez chwilę lekki uśmiezek.

Stałam na samym końcu widowni i patrzyłam. Greta wchodziła na scenę jako ostatnia i gdy się na niej znalazła, sprawiała wrażenie niezbyt zainteresowanej tym, co robi. Jakby była kompletnie wyprana z entuzjazmu, jakby starała się nie dać z siebie wszystkiego. Być może byłam jedyną osobą, która coś zauważyła, bo i tak wypadła świetnie. Nie mogła nic na to poradzić.

– Niepotrzebne mi dzinsy. Nie znoszę dzinsów.

– Oczywiście, że ich potrzebujesz – oponowała mama. – Kto by nie potrzebował dzinsów?

Trwał weekend, w który odbywała się wielka wiosenna wyprzedaż w Macy's. Kiedyś chodzyliśmy na nią razem z mamą i Gretą. Obecnie Greta brała od mamy pieniądze i szła tam ze znajomymi. Ja natomiast nie miałam najmniejszej ochoty nigdzie iść.

Mama stanęła przed moją szafą. Pociągnęła za wieszak, na którym wisiały dwie niedbale zarzucone brązowe spódnice ze sztruksu.

– Spójrz tylko na nie. – Przesunęła dłonią po obu spódnicach. – Wyglądają, jakbyś czołgała się w nich po błocie. Jak ty je doprowadzasz do takiego stanu?

Miałam jeszcze na sobie piżamę i wtulałam się w kołdrę, kryjąc się przed wpadającymi przez okno promieniami słońca.

– Nic im nie jest – odparłam. – Są w porządku.

Mama zaczęła zagłębiać się w coraz dalsze czeluście szafy i przypominałam sobie o czajniczku, kasetach, listach i reszcie znajdujących się tam rzeczy. W przypływie paniki usiadłam na łóżku.

– Dobrze – powiedziałam.

– Co takiego?

– Pojadę.

Siedziałam na ławce, a przede mną stała mama, wpatrując się w tory. Ponieważ całkowicie osiwiła w wieku dwudziestu trzech lat, ostrzyżone na krótko włosy farbowała zawsze na głęboki kasztanowy brąz. Barwa ta pokrywała prawie całą fryzurę, z wyjątkiem cieniutkiego paska na czubku głowy, gdzie prześwitywała siwizna. Czasami miałam ochotę dotknąć tego miejsca na głowie mamy, tej wąskiej szczeliny, przez którą przeciskało się jej prawdziwe ja. W tamtej chwili, gdy chłodne promienie marcowego słońca zalewały peron, wydawało mi się, że gdybym przyłożyła tam palec, wszystko wróciłoby do normy. Nie byłoby więcej tajnych spotkań z Tobym. Duchy przestałyby mi mówić, o kogo mam się troszczyć, oraz kazać mi robić rzeczy, do których nie wiedziałam, jak się zabrać. Dziwaczne portrety przestałyby samowolnie się zmieniać w podziemnych skarbcach, a siostry nie znikwałyby już w ciemnościach nocnego lasu. Mogłabym o wszystkim zapomnieć i znowu stać się normalną dziewczyną, która jeździ z mamą do Macy's i marzy o cofnięciu się w czasie.

Wstałam i zrobiłam kilka kroków w kierunku mamy.

Uśmiechnęła się i zaczęła pocierać moje dłonie przez rękawiczki, żeby je ogrzać.

– Będzie jak dawniej, Junie – powiedziała.

Tego ranka na pociąg czekała jedynie garstka osób. Kilka rodzin. Grupa starszych dzieciaków z mojej szkoły. Jakiś mężczyzna w garniturze. Usiadłyśmy z mamą na fotelach naprzeciwko siebie. Usta pociągnęła szminką, czego prawie nigdy nie robiła. Mama nie malowała się nawet do pracy. Nakładała makijaż tylko na wieczorne wyjścia albo wycieczki do miasta. Patrzyła na mnie, jakby przygotowywała się do czegoś. W

końcu powiedziała, o co chodzi.

– Co powiesz na lunch w Horn & Hardart?

Pokręciłam głową.

– June. – Wydała z siebie przeciągłe westchnienie.

– Po prostu nie mam ochoty.

– Kochanie, wiem, że nie masz ochoty. I zdaję sobie sprawę dlaczego.

Wyciągnęła dłoń i położyła mi ją na kolanie. Miałam wrażenie, że ściany wagonu zaciskają się wokół mnie, i wiedziałam, że jestem w pułapce. Mama zwabiła mnie tu, żeby porozmawiać o pogodzeniu się ze śmiercią Finna, i nie było dla mnie drogi ucieczki.

– Skoro wiesz dlaczego, to po co chcesz mnie do tego zmusić?

– Bo jedynym sposobem na pozbycie się żalu jest stworzenie sobie nowych wspomnień. Wizyta w Horn & Hardart będzie przypominać zarzucanie cienkiego koca na wszystkie te chwile, gdy byłeś tam z Finnem. Za każdym razem, gdy tam pójdziesz, powstanie nowe wspomnienie, aż w końcu pamięć o czasie, który spędziłeś tam z Finnem, zostanie pod nimi ukryta. Rozumiesz?

– Może kiedy indziej.

– No i Cloisters. To samo dotyczy Cloisters...

Najwyraźniej mnie nie słyszała. Cloisters? Sam pomysł udania się tam z mamą był głęboko niesmaczny. Maryja z drewna brzoźowego mierząca mnie wzrokiem, wszystkie te ciasne kamienne kąty, które każde słowo potrafiły zachować na wieki. Nawet najgrubszy wełniany koc nie byłby w stanie zakryć wspomnień z czasu, jaki spędziłam tam z Finnem.

– Możemy o tym teraz nie rozmawiać? – spytałam.

– June, minął już ponad miesiąc.

Przycisnęłam plecy do oparcia. Zamknęłam oczy, skrzyżowałam ramiona na piersi i powoli wypuściłam powietrze z płuc. W końcu uniosłam powieki i spojrzałam na mamę.

– Opowiedz mi jakąś historię o tobie i Finnie. Gdy byliście dziećmi. Jedna historia i pójde do Horn & Hardart.

– Och, June... – Widać było, że od razu zaczęła myśleć o czasach dzieciństwa. Wiedziałam, że nie będzie w stanie nic na to poradzić.

W końcu mama opowiedziała mi o plaży na półwyspie Cape Cod, na którą jeździli z Finnem w wakacje, gdy byli mali. Byłam prawie pewna, że to ta sama plaża, o której mówił mi Toby. Różnica polegała na tym, że mama naprawdę potrafiła opowiadać historie. Dziadkowie budzili się późno, więc gdy tylko wstawało słońce, razem z Finnem przebiegali przez ulicę i pędzili na plażę. Promienie wschodzącego słońca oświetlały ich rozgrzane z podekscytowania policzki różowym światłem, a oni mieli całą plażę dla siebie. Wywracali cały świat do góry nogami. Udawali, że piasek to chmury, a morze to niebo. Powiedziała, że Finn znalazł kiedyś skrzypłocza wielkości melona i nawzajem się podpuszczali, żeby pomóc mu wrócić do wody.

– To był prehistoryczny stwór, June. Jakby żywcem wyjęty z jakiegoś filmu.

Widziałam, że naprawdę tam była. Wróciła do czasów tamtego lata z Finnem, gdy niebo było różowe.

– I co zrobiliście?

Mama się uśmiechnęła.

– Finn obrócił go stopą na grzbiet, a potem zaniósł go do wody niczym wielki garnek.

Pociąg toczył się dalej przez White Plains i Fordham, mijając pozbawioną okien szkołę w Harlemie oraz stację przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, na której nigdy nie miałam okazji wysiadać. Następnie wślizgnął się w jeden z mrocznych, krętych tuneli ciągnących się pod Manhattanem w kierunku dworca Grand Central.

– Dlaczego Finn przestał malować? – spytałam, nie patrząc na nią.

W mroku tunelu okna zmieniły się w lustra i gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam odbicie patrzącej na mnie mamy. Jej twarz była napięta, a światło odbijające się w szybach sprawiało, że przypominała obraz. W oknie widać było tylko jej jaskrawe usta i oczy, a skóra pozbawiona była faktury.

– Przez Toby’ego – powiedziała.

– Toby’ego?

– Obarczam tego człowieka pełną odpowiedzialnością za zniszczenie życia Finna.

– On nie może być aż tak zły. Finn nie był głupi. Nie pozwoliliby nikomu zmusić się do pożegnania się z malarstwem.

Mama skrzyżowała ręce na piersi. Siedziała w tej pozycji przez dłuższą chwilę, nie odzywając się ani słowem.

– On nie jest święty, June. Rozumiesz? Ten cały Toby wcale nie jest uosobieniem niewinności i łagodności. Pewnego dnia będziesz w stanie lepiej to pojąć. Miłość wszystko zwycięża, tak? Rodzinę, sztukę czy co tam jeszcze. Finn zakochał się w Tobym, co oznaczało, że wszystko poza nim przestało się dla niego liczyć.

Wszystko poza nim przestało się dla niego liczyć. Ja też.

– No to czemu nic na jego temat nie wiedziałam?

– Bo nie chciałam, żebyście z Gretą miały cokolwiek wspólnego z tym człowiekiem. Finn wiedział, że taki jest warunek. Jeśli chciał utrzymywać relacje ze swoimi siostrzenicami, nie wolno mu było mieszać do nich Toby’ego. Nie można zadawać się z byle włóczęgą i oczekiwać, że wszyscy naokoło będą przymykać na to oko. Nie można mieć wszystkiego. Ale Finn nigdy nie był w stanie tego zrozumieć.

Ja też nie mogłam tego pojąć. Dlaczego nie można mieć wszystkiego?

– Kazałaś mu wybrać? – spytałam.

Odwróciła się. Nie miała zamiaru mi odpowiadać.

– Zmusiałaś go...

Nie mogłam uwierzyć, że była w stanie zrobić coś takiego. Nigdy wcześniej nie widziałam, by dopuściła się czegoś podobnego. Zrobiło mi się autentycznie żal Toby’ego.

– Wystarczy. Mam już dość tej rozmowy.

– Ale...

– Tak naprawdę, June, to mnie powinno być smutno – powiedziała. – On był moim młodszym bratem. To ja się nim zajmowałam, gdy byliśmy dziećmi. Wiesz, jak to jest, gdy ma się ojca wojskowego? Co? Przenosiny od bazy do bazy. Moim zadaniem było dopilnować, żeby Finnowi niczego nie brakowało. Miałam się o niego troszczyć. Ja,

June. Nie pozwolę ci dłużej snuć się z kąta w kąt z nosem na kwintę. Twoje uzalenie się nad sobą jest niewspółmierne do przyczyny. To ja mam prawo sobie z tym nie radzić. To ja straciłam brata.

Przycisnęła dłonie do oczu.

– Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z tego, czego słuchasz każdego wieczoru w swoim pokoju? Wydaje ci się, że nie wiem, czym jest *Requiem*? Jak myślisz, kto pokazał Finnowi tę muzykę? On nie miał monopolu na wiedzę o pięknie.

Obróciła się w stronę przejścia i odbicie jej twarzy zniknęło z okna. Przycisnęłam twarz do szyby, żeby zobaczyć, co znajduje się na zewnątrz. Ściany tunelu pokryte były tak dużą warstwą brudu, że wyglądały jak porośnięte futrem. Przyszło mi do głowy, że w tego typu miejscu mogłyby żyć wilki. Tunele przypominały naczynia krwionośne w ludzkim sercu.

W końcu nie poszliśmy na lunch do Horn & Hardart. Kupiliśmy w Macy's potrzebne nam rzeczy, a potem zjadliśmy po kawałku pizzy na dworcu i pojechaliśmy do domu.

Po powrocie okazało się, że chociaż Greta wydała w całości otrzymane od mamy siedemdziesiąt pięć dolarów, do domu wróciła z jedną tylko parą dżinsów Guess, które nie były nawet z wyprzedaży, oraz około dwudziestoma czarnymi bransoletkami z gumy, które można było kupić na Trzydziestej Czwartej Ulicy.

Mama wyglądała na wykończoną.

– Nie wszystkie są przecież dla mnie – oznajmiła Greta. – Niektóre są dla June.

Greta ściągnęła z ręki kilka bransoletek i cisnęła je w moim kierunku.

– Naprawdę? – spytałam.

Mama popatrzyła na Gretę, a potem na mnie. Westchnęła przeciągle. Bardzo chciałam powiedzieć coś, co miałyby ochotę usłyszeć, bo może wtedy zmieniłaby się z powrotem w mamę, która nikogo nie zmuszała do wyboru między chłopakiem a siostrą.

Zanim zdążyłam to dobrze przemyśleć, zaszczebiotałam:

– Jutro pomagam przy sztuce. – Greta i mama jednocześnie obróciły się w moją stronę. – Greta mówiła, że potrzebują pomocy za kulisami.

– Wspaniale, June. – Mama kiwnęła do mnie głową.

Zerknęłam na Gretę i zobaczyłam, że się uśmiecha. Prawdziwym, szczerym uśmiechem.

– A potem pójdziemy do Friendly's, dobrze? – spytała Greta radosnym głosem, który dla mnie zabrzmiał sztucznie, ale mamę wydawał się zadowalać.

– Wspaniale, dziewczynki. – Mama spojrzała na nas, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. – O to mi właśnie chodziło, Junie.

Kiwnęłam głową, wpatrując się w nią być może odrobinę za długo, ale chciałam przyjrzeć się tej nowej wersji mamy.

– Okej, może pójdziecie na razie na górę, a ja zajmę się obiadem?

Gdy znalazłam się już w swoim pokoju, wsunęłam dłonie w rozciągliwe bransoletki. Z nadgarstków Grety zwisały swobodnie, ale moje ręce opinały ciasno niczym aparat ortopedyczny, który dziadek dostał po upadku z kosiarki. Ściągnęłam je jedną po drugiej i ułożyłam na biurku. Następnie schowałam je głęboko w szafie obok

czajniczka. Te bransoletki były pierwszą rzeczą, jaką otrzymałam od Greta od trzech lat, i chociaż byłam prawie pewna, że dała mi je tylko po, żeby uniknąć kłopotów, i tak miałam ochotę je zatrzymać.

Nie łamię obietnic. Jeśli przyrzeknę, że coś zrobię, traktuję to poważnie. Powiedziałam Toby'emu, że się z nim jeszcze spotkam, i tak właśnie zrobiłam. Nie było konieczne, aby po mnie przyjeżdżał. Postanowiłam wybrać się do niego w poniedziałek, bo ostatnią lekcją tego dnia był WF. Mimo że nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się urwać z lekcji – nigdy nawet nie przyszło mi to do głowy – podeszłam do pana Bingmana, położyłam sobie dłoń na brzuchu i powiedziałam, że cierpię na „kobiece sprawy”. Wszyscy wiedzieli, że pan Bingman daje się na to nabrać, i jeszcze nie skończyłam gadki, a nauczyciel wyjął już długopis i zaczął wypisywać mi zwolnienie.

Wychodząc z sali gimnastycznej, liczyłam uderzenia piłek do koszykówki opadających na gładki parkiet, oddychałam głęboko przesyconym potem powietrzem i starałam się utrzymać kamienną twarz. Nawet gdybym szła strasznie wolno, i tak miałam mnóstwo czasu na dotarcie do miasta na 14:43.

– June. Cudownie – odezwał się Toby, gdy zadzwoniłam domofonem, i zabrzmiało to szczerze. Postanowiłam wejść po schodach, zamiast jechać windą. Potrzebowałam czasu, żeby przygotować się na powtórne oględziny mieszkania. „Toby został sam jak palec. Toby został sam jak palec”. Tak sobie powtarzałam.

Gdy tylko znalazłam się w środku, zdałam sobie sprawę, że mieszkanie wygląda inaczej. Nie-Finnowo. Na stoliku do kawy stała sterta brudnych talerzy, trzy czy cztery. Popielniczka, której funkcję pełniła miska uformowana przez Finna z asfaltu („smołobetonu”, poprawił mnie ostatnim razem Toby, przewracając oczami z uśmiechem), była pełna, a żaluzje na oknach nie zostały rozsunięte.

Toby stał przede mną w swojej wymiętej rdzawoczerwonej marynarce ze sztruksu, pod którą znajdował się ten sam co ostatnio T-shirt z kośćmi dinozaura. Gdy zobaczył, że zerkam w kierunku okien, podszedł do nich i otworzył żaluzje.

– Proszę bardzo – powiedział. – O wiele lepiej, co? Siadaj.

Toby zajął miejsce na błękitnej kanapie, a ja usiadłam naprzeciwko niego na tej brązowej. Zrobił dzbanek herbaty i wypaliliśmy po papierosie, a ja zdołałam skończyć swojego, ani razu nie kaszlnąwszy. Toby wlał sobie do filiżanki trochę brandy z niewielkiej butelki. Wyciągnął ją w moim kierunku, ale pokręciłam głową. Starałam się zbytnio nie rozglądać po mieszkaniu. Nie chciałam, żeby Toby pomyślał, że próbuję zgadnąć, co należy do kogo, ale nie mogłam się pohamować. Szykowałam się do tego od kilku dni. Chciałam móc się rozglądać, nie myśląc o tym, że połowa z tych rzeczy nie należała do Finna. „Toby został sam jak palec”, powtórzyłam raz jeszcze w myślach.

– Ładne botki. – Toby skinął głową w kierunku moich stóp.

– Od Finna – odparłam odrobinę za szybko i usiadłam tak, aby spódnica zakrywała mi stopy.

Nastąpiło kilka sekund niezręcznej ciszy, po których Toby odezwał się znienacka, parodiując głos reportera. Mówił z dziwnym akcentem i udawał, że wyciąga w moim kierunku mikrofon.

– Panno Elbus, proszę zdradzić, co dokładnie fascynuje panią w średniowieczu?

Skrzyżowałam ręce na piersi i posłałam mu wymowne spojrzenie.

– Nie, serio – powiedział normalnym głosem. – Chciałbym wiedzieć.

Było to jedno z pytań, przy których całkiem głupiałam. Miałam ochotę udać, że nie dosłyszałam, ale wiedziałam, że spytałby jeszcze raz. Przez głowę przeleciały mi możliwe odpowiedzi. Zamki, rycerze, mroczne noce rozświetlone blaskiem świec, chorały gregoriańskie oraz suknie, które zakrywały stopy. Lśniące od iluminacji księgi, które mnisi musieli kopiować ręcznie oraz dekorować przepięknymi barwami.

– Może... nie wiem... Może to, że ludzie nie wiedzieli wtedy wszystkiego. Istniały rzeczy, których nikt nigdy wcześniej nie widział. Miejsca, do których nikt jeszcze nie dotarł. Można było wymyślać historie, a ludzie w nie wierzyli. Można było wierzyć w smoki i świętych. Patrzyło się na rośliny z myślą, że może są one w stanie ocalić komuś życie.

Mówiłam ze wzrokiem wbitym w dywan, bo wydawało mi się, że paplam bez sensu i Tobie będzie się ze mnie śmiać. Jednak gdy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że wcale nie. Kiwał głową.

– Podoba mi się to – stwierdził.

– Naprawdę? – Spojrzałam na niego, żeby ustalić, czy naprawdę tak myśli, i gdy byłam przekonana, że tak, zaczęłam mówić dalej. – Może jeszcze to, że nie trzeba było być chodzącą doskonałością. Nikt wtedy nie był ideałem. Wszystkim czegoś brakowało i większość ludzi nie mogła nic na to poradzić.

Toby nadal kiwał głową. Jego dłoń spoczywała na kolanie i mogłam się przyjrzeć zrogowaciałej skórze na jego palcach.

– Ale panował wtedy też brud, mrok, były szczury i zarazy...

– Racja. – Opuściłam wzrok w zamyśleniu, ale zaraz potem spojrzałam na Toby'ego z uśmiechem. – Czyli niewiele się to różniło od współczesnego Nowego Jorku.

Toby parsknął śmiechem.

– Trafna uwaga. – Pokiwał głową sam do siebie, jak gdyby nad czymś rozmyślał. – Z tym że... my mamy AIDS zamiast dżumy.

Po raz pierwszy usłyszałam, jak Toby wymawia to słowo. AIDS. Gdy je wypowiadał, odwrócił ode mnie wzrok.

– To nie to samo.

– Może nie do końca, ale...

– W ogóle. Na dżumę nie można było nic poradzić. Po prostu się pojawiała. Z niczyjej winy. – Słowa wystrzeliły z moich ust, zanim zdążyłam je zatrzymać.

Toby zaczął owijać na palcu nitkę wystającą z kieszeni marynarki. Przeszło mi przez myśl, że powinnam przeprosić, ale tego nie zrobiłam.

– June, nikt nic nie wiedział o AIDS. Rozumiesz? Gdy poznaliśmy się z Finem, nie było na ten temat żadnych informacji.

– To dlaczego cała moja rodzina uważa, że to ty go zaraziłeś? Po co mieliby opowiadać tego typu rzeczy?

Toby pochylił głowę i przymknął oczy. Zanim ponownie je otworzył, wziął głęboki oddech.

– Bo uzgodniliśmy, że tak właśnie im powiemy.

– Kto?

– Finn i ja. Głównie ja. Twoja mama założyła, że tak to wyglądało, więc postanowiliśmy nie wyprowadzać jej z błędu. Powiedziałem Finnowi, że nie mam nic przeciwko. Jeśli to ma sprawić, że poczuje się lepiej, niech sobie wierzy, w co chce.

– Ale...

– Nie myśl o tym, June. To już nieistotne.

Ale to było istotne. Prawda była istotna. Toby nie powinien był brać na siebie całej winy, skoro mogło chodzić o kóregokolwiek z nich.

– Ale po co Finn miałby...

– Ciii – powiedział Toby, przykładając do moich warg wysuszone opuszki dwóch palców. Zamarłam w bezruchu, a on powoli odsunął palce.

– Przecież...

– Mówię ci to wszystko, bo chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo kochałem twojego wujka. Bo może jeśli uda ci się to zrozumieć... nie będziesz mnie aż tak bardzo nienawidzić. Finn był taki jak ty, chciał mówić prawdę, chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że wina nie leży po niczyjej stronie. Ja mu to wyperswadowałem. Kochałem go, June. A skoro wzięcie na siebie odpowiedzialności miało ułatwić Finnowi życie, byłem na to gotowy. Daj już spokój, dobrze? Żadna z tych rzeczy już od dawna nie ma znaczenia. Zgoda?

Nic nie odpowiedziałam.

– Proszę. Finn by tego chciał. Naprawdę.

Skąd możesz wiedzieć, czego chciałby Finn? – pomyślałam. Wzruszyłam jednak ramionami i odparłam:

– Niech będzie.

– Dobrze. – Odwrócił wzrok i wyjrzał przez okno.

Miałam wrażenie, że zaraz się rozpłaczę. Nie wiedziałam dlaczego. Powodem nie była szlachetność i dobroć Toby'ego. Ani to, że prawdopodobnie nikt poza mną nigdy nie pozna prawdy. Nie chodziło też o fakt, że gdy w końcu miałam coś ważnego do przekazania Grecie, okazywało się, iż nikomu nie mogłam zdradzić owego sekretu. Pozwoliłam zwierzęcemu smutkowi owinąć się wokół moich ramion i czekałam, aż wyjawi mi przyczyny swojej obecności. I tak właśnie zrobił. Podpełził mi do ucha i szepnął:

On kochał Finna mocniej niż ty. Tak właśnie powiedział i wiedziałam, że to prawda. Czułam, jak w piersi zaciska mi się lodowaty węzeł. Nie jestem zazdrośnicą. Nie jestem zazdrośnicą. Nie jestem zazdrośnicą – powtarzałam w myślach raz za razem, starając się zapanować nad tempem oddechu. Spojrzałam na Toby'ego.

– A czy Finn kiedykolwiek namalował twój portret? Momentalnie uświadomiłam sobie, jak żałośnie, niewłaściwie i wrednie to zabrzmiało. Toby chyba nie usłyszał złośliwości w moim głosie, bo uniósł palec wskazujący i kazał mi chwilę poczekać. Następnie zerwał się z kanapy i zaczął buszować w ukrytej szufladzie biurka, dopóki nie znalazł klucza. Uniósł go z uśmiechem.

– Jeszcze nie byłeś w piwnicy, prawda?

Toby się nie mylił. Jeszcze nigdy nie byłam w piwnicy budynku, w którym mieszkał

Finn. Ale mama była. W niektóre niedziele, gdy Finn nas malował, robiła dla niego pranie. Wracała stamtąd, kręcąc głową i powtarzając, że nigdy więcej.

– Ta piwnica wygląda jak scenografia z horroru – oznajmiła kiedyś. Toby włożył klucz do kieszeni.

– I co z tą piwnicą? – spytałam.

– Chodź ze mną. – Przyzywał mnie gestem obu rąk niczym jakiś patykowaty Svengali¹.

– No, nie wiem. A co, jeśli mi się nie chce?

– Zechce ci się. Obiecuję. Są tam zamykane na klucz schowki. Oddzielne dla każdego mieszkania. Przypominają wielkie klatki do przechowywania rzeczy. Chodź ze mną.

W głowie pojawiła mi się wizja bycia zamkniętą w klatce w upiornej piwnicy. Tak naprawdę to nawet nie znałam Toby'ego. Nie do końca. I sam przecież przyznał, że był o mnie zazdrosny. Może zamknie mnie w schowku i nikt nigdy nie odkryje, gdzie się podziałam.

Toby bezradnie opuścił ramiona, przechylił głowę na bok i najżałośniejszym z możliwych tonów powiedział:

– Proszę.

Chwilę później się ożywił.

– Słuchaj, June, poważnie: nie pożałujesz.

Myślałam o tym przez kilka sekund i doszłam do wniosku, że prawdziwy psychol nie wspomniałby o klatce. Prawdziwy psychol zwabiłby mnie na dół, mówiąc, że trzyma w piwnicy szczeniaczki czy coś w tym stylu.

– Okej – zgodziłam się. – Ale ty będziesz szedł pierwszy i chcę mój płaszcz.

Potrzebowałam płaszcza, bo było w nim pióro do pisania i gdyby doszło do najgorszego, zawsze mogłam dźgnąć nim Toby'ego.

Wyrzucił dłonie do góry.

– Żaden problem.

Toby wcisnął guzik z literą „P” i pojechaliśmy do dołu. W ciasnej przestrzeni windy czułam stęchły zapach papierosów, ale pod nim kryła się przyjemnie świeża woń mydła.

– Nie pożałujesz – powtórzył jeszcze raz Toby, gdy winda zatrzymała się ze szcękaniem i rozsunęły się drzwi. Wszedł, a ja podążyłam za nim. Rozejrzałam się dookoła i zrozumiałam, że mama miała rację. Piwnica faktycznie przypominała scenografię do horroru. Wąski korytarz prowadzący do windy oświetlony był nagimi żarówkami zwisającymi z sufitu. Miejsce pachniało rozgrzanym kurzem, a z pożółkłych ścian opadał tynk. Po drodze widziałam, że od głównego korytarza odchodzą mniejsze, prowadzące donikąd tunele oraz pomieszczenia. W niektórych leżały brudne materace, jakby mieszkali tam jacyś ludzie. Patrzyłam przez ramię, jak drzwi windy zamykają się z trzaskiem, a chwilę później ona sama opuszcza piwnicę, trzęsąc się i poskrzypując.

Spojrzałam na ramiona idącego przede mną Toby'ego i zaczęłam doceniać fakt, że był tu ze mną. Nie żeby Toby mógł służyć wielką pomocą, w razie gdyby w piwnicy czaił się psychopata, ale i tak pokrzepiała mnie świadomość, że zostałam posiekana na kawałki w czyimś towarzystwie.

Przeszliśmy przez pralnię. W suszarce kotłowały się ubrania, ale w pomieszczeniu nie było nikogo.

– Tędy – powiedział Toby.

Skręciliśmy za róg i weszliśmy do długiego pokoju, w którym pod jedną ze ścian stały sięgające sufitu, zamykane na kłódkę klatki z siatki drucianej. Każda z nich miała jakieś trzy metry szerokości i była dosyć głęboka, a dodatkowo z sufitu zwisały żarówki. Podążyłam za idącym wzdłuż rzędu klatek Tobym, zerkając na rzeczy, jakie trzymali w nich ludzie. Większość z nich była po brzegi wypełniona rowerami, pudłami i krzesłami. W jednej siedział wypchany lis, który patrzył prosto na mnie, gdy go mijalam. W kolejnej znajdowało się ze dwadzieścia różnych klatek dla ptaków. W jeszcze innej dostrzegłam trzy wysokie pod sufit stopy nieotwartych pudełek z zupą pomidorową firmy Campbell.

Toby zatrzymał się przed klatką z napisem „12H”. Stałam obok niego i zmrużyłam oczy, żeby lepiej ją widzieć. Wszystkie boki zasłaniały od środka kotary z aksamitu burgundowej barwy, uniemożliwiając zajrzenie do wnętrza. Toby wyjął z kieszeni klucz.

– To może chwilę potrwać... – powiedział, wsuwając klucz do zamka.

– Co to właściwie jest? – spytałam i pokazałam na kotarę.

– No, gotowe. – Toby otworzył kłódkę, a następnie zdjął ją z drzwi klatki. Spojrzał we wskazanym przeze mnie kierunku.

– To dla zachowania prywatności – wyjaśnił. – Daj mi jeszcze chwileczkę.

Wszedł do środka, a ja czekałam na zewnątrz. Słyszałam, jak zapala zapałkę, a potem dotarł do mnie zapach wskazujący na to, że została zdmuchnięta. Zbliżyłam się do drzwi. Stałam tam przez kilka kolejnych sekund i już zaczynało mi to działać na nerwy, gdy nagle piwnicę wypełniło echo metalicznego dźwięku przypominającego odgłos uchylania wielkich drzwi. Po nim rozbrzmiały kolejno syk i głośne uderzenie.

Musiałam wydać z siebie cichy jęk, bo Toby wystawił głowę na zewnątrz.

– To tylko piec do spalania śmieci po drugiej stronie budynku. Nie bój się.

– Wcale się nie boję – powiedziałam, chociaż było to kłamstwo. Podeszłam do drzwi klatki i odsunęłam kotarę.

– Mogę wejść?

Podał mi dłoń, której nie przyjąłam, i wkroczyłam do środka.

– O rany.

Nie zamierzałam ulec wrażeniu, jakie zrobiło na mnie pomieszczenie, ale byłam absolutnie zaskoczona. Wnętrze nie przypominało w niczym klatek, które wcześniej mijaliśmy. W ogóle nie wyglądało jak schowek. Wydawać by się mogło, że wchodzę do wiktoriańskiego salonu. Zamiast nagiej żarówki z sufitu zwiisał mały kryształowy żyrandol. Na podłodze leżał wytarty orientalny dywan niebiesko-zielonej barwy, na którym stały dwa stare tapicerowane krzesła oraz szezlong obity zielonym aksamitem. Pod jedną ze ścian stał niewysoki regał na książki z ciemnego drewna, wypełniony małymi książkami w czerwonym półskórku, a na jego szczycie migotał krótki płomyk przysadzistej świecy. Znajdowały się tam również dwa stoliki, których nogi zakończone były lwimi łapami. Na jednym stała ciemnoniebieska szklana misa wypełniona miniaturowymi batonikami, a na drugim zestaw kryształowych karafek, jakie czasem

spotyka się w domach bogatych ludzi. Na dnie każdej z nich znajdowało się troszeczkę alkoholu i Toby nalał sobie teraz odrobinę do kryształowej szklanki.

– Siadaj – powiedział z uśmiechem.

Zastanawiałam się, czy to wszystko zawsze tutaj było. Za każdym razem, gdy odwiedzałam Finna. Kolejny sekret, którym nie raczył się ze mną podzielić. Nagle zrodziła się we mnie nadzieja, że może Toby zaaranżował wnętrze schowka po śmierci Finna.

– Co to za miejsce? – spytałam.

– To dzieło Finna. Określał je mianem aneksu.

Nie chciałam, żeby Toby dostrzegł wyraz mojej twarzy, więc podeszłam do regału. Przykucnęłam i odkryłam, że każda z czerwonych książeczek to przewodnik dotyczący określonej tematyki: morskiej fauny i flory, dzikich kwiatów, drzew, kamieni szlachetnych. Były piękne. Wyjęłam książkę o ssakach i szybko przekartkowałam jej sztywne strony o złotych krawędziach, nawet na nie nie patrząc. Trzymałam książkę w dłoni obrócona plecami do Toby'ego i czułam, jak paznokiec mojego kciuka rysuje skórzany grzbiet. Przesuwałam nim w jedną i drugą stronę, dopóki nie nabrałam pewności, że śladu nie będzie się dało usunąć.

Słyszałam, jak Toby podnosi się i staje tuż za mną.

– Przesiadywałam tutaj, gdy przyjeżdżaliście z wizytą – oznajmił. – Naturalnie nie zawsze, tylko w sytuacji, gdy wracałam do domu i nie byłem pewny, czy już wyszłyście. Finn stworzył to miejsce w tym właśnie celu.

Finn ukrywał swojego tajemniczego chłopaka w piwnicy? Być może żałowałabym Toby'ego, gdyby pomieszczenie nie było aż tak piękne. Gdyby fakt, że mogło zostać stworzone wyłącznie dla kogoś, kogo naprawdę się kochało, nie był bezsprzecznie oczywisty. Myślałam o wszystkich chwilach, gdy znajdowałam się w mieszkaniu na górze, i te wspomnienia mieszały się teraz z wizją czającego się tutaj Toby'ego. Przez cały czas był dokładnie przede mną. Przypominały mi się sesje malowania portretu, popołudnia w Cloisters, długi weekend z Dniem Niepodległości. Przecież nie mógł spędzić aż tyle czasu w piwnicy, prawda?

Zdałam sobie sprawę, że to wszystko wina mamy. Gdyby nie ona, żaden podziemny aneks nigdy by nie powstał. Od początku znałabym i Finna, i Toby'ego. I co wtedy? Pewnie nigdy nie udałoby mi się być z Finnem aż tak blisko. Nigdy nie przysłoby mi do głowy, że mogę być dla niego najważniejszą osobą na świecie. Nigdy nie pozwoliłabym mu wkraść się do swojego serca, tak jak to miało miejsce. Nigdy nie stałabym się żalowaną dziewczyną, która obecnie rozpaczała, że Finn nie stworzył sekretnego pomieszczenia właśnie dla niej.

– W każdym razie – odezwał się Toby – pytanie brzmiało: czy Finn namalował mój portret. Po to tu zeszliliśmy, zgadza się? Zajrzyj więc za to szesz-coś tam.

Wcisnęłam się we wskazane miejsce, nawet nie zerknąwszy na Toby'ego. Na podłodze leżała drewniana paleta przykryta białym prześcieradłem. Wiedziałam, co było pod spodem, nawet bez unoszenia go. Wielka sterta obrazów Finna. Zastygłam w bezruchu.

– Śmiało – zachęcił Toby.

Pochyliłam się, żeby unieść prześcieradło, ale nie byłam w stanie. Nie potrafiłam

stawić czoła kolejnej cząstce Finna, której nigdy wcześniej nie widziałam.

Pokręciłam głową.

– Może innym razem.

Toby przytaknął, jakby faktycznie rozumiał.

– W porządku – powiedział, niepewnie kładąc mi dłoń na ramieniu. – Kiedy tylko będziesz gotowa.

Gdy obróciliśmy się w kierunku wyjścia, dostrzegłam coś, co wyglądało jak miniaturowa scena opatrzona kurtyną z niebieskiego aksamitu. Miała nogi, więc wznosiła się na wysokość mojej klatki piersiowej, i wyglądała na antyk.

– Co to jest?

– Stary pchli cyrk. Są takie chwile w życiu, gdy żadną pracą się nie gardzi.

Zaśmiałam się po raz pierwszy tego popołudnia, bo ta uwaga zabrzmiała jak coś, co mówi się o kelnerowaniu czy byciu śmieciarzem. Nie pasowało mi to do prowadzenia pchlego cyrku.

– Jest twój?

– Tak, rozstawiałem go w parkach. A czasami w lunaparkach.

– A pchły?

Toby się uśmiechnął.

– Oczywiście, były też pchły. Moi mali kumple.

– No to... gdzie one teraz są?

– Kto?

– Te pchły.

Toby spojrział na mnie w dziwny sposób. Jakby próbował coś wymyślić.

– Usiądź – powiedział.

Super. Zapowiadało się na jakiś niewiarygodnie głupkowaty występ, który będę musiała przesiedzieć z uśmiechem na ustach. Zastanawiałam się, czy Toby schodził tutaj, żeby karmić pchły, i czy miały specjalną klatkę dopasowaną do swoich rozmiarów oraz maleńką miseczkę na wodę.

– Tylko nie skrzywdź ze względu na mnie żadnej pchły – powiedziałam, przechylając głowę, żeby zobaczyć, co robi Toby.

– Za kogo ty mnie masz?

Rzecz w tym, że nie wiedziałam, kim jest Toby. W dalszym ciągu nie miałam pojęcia, co o nim myśleć.

Przekręcił platformę w moim kierunku. Wyglądała jak cyrk o trzech arenach, który się skurczył. Były w nim maciupkie drabinki i rowerki. Z rozciągniętej między dwoma stanowiskami liny zwisał koślawy miniaturowy trapez. Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu, gdy Toby wszedł w rolę prestidigitatora. Trapez zaczął się kołysać, a rowerek ruszył wolno po obrzeżach sceny. Toby przez cały czas łagodnie komenderował pchłami, a gdy robiły to, o co prosił, oznajmiał im, że są cudowne, i zasypywał je niekończącymi się komplementami.

– *Bellissimo!* – wołał. – Brawo!

Po jakimś czasie powiedział, że mogą udać się na odpoczynek, a mnie poprosił o owację.

Kilka razy lekko klasnęłam w dłonie, a następnie objęłam się rękami.

– Tam nie ma żadnych pcheł, prawda?

Toby obdarzył mnie psotnym uśmiechem.

– Nie, June. Nie ma pcheł. To taka sztuczka. Kuglarstwo.

– To musisz być osobą o niewiarygodnie zręcznych dłoniach.

Nie byłam pewna, czy chciałam, żeby to zabrzmiało aż tak drwiąco, ale Toby po raz kolejny chyba nie rozpoznał tonu mojego głosu. A nawet jeśli go wyczuł, najwyraźniej nic sobie z niego nie robił.

– Niezupełnie – powiedział. – No, może tylko jeśli chodzi o durnowate sztuczki. Nie potrafię pisać, malować ani rysować. Nie umiem robić nic pożytecznego. Mam tylko zręczne dłonie. Spójrz na całą resztę mnie. Jestem największym niezdarą na świecie.

– Trochę jak superbohater z tylko jedną mocą.

– Za dużo powiedziane. A co z tobą? Na czym polega supermoc June Elbus?

Zaczęłam myśleć o swoim ciecie, począwszy od głowy, a na palcach u stóp skończywszy. Przypominało to czytanie najnudniejszej części katalogu Searsa. Przeglądanie stron z akcesoriami łazienkowymi. Nudny mózg. Nudna twarz. Zero seksapilu. Niezdarne łapska.

– Serce. Twarde serce – oświadczyłam, chociaż sama nie byłam pewna, skąd wziął się ten pomysł. – Najtwardsze serce świata.

– Hmm – zamruczał Toby, stukając palcem w powietrze. – Wiesz, to może być przydatne. Nawet bardzo. Pytanie tylko... – Toby zrobił pauzę, jakby na poważnie się zastanawiał nad moimi słowami.

– Jakie znowu pytanie?

– Pytanie brzmi: czy jest z kamienia, czy z lodu? Czy da się je rozbić na kawałki, czy roztopić?

Toby niespiesznie składał wszystkie, najdrobniejsze nawet elementy pchłego cyrku. Kiepsko mu wychodziło utrzymywanie czystości w mieszkaniu, ale najwyraźniej dokładał wszelkich starań, żeby pchłemu cyrkowi zapewnić schludne warunki przechowywania. Rozmyślałam nad tym, ile razy musiał schodzić tutaj na pogawędkę z niewidzialnymi pchłami, gdy ja pojawiałam się na górze u Finna. Zastanawiałam się też, czy Finn kupił mu ten cyrk oraz czy Toby mnie nienawidzi. Może nie cierpi całej mojej rodziny. Nie mogłabym go za to winić. Zamknął wieko pudełka, a potem umieścił zardzewiałą zasuwkę w skoblu.

– Jak poznałeś Finna? – spytałam.

Toby zmarszczył brwi. Upił łyk whisky, a następnie zastukał palcem o krawędź kryształowej szklanki.

– To nie było nic ciekawego. Na zajęciach plastycznych.

Wstał, podszedł do regału i obrócił się do mnie plecami. Przesunął dłonią po grzbietach czerwonych przewodników.

– Finn mówił, że często chodziliście razem do Cloisters.

Widziałam, że próbuje zmienić temat, i nie miałam ochoty mu na to pozwolić.

– Myślałam, że nie zajmujesz się sztuką – powiedziałam.

– Nie, nie mam predyspozycji. To był tylko pojedynczy kurs. To wszystko. Powiedz lepiej, co mają ciekawego w Cloisters.

– Nigdy tam nie byłeś?

Pokręcił głową.

Szybko się obróciłam, żeby nie zobaczył, że się uśmiecham. Nie chciałam, by się zorientował, jakim szczęściem napawa mnie fakt, że Finn zarezerwował to wyjątkowe miejsce tylko i wyłącznie dla mnie.

– No dalej – powiedział Toby. – Powiedz, jak tam jest. Chcę wiedzieć.

– Naprawdę?

Toby lekko skinął głową, a ja zaczęłam odświeżać w głowie obraz Cloi s ters.

– Z zewnątrz nie wygląda może zbyt ciekawie. Takie jest pierwsze wrażenie. Ale po wejściu do środka można się poczuć, jakby nie było się w Nowym Jorku. Ani nawet w Ameryce.

Powiedziałam, że w chwili przekraczania bram ma się uczucie, jakby się było przenoszonym prosto w wieki średnie. Opisałam szerokie, zaokrąglone stopnie prowadzące do głównego krużganka oraz mury zrobione z wielkich kamiennych bloków niczym w zamku. Toby usiadł po turecku na dywanie i słuchał mojego opisu ogrodu ziołowego na dziedzińcu, wypełnionego miodunką, przestępem, żywokostem i krwawnikiem.

W wyobraźni spacerowałam tam z Finnem, który rozcierał w palcach liście roślin, żeby wydobyć z nich zapach. Objaśniał mi zasadę, wedle której Bóg miał oznaczyć każdą używaną w medycynie roślinę tak, aby dało się rozpoznać, co jest w stanie uleczyć. Czerwone – choroby krwi. Żółte – żółtaczkę. Inne rośliny, których nazw już nie pamiętam, miały korzenie przypominające kształtem hemoroidy, nerki albo serce. Finn uważał, że to jedna wielka bzdura, ale pomysł był fajny. Miło było wyobrazić sobie, że ktoś zostawia światu swój znak. Nie opowiedziałam Toby'emu o chwilach spędzonych w Cloisters z Finnem. Ograniczyłam się do opisu mocnych, pełnych wdzięku łuków przejść sklepionych z kamienia, brukowanych ścieżek i arrasów z niewiarygodnym mnóstwem szczegółów. Ani słowem nie wspomniałam o Finnie, ale i tak, gdy opuściłam wzrok, zobaczyłam, że oczy Toby'ego są wilgotne od łez.

– O co chodzi?

Otarł oczy i spróbował się uśmiechnąć.

– Nie wiem – powiedział i zaśmiał się lekko. – Chyba o wszystko.

I wtedy poczułam, jak serce mi mięknie, bo dokładnie rozumiałam, jak czuje się Toby. Wiedziałam, jak to jest, gdy dosłownie wszystko przypomina o Finnie. Pociągi, Nowy Jork, rośliny, książki, miękkie, słodkie czarno-białe ciasteczka, jakiś facet grający w Central Parku polkę na skrzypcach i harmonijce jednocześnie. Nawet rzeczy, których nie widziało się razem z Finnem, przypominały o nim, bo był jedyną osobą, której chciałoby się je pokazać. „Spójrz na to”, chciało się powiedzieć, bo wiedziało się, że on znajdzie sposób na dostrzeżenie w nich czegoś cudownego. Tylko po to, żeby pozwolić ci poczuć się jak najbardziej spostrzegawcza osoba na świecie, bo udało ci się to coś wypatrzeć.

Usiadłam na podłodze obok Toby'ego, na tyle blisko, że nasze ramiona prawie się stykały. Siedzieliśmy tak dosyć długo i żadne z nas nie odezwało się ani słowem, aż w końcu Toby przełamał ciszę.

– Wiesz, że zawsze możesz do mnie zadzwonić, gdybyś czegoś potrzebowała,

prawda? Czegokolwiek.

Skinęłam głowę.

– Zawsze to powtarzasz.

– Bo chcę, żebyś wiedziała, że to prawda. Nie mówię tego tylko z grzeczności. Możesz do mnie zadzwonić tak, jak zadzwoniłabyś do Finna. Żeby pogadać czy w jakimkolwiek innym celu.

Powiedziałam, że mu wierzę, ale ton mojego głosu musiał zdradzać, iż nie miałam zamiaru nigdy do niego dzwonić. Nie był Finnem. I mimo że jego słowa brzmiały serio, odnosiłam wrażenie, że tak naprawdę mówi to jednak przez grzeczność.

– Chyba muszę już iść – powiedziałam.

Toby zaproponował, że odprowadzi mnie na dworzec Grand Central. Podczas naszego pobytu w piwnicy zmieniła się pogoda. Gdy wychodziłam ze szkoły, dało się dostrzec zaledwie kilka chmur, ale kiedy opuszczaliśmy budynek Finna, całe niebo było już czarne. Po tym, jak przeszliśmy parę przecznic, spadły na nas pierwsze krople rześistego deszczu.

– Cholera – powiedział Toby. – Nie mam parasola.

Skryliśmy się w delikatesach w nadziei, że uda nam się przeczekać ulewę, ale gdy po raz trzeci krążyliśmy między półkami, facet za ladą spytał, czy może nam w czymś pomóc. Toby powiedział, że szukamy miętówek, a wtedy ekspedient mocno zacisnął wargi i wskazał na stojak ze słodyczami znajdujący się tuż przy kasie.

Ruszyliśmy do centrum w deszczu, ssąc ostre korzenne miętówki, których wcale nie mieliśmy zamiaru kupować. Gdy smak zaczął się robić zbyt pikantny, chciałam wypluć cukierek, ale się powstrzymałam. Pomyślałam, że dobrze jest czasami poddać się próbie, żeby wiedzieć, ile jest się w stanie znieść.

Toby poprosił mnie o historię związaną z Finnem. Przez kilka sekund wahałam się z podjęciem decyzji, ale w końcu opowiedziałam mu, jak kiedyś w Święto Dziękczynienia, gdy cała rodzina oglądała mecz w telewizji, wymknęliśmy się z Finnem z domu do lasu, w którym się zgubiliśmy.

– Poszliśmy tam tylko we dwójkę, bo nie znosiliśmy futbolu – wyjaśniłam.

Opisałam Toby'emu wspaniały zapach lasu oraz niewielkie ognisko, które Finn rozpalił przy użyciu samych patyków, i jak siedzieliśmy przy nim przytuleni, a on tłumaczył mi, co znaczą łacińskie słowa w części *Requiem* Mozarta zatytułowanej *Lacrimosa*, a potem śpiewaliśmy ją w kółko drżącymi głosami, dopóki nie nauczyłam się jej na pamięć. Powiedziałam, że Finn chciał zostać tam na zawsze i nigdy już nie wrócić do miasta, ale wiedział, że to niemożliwe. Ruszyliśmy po własnych śladach do domu i zdaliśmy sobie sprawę, że wcale się nie zgubiliśmy. Po powrocie mama podała nam dwa ocalone przez siebie kawałki ciasta dyniowego z bitą śmietaną, które zjedliśmy, nie zdradzając nikomu, gdzie byliśmy.

– Hmmm. Niezła historia, June.

– Aha.

Toby zaczął opowiadać, jak Finn postanowił kiedyś pójść w przebraniu na wystawę swoich prac, żeby posłuchać, co mówią o niej ludzie. Toby strasznie przynudzał i zaczynałam odpływać, gdy nagle mój wzrok przykuł okrągły, lśniący kształt śliskiego

od deszczu włązu studzienki kanalizacyjnej i zatrzymałam się na środku chodnika.

Toby poszedł dalej.

– Hej! – zawołałam do niego. – Co wiesz o czarnych guzikach na portrecie?

Był kilka kroków przede mną, ale usłyszał mnie i przystanął. Przez parę sekund stał bez ruchu obrócony do mnie plecami. W końcu odwrócił się z błagalną miną. Wineę i zażenowanie miał wypisane na twarzy i widziałam, że dobrze wie, o czym mówię.

Przesunął mnie na bok, żebym znalazła się pod niewielką markizą wystającą z budynku, podczas gdy sam dalej stał w deszczu. Kilkakrotnie mnie przeprosił, zanim w końcu wyjaśnił, co się stało.

– No dobrze – powiedział, jakby podjął właśnie jakąś decyzję. Zrobił długi, powolny wydech. – To dla mnie niełatwe.

Szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę chodnika, po czym obrócił się na pięcie i wrócił.

– Nie musisz mi niczego mówić – powiedziałam, chociaż myślałam coś dokładnie przeciwnego.

Przez chwilę zdawał się to rozważać, a potem potrząsnął głową. Raz jeszcze odszedł ode mnie, a następnie wrócił, zanim cokolwiek z siebie wydusił.

– Okej, no cóż... Portret wygląda dobrze, prawda?

Skinęłam głową.

– Ale Finn wcale tak nie uważał. „Musi być idealny. Więcej detali. Musi mieć więcej detali”. Bez przerwy to powtarzał. Kazał mi go przynieść. Postawić obok łóżka. Prawie nic już nie widział, z trudem podnosił głowę. Gdybyś tylko mogła go wtedy zobaczyć... O niczym innym nie był w stanie rozmawiać. Rozumiesz teraz? Musiałem obiecać. Powiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy. Sprawię, że będzie idealny.

Toby zwiesił głowę.

– To wszystko. Teraz już wiesz.

Przypomniałam sobie te niezgrabne guziki i nawet ja nie byłam w stanie uwierzyć, że Toby mógłby sądzić, iż portret wygląda dzięki nim lepiej. Musiał dostrzec moją minę, bo od razu powiedział:

– Tak. Wiem. Całkiem je schrzaniłem. Ale nie wiesz, jak to wyglądało. Tamtego popołudnia byliśmy tam we dwóch, a potem... potem zostałem sam. – Z jego twarzy mogłam wyczytać, że wraca pamięcią do tamtego dnia. – Zrobiło się tak strasznie cicho i pomyślałem, że chciałbym choć jedną rzecz zrobić jak należy. Jedną rzecz... a nawet tego nie byłem w stanie załatwić. Nawet tych czarnych guzików.

Serce waliło mi jak młotem, bo nie byłam w stanie powstrzymać się od wyobrażenia sobie, co tamtego dnia działo się w ich mieszkaniu. Finn nagle przestaje się ruszać i odchodzi. Toby jest zrozpaczony i roztrzęsiony. Przygryzłam wargę, ponieważ czułam, jak drga mi kącik ust, co oznaczało, że zaraz zacznę płakać, a nie chciałam tego robić przy Tobym. Krople deszczu skapywały mi z mokrych włosów na twarz, a ciemne oczy Toby'ego wpatrywały się we mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. Nie chciałam się rozpłakać, ale łzy i tak pojawiły się zniemacka i nie dało się ich powstrzymać.

Ruszyłam przed siebie, lecz chwilę później zawróciłam. Postanowiłam przestać walczyć z łzami, stanąć pod markizą na Madison Avenue i pozwolić, żeby Toby zobaczył mnie w tym stanie. Niech zrozumie, że tęsknię za Finnem równie mocno jak

on. A gdy tylko zaczęłam płakać, nie było już odwrotu. Wylało się ze mnie wszystko, co nosiłam stłamszone i ciasno zwinięte w kulkę w samym środku serca. Stałam na Madison Avenue, trzęsąc się i zanosząc płaczem na oczach Toby'ego, i czekałam, aż ucieknie albo wepchnie mnie do taksówki, ale nic takiego nie zrobił. Podeszedł do mnie, objął swoimi długimi rękoma i oparł moją głowę o swoje ramię. Staliśmy w tej pozycji, aż poczułam, że on także płacze. Tamtego popołudnia stukot miętówki o zęby Toby'ego, pisk hamulców samochodów oraz odgłos kropel deszczu uderzających o płótno nad naszymi głowami dołączyły do niskich dźwięków naszych szlochów, tworząc jedyną w swoim rodzaju muzykę. Całe miasto przemieniło się w chór śpiewający o naszym smutku i po jakimś czasie prawie poczułam się lepiej i zaczęłam odczuwać ulgę.

Gdy się od siebie odsunęliśmy, nie byłam w stanie spojrzeć Toby'emu w oczy.

Usłyszałam, jak szepcze:

– Wybacz. Potem dodał:

– Nie jestem artystą, June. Bardzo cię przepraszam... za wszystko. Wzruszyłam ramionami tak lekko, jak tylko się dało, a potem wyplułam miętówkę na dłoń i cisnęłam ją na chodnik.

– Są ohydne – powiedziałam. Toby się uśmiechnął.

– Racja – przyznał, ale swojej nie wypluł. Trzymał ją dalej w ustach, gdzie musiała parzyć go w język, dopóki się nie rozpuściła.

Był późny wieczór tego samego dnia. Wszyscy w domu już dawno poszli spać. Siedziałam na podłodze w kuchni z otwartą *Księgą dni* na podolku. Szeptalam w słuchawkę telefonu, osłaniając ją dłonią.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że wszystko zmyśliłam.

– A... tak. Co takiego? – Głos Toby'ego brzmiał półprzyciemnie, jakbym zbudziła go z głębokiego snu.

– Moją opowieść. O Finnie. Nie była prawdziwa.

– A, to ty, June. Cześć. Która jest godzina?

– Późna. Przepraszam, że cię zbudziłam.

– Nie spałem. Odpoczywałem tylko w towarzystwie brandy.

Zaśmiałam się przez zamknięte usta, starając się nie wydać z siebie dźwięku. Sięgnęłam ręką do szafki sąsiadującej ze zmywarką do naczyń. Tej wąskiej, która pełniła dla moich rodziców funkcję barku. Szperałam w niej, dopóki nie znalazłam brandy. Postawiłam butelkę na podłodze i delikatnie zastukałam palcem o zakrętkę.

– W każdym razie nadal jestem ci winna historię.

– Jesteś pewna, że twoja opowieść była zmyślona? Jeśli chodzi o mnie, to uwierzyłem w każde słowo.

Uśmiechnęłam się, chociaż przyszło mi do głowy, że Toby może się ze mnie nabijać.

– No coś ty.

– Nie, serio. Świetnie operowałaś szczegółem. Dałem ci najwyższe noty – Toby mówił szeptem, mimo że był zupełnie sam.

Przez kilka sekund milczeliśmy, a potem Toby powiedział:

– Wiesz, nie ma sprawy, June. Wcale nie musisz mi niczego opowiadać, jeśli nie chcesz.

Usłyszałam, jak upija łyk brandy.

Odkręciłam nakrętkę butelki, którą trzymałam w dłoniach, umoczyłam palec, a potem przytknęłam go do języka.

– Nie, chcę. Następnym razem.

Prawie byłam w stanie usłyszeć, jak Toby się uśmiecha.

– Przyjdź, kiedy tylko chcesz. Kiedy będziesz mogła. Wiesz, że możesz, prawda? Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować...

Przyszło mi do głowy, że gdybym tonęła w oceanie, Finn byłby potężnym okrętem z wypolerowanego drewna, którego żagle zawsze wypełnia wiatr. A Toby? No cóż, Toby przypominał raczej duży żółty ponton, z którego w dowolnym momencie może zacząć uchodzić powietrze. Ale prawdopodobnie i tak rzuciłby mi się na ratunek. Tak właśnie zaczynałam myśleć.

Skinęłam głową i przytknęłam butelkę do ust. Brandy wypełniła mi ciało tak intensywnym ciepłem, że przez chwilę miałam wrażenie, iż moje wnętrze zaląła lawa.

– Wiem – szepnęłam.

Znowu nastała cisza.

– No dobrze... to dobranoc – powiedziałam.

– Miłych snów, June.

Wyciągnęłam się płasko na plecach na zimnym linoleum i przytuliłam słuchawkę do piersi. Jedynym rozbrzmiewającym w kuchni dźwiękiem było tykanie żółtego zegara wiszącego wysoko nad zlewem. Musiała upłynąć minuta czy dwie, a potem w mrocznej ciszy kuchni usłyszałam swoje imię.

– June.

Przyłożyłam słuchawkę do ucha.

– Tak?

– Idź spać.

– Okej – szepnęłam. – Ty też.

Rozłączyłam się, pozostawiając Toby'ego zupełnie samego w mieszkaniu Finna.

Nie wiedziałam, jak przypieczętować obietnicę złożoną zmarłemu. W przypadku ludzi żywych można było wziąć nożyczki i zrobić maleńkie nacięcie w ubraniu. Nie chodziło jednak o byle jakie ciuchy. Musiały być względnie nowe, często noszone, za których pocięcie można było wpaść w tarapaty. Rozcięcie mogło znajdować się w dowolnym miejscu. Po wewnętrznej stronie rąbka albo pod pachą – do tego powinno być tak małe, jak to tylko możliwe. Na tym między innymi polegała cała sztuka. Na nauczaniu się, jak robić naprawdę niewielkie nacięcia. Tak wyglądały reguły dotyczące przypieczętowania obietnic, do których stosowaliśmy się z Gretą, gdy byliśmy małe. Gdy jeszcze bałyśmy się używać krwi.

Wstałam i zdjęłam z tablicy korkowej pocztówkę z Miami Beach, po czym odłożyłam ją na kuchenny blat. Wzięłam do ręki pinezkę i ukłułam opuszkę palca wskazującego, a następnie ścisnęłam ją, aż pojawiła się kropelka krwi przypominająca maleńki klejnot. Raz jeszcze przeczytałam napisany przez Finna liścik, a potem mocno przycisnęłam palec do papieru w samym jego środku.

Finn miał rację. Byłam w stanie to dostrzec. Toby został sam jak palec. Ale to nic. Obietnica została złożona. Teraz miał mnie.

W marcu jak w garncu. Dokładnie tak jak w przysłowiu. Drzewa w dalszym ciągu były nagie, ale jeśli przymknąć na to oko – oraz na resztki śniegu w rogach dużych parkingów – można było uznać, że już po zimie.

W całym miasteczku zaczęły się pojawiać plakaty *Południowego Pacyfiku*. Rozklejano je wcześniej, żeby mieć czas na zaplanowanie kilku dodatkowych spektakli, jeśli bilety dobrze się sprzedadzą. Beans wygrała konkurs na projekt tych plakatów. Litery „P” w słowach „Południowy” oraz „Pacyfik” przypominały w nim palmy, a cały afisz miał kształt chatki w stylu tiki. Nieźle jej to wyszło i postanowiłam ją pochwalić przy najbliższej okazji.

Wszyscy zaczęli już czuć wiosnę – wszyscy z wyjątkiem moich rodziców, którzy wchodzili właśnie w wynędzniałą fazę związaną z sezonem podatkowym. Szary odrost na głowie mamy robił się coraz szerszy, a taty nie widziałam ogolonego już od wielu dni. Stężenie gulaszu w organizmie Greta i moim zaczęło osiągać poziom toksyczności, co, jak mawialiśmy, miało miejsce, gdy krew dosłownie zamieniała się w sos do mięsa.

Prosto ze szkoły poszłam do banku.

Prawdziwy złoty liść jest drogi, ale złota farba może czasami wyglądać równie dobrze, a kosztuje tyle samo co każdy inny kolor. Kupiłam maleńki słoiczek złotej farby oraz cienki pędzelek w Kmart. Trzymałam je w bocznej kieszeni plecaka razem z kluczykiem do skrytki bankowej.

Tym razem pan Zimmer nie wspomniał ani słowem o AIDS. Zachowywał się normalnie i od razu zaprowadził mnie do piwnicy.

– Będziemy zamykać za jakieś pół godziny – poinformował, zerkając na zegarek. – Zapukam, żebyś miała wystarczająco dużo czasu na spakowanie się, zgoda?

– Świetnie, dziękuję – powiedziałam.

Położyłam obraz na biurku i dotknęłam każdego z czarnych guzików. Jednego po drugim. Już nie wyglądały tak strasznie. Teraz, gdy znałam ich historię, na swój sposób stały się niemalże piękne. Niczym lśniące, czarne perły. Potem przesunęłam palcem po czaszce na dłoni Greta.

Oparłam obraz o ścianę i obdarzyłam go uśmiechem. Finnowi spodobałoby się – nie, byłby wręcz zachwycony tym, co miałam w planie. Wyjęłam z plecaka słoiczek z farbą i pędzelek i umieściłam je na biurku. Odkręcenie wieczka wymagało trochę wysiłku, ale po kilku sekundach mi się udało. Pomieszczenie wypełniła ulotna woń farby, a ja głęboko się nią zaciągnęłam, bo tak bardzo przypominała mi o Finnie. Następnie zanurzyłam pędzelek w słoiczku i otarłam go o krawędź. Znieruchomiałam z dłonią zawieszoną nad powierzchnią obrazu, zdjęta strachem przed przyłożeniem cienkich włosków do płótna. Ale ja znałam Finna. Wcale nie przypominałam ludzi, którzy próbowali dokończyć *Requiem* za Mozarta. Wiedziałam, co powiedziałyby Finn.

Zaczęłam od delikatnego przeciągnięcia pędzelkiem po swoich włosach na portrecie. Potem wzięłam się za włosy Greta. Cofnęłam się o krok, żeby im się przyjrzeć, tak jak

robią to artyści. Przechyliłam głowę, naśladowując Finna, który zawsze tak robił, gdy mierzył coś wzrokiem. Nie chciałam przesadzić. Zdawałam sobie sprawę, jak łatwo można dać się ponieść emocjom. Ponownie zanurzyłam pędzelek w farbie i spróbowałam sobie wyobrazić, że w tym maleńkim podziemnym pokoiku prowadzi mnie ręka Finna, której miękkie wnętrze muska grzbiet mojej dłoni. Następnie pozwoliłam pędzelkowi wolno przesunąć się po moich włosach namalowanych przez Finna. Po jego dziele. Z jak dużą uwagą musiał mi się przyglądać, żeby móc stworzyć tę drugą mnie? Czy był w stanie dostrzec, że gdy przychodziłam do niego z wizytą, zawsze miałam na ustach błyszczący Bonne Bell o smaku gumy do żucia? Czy widział, jak bacznie studiuje jego bosa stopy, gdy pracuje nad obrazem? Czy potrafił czytać w moim sercu? Mam nadzieję, że nie. Chciałam wierzyć, że przynajmniej tyle byłam w stanie przed nim ukryć.

Zrobiłam jeszcze kilka pasemek w swoich włosach, a potem to samo powtórzyłam z Gretą. Ponownie cofnęłam się o krok. Chodziło mi o efekt przypominający ten zastosowany na skrzydłach aniołów, które można było zobaczyć w iluminowanych manuskryptach znajdujących się na parterze w Cloisters. Coś w tym stylu, ale nie do końca, bo zamiast skrzydeł miałyśmy przecież nudne, proste włosy. Ale mimo wszystko iluminowane. Chciałam, żeby obraz lśnił złotem i obwieszczał wszem wobec moją miłość do Finna. W ten sam sposób, w jaki robiły to namalowane przez Toby'ego guziki, gdy już poznało się ich historię.

Zakręciłam słoiczek z farbą i owinęłam pędzelek w kartkę ze skoroszytu, po czym wsunęłam obie rzeczy do plecaka. Teraz wszyscy byliśmy na portrecie. Cała trójka. Greta, Toby i ja.

No i wilk. Mignął mi, gdy wsuwałam obraz do metalowej kasety. Ciągle tam był – krył się w mroku przestrzeni negatywnej.

– W co się ubierasz?

Spojrzałam po sobie.

– W bordową spódnicę i szary sweter.

– Nie, bezmózgowcu. Na imprezę. W sobotę.

– Nie wiem, a co?

– Ben pytał, czy przyjdiesz.

Przewróciłam oczami.

Stałyśmy na skraju podjazdu, czekając na autobus, który spóźniał się jeszcze bardziej niż zwykle. Greta wyglądała na zmęczoną. Nie miała makijażu, a włosy zwinęła w niechlujny koczek. Gdy wracała w tym tygodniu ze szkoły, pękł jej pasek od plecaka, musiała więc skorzystać z takiego sprzed lat, na którym Woodstock trzepocze skrzydełkami wokół głowy Snoopy’ego, szykując się do lądowania.

– Czemu właściwie próbujesz mnie zainteresować Benem Dellahuntem? Tak naprawdę to nawet go nie znam.

Westchnęła sfrustrowana.

– Beznadziejna jesteś.

– Pytam serio.

Zacisnęła wargi, wzięła się pod boki i wbiła we mnie wzrok.

– Może po prostu staram się ci pomóc. Nie przyszło ci to do głowy?

– Nie.

Dostrzegłam przelotną zmianę wyrazu twarzy Grety. Jakby chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie.

– Jak chcesz, June. Jak. Chcesz. Ty... ty...

– No co?

– Nico.

– W każdym razie – powiedziałam – może lepiej się zastanów, co ty włożysz na imprezę. Może sama wcale tak dobrze nie wyglądasz.

Greta obróciła się do mnie gwałtownie, nie zdejmując dłoni z bioder. Jej mina zmieniła się z normalnej w minę osoby żądnej krwi.

– Wiem, że w poniedziałek nie było cię na próbie. Kłamczucha z ciebie, June. Myślisz, że jak oszukasz mamę i mnie, to nikt się nie dowie, gdzie się szwendasz? Naprawdę sądzisz, że możesz bez końca utrzymywać to w tajemnicy?

Zaczęła się na mnie wydzierać. Na ulicy. Czułam się, jakbym była świadkiem wybuchu bomby, i z zaskoczenia zastygłam w bezruchu. Potem, równie gwałtownie, Greta odwróciła się do mnie plecami i poszła stanąć po drugiej stronie klonu. Oparła się o drzewo, za którym cała zniknęła. Widziałam tylko, jak jedna z jej stóp wychyliła się zza pnia i stuka o ziemię. Jeszcze pięć minut czekałyśmy na autobus i przez cały ten czas obserwowałam, jak zgrabna stópka Grety przyklepuje glebę, jakby chciała posłać w głąb ziemi wiadomość przy użyciu alfabetu Morse’a.

Tego wieczoru rodzice nie spóźnili się na kolację. Greta wspominała wcześniej, że nie będzie mieć próby, więc doszli do wniosku, że byłoby miło zjeść razem rodzinny posiłek. Cieszyłam się, że nie zaplanowałam sobie wycieczki do miasta i zostałam w domu. Czasami zdarzało mi się zapomnieć, jak bardzo brakuje mi rodziców w trakcie sezonu podatkowego. Dopiero gdy w końcu zaczynali pojawiać się w domu, przypominało mi się, jak miło jest, gdy nigdzie nie jeżdżą. Kiedy sama przygotowywałam sobie obiad, nakładałam po prostu gulasz chochlą do miski, ale gdy robiła go mama, szykowała pieczywo czosnkowe i sałatkę, a ponadto dodawała wszystkim do potrawy łyżkę kwaśnej śmietany. Czuło się wtedy, że to posiłek z prawdziwego zdarzenia, a nie coś, co trzeba po prostu odbębnić.

Gdy rodzice wrócili do domu, odrabialiśmy z Gretą lekcje, siedząc przy przeciwległych końcach stołu w kuchni. Żeby na mnie nie patrzeć, Greta zbudowała sobie ściankę z podręczników do biologii i matematyki. Kiedy tato pojawił się w drzwiach, położyła je płasko na stole.

– Zgadnijcie, co tu mam – powiedział, unosząc nad głowę reklamówkę z Caldor. Na twarzy miał szeroki uśmiech.

– No, co? – spytałam.

– Zgadujcie.

Greta zmierzyła siatkę wzrokiem.

– Trivial Pursuit – powiedziała.

– No, tak... – przyznał z rozczarowaną miną. – Dobra, wygląda na to, że zgadłaś.

Przez kilka sekund wyraz rozczarowania nie zniknął z jego twarzy, ale gdy tylko otworzył pudełko, na nowo zaczął się ekscytować. Pomyślałam, że prawdopodobnie byliśmy jedyną rodziną w kraju, która jeszcze nie miała gry Trivial Pursuit. Tato zawsze zwlekał z kupowaniem rzeczy, które dopiero wchodziły na rynek. Twierdził, że ludzie mądrzy czekają, aż ceny opadną.

– Kto ma ochotę na partyjkę? – spytał, wytrząsając z pudełka na stół maleńkie elementy.

Mimo że jutro był normalny dzień, graliśmy do późnego wieczora. We czwórkę. Mama zrobiła popcorn i herbatę mrożoną z proszku o słodkim cytrynowym smaku.

Była to pierwsza gra od lat, w której rodzice nieźle sobie radzili, i chociaż Greta ani razu nie zaszczyciła mnie spojrzeniem, i tak było fajnie.

– „Kto grał starzejącego się jeźdźca rodeo Juniora Bonnera?” – przeczytała Greta, a mama od razu знаła odpowiedź.

– Steve McQueen – powiedziała bez chwili wahania.

Udało mi się odpowiedzieć na kilka pytań z dziedziny nauki, takich jak: „Jaki pierwiastek chemiczny oznacza się symbolem Fe?” albo „Jak brzmi naukowa nazwa zorzy polarnej?”, ale większość z nich była naprawdę trudna. Najzabawniejsze okazały się pytania z kategorii „sport”, które tak naprawdę dotyczyły alkoholu. Grecie trafiło się: „Co nadaje charakterystyczną barwę koktajlowi o nazwie Czarny Rosjanin?” i nie miała żadnych problemów z udzieleniem odpowiedzi. Brzmiała ona: likier Tia Maria albo Kahlua i Greta znała obie wersje.

Zwyciężył tato, który poprawnie odpowiedział na pytanie z dziedziny historii: „Co zostało skonstruowane w wyniku podpisania przez Wielką Brytanię i Francję

porozumienia w roku 1962?” – spytała Greta.

– Yyy... Concorde? – spytał tato.

Wszystkie trzy wydałyśmy z siebie głośny jęk, a on sam był kompletnie zaskoczony.

– Wygrałem? Wygrałem grę?

Mama poszła spać, Greta wyszła z kuchni, żeby zadzwonić do koleżanki, a ja zostałam sama z tatą. Czytaliśmy pytania z pudełka, popijając herbatę mrożoną tak długo, aż oczy same zaczęły się nam zamykać. Raz na jakiś czas pojawiały się pytania w stylu: „Czym zajmuje się prestidigitator?”, co sprawiało, że od razu zaczynałam myśleć o Tobym.

– Tato?

– Poczekaj chwilkę, wezmę sobie nowe.

– Nie. Mam prawdziwe pytanie.

Skinął głową.

– Dobra, wal.

– Znasz tego... specjalnego przyjaciela wujka Finna? – Prawie zadławiłam się tym durnowatym określeniem, ale nie chciałam dać niczego po sobie poznać.

Tato spojrział przez ramię w kierunku korytarza. Pewnie po to, żeby się upewnić, że nie stoi tam mama. Potem odwrócił się do mnie.

– Parę razy go spotkałem, gdy się tu sprowadzili. Czyli jakieś osiem, dziewięć lat temu. Co chciałabyś wiedzieć?

– Chodzi o to, że... mama wyraźnie go nienawidzi, a trudno mi sobie wyobrazić, że Finn mógłby być z kimś aż tak złym.

Tato podniósł swój plastikowy placek i wysypał z niego na stół małe trójkąty. Następnie zaczął z powrotem układać je w nim jeden po drugim. Westchnął.

– Okej. Powiem ci w zaufaniu parę rzeczy, ale masz nie narobić wokół nich szumu. A zwłaszcza nie wolno ci powtarzać niczego mamie, rozumiemy się?

Skinęłam głową i tato zaczął mówić dalej.

– Nie chcę, żebyś myślała, że mama jest jakąś... Rzecz w tym, żebyś zrozumiała, w jakiej dorastała rodzinie.

– Okej.

– Patrzyłaś pewnie na Finna i mamę jak na dwie dorosłe osoby, które tak bardzo się od siebie różnią, że trudno byłoby podejrzewać je o bycie rodzeństwem, co? Mama pracująca jako księgowa i Finn zajmujący się sztuką w wielkim mieście. Ale kiedyś było inaczej. Gdy byli dziećmi, i przez cały okres nastoletni, spędzali ze sobą cały czas. Przenosili się od bazy do bazy i mieli tylko siebie nawzajem. Niewiele wiem na temat sztuki – okej, nic o niej nie wiem – ale jeśli chodzi o rysowanie, to twoja mama miała prawdziwy talent. Czasami o tym opowiada. Jak wędrowali gdzieś z Finnem, żeby godzinami rysować krajobrazy. Mówiła ci o tym kiedykolwiek?

Pokręciłam głową.

– Nie wiedziałam nawet, że potrafi rysować.

– No właśnie.

Przypomniał mi się szkicownik, który Finn podarował mamie kilka lat temu, i wyraz jej twarzy w restauracji.

– Mama ciągle jeszcze ma gdzieś metalową puszkę z akwarelami, które ze sobą

zabierali. Mówiła, że mieli wspólne plany. Zamierzali przeprowadzić się we dwoje do Nowego Jorku i zostać artystami. Opowiadali o tym, jak o czymś rzeczywistym. Jakby pewnego dnia ich plan miał naprawdę dojść do skutku. Znasz Finna. Gdy coś mówił, ciężko było mu nie wierzyć. Finn miał znaleźć sposób, żeby do tego doprowadzić, a mama mu zaufała. A wtedy on zniknął. Naturalnie był młody – miał zaledwie siedemnaście lat – ale ona była zdruzgotana. Zostawił liścik, w którym pisał, że wróci, że spotka się z nią w Nowym Jorku, gdy odnajdzie siebie – ale to nie wystarczyło. Nie była w stanie przeboleć zawodu. A on zwiedził cały świat. Paryż, Londyn, Berlin. Przesyłał jej pocztówki ze swoich wernisaży, ale dla mamy to było jeszcze gorsze niż brak wieści. I pewnego dnia wrócił. Pojawił się w Nowym Jorku. Wtedy jednak byliśmy już po ślubie. Zdążyła się nam urodzić Greta, potem ty, a mama od lat nie malowała ani nie rysowała. Gdy wspólnie pojechaliśmy do miasta zobaczyć się z Finnem, była strasznie podekscytowana. Może się mylę, ale wydaje mi się, że miała cichą nadzieję, iż w końcu dostanie szansę na zajęcie się sztuką. Nie przestała marzyć o przeprowadzce do miasta i pracy razem z Finnem.

Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że w tamtej chwili na twarzy taty pojawił się żal. Znowu wysypał pionki na stół, ale tym razem już ich nie tknął.

– Spotkaliśmy się z Finnem w kawiarni, ale nie przyszedł sam. Był z nim Toby. A gdy tylko Danni zobaczyła ich razem, wyparował z niej cały entuzjazm, jaki wiozła ze sobą do miasta. Wtedy tego nie rozumiałem. Toby wydawał się w porządku. Facet był dosyć dziwny, ale miły. Jednak mama momentalnie go znieubiła. Jakiś czas później powiedziała mi, że Finn pisał jej o Tobym. O jego przeszłości. Nie znam całej historii, ale najwyraźniej był kiedyś w tęgich opałach. Mama zawsze do tego wracała. Mówiła, że jest nieodpowiedni dla Finna i że go wykorzystuje. A kilka lat później, gdy Finn zachorował... No cóż, Toby stał się jej odpowiedzią na całe zło. To przez niego Finn się rozlewnił, to on kazał mu przestać malować i odciągał go od rodziny, a na domiar złego zaraził go AIDS. Chyba wyobrażała sobie, że bez Toby'ego jej relacje z Finnem byłyby całkiem inne. Danni zawsze powtarzała, że Finn zasługuje na kogoś lepszego. Ale prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z przeszłością Toby'ego. Mógłby być laureatem Pokojowej Nagrody Nobla, a Danni i tak znalazłaby w nim jakąś wadę.

Tato opuścił wzrok i trącił palcem pionki.

– Wydaje mi się, że mama wstydziła się tego, jak zaczęło wyglądać jej życie. Tego, że została księgową i wyszła za męża za nudnego buchaltera, z którym zamieszkała na nudnych przedmieściach. Finn był nowojorskim artystą i miał wspaniałego chłopaka, a ona, księgowka i matka dwojga dzieci, mieszkała pod miastem z najbardziej nieciekawym facetem, jakiego można sobie wyobrazić.

Tym razem byłam pewna, że w jego głosie słychać urazę.

– Widziałeś kiedyś jakieś rysunki mamy?

– Tylko raz. Babcia Weiss mi je pokazała. Mama o niczym nie wiedziała. Babcia Weiss wyznała, że zawsze czuła się winna, iż Danni nie miała okazji zająć się tym, co naprawdę chciała robić. Według mnie nie ustępowała talentem Finnowi. Nie wiem... może nawet była od niego lepsza.

Podeszłam do lodówki, żeby wyjąć karton z mlekiem. Nalałam po szklance dla siebie

i taty.

– Nie wydaje mi się, żeby mama się ciebie wstydziała.

Uśmiechnął się.

– Dzięki, Junie. Może masz rację.

Popijaliśmy z tatą mleko, siedząc w pograżonej w ciszy kuchni, a każde z nas zatopione było we własnych myślach.

– Tato?

– Tak?

– Jak to się stało, że Finn został moim chrzestnym? Skoro mama była na niego tak zła.

– Nie, nie, wcale nie była zła na Finna. Nikt nigdy nie był w stanie długo się na niego złościć. Chodziło wyłącznie o Toby’ego. Zresztą nie miałaś ojca chrzestnego przez pierwszych pięć lat życia. Wiedziałaś o tym? Twoja mama zawsze chciała, żeby był nim Finn. Żywiła taką nadzieję. I wtedy Finn zaczął pisać, że rozważa sprowadzenie się do Nowego Jorku. Nigdy nie wspomniał ani słowem, że Toby miałby przyjechać tam razem z nim. Pisał, że rozważa powrót z Anglii i kupienie mieszkania gdzieś w centrum. Wtedy właśnie go o to spytała i wydawał się zachwycony jej pomysłem. Pamiętam, że śmialiśmy się z niego, bo napisał, że przyleci tak szybko, jak tylko się da. Jakby się paliło.

Tato zrobił pauzę, odtwarzając tę scenę w pamięci.

– Mamie mogło się wydawać, że jeśli uczyni z Finna twojego ojca chrzestnego, to tym sposobem zatrzyma go przy sobie. Stworzy więzy, które go spętają. Myślę jednak, że Finn patrzył na to w inny sposób. Może wyobrażał sobie, że razem z Tobym zostaną twoimi rodzicami chrzestnymi i stanie się to dla nich drogą do stabilizacji życiowej, założenia swego rodzaju rodziny. A może gadam bzdury. Chyba robi się już bardzo późno.

Tato ziewnął przesadnie i poklepał usta dłonią. Sprzątnął ze stołu nasze szklanki i wstawił je do zlewu. Spojrzał na mnie w zamyśleniu i po chwili spytał:

– To co, rozwiązaaliśmy wszystkie tajemnice wszechświata? Uśmiechnęłam się.

– Tak, może niektóre – odparłam.

Następnego ranka siedziałam samotnie prawie na samym końcu autobusu. Znalazłam czystą kartkę w zeszytcie do angielskiego, co nie było trudne, bo niewiele rzeczy notuję z tych zajęć. Jeśli naprawdę przeczytało się powieść *Myszy i ludzie*, to po co zadawać sobie trud zapisywania, że George'a i Lenniego łączyła niezwykła przyjaźń albo że śmierć Lenniego była nieuchronna? Tego typu rzeczy nie da się przecież zapomnieć.

Na górze kartki napisałam:

Opieka nad Tobym...

Faza 1: Dzwonić do niego i odwiedzać go tak często, jak to tylko możliwe.

Faza 2: Coś dużego i spektakularnego (prace w toku).

Wyszłam ze szkoły tak wcześnie, jak tylko się dało. Zaryzykowałam urwanie się z zajęć technicznych i godziny samodzielnej nauki, żeby tylko zdążyć na pociąg o 13:43. Gdy zadzwoniłam do drzwi, Toby otworzył ubrany w pizamę i stary, zmechacony niebieski szlafrok, który przypominał mi Ciasteczkowego Potwora z *Ulicy Sezamkowej*. Oczywiście miał ogromne, większe niż kiedykolwiek wcześniej.

– Wybacz, że jest tu tak zimno, wejdź do środka. Strasznie mi miło, że wpadłaś.

Wcale nie wydawało mi się, że jest zimno, ale nic na ten temat nie wspominałam. Przeprasiny należały się raczej za panujący w mieszkaniu bałagan. Wszędzie walały się brudne talerze i szklanki, płyty wyjęte z okładek oraz co najmniej trzy popielniczki, z których wylewały się zużyte torebki z herbatą i niedopałki papierosów. Tego typu rzeczy zazwyczaj nie robiły na mnie wrażenia, ale w mieszkaniu Finna nigdy wcześniej nie było aż tak brudno, więc przypominało ono jakieś obce miejsce.

Podniosłam kilka talerzy i ruszyłam z nimi do kuchni.

– Nie, nie, nie – zaprotestował Toby. – Zostaw je.

Wyjął mi je z dłoni i odstawił na stolik do kawy.

– To żaden problem. Mogę ci pomóc.

– Wiem, ale to mój bałagan.

Zamilkł i rozejrzał się dookoła. Gdy lustrował wzrokiem pokój, coś do niego dotarło. Spojrzał na mnie z zawstydzonym wyrazem twarzy.

– Gdy widzisz je w takim stanie, jest ci przykro, prawda? – spytał łagodnym tonem.

Wzruszyłam ramionami.

– Masz rację. Wygląda strasznie. – Zdobył się na zmieszany uśmiech. – Finn by mnie zamordował, gdyby je teraz zobaczył.

Wcale nie – pomyślałam.

– No to chodź – powiedział Toby. – Posprzątamy tu.

Kolejną godzinę spędziłam na zbieraniu talerzy, kubków i około pół tuzina małych kryształowych szklanek rubinowej barwy rozrzuconych po całym domu. Znosiłam je do kuchni, a Toby zmywał pochylony nad zlewem. Gdy naczynia były czyste, usiadłam po turecku przed wielką stertą płyt i próbowałam dopasować do nich okładki.

– Za to Finn naprawdę by cię zamordował – powiedziałam, gdy Toby wszedł do pokoju. Wycierał dłonie w ściereczkę w zieloną kratkę.

– Wiem.

Usiadł na podłodze i zaczął razem ze mną porządkować płyty. Obserwowałam go kątem oka. Początkowo nie mogłam znieść myśli, że za niektórymi rzeczami, które kochałam w Finnie, stał Toby, ale w końcu doszłam do wniosku, że to niekoniecznie musi być złe. To mogło działać w dwie strony. Być może gdy uważnie się przyjrzę, uda mi się dojrzeć Finna wyzierającego z Toby'ego.

Toby wsunął stos płyt do stojaka, a potem na mnie spojrzał. Uśmiechnął się szeroko i włożył kasetę do kieszeni magnetofonu. Usiadł w niebieskim fotelu Finna, a w pokoju rozbrzmiała zniecka niezwykle złożona muzyka grana na gitarze klasycznej. Wydawało mi się, że to Bach. Coś znajomego. Byłam pewna, że ją wcześniej słyszałam. Może Finn włączał mi już kiedyś tę kasetę.

– Co to? – spytałam.

– Podoba ci się? – Toby odwrócił się i pochylił, żeby podnieść kolejną płytę.

– Tak. Jest... – szperałam w głowie, szukając czegoś mądrego do powiedzenia – misterna.

– To dobrze czy źle?

– Dobrze. Skomplikowana byłaby niedobra, ale misterna jest w porządku, prawda? Co to takiego zatem?

– A, coś, czym się kiedyś zajmowałam.

– Ty?

Skinął głową.

– Ale to brzmi jak dwie albo i trzy gitary.

– Na tym polega cała sztuka. Dlatego jest to tak trudne. Mam niewiarygodnie zręczne dłonie, pamiętasz?

Spojrzałam na Toby'ego. Jego długie ciało ledwo mieściło się w fotelu. Miałam wrażenie, że go znam, a jednocześnie niczego o nim nie wiem. Zaczynałam już rozumieć, dlaczego Finn wybrał właśnie jego. Widziałam, że Toby ma naprawdę wiele do zaoferowania. A ja? Czy kiedykolwiek będę w stanie coś komuś zaoferować? Byłam skazana na przeciętność. Niczym Salieri w *Amadeuszu*. Nie dość, że zdawał sobie sprawę, że nigdy nie dorówna Mozartowi do pięt, to jeszcze był czarnym charakterem. To jego wszyscy nienawidzą.

Odwróciłam wzrok.

– Tak – potwierdziłam. – Zręczne dłonie.

Powiedziałam Toby'emu, że muszę iść do łazienki, ale zamiast tego wślizgnęłam się do sypialni. Otworzyłam parę szuflad komody i pobuszowałam chwilę w szafie. Wysuwałam szufladę za szufladą w poszukiwaniu sama nie wiem czego. Może czegoś, co nie istniało. Może miałam nadzieję, że znajdę jakiś niewielki przedmiot, który potwierdzi, że wszystkie spędzone przeze mnie z Finnem godziny były dla niego równie ważne jak dla mnie. Zamiast tego wyjęłam parę bokserek z trzeciej szuflady od dołu. Rozłożyłam je przed sobą, próbując się domyślić, do którego z nich należały.

– Możesz wziąć, co tylko chcesz.

Błyskawicznie się obróciłam. Toby opierał się ramieniem o framugę drzwi. Stałam

naprzeciw niego z błękitnymi bokserkami rozłożonymi w dłoniach niczym mapa.

– Nie uważam pary swoich majtek za najtrafniejszy wybór, ale wiesz, nie chcę cię ograniczać.

Moje zakłopotanie przybrało w tamtej chwili niezliczoną liczbę odcieni. Zarumieniłam się tak mocno, że wydawało mi się, że krew zaraz rozsadzi mi głowę. Zwinęłam bokserki w kulkę i odłożyłam je na komodę.

– Strasznie przepraszam, ja... – Czułam, jak do oczu napływają mi gorące łzy, i spuściłam wzrok na podłogę.

– Hej – powiedział Toby. – Nie ma się czym przejmować.

Wszedł do pokoju i usiadł na łóżku po stronie Finna. Poklepał miejsce obok siebie, a ja podeszłam tam i usiadłam, nie patrząc mu w oczy. Objął mnie swoim długim ramieniem, a ja oparłam mu głowę o pierś. Dłuższą chwilę siedzieliśmy w pogrążonym w półmroku pokoju, nie odzywając się ani słowem. Patrzyłam na zdjęcia Finna na stoliku nocnym. Toby wyglądał na nich młodziej, a ciemne oczy i rozczochrane włosy na swój sposób dodawały mu urody. Przysunęłam się do niego jeszcze bliżej, a on w odpowiedzi przytulił mnie mocniej. Czułam się dobrze. Toby był ciepły, miły i miałam wrażenie, że prawie go znam. No i był smutny. Tak jak ja.

– Ej, tak sobie myślałem – odezwał się Toby. – Wiesz, że umieram, prawda?

Toby nigdy wcześniej nie powiedział niczego podobnego. Niczego równie ważnego i ostatecznego. Zdrętwiałam. Poczułam się tak, jakby wąskie przestrzenie w mojej głowie, gdzie skrywałam złudne nadzieje, ktoś zalał nagle zimnym, twardym betonem.

– Chyba tak.

– Rozumiesz, co to oznacza?

– Tak mi się wydaje.

– Powiedz.

– To znaczy, że niedługo już cię tu nie będzie.

Toby kiwnął głową.

– Tak, to też, ale wiesz co jeszcze? Mogę robić, co mi się żywnie podoba. Oboje możemy robić, na co tylko mamy ochotę.

Przez jedną dziwną chwilę, ponieważ siedzieliśmy razem na łóżku, myślałam, że Toby ma na myśli seks. Zrobiłam zdegustowaną minę, a on odsunął się ode mnie tak gwałtownie, że prawie spadłam z łóżka. Skrzyżował ręce na piersi i powiedział:

– Nie, nie, nie. Nic z tych rzeczy. Jezu, June, chyba nie myślisz, że...

– Fuj – powiedziałam. – To obleśne.

Była to jedna ze sztuczek Grety. Druga osoba miała uwierzyć, że wstrętny pomysł wyszedł od niej samej, a ty nie masz z nim nic wspólnego.

Toby się rozluźnił.

– Dobra, dobra. Mówię poważnie, June.

Wstałam i zaczęłam wędrować po pokoju. Podniosłam szklany przycisk do papieru i przesunęłam palcami po jego gładkiej, chłodnej powierzchni. Rozmyślałam o tym, co powiedział Toby na temat robienia wszystkiego, na co się ma ochotę. Nie miało to sensu.

– Nie obraż się, ale przecież ja nie umieram.

– Nie. Jaka jest najgorsza rzecz, która mogłaby ci się przydarzyć? Ja mógłbym trafić

do więzienia albo zostać deportowany, ale nie miałyby to większego znaczenia. Jestem wolny. Rozumiesz już?

– Chyba tak.

– To powiedz: gdybyś mogła robić wszystko, na co miałabyś ochotę, co by to było? Cokolwiek, June.

Nie byłam w stanie niczego wymyślić na poczekaniu. Poza tym Toby chyba nie rozumiał, że chociaż nikt nie zamknąłby mnie pewnie w więzieniu, mogłabym wpaść w różnego rodzaju tarapaty w domu.

– No cóż, sama nie wiem. Propozycja brzmi fajnie. Pomyślę nad nią, okej?

– Nie chciałem stawiać cię w niezręcznej sytuacji. Nie spiesz się. Prześpij się z tym.

– Toby?

– Tak?

– Kiedy będzie to „niedługo”?

W normalnych warunkach nie zadałabym takiego pytania. Nie chciałabym wiedzieć. Greta zawsze musiała znać wszystkie szczegóły. Ale ja wiedziałam, że zbyt duża wiedza może wszystko zepsuć. Sytuacja się jednak zmieniła. Teraz opiekowałam się Tobym. Musiałam wiedzieć takie rzeczy.

Toby wzruszył ramionami.

– Nie przepadam za lekarzami – powiedział, a potem dodał wariacko beztróskim głosem: – Wolę żyć dniem dzisiejszym, June, i nie myśleć o jutrze.

Pochylił się w kierunku stolika i wyciągnął dwa papierosy z paczki. Uśmiechnęłam się, bo od jakiegoś czasu paliłam w najodleglejszym rogu podwórka za domem, gdy zostawałam w nim sama. Usiadłam na łóżku i przechyliłam głowę do tyłu, żeby głęboko zaciągnąć się papierosem. Dym był ciepły i miły w dotyku niczym koc, który wyścielał wnętrze mojego ciała.

– Finn chyba nawet nie bardzo przejmował się tym, że umiera – powiedziałam.

Była to prawda. Nawet gdy widziałam go po raz ostatni, nie tracił spokoju ducha.

– Nie wiedziałaś? Na tym właśnie polega sekret. Gdy człowiek akceptuje samego siebie i zadaje się tylko z najlepszymi z możliwych osób, śmierć wcale nie jest straszna.

– To bez sensu. Gdyby się było tak bardzo szczęśliwym, to chciałoby się żyć dalej, nie? Miałoby się ochotę nigdy nie umrzeć, żeby można było nadal cieszyć się swoim szczęściem.

Wyciągnęłam dłoń i strząsnęłam popiół do ładnego półmiska z ceramiki, który Toby’emu służył za popielniczkę.

– Nie, nie. To nieszczęśliwi ludzie nie chcą umierać, bo wydaje im się, że nie zdążyli zrobić wszystkiego, co mieli w planie. Myślą, że dostali za mało czasu. Mają wrażenie, że zostali niesprawiedliwie potraktowani.

Toby wykonał gest przyciskania rozłożonych na płasko dłoni do okna.

– Nakładasz wosk, ścierasz wosk – powiedział, zataczając płytkie łuki to jedną, to drugą dłonią. – Ta rozmowa zmienia mnie w pana Miyagi. Czuję się, jakbym grał w *Karate Kidzie*.

Parsknęłam śmiechem, bo nie spodziewałam się, że Toby może znać ten film. W dalszym ciągu nie do końca docierał do mnie sens jego słów, ale miałam też wrażenie, że po części go pojmuję. Przez chwilę czułam, że wiem, o czym mowa, a moment

później już nie.

– A ty? – spytałam.

– Ja?

Kiwnęłam głową.

– Też czujesz, że... zostałeś niesprawiedliwie potraktowany?

Toby mocno zaciągnął się papierosem i wyciągnął ramiona w poprzek łóżka.

– Myślę, że należę do niewielkiej grupy osób, którym nie chce się czekać na finał ich własnej historii. Gdyby moje życie było filmem, pewnie do tej pory wyszedłbym już z sali.

– A ja nie – powiedziałam. – Ja bym nie wyszła.

– Tylko dlatego, że nie widziałas pierwszej połowy.

– To mi ją opowiedz. Całą.

Toby przecesał włosy palcami i przez chwilę marszczył brwi.

– Innym razem, dobrze? Innego dnia. Spójrz, jak ładnie jest na dworze. Chociaż raz nie przywoziasz ze sobą deszczu. – Uśmiechnął się, żeby pokazać mi, że żartuje. – Przejdźmy się gdzieś.

Zrozumiałam wtedy, że nigdy nie będzie mi dane poznać prawdziwej historii życia Toby'ego. Nie będzie innego razu. Z Tobym łączyła mnie chwila obecna. Nie będzie niczego więcej. Tylko teraźniejszość i Finn. Zamiast historii życia skrawki informacji oraz kilka najbliższych miesięcy. Poniekąd wydawało się to idealne, bo znaczyło, że wszystko można naprawić, odnowić i sprawić, żeby stało się takie, jak powinno.

– Tak idziesz? – spytałam, wskazując na zmechacony błękitny szlafrok.

– Tylko jeśli tego sobie życzysz – powiedział żartobliwym tonem.

Wstałam, wyszłam z sypialni i zamknęłam za sobą drzwi, żeby mógł się przebrać.

Podczas pobytów w Nowym Jorku zawsze miałam wrażenie, że wszyscy naokoło są w stanie przejrzeć mnie na wylot. Jakby prawdziwi miastowi potrafili momentalnie dostrzec, że przyjeżdżam z przedmieścia. Bez względu na to, w co byłam ubrana czy jak luzacko starałam się wyglądać, wiedziałam, że nazwę „Westchester” mam wypisaną na czole. Nie czułam się tak tylko w towarzystwie Finna. Był on moją przepustką do stania się prawdziwą mieszkanką Nowego Jorku. Emanował aurą, która oblewała mnie autentycznym wielkomięjskim blaskiem. Spodziewałam się, że z Tobym będzie podobnie, ale się myliłam. Przy Tobym czułam wyraźnie, że oboje jesteśmy przyjezdnymi. Odnosiłam wrażenie, że zamiast z przedmieść pochodzę z odległego świata. Jakbym wcale nie chciała pasować do Nowego Jorku. Jakby mi na tym w ogóle nie zależało. I z różnych powodów było to równie przyjemne jak możliwość wtopienia się w tłum. A może nawet lepsze.

Popołudnie było piękne. Jasnoniebieskie niebo i ciepła pogoda, a wszyscy mijający nas ludzie wydawali się w dobrym nastroju. Poszliśmy do Riverside Park, który jest długi, cienki i ciągnie się wzdłuż rzeki Hudson aż do Sto Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy. Miło było znowu mieć z kim rozmawiać i gadałam jak najęta. Opowiadałam Toby'emu o Grecie. O *Południowym Pacyfiku* i *Annie*. O tym, że Greta zostanie prawdopodobnie gwiazdą Broadwayu.

Toby się zaśmiał.

– Broadwayu? Rany, June, Finn oddałby wszystko, żeby móc ją tam zobaczyć.

Opowiedziałam mu, jak znalazłam ją zagrzebaną w liściach po imprezie. Wspomniałam, że byliśmy kiedyś najlepszymi przyjaciółkami, ale to już przeszłość, bo teraz Greta mnie nienawidzi.

– Na pewno tak naprawdę cię nie nienawidzi – powiedział Toby. Ale wyjaśniłam mu, że tak właśnie jest. Nienawidzi mnie, i to bardzo.

– A w sobotę jest kolejna impreza – dodałam. – Wkręciła mnie w kolejną imprezę, na którą wcale nie chcę iść.

– Może będzie fajnie?

Posłałam mu spojrzenie, które mówiło, że nie ma na to żadnych szans. W odpowiedzi Toby popatrzył na mnie pełnym współczucia wzrokiem.

– Wiesz, Finn właśnie po to stworzył ten portret – powiedział po chwili. – Przyszło mu do głowy, że jeśli namaluje was razem, powstanie między wami pewna niezniszczalna więź. Nie wiem dokładnie, jak to sobie wyobrażał, ale był gotowy uczynić wszystko, żeby z wami nie porobiło się nigdy tak jak z nim i twoją mamą.

– Co masz na myśli?

Toby zmarszczył czoło i przez chwilę milczał. W końcu podjął jakąś wewnętrzną decyzję.

– Pewnie nie powinienem ci niczego mówić, bo to nie moja sprawa. Ale jakie to ma teraz znaczenie? Finnowi zawsze było przykro, że nie byli sobie bliscy z Danielle, że się od niego odsunęła. A kiedyś byli nierozłączni. Z powodu tych wiecznych przeprowadzek. Przez wiele lat mieli tylko siebie nawzajem. Ona dbała, żeby twój dziadek się nie domyślił, że Finn jest gejem. Finnowi było wszystko jedno, ale ona wiedziała, jak by się sprawy potoczyły. Zwłaszcza że ich ojciec był ważnym wojskowym. Aranżowała dla Finna randki ze swoimi przyjaciółkami. A one, naturalnie, zakochiwały się w nim jedna po drugiej, więc było to w pewien sposób okrutne.

Zarumieniłam się.

– Mówił mi, że wcale nie planował tak długo przebywać poza krajem. Wiesz, o co chodziło, prawda? W jakich okolicznościach wyjechał Finn?

Skinęłam głową, jakbym wiedziała o tym od lat. Jakby wcale nie była to jedna z rzeczy, o których nikt nie raczył mnie poinformować.

– Opowiadał mi, że cały czas do niej pisał. Od dnia wyjazdu. Jeszcze w autobusie, którym opuścił miasteczko. Przez kilka lat nie dotarła do niego żadna odpowiedź. Ani jeden list. Jestem to w stanie zrozumieć. Ale Finn nie miał zamiaru zranić siostry swoim wyjazdem. Nie uważał, że zostawia ją na lodzie. Planował wrócić za kilka miesięcy. Ale gdy ona nie odpisywała, zachłystnął się wielkim światem... Miał tylko siedemnaście lat. Możesz to sobie wyobrazić.

Nie mogłam. Nie chciałam.

– Mówił, że raz nawet przesłał jej pieniądze, żeby spotkała się z nim w Berlinie. Może to była jej szansa na zmianienie czegoś w swoim życiu. Ale nigdzie nie poleciała i było po sprawie. W końcu Finn wrócił i nie przypominał już w żaden sposób jej młodszego braciszka. Chłopca z plaży. A niedługo potem zachorował i Danni straciła go po raz kolejny. Nie było w tym sprawiedliwości. W ogóle. Danielle nie pozwalała, abym stał się częścią twoich relacji z Finnem, żeby pokazać mu, że nie można mieć wszystkiego, że on też musi coś poświęcić. Zawsze czuł, że jest jej coś winny... i chyba

to ja byłem tym czymś.

- Przecież to głupie. I niczego nie załatwiło.
- Oczywiście, że nie.

Przypomniała mi się opowiedziana przez mamę historia, w której kazała Finnowi zanieść do oceanu olbrzymiego skrzyplacza.

- Ale skoro tak bardzo się kochali, to czemu nie mogli dojść do porozumienia?
- Toby parsknął zmęczonym śmiechem.

– Człowiek nabiera nawyków. Przyzwyczajają się do takiego, a nie innego zachowania wobec pewnych ludzi.

Wbił wzrok w pustą plażę. Spoglądał na nią, jakby był w stanie dostrzec wszystkie osoby, które na niej kiedykolwiek siedziały, oraz te, które dopiero na nią przyjdą. A może po prostu rozmyślał o Finnie.

– Czasami trudno jest przestać, wiesz? Finn nie chciał, żeby to samo przytrafiło się tobie i Grecie, i dlatego wcisnął was razem w ramy portretu.

Obok nas przebiegły dwie kobiety w tenisowych spódniczkach, a potem minęliśmy mężczyznę prowadzącego na smyczy dwa bassety o obwisłej skórze. Psy ciężko dyszały, a ich języki prawie ocierały się o ziemię.

W jaki sposób portret miałyby powstrzymać Gretę przed gardzeniem mną? Nagle przez głowę przemknęła mi pewna myśl. Może sam Finn wysłał zdjęcie obrazu do gazety. Może była to część jego planu polegająca na wystawieniu nas na widok publiczny, żebyśmy obie znalazły się w blasku jupiterów. Ale w jaki sposób miałyby to cokolwiek zmienić?

Toby zatrzymał się przy stoisku z napojami Slush Puppie, gdzie kupił mi pomarańczowy, a sobie jagodowo-malinowy. Usiedliśmy na stopniach Pomnika Żołnierzy i Marynarzy Wojny Secesyjnej, siorbiąc przez grube słomki.

- Przykro mi – powiedziałam.
- Z jakiego powodu?
- Że musiałeś się przede mną chować.

Wzruszył ramionami.

- To nie twoja wina.

Zdawałam sobie z tego sprawę, ale świadomość, że wina leży po stronie mamy, wydawała mi się jeszcze gorsza niż perspektywa wzięcia jej na siebie. Nie chciałam patrzeć na własną matkę przez pryzmat tak dziecinnego, małosłownego i pełnego desperacji żądania, bo robiło mi się jej żal.

– Hej – odezwałam się, żeby trochę rozładować atmosferę. – Kto chciał tańczyć walca z Matyldą²?

- Co takiego?
- To z Trivial Pursuit. Takie pytanie. Testuję cię.
- O, nie. Testy nie są moją najmocniejszą stroną. Niech no się zastanowię...

Zaczął nucić piosenkę, a potem śpiewać ją pełnym głosem. Fałszował i musiałam przyłożyć dłoń do ust, żeby powstrzymać się od śmiechu. Trudno było uwierzyć, że ktoś, kto potrafi tak pięknie grać na gitarze, jest tak kiepskim śpiewakiem.

- Wesoły tramp, zgadza się?

Skinęłam głową, ciągle się podśmiewając.

– A kto to w ogóle jest tramp? – spytałam.

– Wydaje mi się, że to taki menel. Włóczęga.

W niektórych momentach akcent Toby'ego stawał się niezwykle wyraźny. Uwielbiałam te chwile. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś mówił w podobny sposób, i miałam ochotę słuchać go bez końca.

– Kim w takim razie jest Matyllda? – spytałam.

Toby przechylił papierowy kubek i wylał resztki mrożonego napoju na trawę.

– To pewnie jakaś dziewczyna, która stęskniła się za domem.

Wieczorem wyjęłam z szafy *Księgę dni* i po raz kolejny przeczytałam wiadomość od Finna. Czasami, gdy ją czytałam, dostrzegałam tylko fragment, w którym Finn mówi, że mnie kocha. Innym razem nie widziałam niczego oprócz wyrazów jego miłości do Toby'ego i troski o jego dobro.

Otuliłam się szczerze kołdrą. Jak chory człowiek na obrazie. Dokładnie tak – pomyślałam i gdzieś w głębi poczułam ukłucie złości, bo chciałam, żeby to mną się zajmowano. Pragnęłam, żeby ktoś się o mnie zatroszczył, tak jak powinno to mieć miejsce. W końcu byłam dzieckiem, a Toby dorosłym mężczyzną, zgadza się? Bycie pacjentem wydawało mi się bardziej atrakcyjne niż bycie pielęgniarką. Można sobie leżeć, a ludzie przynoszą ci wszystko, co chcesz. Kto by nie miał na coś takiego ochoty?

Po namyśle doszłam jednak do wniosku, że chory może nigdy nie wyzdrowieć, a pielęgniarka musi pełnić swoją funkcję tylko przez jakiś czas. Wtedy właśnie dotarło do mnie, co wcześniej próbował wytłumaczyć mi Toby. On na pewno umrze. Jego czas dobiegał końca, ale dzięki temu zniknęły wszelkie ograniczenia. Jeśli miałam zrobić dla niego coś spektakularnego, musiałam się pospieszyć.

Gdy wszyscy w domu już spali, zakradłam się do kuchni i zadzwoniłam do Toby'ego. Gawędziliśmy przez chwilę, a potem zmieniałam temat na to, co tak naprawdę mnie interesowało:

– Jak się nazywa twoja miejscowość? – spytałam. – Z jakiego miasta w Anglii pochodzisz?

W sobotę, w którą miała się odbyć impreza, wstąpiłam na chwilę na próbę musicalu, na wypadek gdyby szukała mnie Greta. Ćwiczone były wszystkie sceny, od początku do końca, a pan Nebowitz wyglądał na zmordowanego. Kazał dzieciakom powtarzać kwestie, dopóki nie był z nich w stu procentach zadowolony.

– Grasz pielęgniarkę, Julie – usłyszałam jego głos. – Nie możesz po prostu stać jak kołek z nadąsaną miną. No, dalej, ludzie. Wysiłcie się trochę. Może uszło waszej uwadze, że są dziś wśród nas goście z Nowego Jorku.

Wskazał dłonią na siedzących obok siebie starszego mężczyznę z fularem na szyi oraz kobietę o soczyście rudych włosach, którzy przyglądali się próbie. Zastanawiałam się, czy byli oni związani z *Annie* i przyjechali zobaczyć Gretę. Pan Nebowitz klasnął w dłoń, a następnie kazał powtórzyć całą scenę od początku.

W pierwszym rzędzie dostrzegłam tył głowy Grety. Wszyscy członkowie obsady, którzy w danej chwili nie grali, siedzieli na obitych czerwonym aksamitem fotelach dla widzów. Pan Nebowitz powtarzał, jak ważne jest, aby wszyscy rozumieli całą sztukę, a nie tylko swoje kwestie, a to oznaczało, że gdy nie stało się na scenie, należało przyglądać się pozostałym aktorom. Przyszło mi do głowy, żeby usiąść obok Grety. Może Toby miał rację. Może wcale mnie nie nienawidziła. Może od początku chodziło o coś zupełnie innego. Rozmyślałam się jednak, gdy wyobraziłam sobie, że mogę wyjść na głupka przed całą widownią. Zamiast tego usiadłam z tyłu i czekałam, aż Greta wejdzie na scenę.

Tym razem nie była nawet w połowie tak dobra jak ostatnio. Poprzednio nie miała na sobie kostiumu, a i tak odnosiło się wrażenie, że prawdziwa z niej *Krwawa Mary*. Nawet ja zapomniałam wtedy, że patrzę na Gretę. Tym razem tak nie było. Przez cały czas wiedziałam, kogo obserwuję. Zwłaszcza gdy śpiewała *Opowieść o szczęściu*. Wszystkie dźwięki się zgadzały, ale nie uwierzyłam w ani jedno jej słowo. Po zakończeniu piosenki Greta wyglądała, jakby z ulgą schodziła ze sceny. Opuściłam audytorium na chwilę przed tym, jak grana przez Antonię Sidell Nellie po raz ostatni zaczęła śpiewać *Dites-Moi*.

Zawędrowałam do poczekalni dla aktorów, która okazała się prawie pusta. Unosił się tam zapach nieświeżych kanapek, a jedynymi obecnymi osobami były dwie dziewczyny od kostiumów oraz chłopak, który malował elementy scenografii. Gdy mnie zauważyli, na kilka sekund przerwali rozmowę, a następnie przeszli w dalszą część pokoju i podjęli ją na nowo. Wspięłam się po schodach, a potem przycisnęłam plecy do ściany i zaczęłam się zastanawiać, gdzie jeszcze mogłabym pójść. Ta chwila przesycona była samotnością: wszystkich wokół mnie absorbowowało coś, w czym nie brałam udziału, a ja nie wiedziałam, gdzie mogłabym iść, i czekałam tylko na imprezę, na której wcale nie chciałam się znaleźć. Jedyne, na co miałam ochotę, to zadzwonić do Toby'ego. Nie miałam mu nic ciekawego do powiedzenia, ale to nie był problem. Czułam, że jest jedyną osobą na świecie, do której mogę zadzwonić, żeby pogadać o niczym. Włożyłam dłoń do kieszeni w nadziei, że znajdę w niej trochę drobnych z lunchu, ale okazała się

pusta. Zamiast dzwonić ruszyłam więc do lasu.

Gdy tylko dotarłam na miejsce, wiatr i wilgotny zapach wiosny pomogły mi pozbyć się smutku. Dawno mnie tu nie było i zdążyłam już zapomnieć, jak bardzo kocham ten las. Początkowo wędrowałam bez celu, ale potem zaczęłam skupiać uwagę na otoczeniu. Chciałam się zorientować w terenie, żeby wiedzieć dokładnie, co się gdzie znajduje. Mój plan na czas trwania imprezy polegać miał na pilnowaniu Grety, a potem czmychnięciu stamtąd przy pierwszej lepszej okazji.

Ruszyłam z biegiem strumyka, którego rwący nurt napędzały deszcze i topniejący śnieg. Nie doszłam do swojego miejsca nieopodal klonu. Kawałek wcześniej odbiłam od strumienia i dotarłam do wielkiego głazu, który znajdował się niedaleko szkoły. Próbowałam udawać, że jestem w średniowieczu, ale nic z tego nie wychodziło. Przynajmniej nie tak jak kiedyś. Za każdym razem, gdy już byłam blisko, przypominało mi się coś, co powiedział Toby. Albo jakieś pytanie z Trivial Pursuit. Albo fragment tekstu którejś z piosenek z *Południowego Pacyfiku*. Zupełnie jakby mój mózg uległ jakiejś przemianie i moja ulubiona jego część obumarała.

Rozsunęłam plecak i wyjęłam papierosa. Zapaliłam go, usiadłam, oparłam się plecami o głaz i patrzyłam, jak gasną ostatnie promienie słońca, a przestrzenie między gałęziami drzew i same gałęzie zaczynają zlewać się w jeden odcień mroku. Nie bałam się. Co mi tam jakaś impreza. Miałam przecież tajemniczego przyjaciela w Nowym Jorku. Paliłam papierosy i piłam brandy. Miałam kogoś pod opieką.

Po tym, jak Toby wyjawiał mi nazwę miasteczka, z którego pochodził, poszłam do biblioteki i odnalazłam je w atlasie. Nie mogłam uwierzyć, jakim był szczęściarzem. Jego rodzinna miejscowość znajdowała się dokładnie na skraju wrzosowisk w hrabstwie North Yorkshire. *Wichrowe wzgórza, Dziwne losy Jane Eyre, Tajemniczy ogród*. Nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego ktoś chciałby stamtąd wyjechać. Finn napisał, że Toby został sam jak palec, ale musiał mieć na myśli Nowy Jork, bo wydawało mi się niemożliwe, żebym była jedyną bliską mu osobą na całym świecie. Postanowiłam mu zaproponować wyprawę do Anglii. Powiem, że to ja chcę tam polecieć, ale tak naprawdę moim celem było zabranie go do domu. Na zdjęciu w sypialni widziałam wyraźnie, jak szczęśliwy był w Londynie. Bez troski i wolny. Nie chciałam niczego schrzanić. Musiałam przemyśleć szczegóły. Trochę podzwonić. Znaleźć paszport. Sporo rzeczy do załatwienia, ale zamierzałam wykonać je tak, jak trzeba. Chodziło bowiem o to spektakularne coś, które chciałam zrobić dla Toby'ego.

Zaciągnęłam się papierosem tak mocno, że końcówka zapłonęła jaskrawym rudym płomieniem w gasnącym świetle dnia. Uświadomiłam sobie, że w byciu potrzebną i posiadaniu celu tkwi pewien rodzaj siły. Czułam, jak wzmacnia mi ona kości i ścina krew w żyłach. Miałam wrażenie, że stałam się starsza i mądrzejsza od wszystkich znanych mi osób. Mogłam zrobić wszystko, absolutnie wszystko.

Jakiś czas później ze wzgórza od strony szkoły zaczęli schodzić ludzie. Przypominali skaczące świetliki przemierzające las. Dobięły mnie śmiechy i piski, gdy ktoś potknął się o korzenie i dzieciakom wypadły z rąk latarki. Schowałam się w zagłębieniu za powalonym pniem dużego drzewa i patrzyłam.

Nie mogłam dostrzec Grety, ale widziałam, jak Julie, Megan i Ryan trzymają się

nawzajem za plecy i schodzą ze wzgórza, tańcząc kankana. Za ubranym w pelerynę Benem podążała gromadka młodszych chłopców z ekipy oświetleniowców. Kilku osób nie znałam. Ktoś przyniósł gitarę, a ktoś inny włączył na pełny regulator okropną muzykę ryczącą z magnetofonu zaklinowanego między gałęziami drzewa. Tiffany śpiewała swoim dziewczęcym głosem piosenkę *I Think We're Alone Now*.

Księżyc był olbrzymi, a las wypełnił się blaskiem, jakiego nigdy wcześniej tu nie widziałam. Przyszło więcej osób niż ostatnim razem, a przyjęcie stawało się coraz głośniejsze i bardziej nieokiełznane. W dalszym ciągu wypatrywałam Grety, ale nie widziałam, żeby mnie mijała. Przyszło mi do głowy, że może ją przegapiłam, skoro zauważyłam wszystkie inne osoby, ale wtedy właśnie ją dostrzegłam. Powoli i ostrożnie schodziła ze wzgórza całkiem sama. Ubrana była w długi, czarny płaszcz i jaskrawopomarańczową chustkę. Ciemne włosy spływały jej na ramiona, a potem w dół pleców, a na jej twarzy nie było widać cienia uśmiechu.

Podeszła do ogniska i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnęła butelkę. Przystawiła ją do ust, a następnie przechyliła na tak długo, że musiała opróżnić za jednym zamachem połowę jej zawartości. Z nikim nie rozmawiała i zaczęłam się zastanawiać, czyby do niej nie podejść, ale nie zrobiłam tego. Tak bardzo skupiłam się na Grecie, że gdy Ben Dellahunt zastukał kłykciami o czubek mojej głowy, krzyknęłam i błyskawicznie się obróciłam.

– Tylko spokojnie – powiedział, cofając rękę.

– Wystraszyłeś mnie.

– Właśnie widzę. – Z uśmiechem wskazał w kierunku ogniska. – Zrobiłaś się płochliwa od tego szpiegowania.

– Wcale nie szpieguję. Obiecałam Grecie, że tu przyjdę, i po prostu trzymam się na uboczu. To wszystko.

– A-ha, jasne – powiedział.

– Taka jest prawda.

Irytowało mnie, że Ben zachowuje się, jakby był ode mnie dużo starszy. Jakby był dorosły i rozmawiał z dzieckiem.

– Wiesz co, nie wydam cię, jeśli powiesz, gdzie jest to miejsce z wilkami – zaoferował.

Niewielu rzeczy żałowałam tak mocno, jak tego, że wygadałam się Benowi Dellahuntowi na temat wilków.

– Po co chcesz to wiedzieć?

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej parę dziwacznych kostek do gry. Podrzucił je, a następnie złapał jedną dłonią.

– Żeby stworzyć misję do *Dungeons & Dragons*. A poza tym pierwszoklasiści zesrają się ze strachu, jak im powiem, że żyją tu wilki.

Nie miałam wyboru. Chciałam, żeby zostawił mnie w spokoju, bo musiałam pilnować Grety. Kazałam mu więc podążać z biegiem strumienia, aż natknie się na duże, przełamane na pół drzewo, a potem przejść na drugą stronę wzgórza.

– Wtedy je usłyszysz – zapewniłam.

– Super. – Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu. – Wiesz, jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie...

Podał mi jedną ze swoich dziwnych kostek.

– Przemyśl to.

– Jasne – powiedziałam. – Na pewno dam ci znać.

Przez chwilę stał przede mną z uśmiechem od ucha do ucha, po czym znenacka przysunął twarz do mojej twarzy i pocałował mnie prosto w usta. Następnie czmychnął, zanim byłam w stanie cokolwiek z siebie wykrztusić. Biegając, zebrał w dłonie pelerynę i zaczął wołać pozostałych chłopców potężnym, władczyim głosem, o jaki nigdy bym go nie podejrzewała.

Stałam w ciemności, rumieniąc się od stóp do głów. Ten pocałunek prawdopodobnie nic nie znaczył. Jeszcze nikt nigdy nie pocałował mnie na poważnie. Ale co, jeśli tym razem było inaczej? Nie, pewnie chciał mnie tylko zaskoczyć. Jeśli już ktoś wyglądał jak Wilcza Królowa Odległych Rubieży, to była to Greta. W intensywnym blasku księżycy przypominała smutną królową wszystkiego co możliwe. Przyszło mi to do głowy, gdy próbowałam ją znowu namierzyć. Dwa razy omiotłam wzrokiem twarze siedzących przy ognisku osób, ale Grety wśród nich nie było.

Każdego, kto się nawinął, pytałam, czy nie widział Grety, ale wszyscy mówili, że nie. Ryan stwierdził, że była zalana w trupa, ale mówiąc to, wspierał się o moje ramię, jakby sam ledwo był w stanie ustać na nogach. Margie Allen wydawało się, że Greta poszła z powrotem do szkoły, ale tak naprawdę to nie miała pewności, czy to była ona. Mimo wszystko wbiegłam na wzgórze. Dotarłam do znajdujących się na tyłach szkoły drzwi do przebieralni dla aktorów, lecz były zamknięte. Zajrzałam przez wąskie okienko – pomieszczenie było puste.

Gdybym miała choć trochę oleju w głowie, poszłabym wtedy do domu. Greta nie zasługiwała na to, żebym jej szukała. Jednak nie byłam w stanie odejść. Wróciłam do lasu, zeszałam ze wzgórza i usiadłam przy ognisku w nadziei, że w końcu się tu pojawi.

Głowa mi puchła od trzasku ognia, śmiechów, otepiałych głosów oraz ryczącej z magnetofonu muzyki. Przycisnęłam dłonie do uszu i wszystko ucichło. Dobiegało mnie tylko niskie pulsowanie basów, ale to było niemalże przyjemne. Czułam się prawie niewidzialna, a jednocześnie siedziałam w samym centrum wydarzeń.

Parę osób zerwało się z miejsc. Potem kilka kolejnych. Chwilę później wszyscy rozbiegli się z krzykiem i rozległo się wycie policyjnych syren. Mrok przecięły niebiesko-czerwone światła radiowozów wjeżdżających na szkolny parking po drugiej stronie wzgórza. Otaczające mnie dzieciaki wpadły w panikę. Tym razem impreza została zorganizowana całkowicie bezmyślnie. Ognisko rozpalono zbyt blisko szkoły i było o wiele za głośno.

Dzieciaki rozbiegły się we wszystkie strony: głębiej w las albo w kierunku miejsc, z których mogły się dostać na ulice bez konieczności przechodzenia przez parking. Ktoś za pomocą stopy zasypywał ognisko, a ja latałam jak szalona, szukając Grety. Zapomniano o magnetofonie, więc cała scena miała własną ścieżkę dźwiękową. Leciła akurat *Blister in the Sun* – w końcu jakaś dobra piosenka – która sprawiała, że gliniarze ścigający między drzewami nastolatków, mierzący w nich latarkami i krzyczący, by się zatrzymali, wydawali się częścią jakiejś kreskówki nadawanej w telewizji w sobotni poranek.

Przesuwałam się od drzewa do drzewa, kryłam się za nimi, dopóki nie zrobiło się

bezpiecznie. Zagłębiałam się coraz bardziej w las w poszukiwaniu siostry. Księżyc świecił tak mocno, że nawet nie była mi potrzebna latarka. W pewnym momencie, niewiele myśląc, obróciłam się i pobiegłam w kierunku miejsca, gdzie poprzednim razem natknęłam się na Gretę – mojego miejsca.

Wydawała się na mnie czekać, zupełnie jakby chciała, żebym ją znalazła. To, że znała dokładne położenie tego miejsca – i wiedziała, że ja również o nim wiem – nie mogło stanowić zbiegu okoliczności. Mimo wszystko nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego leżała zagrzebana w liściach tak jak ostatnim razem. Noc była o wiele cieplejsza niż poprzednio, a ona okryła się nimi niczym wilgotnym kocem. Jej odbarwiona światłem księżycy twarz spoczywała na ziemi, jakby nie była połączona z resztą ciała.

Szybkim ruchem strzepnęłam z niej liście. Uznałam, że tym razem będzie musiała iść o własnych siłach. A nawet biec. Szarpnięciem podniosłam ją do pozycji siedzącej, po czym mocno nią potrząsnęłam, żeby ją ocucić. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– June – szepnęła. – To ty.

– Greta, wstawaj. I to już.

Podniosłam się i zaczęłam ciągnąć ją za rękę, aż prawie stanęła na nogi.

– Nie, nie, nie. Posłuchaj. Ciii. June, wydaje mi się, że umieram.

W dłoni ścisnęła butelkę po morelowym sznapsie. Nie tak dawno temu miałam okazję widzieć tę samą butelkę – pokrytą kurzem i zapomnianą – w tylnej części barku naszych rodziców.

– Wcale nie umierasz, tylko jesteś nawalona. Wstawaj.

Zaśmiała się i znów zamknęła oczy. Chwilę później jej powieki zadrżały i uniosły się. Przyłożyła palec do ust.

– Jesteśmy przyjaciółkami, prawda?

– Będziemy, jeśli zaczniesz iść – odparłam.

I tak zrobiła. Objęła mnie ramieniem i potykając się, ruszyła ze mną przez las. Powolna wędrownica wzdłuż strumienia okazała się niezłą harówką. Nie mogłyśmy wrócić na parking z powodu policji, więc konieczne było przejście przez las na przełaj, tak jak poprzednio. Greta wisiała mi na ramieniu niczym ciężka torba.

– No dalej – powiedziałam, ale ona stanęła w miejscu i ani drgnęła.

– Pamiętasz salon piękności?

Zaczyna się – pomyślałam. Wlokę Gretę do domu, a jej zbiera się na wspominki. Najpierw się wściekłam na tę całą sytuację. Potem jednak Greta przyłożyła swoją dłoń do mojej i przesunęła opuszką palca po każdym z moich paznokci.

– Pamiętasz płatki pelargonii? – spytała, a mój gniew zelżał, bo faktycznie je pamiętałam.

W salon piękności bawiłyśmy się jako małe dziewczynki, gdy jeszcze byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Kiedy przychodziła kolej Grety, musiałam usiąść na trawie, a ona szukała wokół domu potrzebnych jej rzeczy. Zbierała płatki pelargonii, puszek z mleczów i maleńkie fiołki rosnące dziko na trawniku. Następnie kazała mi się położyć na plecach i rozłożyć ręce, a sama zabierała się do roboty. Kładła mi fiołki na powiekach, posypywała włosy białym puchem i układała płatki pelargonii jeden po drugim na paznokciach moich dłoni i stóp, wyszukując takie, które idealnie pasowały

do nich rozmiarem. Potem krzyczała: „Uśmiech proszę!” i naśladowała dźwięk kliknięcia migawki, udając, że uwiecznia ten moment trzymanym w ręku aparatem fotograficznym.

Gdy było po wszystkim, podnosiłam się z ziemi tak wolno, jak to tylko możliwe, żeby nie spadły ze mnie owoce jej pracy. Zazwyczaj udawało mi się nie zrzucić z siebie tylko płatków na paznokciach u stóp oraz puchu we włosach, ale to wystarczało. Zwłaszcza jeśli chodzi o paznokcie, bo płatki naprawdę przypominały lakier.

Z zażenowaniem przypominałam sobie, że po raz ostatni bawiłyśmy się w ten sposób, gdy miałam jedenaście lat, a Greta trzynaście. Obie zdawałyśmy sobie wtedy sprawę, że jesteśmy już na to za stare – Greta nosiła już prawdziwy makijaż – ale wiedziałyśmy też, jaką nam to sprawia przyjemność, a w towarzystwie własnej siostry można sobie pozwolić na robienie żenujących rzeczy.

– Połóż się – powiedziała Greta.

Najpierw nie zrozumiałam, o co jej chodzi, ale potem do mnie dotarło: Greta chciała bawić się w salon piękności w lesie. Szłam dalej, ciągnąc ją za sobą.

– Nie ma mowy – powiedziałam.

– No weź, Junie. Będzie tak jak dawniej.

– Jak dawniej? Co ty wygadujesz? To ty jesteś wredna. To ty zniszczyłaś wszystko, co nas kiedyś łączyło.

Nic nie odpowiedziała. Jej ręka zsunęła się z moich pleców.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że ja też mogę mieć problemy? – spytała. – Że mogę sobie nie radzić z różnymi... sytuacjami?

Potykaçąc się, Greta wyprzedziła mnie, a potem obróciła się i parsknęła śmiechem.

– Biedactwo! Niełatwe jest życie ulubienicy, co? Może powinnam zarazić się AIDS. Wtedy wszyscy i mi zaczęliby nadskakiwać...

– Przymknij się, Greto. Po prostu się zamknij.

– Czy byłabym wtedy dla ciebie wystarczająco wyjątkowa? Wystarczająco tragiczna?

Spojrzała na mnie wymownie, a potem wystrzeliła przed siebie, jakby momentalnie otrzeźwiała.

– Poczekaj! – zawołałam, ale nie posłuchała.

Musiałam pędzić z całych sił, żeby dotrzymać jej tempa. Księżyc oświetlał las cieniutkimi promykami srebrnego blasku. Myślałam, że Greta się zgubiła, ale nie. Odbiła od strumienia w dobrym momencie, a następnie wybiegła na Evergreen Circle, gdzie ją w końcu dogoniłam.

Przez resztę drogi w milczeniu przecinałyśmy uliczki i podwórka naszego miasteczka. Wpatrywałam się w plecy Grety. W jej splecione włosy ozdobione strzępkami brązowych liści i ziemią. Co się działo z moją siostrą? A gdybym się tam nie pojawiła? Jak długo ukrywałyby się w chłodnych, wilgotnych liściach? Ile czasu minęłoby, zanim obudziłaby się wystraszona i całkiem sama, a towarzystwa dotrzymywałyby jej tylko wycie wilków?

– Greta, muszę wiedzieć, co się dzieje. Naprawdę mnie wystraszyłaś. Jeśli będzie trzeba, powiem o wszystkim rodzicom.

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Wcale tego nie zrobisz. Też tam byłaś, prawda? Nie wspominając o innych

miejscach. Mam im powiedzieć o twoich powrotach do domu?

– Boże, Greta, przecież nie mówię tego, żeby zrobić ci na złość. Pomogę ci, o cokolwiek by chodziło. Serio.

Greta usiadła na krawężniku pomiędzy domami Aultów i DeRonzych, a ja klapnęłam obok niej. Światło znajdującej się dokładnie nad nami latarni sprawiło, że znalazłyśmy się wewnątrz niewielkiego jasnego koła oddzielonego od reszty świata. Spojrzała na mnie zmęczonymi, przepitymi oczami.

– Naprawdę się o mnie martwisz, June? Poważnie?

– Pewnie, że tak.

Greta wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

– To miłe – powiedziała.

Potem mnie uścisnęła – szczerze, mocno i gwałtownie. Cuchnęło od niej alkoholem i zbutwiałym leśnym poszyciem, ale zza tych zapachów przebijała też słodka, niewinna woń perfum Jean Naté. Greta pochyliła się ku mnie i szepnęła:

– Ja też się boję, Junie. I to bardzo.

– Ale czego?

Pogłaskała mnie po policzku grzbietem dłoni, a potem przycisnęła wargi do mojego ucha.

– Wszystkiego.

Następnego ranka obie spałyśmy do późna. A przynajmniej tak długo, jak pozwoliła nam mama, czyli do wpół do jedenastej. Po południu mieliśmy iść do Ingramów na grilla. Co roku organizowali go dla naszych rodziców na sam koniec sezonu podatkowego. Żeby pomóc im pokonać ostatni odcinek maratonu, jak sami mawiali.

Było mi wszystko jedno, czy pójdziemy do Ingramów, czy nie, ale Greta próbowała się z tego wykręcić na wszelkie możliwe sposoby. Najśmieszniejsze, że rodzice kazali jej w końcu iść tylko dlatego, żeby Mikey'emu nie było przykro, a gdy zjawiliśmy się na miejscu, okazało się, że Mikey i tak wyszedł gdzieś ze znajomymi. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że już nie życzy sobie, aby zwracano się do niego per „Mikey”, tylko „Mike”. Siedziałam więc ze skacowaną Gretą na starej, zardzewiałej huśtawce na podwórku za domem Ingramów. Greta wierciła czubkiem buta dziurę w skrawku obnażonej ziemi. Ja natomiast huśtałam się tak wysoko, jak tylko się dało, przez co jedna noga huśtawki raz za razem wysuwała się z ziemi. Można było odnieść wrażenie, że lada moment obie uniesiemy się w powietrze.

– Możesz przestać? – spytała Greta.

– Nie – odparłam, nie przestając się huśtać.

Wstała i spojrzała w kierunku stołu piknikowego, przy którym siedzieli dorośli ze szklankami pełnymi piwa albo wina. Tato wziął ze sobą Trivial Pursuit i mimo że Ingramowie od lat mieli tę grę, i tak udało mu się ich namówić na partyjkę. Słyszac śmiech mamy, miałam ochotę zatkać uszy, bo nie mogłam usunąć z pamięci rzeczy, których się na jej temat dowiedziałam. Jak to możliwe, że ktoś mógł sprawiać wrażenie osoby tak silnej i normalnej, a w środku być przepełniony smutkiem i desperacją? I złośliwością. To było najtrudniejsze do przełknięcia. Dopiero w ciągu ostatnich kilku lat zaczęłam postrzegać Finna i mamę jako rodzeństwo i naprawdę uwierzyłam, że byli kimś więcej niż tylko moją matką i wujkiem. Może Finn też kiedyś siedział z mamą na huśtawce za domem podczas grilla, a oboje byli tak samo znudzeni jak Greta i ja. I pewnie też dzielili się sekretami.

Greta przysunęła dłoń do ust, wydała z siebie dźwięk sugerujący mdłości, westchnęła, po czym znów usiadła na huśtawce. Zastanawiałam się, w jaki sposób mogłabym poruszyć temat wydarzeń zeszłej nocy, żeby Greta od razu się nie wściekła. Okręciłam ramiona wokół łańcuchów huśtawki, ale dłonie trzymałam w kieszeniach płaszcza, bo było zimno. Zbyt zimno na robienie grilla, chociaż wszyscy udawali, że to nieprawda. Moje palce od jakiegoś czasu bawiły się czymś, co znalazły w lewej kieszeni, i zorientowałam się, że jest to dziwaczna kostka do gry, którą dał mi Ben. Wyjęłam dłonie z kieszeni, odczekałam, aż huśtawka znajdzie się w najwyższym punkcie, i zeskoczyłam na trawę.

– Hej – powiedziałam. – Spójrz na to.

Wyciągnęłam otwartą dłoń w kierunku Grety. Po raz pierwszy patrzyłam na kostkę w świetle dziennym i wydała mi się całkiem ładna. Półprzezroczysta błękitna bryłka o dziesięciu ściankach przypominająca dwie pięciościenne piramidy o połączonych

podstawach. Wyglądała niczym sporych rozmiarów klejnot, w którym ktoś wrył liczby.

Greta zerknęła na kostkę.

– No i? Co to takiego?

– Kostka do gry w *Dungeons & Dragons*. Od Bena.

Greta momentalnie się ożywiła.

– Aaaaa. Nudziarskie zaloty.

Czułam, że się rumienię, i chociaż udawanie, że chcę się z nią podzielić pikantnymi wieściami na temat Bena, nie było zbyt przyjemne, najwyraźniej był to jakiś sposób na znalezienie z nią wspólnego języka. Widziałam, że zaczyna się rozluźniać. No i był jeszcze pocałunek.

– Widziałas go wczoraj wieczorem? W tej jego pelerynie?

Pokręciła głową.

– Ale najwyraźniej ty go widziałas. – Uniosła brwi, a na jej ustach pojawił się ironiczny uśmiešek.

Tylko skinęłam głową, żeby nadać mojej odpowiedzi dwuznaczny charakter i dać Grecie do myślenia. Ta najpierw zmierzyła mnie wzrokiem, a następnie obdarzyła spojrzeniem, które miało mi uświadomić, że nie ma na tym świecie rzeczy, których nie byłaby w stanie pojąć.

– Wiesz, June, ja tylko udaję Greka. Możesz przestać zmyślać.

– Co zmyślać?

– Że jest coś między tobą a Benem, bo to nieprawda.

Zabawne było to, że dla odmiany coś się między nami pojawiło.

Ben mnie przecież pocałował. Niezdarnie, szybko i może tylko dla żartu, ale tak przedstawiały się fakty.

– Wiesz co, Greta? Nie wiesz wszystkiego. Może ci się wydawać, że tak jest, ale dużo ci jeszcze brakuje, żeby...

– Widziałam, jak Ben szedł gdzieś wczoraj w nocy z Tiną Yarwood.

Szybko odwróciłam wzrok. Jej słowa zakłuły mnie mocniej, niż mogłam się spodziewać.

– Aha – wydusiłam z siebie po chwili.

Nie chodziło o to, że pogrążałam się w fantazjach na temat Bena Dellahunta ani że jakoś szczególnie go lubiłam. Był zadufanym w sobie kujonem, który do pięt nie dorastał Finnowi czy Toby'emu. Ale gdy Greta wspomniała o Tinie Yarwood, przypominałam sobie pocałunek i że zarumieniłam się wtedy, jakby naprawdę coś znaczył. Rozmyślałam nad tym wszystkim i w pewnym momencie prawda złapała mnie z nienacka za gardło. Nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu byłam tą głupszą z nas dwóch. Dziewczyną, która nie rozumiała, jakie relacje łączą ją z innymi ludźmi.

Greta przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy ze złośliwym uśmieszkiem. Wiedziała, że mi dopiekle. Miała to wypisane na twarzy. Wtedy – chociaż byłam świadoma, że nie mogłabym zrobić nic głupszego, a Greta najmniej ze wszystkich osób nadaje się na powierniczkę mojego sekretu – obróciłam się i rzuciłam prosto w jej skacowaną twarz:

– Ben nic dla mnie nie znaczy, Greta. Mam chłopaka w Nowym Jorku. Jest ode mnie starszy. Od ciebie zresztą też. Bez przerwy jeżdżę tam sama i palimy papierosy, pijemy

alkohol i robimy, na co tylko mamy ochotę.

Ledwo się powstrzymałam przed wypaplaniem jej planów dotyczących wyjazdu do Anglii.

– Kłamiesz – powiedziała tonem tak wściekłym, że wiedziałam, iż musi mi wierzyć.
Wzruszyłam ramionami.

– Możesz wierzyć, w co chcesz.

– Nie martw się. Tak właśnie zrobię.

Nadanie głosowi tonu osoby pewnej siebie wysssało ze mnie resztki energii i gdy wróciłam na huśtawkę, przez kilka minut dygotałam, rozmyślając o głupocie tego, co właśnie robiłam. Mogłam wpędzić w niezłe tarapaty zarówno siebie, jak i Toby'ego. Wstałam i ruszyłam przed siebie, ale coś mi się przypomniało.

– Skąd właściwie wiesz o tym miejscu w lesie?

Uśmiechnęła się.

– Widziałam cię, June. Wzgórza mają oczy...

– Co masz na myśli?

W tamtej chwili sprawiała wrażenie tak potężnej, że zaczęłam się bać tego, co miała do powiedzenia. Musiałam jednak wiedzieć.

– No mów – pospieszyłam ją.

– Śledziłam cię. Któregoś dnia na początku roku widziałam, jak idziesz ze szkoły w kierunku lasu, i poszłam za tobą. Spędziłam tam całe popołudnie, patrząc, jakie odstawiasz dziwactwa. Gadałaś do siebie i nałożyłaś tę durną, starą suknię. No i twoje wyjątkowe botki.

– Podglądałaś mnie?

– Wiele razy.

Sporunowałam Gretę wzrokiem. Powinnam się zawstydzić, ale czułam jedynie wściekłość. Obróciłam się na pięcie i odeszłam bez słowa. Ciągle się trzęsłam, więc zacisnęłam pięści, żeby wziąć się w garść. W dłoni trzymałam niebieską kostkę do gry i znowu przypomniał mi się Ben. Cisnęłam nią przez trawnik Ingramów. Za kilka miesięcy kosiarka rozbije ją w drobny mak. I bardzo dobrze.

Podeszłam do stołu i usiadłam z dorosłymi. Udawałam, że dobrze się bawię, grając w Trivial Pursuit, aż w końcu przyszedł czas zbierać się do domu.

W następną środę wypadał prima aprilis. Prezydent Reagan po raz pierwszy wygłosił w telewizji mowę na temat AIDS. Okazało się, że o chorobie wiedział od jakiegoś czasu, tylko powstrzymywał się od komentarzy. Zgodnie z tym, co powiedział, wszyscy – a zwłaszcza nastolatki – powinni przestać uprawiać seks. Nie użył dokładnie tych słów, ale takie było przesłanie. Pomyśl uznałam za niezły. Dlaczego właściwie seks jest aż tak ważny? Dlaczego ludzie nie są w stanie spędzić ze sobą całego życia tylko dlatego, że lubią towarzystwo tej drugiej osoby bardziej niż kogokolwiek innego?

Gdy już znajdzie się kogoś takiego, seks nie jest wcale konieczny. Można się po prostu przytulać, prawda? Usiąść bardzo blisko ukochanej osoby i nasłuchiwać dźwięków działania maszyny, jaką jest jej ciało. Przycisnąć ucho do pleców, żeby słuchając rytmu serca, zrozumieć, że oboje jesteście złożeni z tych samych elementów. Można robić tego rodzaju rzeczy.

Czasami, gdy stoi się blisko kogoś innego, trudno jest stwierdzić, komu burczy w brzuchu. Zerkacie na siebie, przepraszacie i jednocześnie mówicie: „To ja”, a potem wybuchacie śmiechem. Seks wcale nie jest potrzebny, żeby coś takiego się wydarzyło. Żeby ciało przestało się orientować, czy jest głodne, czy nie. Żeby nie można było odróżnić głodu swojego od cudzego.

Przydarzyło mi się to zaraz po moich trzynastych urodzinach w mieszkaniu Finna. Wychylaliśmy się z Finnem przez jedno z jego dużych okien i czekaliśmy, aż wróci mama. Poszła na zakupy do Bloomingdale's, żeby znaleźć prezent ślubny dla kogoś, kogo rodzice znali z pracy, i lada moment spodziewaliśmy się zobaczyć, jak przechodzi przez ulicę, opatulona w długi pikowany płaszcz, niosąc torbę z Bloomingdale's. Obojgu nam sprawiało przyjemność przyglądanie się ludziom z góry bez ich wiedzy. Wiedzieliśmy, że w ten sposób można było czasami dostrzec, kim naprawdę jest dana osoba. Pomimo zimna wychylaliśmy się więc z okna, prawie stykając się ramionami, a Finn raz na jakiś czas pocierał mi plecy, żeby je rozgrzać. Na głowę nałożył sobie niebieską wełnianą czapkę, której kolor był prawie identyczny jak barwa jego oczu, a mnie okręcił szyję zrobionym na drutach czerwonym szalikiem.

– Ej, Krokodylku – odezwał się.

– Co?

– Twoja mama mówiła, że rozmawiałyście o mnie. O tym, co mi dolega.

Upłynęło już kilka miesięcy od rozmowy w restauracji Mount Kisco, a ja ani razu nie wspomniałam o niej Finnowi. Zachowywałam się, jakbym nie miała o niczym pojęcia. Nie mogłam zrobić nic innego, bo byłam pewna, że zepsułoby to czas, jaki nam pozostał. Jeszcze raz okręciłam sobie szyję szalikiem.

– Możemy o tym nie rozmawiać?

Poczułam, że Finn kładzie mi dłoń na plecach. Kiwnął głową.

– Tylko, wiesz, gdybyś chciała mnie o cokolwiek zapytać...

– Okej – powiedziałam szybko, wchodząc mu w słowo.

Widziałam, że był gotowy na dłuższą rozmowę. Gdyby mu na to pozwolić, zaczęłyby

szukać stosownych słów, żeby opowiedzieć mi wszystko o swojej chorobie, ale ja nie miałam ochoty o niej słuchać. Wskazałam za okno.

– Ej, czy to przypadkiem nie Barbara Walters?

Finn wychylił się jeszcze dalej i przekrzywił głowę, po czym z uśmiechem trącił mnie barkiem w ramię.

– Raczej babcia Dolly Parton.

Parsknęłam śmiechem. Głównie z radości, że udało mi się zmienić temat. Właśnie wtedy z brzucha jednego z nas wydobyło się donośne burczenie. Spojrzałam na Finna z zakłopotaną miną, bo byłam pewna, że to ja. Finn jednak stwierdził, że to chyba on, bo na lunch wypił jedynie filiżankę kawy. Każde z nas jeszcze kilka razy wzięło na siebie winę, aż w końcu Finn pociągnął mnie w kierunku kuchni, mówiąc, że to nieistotne.

– Mamy wspólny żołądek, Krokodylku – powiedział.

Otworzył szafkę i wyciągnął z niej pudełko krakersów Wheat Thins, a potem wyjął z lodówki drogi ser obleczony cienką warstwą bordowego wosku. Oparliśmy się o kuchenny blat i jedliśmy do momentu, gdy mama zadzwoniła domofonem z lobby.

W dzień *prima aprilis* musiałam mieć się na baczności, bo zazwyczaj czekał na mnie psikus przygotowany przez Gretę. Kiedyś tak nie było. Jeszcze kilka lat temu wspólnie płatałyśmy figle rodzicom. Nie zawsze były one najwyższej jakości – sól w cukiernicy, ketchup udający krew na palcu i tym podobne – ale przynajmniej organizowałyśmy je razem. Parę lat później zostały już wyłącznie te wymierzone we mnie przez Gretę. Czasami mówiła mi, że ma się wydarzyć coś miłego – na przykład, że zamiast iść do szkoły pojedziemy do parku rozrywki *Great Adventure* – a gdy tylko zaczynałam się ekscytować, wybuchała śmiechem i mówiła „*prima aprilis*”. Innym razem robiła coś dokładnie odwrotnego. Udawała, że stało się coś bardzo złego – na przykład, że uciekł mój chomik – czekała, aż się rozpłaczę, a potem pokazywała mi, że schowała go pod łóżkiem w pudełku po butach.

W zeszłym roku weszła do mojego pokoju z samego rana ze smutną miną i powiedziała, że Finn nie żyje. Poczekala, aż całkiem się rozbudzę, a przyniesione przez nią nowiny przenikną mnie do szpiku kości. Najwyraźniej spodziewała się, że się załamie albo pobiegnę się do niej przytulić. Ale ja popadłam w odrętwienie. Siedziałam na łóżku bez ruchu. Jeszcze przez chwilę stała w drzwiach, po czym się poddała. „*Prima aprilis*”, powiedziała rozczarowanym tonem.

Zazwyczaj nie miałam pojęcia, że jest pierwszy kwietnia, ale w tym roku pamiętałam, więc czekałam na atak ze strony Greta.

Ale nic się nie działo. Siedziałyśmy same w domu, bo rodzice musieli pójść wcześniej do pracy. Wpatrywałam się w plecy Greta, która pochyłona nad kuchennym blatem, smarowała tost dżemem z winogron. Gdy się obróciła i zobaczyła, że się na nią gapię, posłała mi pytające spojrzenie, a następnie podniosła swój kubek z kawą. Odwróciłam wzrok i wzięłam do ust łyżkę płatków *Cookie Crisp*. Mleko sprawiło, że małeńkie dyski, które miały smakować jak czekolada, stały się oślizgłe, ale mi to nie przeszkadzało.

– Chcesz ten drugi kawałek? – spytała Greta, wyciągając w moim kierunku tost

z dżemem.

– Okej.

Położyła go na stole obok mojej miski i poszła szykować się do szkoły. Uważnie mu się przyjrzałam, a następnie obwąchałam, domyślając się, że jest to jej tegoroczny psikus. Musiała posypać go białym pieprzem, płatkami chili albo jeszcze czymś innym. Ulżyło mi, że już było po wszystkim – błyskawicznie dostrzegłam podstęp. Uniosłam tost do ust, musnęłam językiem jego powierzchnię i czekałam, aż poczuję pieczenie. Nic. Ugryzłam cały kęs i znowu odczekałam chwilę. Znowu nic, to nie był żaden figiel.

Postanowiłam pójść do szkoły na piechotę, bo nie chciałam dać Grecie kolejnej szansy, gdy będziemy czekały na autobus. Było jeszcze wcześnie, a poranek był jasny i ciepły, więc poszłam przez las.

Uwolnione spod śniegu liście wypełniły go słodkim zapachem syropu. W Westchesterze miewaliśmy tylko kilka dni wiosny. Zazwyczaj pogoda zmieniała się z zimy w gorące, parne lato jak za przyciśnięciem guzika. W kwietniu mógł jeszcze padać śnieg, ale wraz z nastaniem maja robiło się upalnie. I to był koniec mojego urzędowania w lesie. Nie da się udawać, że jest się w średniowieczu, gdy temperatura sięga trzydziestu kilku stopni. W mojej wersji wieków średnich panuje albo jesień, albo zima. Zawsze jest zimno i mokro. Trzeba wkładać płaszcz. I botki. Bez botków ani rusz.

Ale na razie było w porządku. Tego ranka nie spieszyłam się z dotarciem do szkoły. Wiedziałam, że mam cały las tylko dla siebie. Nuciłam sobie *Requiem* i udawałam, że jestem dziewczyną, na której piersi wypalono gorącym żelazem piętno za zebranie.

W szkole ostrożnie otworzyłam swoją szafkę, myśląc, że może właśnie w niej znajduje się psikus, ale w środku niczego nie było. Cały dzień wypatrywałam Grety. Za każdym rogiem. W kolejce na stołówce. W kabinach w łazience. Ale w dalszym ciągu nic się nie stało.

Prima aprilis roku 1987 przebiegał bez ani jednego złośliwego żartu ze strony Grety. Gdy wróciłam do domu, w skrzynce na listy znalazłam zaadresowaną do mnie niewielką kopertę bąbelkową od Konsorcjum na rzecz Ochrony Płyt Pozbawionych Okładek. Przez myśl przemknęło mi, że może to właśnie jest psikus Grety, ale naturalnie paczuszka pochodziła od Toby'ego. Przysłał mi kasetę ze swoją muzyką gitarową. „Nauczę cię tego” – nabazgrał na wkładce.

Na obiad zjadłyśmy z Gretą gulasz wołowo-warzywny, który zostawiła nam mama, a potem obejrzałam *Pokój z widokiem* i poszłam spać.

Leżałam w łóżku, starając się zrozumieć, dlaczego Greta postanowiła zrobić sobie rok przerwy. Przyszło mi do głowy, że może jeszcze nie jest za późno i spróbuje mnie nabrać kilka minut przed północą, ale gdy tuż po jedenastej zajrzałam do jej pokoju, mocno spała. Ja jednak nie byłam w stanie zasnąć. Leżałam w łóżku pogrążona w rozmyślaniach, a im dłużej dumałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że może Greta wcale nie zrobiła sobie przerwy. Może doszła do wniosku, że odwaliła całą primaaprilisową robotę w ciągu zeszłych lat. Nie musiała już robić nic więcej. Sama zepsułam sobie dzień, wypatrując figla, a ona mogła spokojnie rozkoszować się tym widokiem.

A może po prostu jej się nie chciało. Może nie byłam warta zachodu. Zasnęłam z tą

smutną myślą, a gdy zbudziłam się rano, ona ciągle tkwiła w mojej głowie niczym chłodna, czarna dziura w samym środku wszechrzeczy.

Podoba mi się słowo „potajemny”. Ma w sobie coś średniowiecznego. Czasami myślę o wyrazach jak o żywych istotach. Gdyby słowo „potajemny” było żywe, przypominałoby małą, bladą dziewczynkę o włosach koloru jesiennych liści ubraną w sukienkę białą jak księżyc. Moją relację z Tobym można było określić jako potajemną.

Gdy dwa dni później spotkałam się z Tobym po szkole, przyniosłam mu bonsai. Tyle że nie było to prawdziwe drzewko, tylko gałązka klonu japońskiego rosnącego za naszym domem wetknięta w grudkę ziemi.

– To dla ciebie, Toby-san – oznajmiłam z ukłonem.

Bałam się, że zapomniiał, na czym polega żart. Sama nigdy nie zapominam dowcipów, ale niektórym ludziom od razu ulatują one z głowy i potem wychodzę na dziwaczkę, gdy okazuje się, że pamiętam o jakichś bzdurach.

– Mądry uczeń bierze przykład ze swego mistrza – odparł Toby, odkłaniając mi się bez chwili wahania.

Następnie w błazeński sposób zaczął imitować styl żurawia, ale ze swoimi długimi patykowatymi kończynami nie wyglądał wcale jak żuraw, tylko jak jakiś dziwny gatunek ptaka, którego nikt jeszcze nie odkrył.

Zaśmiałam się i dałam mu szturchańca w bok, ale Toby był silniejszy, niż wyglądał, i nawet nie drgnął.

Jak zwykle przyjechałam pociągiem, a Toby zgodnie z tradycją zrobił nam herbatę. Dało się zauważyć, że stara się utrzymywać mieszkanie w czystości, ale mimo to było nadal lekko zapuszczone. Nic jednak nie powiedziałam, bo widziałam, że jest pełen dobrych chęci. Toby wyjął pudełko z ciasteczkami Oreo, a ja wyjęłam z niego jedno. Rozerwałam je na pół i zeskrobałam zębami znajdującą się w środku białą warstwę. Potem zanurzyłam obie połówki ciasteczka w herbacie. Toby niczego nie jadł.

– Myślałam o tym, co mówiłeś – powiedziałam. – Że możemy zrobić, co tylko chcemy.

– No i?

– W dalszym ciągu nad tym pracuję. Nie obmyślałam jeszcze wszystkiego do końca.

– Och, to napięcie, June. To nieznośne napięcie! – Toby szeroko otworzył oczy i obdarzył mnie uśmiechem. – Chciałbym móc powiedzieć, że nie musisz się spieszyć, ale...

– Ha, ha – odparłam, chociaż wiedziałam, że to wcale nie jest śmieszne. – Poza tym...

– Tak?

– Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy obejrzeć te obrazy w piwnicy.

– Jesteś pewna? Czujesz się gotowa?

Tak naprawdę nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę na to gotowa, ale i tak kiwnęłam głową.

Tym razem to ja prowadziłam, bez wahania kierując się ku klatce. Odczekałam, aż

Toby otworzy kłopotliwą kłódkę, a następnie pierwsza weszłam do środka.

Na drewnianej palecie leżały dwie sterty płócien. W sumie było ich jakieś trzydzieści czy czterdzieści. Obróciłam się do Toby'ego.

– Wszystkie są Finna?

Skinął głową.

– No, ale był przecież artykuł w „Timesie”. Widziałeś go?

Toby pokręcił głową.

– Nie kupuję gazet.

– Przy artykule było zdjęcie naszego portretu... – Zrobiłam pauzę, żeby sprawdzić, czy Toby przyzna się do wysłania go do redakcji gazety.

– Tak? – spytał, nie zdradzając się z jakąkolwiek wiedzą na ten temat. Próbowалам wyczuć, czy czegoś nie ukrywa, ale wyglądał tylko na lekko zdezorientowanego.

– Napisano w nim, że Finn przestał malować jakieś dziesięć lat temu.

Toby pokręcił głową.

– Nie, nie. Przestał tylko wystawiać swoje prace, to wszystko. Możesz sobie wyobrazić, że Finn byłby w stanie w ogóle nie zajmować się sztuką?

Po raz kolejny poczułam się jak głupek. Jakbym nie znała Finna nawet w połowie tak dobrze jak Toby.

– Raczej nie – odpowiedziałam. – Ale dlaczego przestał wystawiać obrazy?

– Stwierdził, że ten cały cyrk zaczyna go nudzić. Sprzedawał coś od czasu do czasu, gdy potrzebował pieniędzy, ale nic poza tym. Doszedł do wniosku, że nie musi już niczego nikomu udowadniać.

Dla mnie miało to sens, ale wiedziałam, że mama uznałaby nastawienie Finna za nedorzeczne. Powiedziałyby, że postąpił głupio, pozwalając, by taka szansa przeszła mu koło nosa.

Toby wskazał na obrazy.

– Jeśli chcesz, mogę zostawić cię samą, żebyś mogła spędzić z nimi trochę czasu. Jak skończysz, zamknij kłódkę i wracaj na górę.

Podał mi klucz.

Nic nie powiedziałam i Toby skierował się do wyjścia. Usłyszałam, jak zamyka za sobą drzwi klatki. Miałam ochotę przyjrzeć się obrazom w samotności. Nie chciałam się bać, ale mama miała rację: to miejsce naprawdę kojarzyło się z horrorem.

– Toby?

– No?

– Możesz zostać... jeśli chcesz.

Uśmiechnął się i zanim się obejrzałam, układał się już na szezlongu, nalewając sobie drinka z fantazyjnej kryształowej karafki.

– Nie będę ci się przyglądał – powiedział. – Udawaj, że mnie tu nie ma.

Usiadłam na podłodze po turecku i zaczęłam przeglądać obrazy jeden po drugim. Większość płócien była stosunkowo niewielka.

Miały rozmiary zbliżone do wymiarów drzwiczek mikrofalówki. Kilka pierwszych stanowiły abstrakcyjne malowidła. Kształty i kolory. Nie chciałam, żeby mnie znudziły, ale tak właśnie się stało. Wiedziałam, że gdybym była mądrzejsza, uznałabym je prawdopodobnie za najlepsze obrazy w historii, ale jestem, kim jestem, i nie chcę

kłamać, a prawda jest taka, że uznałam je za raczej nieciekawe. Mimo to każdemu z nich poświęciłam trochę czasu, na wypadek gdyby Toby jednak mi się przyglądał. Nie chciałam, żeby odniósł wrażenie, że nie podobają mi się prace Finna. Jednak gdy tylko uporałam się z abstrakcjami, przestałam się martwić. Po około dziesięciu obrazach tego typu natknęłam się na kartkę białego papieru z tekstem zapisanym dawnym charakterem pisma Finna. Nie bazgrołami, które wychodziły spod jego ręki, gdy był chory, ale schludnym, zdecydowanym pismem, jakim się wcześniej posługiwał. *SZKODA, ŻE CIĘ TU NIE MA (23)*, głosił napis.

Od tej chwili poświęcałam obrazom sto procent uwagi.

Płótna z tej serii przypominały staromodne pocztówki dużego formatu z różnych miejsc w Ameryce. Na każdym z nich widniały starannie namalowane znaczki, stemple pocztowe i widoczki utrzymane w nierealnych kolorach. Woda była przesadnie turkusowa, a niebo do tego stopnia błękitne, że z trudem dało się na nie patrzeć. Taos, Fairbanks, Hollywood. Najdziwniejsze było jednak to, że na każdym z obrazów znajdowała się twarz Toby'ego. Nie taka jak w rzeczywistości, tylko przekształcona w coś całkiem innego. Na jednym z płócien znajdowała się pośród wyrytych w Górze Rushmore twarzy prezydentów. Na pocztówce z Alaski twarzą Toby'ego został obdarzony niedźwiedź grizzly. Mnóstwo czasu zajęło mi dostrzeżenie go na widokówce z Everglades, bo Finn namalował go jako stare, poskręcane drzewo rosnące pośród bagien.

Zerknęłam na Toby'ego. Zasnął na szezlongu z otwartym przewodnikiem po świetle muszli na piersi. Wstałam i przykryłam go aż pod brodę białym prześcieradłem, które skrywało wcześniej stertę obrazów. Przez jakąś minutę obserwowałam, jak materiał wolno unosi się i opada w rytm oddechu Toby'ego. Uśmiechnęłam się, bo była to pierwsza do tej pory rzecz, jaką można by uznać za rodzaj opieki nad nim, i dobry uczynek sprawił mi przyjemność. Być może kroczyłam w końcu po właściwej ścieżce.

Wróciłam do przeglądania obrazów. Niektóre były tak absurdalne, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Moim ulubionym była pocztówka z Arizony, na której Toby ma postać wielkiego kaktusa saguaro, w którego wnętrzu mieszka sowa. Zaczęłam chichotać, bo – co tu dużo mówić – wyglądało to niemądrze. Tylko tak można to określić. Musiałam zbudzić Toby'ego, bo chwilę później uklęknął za mną na podłodze i zagłębując mi przez ramię, powiedział:

- Nie widzę tu nic śmiesznego. – Po czym sam wybuchnął śmiechem.
- Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłem ci je obejrzeć, June Elbus.
- Ja też nie – odparłam.

I wtedy gdzieś w piwnicy trzasnęły drzwi i oboje zamarliśmy.

- Ciii – powiedział Toby.

Słyszałam, jak ktoś wyciąga pranie. Rozległ się dźwięk otwierania drzwi suszarki i Toby znowu powiedział „ciii”. Uniosłam kolejny obraz. Twarz Toby'ego otrzymał stylizowany eskimoski łosoś wyskakujący ze strumienia. Podpis brzmiał „Kolumbia Brytyjska”, a rybna wersja Toby'ego przelatowała właśnie przez literę „O” w wyrazie „Kolumbia”. Zawylałam ze śmiechu, a gdy tylko Toby spojrział na płótno i zobaczył to, co ja, zaraz do mnie dołączył. Oboje robiliśmy, co w naszej mocy, żeby przestać rechotać, ale na próżno.

– Jest tam kto? – dobiegł nas głos znajdującego się w pralni starszego mężczyzny.

Toby przyciągnął mnie do siebie, bez końca powtarzając: „ciiii, ciii”. Oplótł mnie ramionami i zakrył mi usta swoją szeroką dłonią, żeby mnie uciszyć. Jego ręce okazały się silniejsze, niż się spodziewałam. O wiele silniejsze. Zamilkłam i pomyślałam, że tak właśnie musiał czuć się Finn. Tak właśnie czuje się osoba przytulana przez kogoś, kto ją kocha. Obróciłam kolejny obraz, spodziewając się następnej pocztówki, ale zamiast niej widniał na nim Finn. Był to autoportret, z którego spoglądał prosto na nas. Nie było w nim nic wydumanego. Finn miał na głowie swój niebieski kapelusz, a jego błękitne oczy sprawiały wrażenie, jakby chciały przekazać coś bez użycia słów. Staruszek dalej do nas wołał, a dłoń Toby’ego ciągle zakrywała mi usta. Czułam jego palce na wargach i już się nie śmialiśmy. Oboje wpatrywaliśmy się w Finna.

– Wyłazić mi stamtąd, do jasnej ciasnej!

Ziemista wilgoć piwnicy i palce Toby’ego przypominające usta przyciskające się do moich warg. Oczy Finna mówiące: „Kocham cię, June”. Bez zastanowienia otworzyłam buzię i poczułam, jak całuję palec Toby’ego. Delikatnie i czule, z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie wszystko i nic zarazem, coraz wyraźniej czułam ramiona Toby’ego, jego oddech w moich włosach. A potem pocałunek. Pojedyncze miękkie cmoknięcia w kark.

W ciągu następnych kilku dni jeździłam zobaczyć się z Tobym przy każdej okazji. Czasami wsiadałam w pociąg od razu po lekcjach. Innym razem wychodziłam wcześniej ze szkoły. Urywałam się z WF-u, techniki, a zdarzało się, że i z hiszpańskiego, jeśli zebrałam się na odwagę.

Myślę, że Nowy Jork był idealnym miastem dla Toby’ego, bo chyba tylko tam nigdy nie brakowało nowych restauracji. Finn miał swoje stałe miejsca. Horn & Hardart. Cloisters. Miejsca, do których chodziliśmy tak często, że zaczęliśmy czuć się w nich jak w domu. Toby był wolny, do niczego nieprzywiązany. No, może z wyjątkiem Finna. Zaczęło do mnie docierać, że bez Finna Toby jest jak latawiec, którego sznurka nikt nie trzyma.

Pewnego popołudnia Toby próbował mnie nauczyć, jak obsługiwać rowerek w pchlim cyrku. Po piętnastu minutach spędzonych na udawaniu, że rowerem kieruje pchła, zrozumiałam, jak dobry był w tym Toby. Czasami, nawet z bardzo bliska, wydawało mi się, że coś naprawdę jedzie rowerem. Odnosiłam takie wrażenie, nawet kiedy stałam tuż obok Toby’ego. Za to moje dłonie poruszały się, jakby były zrobione z gliny. Wiedziałam też, że moja twarz wszystko zdradza. Każdy byłby w stanie dostrzec, że drugą ręką poruszam pod sceną.

Ale Toby się nie poddawał. Kazał mi próbować raz za razem, aż w końcu, gdy musiałam już wracać do domu, potrafiłam sprawić, że rowerek przesuwiał się po arenie. Wiedziałam, że robię to w sposób boleśnie powolny i wymęczony, ale Toby był cierpliwy i najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Podobało mi się, że nie kłamał. Nie próbował mi się podlizać, udając, że zapowiadam się na genialnego operatora pchlego cyrku. Nigdy nie wygłaszał bezsensownych komentarzy w stylu: „Dobra robota” czy „Znakomicie”. Nie zachowywał się, jakby rozmawiał z dzieckiem. Gdy coś mówił, wiedziałam, że mogę mu wierzyć.

Pod koniec dnia powiedział:

– Ćwicz dalej. Obiecuję, że będziesz coraz lepsza.

Nie dodał nic więcej, ale i tak się ucieszyłam, bo wiedziałam, że Toby nie kłamie.

Innym razem szliśmy przez Central Park w kierunku Chinatown. Toby opowiadał o grze na gitarze, muskając powietrze swoimi niewiarygodnie długimi palcami. Ja z kolei mówiłam mu o lesie, wilkach i skakaniu do tyłu na skakance, a on wcale się ze mnie nie śmiał. Dotarliśmy do knajpki o nazwie Szczęśliwe Jadło Cheng Fata, gdzie zamówiliśmy warzywa mu shu z dodatkowymi naleśnikami. Toby poprosił też o Hawajski Pucharek, który okazał się zwariowanym drinkiem gigantycznych rozmiarów serwowanym po uprzednim podpaleniu.

Podano go w wielkiej ceramicznej misce ozdobionej rysunkami tancerki hula oraz palm, a do środka włożono papierowe parasolki, kawałki ananasa, karmelizowane wiśnie i długie, grube słomki. Napój przypominał w smaku połączenie kokosa i ponczu hawajskiego i prawie nie dało się w nim wyczuć alkoholu. Piliśmy, jedliśmy i rozmawialiśmy, chociaż zauważyłam, że jedzeniem byłam zajęta głównie ja. Toby przesuwał tylko kawałki potrawy po talerzu. Nigdy wcześniej się nie upiłam i cieszyłam się, że mój pierwszy raz był rezultatem wypicia Hawajskiego Pucharka. Zrozumiałam też, że upijanie się to tylko jeszcze jeden sposób na oderwanie się od teraźniejszości. Gdy wytoczyliśmy się ze Szczęśliwego Jadła Cheng Fata, kręciło mi się w głowie i zastanawiałam się, gdzie chciała dotrzeć Greta. Pijana w sztok i zagrzebana w liściach w samym środku lasu – jak daleko udało jej się uciec?

Na chodniku przed restauracją Toby otoczył mnie ramieniem, żebym nie straciła równowagi. Posłałam mu zamglone spojrzenie.

– Zostaliśmy sami, prawda? – spytałam.

Nawet kiedy wypowiadałam te słowa, nie do końca w nie wierzyłam. Finn zawsze przy mnie był i nie miało się to zmienić.

Przyszło mi na myśl coś okropnego. Pomyślałam, że gdyby Finn ciągle żył, nie zaprzyjaźnilibyśmy się z Tobym. Gdyby Finn nie zaraził się AIDS, nawet nie poznałabym Toby'ego. Taka właśnie dziwna i potworna myśl kołatała mi się w głowie. Potem dotarło do mnie coś jeszcze. A co, jeśli to AIDS sprawiło, że Finn się ustatkował? Może nawet zanim dowiedział się o jej istnieniu, choroba spowalniała go, przyciągała z powrotem ku rodzinie, kazała zostać moim ojcem chrzestnym? Możliwe, że gdyby nie AIDS, nigdy nie poznałabym ani Finna, ani Toby'ego. W miejscu niezliczonych godzin i dni, które spędziłam w ich towarzystwie, istniałaby wielka luka. Czy gdybym potrafiła podróżować w czasie, okazałabym się na tyle bezinteresowna, żeby powstrzymać Finna przed zakażeniem się AIDS? Nawet gdyby miał nigdy nie zostać moim przyjacielem? Nie umiałam na to odpowiedzieć. Nie miałam pojęcia, jak chciwe było tak naprawdę moje serce.

Patrzyłam, jak kolor nieba nad Canal Street z pomarańczowego przechodzi w szarawy róż. Jakaś starsza kobieta ciągnęła turkoczący po chodniku wózek sklepowy wyładowany zakupami. Słońce nie przestawało zsuwać się za horyzont, a ja rozmyślałam o tym, jak wiele dobrych rzeczy na świecie jest wynikiem czegoś okropnego.

Spojrzałam na Toby'ego. Miał przymknięte oczy i uśmiechał się, jakby wspominał

najlepsze chwile swojego życia, i zrozumiałam nagle, że nic nie trwa wiecznie. Nie ma takiej możliwości. Nie chodziło tylko o to, że wcześniej czy później wyjdzie na jaw, że urywam się z lekcji. Ani że sezon podatkowy niedługo dobiegnie końca i rodzice zaczną śledzić każdy mój ruch. Ani o nieuchronność śmierci Toby'ego. Nie wiedziałam, jak to określić. Chyba tylko tak, że życie stało się strasznie delikatne. Jakby zrobione było z waty cukrowej.

Ale nie chciałam o tym myśleć. Znalazłam przyjaciela. Zaczynałam też wierzyć, że Toby chciał widywać się ze mną, bo byłam sobą. Nie tylko dlatego, że wiedziałam coś na temat Finna. Zdawałam sobie sprawę, że zdarzało mi się błędnie odczytywać, kim jestem dla innych osób. Dla Beans. Bena. Finna. Może nawet Grety. Ale Toby został sam jak palec. Nie wydawało się możliwe, abym po raz kolejny wpadała w tę samą pułapkę.

Mama grzebała w torebce. Był czwartek rano i zaraz miałam zbierać się do szkoły. Na zewnątrz było szaro, a górne gałęzie klonu kiwały się na wietrze. Tato pojechał do biura wcześniej, ale mama postanowiła, że spotka się z nim już na miejscu, bo na pierwsze spotkanie z klientem umówiona była na późniejszą godzinę. Miała na sobie ubranie do pracy – jeden ze swoich granatowych kostiumów z ogromnymi watowanymi ramionami. Gdy była wystrojona do pracy, zawsze poruszała się po kuchni jak po obcej planecie – starała się nie zbliżać do blatu, żeby nie otrzeć się o coś tłustego lub wilgotnego.

– Kupisz sobie dzisiaj lunch, June?

Zazwyczaj kupowałam lunch. Pizzę. Smażone ziemniaki. Napoje gazowane. Każda z tych rzeczy była o niebo lepsza niż rozmiękła kanapka z mortadellą w rozmokłej torbie z brązowego papieru. Już miałam powiedzieć „tak”, ale się powstrzymałam.

– No, nie wiem. Myślałam, że może wezmę coś z domu. Na przykład kanapkę z masłem orzechowym i dżemem?

Wyobraziłam sobie, jak mama podnosi kromkę chleba wymanikiowanymi palcami, rozsmarowuje na niej masło orzechowe równą, cienką warstwą i nakłada łyżeczką idealną ilość dżemu. Następnie kroi moją kanapkę na ukos i zawija ją schludnie w woskowany papier. Myśl o tym, że robiłaby to dla mnie – zajmowałaby się mną – sprawiła, iż nie byłam w stanie jej o to nie poprosić.

Mama zamknęła torebkę i podniosła na mnie wzrok.

– Jesteś pewna?

Z przekonaniem kiwnęłam głową.

– Tak.

Mama odłożyła torebkę na kuchenny blat i zaczęła podwijać rękawy żakietu. Wyjęła z szafki potrzebne słoiki, po czym zatrzymała się i obróciła do mnie.

– Wiesz co, Junie, masz już czternaście lat. Myślę, że jesteś w stanie zrobić sobie kanapkę. Proszę.

Przesunęła po blacie słoik z masłem orzechowym i z powrotem opuściła rękawy. Energicznym ruchem otrzepała obiema dłońmi przód żakietu, mimo że nie miała na sobie ani jednego okruszka. Przez kilka sekund wpatrywałam się w słoik.

Rzecz w tym, że gdyby mama miała najmniejsze chociaż pojęcie na temat zawartości mojego plecaka, zrobiłaby mi tę kanapkę. Gdyby wiedziała, ile długich godzin poświęciłam na przeszukiwanie domu, żeby odnaleźć w końcu kluczyk do ognioodpornej skrzynki ukrytej na dnie jej szuflady z bielizną; gdyby wiedziała, że otworzyłam ją i wyjęłam ze środka swój paszport, który leżał teraz zamknięty w plastikowym woreczku w moim plecaku; gdyby wiedziała, po co go tam włożyłam, gdyby знаła choć część prawdy, pewnie zrobiłaby mi kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. Nie oznajmiłaby mi, że mam już czternaście lat, jakby wydawało się jej, że jestem odpowiedzialną, dorosłą osobą. Nic z tych rzeczy. Gdyby wiedziała cokolwiek na temat mojego planu, powiedziałyby, że mam dopiero czternaście lat. Stwierdziłaby,

że chyba oszalałam, jeśli wydaje mi się, iż w tym wieku polecę sama do Anglii; że sam pomysł to czyste szaleństwo. A dopiero potem dowiedziałyby się, że wybieram się tam z Tobym.

Jednak mama nie miała o niczym pojęcia i nie chciała ryzykować, że ubrudzi kostium dżemem winogronowym. Zamiast zrobić mi kanapkę, postanowiła udawać, że wiek czternastu lat jest punktem zwrotnym na drodze do stania się dorosłą kobietą.

– Nie ma sprawy – powiedziałam po kilku sekundach. – Wszystko mi jedno. Wezmę pieniądze.

Mama obdarzyła mnie pełnym rozczarowania spojrzeniem, a ja odpłaciłam jej tym samym. Tyle że mnie chodziło o wszystko, nie tylko o kanapkę.

– Toby?

– June?

– Wiesz... zastanawiałam się, czy może miałbyś ochotę pójść ze mną na *Imię róży*. Kiedyś. Kiedykolwiek. Ale tylko jeśli chcesz.

Po raz pierwszy pytałam Toby'ego, czy chce coś wspólnie porobić. Do tej pory to on wychodził z różnymi propozycjami. Po powrocie ze szkoły upuściłam plecak na podłogę w kuchni i od razu do niego zadzwoniłam. Zazwyczaj miałam okazję spędzić samotnie w domu przynajmniej godzinę, zaciągnęłam więc telefon do wąskiej spiżarni przylegającej do kuchni, gdzie mogłam usiąść na taborecie.

Zdecydowałam się na *Imię róży*, bo film ten opowiada o średniowiecznych mnichach zamieszkujących odludny klasztor gdzieś we Włoszech. Podobno historia trzyma w napięciu, spodziewałam się więc, że Toby natychmiast się zgodzi. Jednak on bardzo długo nic nie mówił, aż zaczęłam się bać, że coś mu się stało.

– Toby?

– Wiesz, ja nie jestem Finnem.

Teraz z kolei ja zamilkłam.

– No i co z tego? – spytałam drwiącym tonem, bo nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– Hm, nie wiem, film może mi się nie spodobać.

Zamyśliłam się na chwilę.

– No cóż – odparłam cierpliwie – ja też nie jestem Finnem.

– Tylko, wiesz, nie licz na żadną wartość dodaną. Będziesz mieć wrażenie, że poszłaś do kina z jakimś starym durniem.

– No przecież wiem – powiedziałam.

Zaśmiał się krótko.

– No, dalej, zgódź się.

Ponownie się roześmiał, ale tym razem głośniej. Szczerzej.

– Tak. Tak, zgoda. Wygłupiam się tylko.

Zapewniłam Toby'ego, że postaram się nie mieć żadnych inteligentnych spostrzeżeń podczas oglądania filmu, a wtedy on zaczął żartować na temat bycia przygłupem i zanim się spostrzegłam, oboje ryczeliśmy już ze śmiechu prosto w słuchawki.

Obiecałam, że zadzwonię do niego wkrótce, gdy tylko się dowiem, kiedy grają film. Na tym stanęło. Kiedy wyszłam ze spiżarni z telefonem w dłoni, twarz miałam ciągle rozgrzaną od śmiechu i myślałam o tym, jak świetnie sobie radzę z opieką nad Tobym.

Dalszy ciąg wydarzeń pamiętam prawie tak, jakby działy się w zwolnionym tempie. Wyciągam rękę, żeby odwiesić telefon. Ktoś za mną odchrząkuje, a ja obracam się, żeby zobaczyć kto. Widzę to klatka po klatce. Mój uśmiech znika, gdy dostrzegam najpierw ją, a potem całą scenę. Greta siedzi przy stole w kuchni ubrana w swoją jedwabną piżamę Victoria's Secret. Przed nią rozłożona jest cała zawartość mojej szafy. Papier do prezentów w niebieskie motyle. Torba, z której po całym stole rozsypały się kasety z *Requiem*. Stylizowane na okres elżbietański zdjęcie z Tobym, na którym gapimy się

w obiektyw sponad durnowatych krez. Czajniczek z wystającym ze środka sznurkiem od torebki z herbatą. I co najgorsze liściki od Toby'ego, rozłożone i bez dwóch zdań przeczytane przez Gretę.

Greta siedziała przy stole z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu.

– O, już jesteś – powiedziałam, z jakiegoś szalonego powodu starając się, by zabrzmiało to niewinnie i beztrosko. Uświadomiłam sobie, że musiała nasłuchiwać mojego powrotu. Musiała się gdzieś kryć, czekając, aż wejde do domu.

– Jestem chora – odparła. – Mam grypę żołądkową.

Pokiwała głową do przodu i do tyłu w nieprzyjemnie wolnym tempie.

– Masz pojęcie, w jak wielkich jesteś tarapatach?

Nawet nie drgnęłam.

– Zdajesz sobie sprawę, w jakich kłopotach znajdzie się Toby, gdy rodzice dowiedzą się, że udało mu się zwabić cię na spotkanie?

– To moja sprawa, Greto – odparłam, ale ona mówiła dalej.

– Nikogo nie będzie obchodzić, że jest gejem. Jest dorosły. Tylko to się liczy. Jest dorosły, a ty jesteś dzieckiem, tylko na tym się skupią. Aresztują go za to, że jest zbrojcem, a potem odkrywają, że zaraził Finna AIDS, i wsadzą go do więzienia. Zaraził. Wujka. Finna. AIDS. Nic cię to nie obchodzi? Co z tobą nie tak?

Co ze mną nie tak. Co ze mną nie tak?

– Wcale mnie nie zwabił...

– Czyli to był twój pomysł? To jest ten twój chłopak? – zaśmiała się Greta.

– Nie. Miałam na myśli...

– Wiedziałam, że kłamiesz. Wiedziałam – oznajmiła Greta z uśmiechem. – Akurat znalazłabyś sobie chłopaka. Gdzie ja miałam głowę? Jesteś skończoną ofiarą losu, June.

– Jej głos był piskliwy i przerażający.

– Ale... on...

– Co „on”? Jest twoim nowym najlepszym przyjacielem? Słyszałam, jak się zaśmiewasz przez telefon, jak mu nadskakujesz. Chyba śnisz, June. Naprawdę myślisz, że on chciałby marnować czas na pogaduszki przez telefon z tobą?

– Nie masz o niczym pojęcia. Jesteś taka durna, jesteś kompletną idiotką... – zaczęłam.

Miałam ochotę wyrzucić z siebie wszystko, co wiedziałam. Chciałam powiedzieć jej o liście od Finna i o tym, że żaden z nich nie miał pojęcia o istnieniu AIDS, więc Toby był niewinny. Wiedziałam jednak, że Toby by sobie tego nie życzył. Być może bałam się też, że Greta powie mi coś, czego nie miałam ochoty usłyszeć – odwróci kota ogonem i sama nie będę już wiedziała, co jest prawdą, a co nie.

Przez kilka sekund Greta milczała. Wpatrywała się we mnie z podłym uśmieszkiem przyklejonym do ust.

– Wszystko jasne, June.

Zanim zdążyłam się powstrzymać, sama wskoczyłam jej w sidła

– Co jest jasne? No, co?

– Dzięki tobie czuje się mniej winny. Powiedział ci, że to nie przez niego, tak? Ale on dobrze wie, że zaraził Finna AIDS, i szuka teraz sposobu na pozbycie się wyrzutów sumienia. W przeciwnym razie po co miałby marnować ostatnie dni życia w twoim

towarzystwie?

Greta mówiła czasem rzeczy tak ostre, że dosłownie czułam, jak jej słowa szatkują mi wnętrze i tną na plasterki żołądek i serce. Wiedziałam, że będzie mi się teraz przyglądać, próbując odczytać coś z mojej twarzy, więc starałam się jak najszybciej dojść do siebie. Mimo to zdążyła już dostrzec moją reakcję.

– Zdajesz sobie sprawę, że to prawda – powiedziała.

– Nic o nas nie wiesz – odparowałam drżącym, niepewnym głosem.

Przechyliła głowę na bok i spojrzała na mnie.

– O, czyli mówimy już w liczbie mnogiej?

Wiedziałam, że w takim stanie Greta potrafiła momentalnie przekręcić wszystko, co powiem. Niczym mistrzowskiej klasy rzeźbiarka ugniatająca glinę moich słów w swojej cieplej dłoni. Na uformowanie czekały miliony możliwości. Cokolwiek bym powiedziała, Greta i tak była w stanie sprawić, że zabrzmiałoby to głupio i naiwnie. A może miała rację. Może nie chodziło o umiejętność zmiany znaczenia moich słów, tylko zdolność do obrania ich ze zbędnych warstw i pozostawienia nagiej prawdy. Wstrętnej, obnażonej, surowej.

Opuściłam ramiona i miałam wrażenie, że po raz pierwszy od wielu lat rozplączę się przed Gretą. Wszystkie moje sekrety zostały rozłożone na stole niczym wnętrze, które ktoś wyciągnął mi z ciała i wystawił na widok publiczny. Patrzcie, oto jej płonne nadzieje! A tu jej głupie, miękkie serce!

Patrzyłam, jak Greta bierze do ręki czajniczek i nalewa sobie herbaty do kubka. Ani jedna kropla z gładkiego, schludnego strumienia nie spadła na stół. Odstawiła czajniczek, przesunęła palcem wokół pokrywki, a następnie uniosła kubek.

Gdy jej dłonie dotykały czajniczka, który to ja, a nie ona, dostałam od Finna, wszystko inne znikło. Wpatrywałam się w palec Grety spoczywający na dziobku, a w mojej piersi wzbierała wściekłość tak potężna, że naprawdę miałam ochotę ją ukatrupić. Podmuchała herbatę, po czym upiła elegancki łyżeczek, a ja czułam, że mogłabym bez końca okładać ją pięściami. Zrobiłam krok w jej kierunku, a potem zatrzymałam się pośrodku kuchni i zaczęłam wrzeszczeć z całych sił. Na siłę mojego krzyku składało się każde świństwo, jakiego kiedykolwiek dopuściła się Greta. Każda pyskówka. Każdy wredny uśmiezek. Każda z jej gróźb sprawiała, że stawał się głośniejszy, aż w końcu było widać, że ją wystraszyłam.

– Zabieraj łapy z moich rzeczy! – wrzasnęłam głosem pochodzącym z jakiegoś nieznanego mi miejsca.

Greta powoli odstawiła kubek na stół i wbiła we mnie zszokowane spojrzenie – trwało to jednak tylko chwilę. Przesunęła dłonią po włosach, a potem sięgnęła za głowę i poprawiła koński ogon.

– Wie-e-elkie tarapaty – powiedziała, kręcąc głową.

– Nienawidzę cię! – krzyknęłam. Potem rzuciłam się na nią. Przestałam się czymkolwiek przejmować. Złapałam Gretę za włosy, a ona zaczęła kopać mnie po kolanach. Odskokczyłam do tyłu, ciągle trzymając jej włosy w zaciśniętej pięści. Pisnęła, po czym sama za nie chwyciła, żeby mi je wyrwać.

– Przestań – powiedziała, unosząc dłoń. – Cicho. Mama.

Obie zamarłyśmy.

Dobiegł mnie dźwięk zamykanych drzwi do samochodu i zdałam sobie sprawę, że Greta po raz kolejny wygrała. Z rozkoszą będzie patrzeć, jak mama nas nakrywa. Każda sekunda moich mętnych wyjaśnień dostarczy jej niezapomnianych wrażeń. Nie wiedziałam, co robić. Obróciłam się, spodziewając się widoku Greta pracującej nad doprowadzeniem do perfekcji pełnej niewinności miny, ale zamiast tego dostrzegłam, że jest tak samo spanikowana, jak ja.

– Szybko – powiedziała.

Podbiegła do szafki pod zlewem i wyjęła stamtąd czarny worek na śmieci. Potrząsnęła nim, żeby go otworzyć, a potem jednym ruchem ręki zgarnęła do niego większość leżących na stole przedmiotów. Chwyciłam czajniczek, a gdy zaczęłam z nim iść, z dziobka wylała się odrobina herbaty. Wbiegłam do łazienki na parterze i zamknęłam za sobą drzwi. Opuściłam klapę ubikacji i usiadłam, garbiąc się nad czajniczkiem.

Z kuchni dobiegały stłumione słowa mamy i Greta. Gdy przyłożyłam ucho do drzwi, wszystko wyraźnie słyszałam. Znajdowałam się w łazience do szpiegowania i po raz pierwszy to ja miałam być szpiegiem.

– ...czuję się o wiele lepiej. Robię porządki w swoim pokoju – usłyszałam Gretę.

Wyobraziłam sobie, że unosi worek na śmieci.

– Tak? To wspaniale – powiedziała mama. – Pokaż, co tam masz.

– Jak skończę – odparła Greta bez chwili wahania.

Następnie usłyszałam, jak otwierają i zamykają się drzwi.

Wylałam herbatę do umywalki i zaczęłam rozglądać się po maleńkiej łazience w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłabym ukryć czajniczek, ale na próżno.

Uchyliłam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Droga wolna.

Wbiegłam po schodach z czajniczkiem pod pachą i zamknęłam się w swoim pokoju, uważając, żeby nie trzasnąć drzwiami, po czym schowałam naczynie pod łóżkiem. Zrobiłam kilka głębokich, uspokajających wdechów.

Dobrze chociaż, że *Księga dni* znajdowała się w moim plecaku. Jednak gdy tylko przyszła mi do głowy ta myśl, zdałam sobie sprawę, że plecak zostawiłam na podłodze w kuchni. Zbiegłam na dół, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Mama położyła teczkę i płaszcz na stole i wpatrywała się w herbaciany ślad ciągnący się z kuchni na korytarz. Mój plecak leżał tam, gdzie go zostawiłam, więc szybko zgarnęłam go z podłogi.

– O, Junie, nie wiedziałam, że już jesteś w domu. Udało mi się wyjść wcześniej, żeby zobaczyć, co z Gretą. Rano kiepsko się czuła. Wiesz może... – Wskazała na rozlaną herbatę.

– A, tak – odparłam. – To moje.

Urwałam garść papierowych ręczników i zaczęłam wycierać podłogę, podążając za ciągnącym się w kierunku łazienki śladem.

Stanąwszy w drzwiach łazienki, obróciłam się. Mama mi się przyglądała. Chwilę później pokręciła głową i wróciła do kuchni.

Greta kazała mi posprzątać cały swój pokój, żeby nie przyłapano jej na kłamstwie. Segregowałam sterty ubrań leżących na podłodze oraz przerzuconych przez oparcie krzesła, podczas gdy ona układała papiery na biurku. Chętnie spytałabym ją, dlaczego

mnie ocaliła – po co zadała sobie trud pokazania mi, ile wie, tylko po to, żeby w końcu wybawić mnie z opresji – ale to byłaby strata czasu. Wiedziałam, że niczego by mi nie wyjaśniła. Poza tym miała włączonego walkmana. Dobiegało mnie metaliczne echo ryku grupy Bon Jovi wrzeszczącej wniebogłosy refren piosenki *Livin' on a Prayer*.

Później, gdy rodzice oglądali w telewizji wiadomości, Greta zastukała cichutko do moich drzwi, po czym otworzyła je, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Wślizgnęła się do środka i stanęła z plecami przyciśniętymi do drzwi. Najpierw wbiła we mnie wzrok, a potem pozwoliła spojrzeń przeskakiwać od przedmiotu do przedmiotu.

– Co? – spytałam.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że zadajesz się z kryminalistą.

Leżałam na łóżku i sięgnęłam za poduszkę po Celię, moją starą pluszową fokę. Była to ostatnia przytulanka, którą trzymałam jeszcze na łóżku. Wsunęłam palce w miejsce na jej szyi, gdzie ubytek materiału, którym została wypchana, powodował opadanie głowy na bok.

– O kim ty mówisz?

Po wargach Grety przemknął cień triumfalnego uśmiechu. Zaryzykowała i wygrała. Niespiesznie rozejrzała się po pokoju, na chwilę zatrzymała wzrok na drzwiach od szafy.

– O Tobym. Twój specjalny przyjaciel ma za sobą pobyt w pace. To były więzień. – Jej mina przypominała tę uchwyconą przez Finna na portrecie. Wyrażała przyjemność płynącą z wyjawienia sekretu.

– Ja...

Palily mnie policzki. Raz za razem pocierałam kciukiem futro foki. Tato mówił, że Toby miał w przeszłości jakieś problemy, ale czegoś takiego się nie spodziewałam.

– Cóż jeszcze można powiedzieć, June. Tak wygląda prawda. Finna poznał w więzieniu.

– Finn nigdy nie siedział w więzieniu. Nie ma mowy, żeby...

– Wiadomo, że nie. Finn prowadził tam zajęcia malarskie. Toby w nich uczestniczył. Tak się poznali.

Greta zdjęła z półki jakąś książkę i zaczęła ją kartkować, jakby miała zamiar stać tam całą noc, jakby wpadła, żeby trochę poczytać.

– Skąd wiesz?

Nie odpowiedziała. Opuściła książkę, położyła ją na biurku i uniosła brwi. Stała, kręcąc głową i cmokając z dezaprobatą.

– Zdaję sobie sprawę, że niełatwo jest znaleźć prawdziwych przyjaciół, ale były więzień chory na AIDS to chyba zbyt niskie obniżanie poprzeczki. Zwłaszcza że zamordował ci wujka.

– Kłamiesz – powiedziałam, chociaż wiedziałam, że mówi prawdę.

Greta budowę ciała miała drobną, ale gdy wchodziła w posiadanie istotnych informacji, rosła w oczach. Stawała się olbrzymia. Przynajmniej półtora raza większa niż normalnie. Nawet z pozycji, w której stała – wyprostowanej, z plecami opartymi o drzwi i ramionami skrzyżowanymi na piersi – emanowała prawda.

– Jak sobie chcesz – odrzekła.

Myślałam, że już wyjdzie, ale tak się nie stało. Zapatrzyła się w dywan, jakby biła się

z myślami, a potem mniej pewnym siebie głosem powiedziała:

– Wiesz, June... jeśli obiecasz, że nigdy więcej się z nim nie spotkasz, dam ci spokój.

Wciągnęłam Celię pod kołdrę. Telewizor na dole umilkł i dobiegł mnie dźwięk głosów rozmawiających rodziców oraz brzęk naczyń w zlewie.

Greta nie ruszała się z miejsca i przez chwilę miałam wrażenie, że zaraz się rozpłacze. Jej oczy nabrzmiewały, ale nie odwracała wzroku. Wpatrywała się prosto we mnie, jakby chciała mi pokazać, że walczy ze łzami. Jakby czekała na moją odpowiedź. Ja jednak się nie odezwałam. Nie obiecałam jej, że przestanę widywać się z Tobym, bo wiedziałam, że nie byłabym w stanie dotrzymać słowa. Po jakimś czasie całe ciało Greta nieznacznie zapadło się w sobie, jakby w reakcji na to, że jej misternie uknutny plan przyniósł skutek odwrotny do zamierzonego. Najwyraźniej wyłożyła wszystkie karty na stół. Chwilę później wzięła się w garść. Uniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Wiesz... myślałam, że po śmierci Finna... ty i ja będziemy znowu mogli...

– Co myślałaś? Że będziesz mogła dręczyć mnie na pełny etat?

– Nie, tylko...

I wtedy naprawdę zaczęła płakać, i drżącym, łzawym, pełnym rozczarowania głosem powiedziała:

– Był w więzieniu, June. W więzieniu. – A potem złapała za klamkę.

– Mam to gdzieś – rzuciłam do pleców wychodzącej z pokoju Greta.

Późnym wieczorem wymknęłam się z domu i podkrađłam do kubłów na śmieci. Miałam nadzieję, że Greta położyła worek z moimi rzeczami gdzieś na samej górze, ale tak się nie stało. Otworzyła go i każdą rzecz wrzuciła do kontenera osobno. Najwyraźniej wsadziła rękę głęboko do wnętrza śmietnika, żeby móc wtykać kolejne przedmioty w pomyje pozostałe po obiadach z całego tygodnia. Musiała się niezłe uświnić. Odwaliła kawał solidnej roboty. Udało mi się wyciągnąć tylko zdjęcie z Playlandu. A nawet ono było zniszczone. Strona, po której znajdował się Toby, uwalana była sosem do spaghetti. Siedziałam sztywno w staromodnym stroju obok ohydnej czerwonej smugi. Mimo że obiecałam Toby'emu, że nie wytnę go ze zdjęcia, i tak musiałam to w końcu zrobić.

Poszłam na górę i zajrzałam do szafy. Nie było już w niej ani jednej wyjątkowej rzeczy. Poprzesuwałam ubrania, żeby sprawdzić, czy Greta przypadkiem czegoś nie opuściła, ale nie. Nie zostało tam nic.

Jedynym wyjątkiem były czarne bransoletki, które przywiozła w niedzielę z miasta. Te, które niby dla mnie kupiła. Powiesiła je starannie na jednym z metalowych haczyków przymocowanych do tylnej ściany szafy.

Zostały mi tylko ukryta w plecaku *Księga dni* oraz czajniczek. No i otrzymane od Toby'ego pieniądze, które schowałam do szuflady z bielizną, owinąwszy je w nieużywany biały podkoszulek. Wyjęłam czajniczek spod łóżka i objęłam go dłońmi. Przynajmniej on mi pozostał. Ciągle miałam w posiadaniu najlepszy na świecie dzbanek do herbaty. Przesunęłam palcem po konturach tańczących niedźwiedzi. Każdy z nich balansował na dwóch nogach i machał łapami, drąc pazurami powietrze. Przyglądałam im się i nagle dotarło do mnie, że one wcale nie tańczą, tylko się zataczają. Wielkie, niezdarne bestie nie były w stanie utrzymać równowagi.

– Dzisiaj nie przyjadę.

– Czemu nie?

– Mam do uzupełnienia zaległe od półtora semestru wpisy w dzienniku.

– Masz oddać dziennik do sprawdzenia nauczycielowi?

– Tak, i nie napisałam jeszcze ani słowa.

– To niedorzeczne. Przecież dziennik powinno się prowadzić...

– Tak, wiem. Ale tak to właśnie wygląda. Nikt nie wpisuje tam przecież swoich najgłębszych sekretów. Nie wspomniałabym w nim o tobie.

Siedziałam na podłodze w spiżarni oparta plecami o ścianę, ale ustawiłam się tak, żeby widzieć, gdy ktoś wejdzie do kuchni.

– Uzupełnisz je, jak wrócisz – powiedział Toby. Miałam wrażenie, że jego głos jest bardziej ochryply i szorstki niż zwykle.

– Chodzi o wpisy z czterech miesięcy. Ma ich być... nie wiem, z pięćdziesiąt. Może więcej. Pewnie zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

Nie chciałam mówić mu o całej reszcie. Nie mogłam się zmusić do opisania Toby'emu, co zaszło pomiędzy mną a Gretą. Zresztą nie kłamałam. Naprawdę miałam dziennik do uzupełnienia. Zależało od niego dwadzieścia pięć procent oceny końcowej z angielskiego, więc nie mogłam tego zawalić.

Toby milczał. Po chwili powiedział:

– Mógłbym ci pomóc. Jeśli myślisz, że miałyby to sens. Dotrzymałbym ci towarzystwa.

– No nie wiem.

– Proszę, zgódź się. Obiecuję, że poczujesz się lepiej, niż siedząc samotnie w domu.

Nie spodziewałam się, że Toby zaoferuje mi pomoc.

– Nie musisz tego robić. Nie trzeba.

Westchnął.

– Po prostu chciałbym, żebyś przyszła.

Zamilkłam na chwilę. Dlaczego pozwalałam Grecie wkradać mi się do głowy? Byłam świadoma tonu, jakim rozmawiam z Tobym, a wcale nie chciałam się zachowywać, jakbym go testowała. Jakbym chciała sprawdzić, jak szybko da za wygraną.

– No cóż... czy pomoc miałyby polegać na robieniu herbaty i puszczeniu fajnych kaset, czy wyciąganiu mnie na Hawajskie Pucharki?

– To pierwsze, rzecz jasna. Za kogo mnie masz, June?

Zrobiłam pauzę. Przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć Toby'emu, że wiem o jego pobycie w więzieniu, ale nie mogłam się na to zdobyć.

– No dobrze. Ale musisz mi przysiąc, że nie będziesz mnie rozpraszał, okej?

– W porządku – odparł, w jakiś dziwny sposób parodiując amerykański akcent.

Gdy dotarłam na miejsce, w mieszkaniu rozbrzmiewał łagodny jazz, a Toby siedział na krześle, udając, że czyta książkę. Bardzo łatwo jest poznać, kiedy ktoś udaje, że czyta,

bo oczy wykonują wtedy zbyt wiele ruchów. Skaczą po stronie z góry na dół. Nie uznałam tego udawania za dobry znak. Dobrze, że nie zwlekałam z przyjazdem.

– Mam coś dla ciebie – oznajmiłam.

– Naprawdę?

Podaliśmy mu niewielkie pudełko niezdarnie owinięte w papier do pakowania prezentów dla niemowląt – tylko taki udało mi się znaleźć w domu. Odłożył książkę – *Opowieści kanterberyjskie* – i wziął ode mnie prezent.

– Taka tam głupota – powiedziałam.

– To nic. Uwielbiam głupie rzeczy. – Toby lekko potrząsnął pudełkiem, trzymając je tuż przy uchu.

– Otworzysz później, okej?

Skinął głową i położył pudełko na kominku.

Odsunęłam na bok stół do kawy, upuściłam na podłogę swój dziennik i wyciągnęłam się na brzuchu na dywanie.

– No, śmiało – powiedział Toby.

– Co?

– Przeczytaj kawałek. Zobaczmy, co do tej pory stworzyłaś.

– Nie. Nie ma mowy.

– Myślałem, że potrzebna ci moja pomoc. Nie będę ci w stanie pomóc, jeśli nie będę wiedział, co już napisałaś.

Przypomniały mi się liściki, które napisał do mnie Toby. Umiejętności pisarskie nie były jednym z jego głównych talentów.

– Nie potrzebuję tego typu pomocy. Myślałam raczej o czymś do jedzenia.

– Proszę.

– Nie. To sprawy osobiste.

Spojrzał na mnie wzrokiem, który mówił „akurat”.

Po chwili nie byłam już w stanie dłużej znosić błagań Toby’ego i się poddałam. Przeczytałam mu jeden z wpisów, który uznał za przerażająco nudny, a potem zasugerował coś niedorzecznego, czym powinnam go zastąpić. Kontynuowaliśmy w ten sposób, sprzecząc się ze sobą co chwila, aż w końcu wpadliśmy we właściwy rytm i na zmianę wychodziliśmy z propozycjami. Wymyśliłam wpisy dotyczące tańca brzucha, wyboru własnego sokoła oraz zwycięstwa w konkursie na klawesynistę roku. Pomysły Toby’ego były mroczniejsze. Jeden z nich dotyczył ataku ślepoty, a inny opowiadał historię ducha, który nawiedzał pralkę, ale tylko gdy pranie nastawione było na program do tkanin delikatnych. Pamiętaliśmy, aby wariactwa wciskać we wpisy, które na pozór brzmiały normalnie. Paliliśmy papierosy, zaśmiewaliśmy się do łez i popijaliśmy herbatę z brandy, a ja cieszyłam się, że jednak postanowiłam przyjechać. Trochę martwiła mnie myśl, że pani Link może naprawdę czytać nasze dzienniki, ale niewiele mnie to obchodziło. Czułam się tak dzięki Toby’emu. Doszłam do wniosku, że Greta w ogóle nie miała racji.

Dotarliśmy do piątego lutego. Dnia, w którym zmarł Finn.

Na początku żadne z nas nic nie powiedziało. Potem Toby przesunął notatnik w moją stronę. Leżał między nami na dywanie. Do tej pory udawało nam się unikać w dzienniku wzmianek o Finnie. Nie do końca celowo. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę,

że lepiej będzie o nim nie wspominać. Ale teraz nie dało się o nim nie myśleć. Błada, pusta strona błagała o wypełnienie jej słowami.

Mogłam pominąć piąty lutego. Zostawić pustą stronę albo wypełnić ją czymś nudnym. Ale to byłoby nie w porządku. Może to głupie, ale czułam, że byłby to brak szacunku dla Finna.

Przesunęłam notatnik ku Toby'emu.

– Ty pierwszy – powiedziałam.

– June, posłuchaj, nie mogę. Naprawdę nie jestem w stanie. Nie było cię tam. Nie wiesz nawet...

Nie po raz pierwszy mówił coś takiego i jego słowa zawisły w powietrzu.

Nie było cię tam.

Nie wiesz...

Z początku nic nie powiedziałam. Odczekałam, aż słowa Toby'ego wgryzą mi się w głowę, a potem wijąc się, dotrą do serca. Powoli pokiwałam głową, po czym zamknęłam notatnik palcem. Wstałam i udałam, że patrzę na zegarek.

– June, nie idź. Ja... Naprawdę nie wiesz, jak to wyglądało... Nie...

– Jezu, przymknij się już! – wrzasnęłam. – Ucisz się w końcu i przestań to powtarzać!

Czułam, że wypełnia mnie wściekłość, jakiej się po sobie nie spodziewałam. Miałam ochotę rzucić się na Toby'ego i zacząć okładać jego kościste ramiona pięściami. Nie mam skłonności do przemocy. Przynajmniej tak mi się wydawało, ale w tamtej chwili zaczęło się we mnie budzić coś groźnego. Jakaś brutalna istota drzemiąca w czeluściach mojego brzucha otworzyła jedno ślepie.

Chwilę później było po wszystkim. Tak po prostu. Miałam wrażenie, że rozpierający mi pierś balon pękł i uciekła z niego cała złość. Stałam bez ruchu i czułam się wycieńczona. Spojrzałam na notatnik, w którego kartonową okładkę błękitną niczym niebo wpijały się moje paznokcie.

Toby rozchylił usta, jakby szukał czegoś, co mógłby powiedzieć.

– Przepraszam – odezwałam się.

– W porządku, to moja wina.

Przesunął się na kanapie, a ja usiadłam obok niego. Oparłam głowę o kościste ramię, które minutę wcześniej miałam ochotę okładać pięściami, a Toby wsunął swoje długie palce w moje włosy. Czułam, jak rozplata, a potem splata jeden z moich warkoczy. Gdy skończył, zaczął od nowa, przez cały czas powtarzał przy tym: „W porządku, to moja wina”, aż w końcu odniosłam wrażenie, że wcale nie mówi do mnie.

Tej nocy spałam niespokojnie i często się budziłam. Śniły mi się wilki z origami schodzące ze stron *Księgi dni*. Patrzyłam, jak otrząsają się z papierowych zagieć, nabierają kształtów i obrastają w mięśnie. Gdy pokryły się futrem, zaczęły biec. Zeskoczyły z biurka i zawisły w powietrzu tuż nad moim łóżkiem. Z ich pysków kapała ślina. We śnie próbowałam złożyć je z powrotem, ale nie byłam w stanie. Wiedziały, gdzie mnie znaleźć.

- Trzeba mieć zręczne dłonie – odezwał się zielonooki wilk.
- Tylko człowiek mógłby zachwycać się czymś takim – dodał inny z przekąsem, a gdy się zbudziłam, miałam wrażenie, że w ogóle nie zmrużyłam oka.

W pudełku, które dostał ode mnie Toby, znajdowały się dwie rzeczy. Jedną z nich była pokrywka od rosyjskiego czajniczka Finna. Wydawało mi się, że może przypominać naszyjnik z przełamywanym sercem, które ludzie czasami noszą. Gdy Greta miała dwanaście lat, razem z Katie Tucker sprawiły sobie taki z napisem „NAJLEPSZE PRZYJACIÓŁKI”. Każda z nich nosiła ułamaną połówkę serca na łańcuszku z imitacji złota, dopóki Katie nie skłamała Grecie na temat organizowanego przez siebie piżamowego przyjęcia, co doprowadziło do zakończenia ich przyjaźni. Grecie została prawa połówka, na której widniały litery „PSZE”, a pod nimi „CIÓŁKI”, co razem brzmiało jak kpiące podsumowanie ich znajomości przez pijaka.

Nie byłam pewna, czy Toby potraktuje pokrywkę w zamierzony przeze mnie sposób. Chciałam dać mu do zrozumienia, że jest jedną z najlepszych osób, jakie znam, i że moja opinia nie ma żadnego związku z Finnem.

Drugą rzeczą w pudełku był mój paszport, do którego dołączyłam karteczkę z napisem „Moglibyśmy polecieć do Anglii”, przyklejoną taśmą do mojego głupkowatego zdjęcia.

Zastanawiałam się, czy dałoby się odbyć tę podróż tak, żeby nikt się o niczym nie dowiedział, ale doszłam do wniosku, że to niemożliwe. Miałam więc w planie zostawić list, a potem zatelefonować do rodziców, gdy dotrzemy na miejsce. W ten sposób wszyscy będą wiedzieć, że nic mi nie jest i że mam zamiar wrócić do domu. Naturalnie na koniec znajdę się w strasznych opałach, ale tego typu rzeczy przestały mnie już obchodzić.

Prawdopodobnie polecilibyśmy do Anglii tylko na kilka dni, ale dla mnie i tak byłoby to coś na miarę *Pokoju z widokiem* albo *Lady Jane*. Zajmowałabym się Tobym i byłoby romantycznie. Nie w jakiś ckliwy sposób – inaczej. Nie mogłabym wymyślić niczego lepszego. Może i średnio mi szło z angielskiego czy matematyki, ale nie zamierzałam zadowalać się byle czym, gdy chodziło o opiekę nad Tobym. Postanowiłam, że tym razem zrobię wszystko, jak należy.

Siedziałam na podłodze w salonie i układałam jeden z witraży katedry w Chartres z siedmiuset pięćdziesięciu kawałków puzzli, które przywiózł mi kiedyś Finn z wycieczki do Francji. Była dopiero piąta po południu – o wiele za wcześnie jak na dzień roboczy, żeby ktokolwiek pojawił się w domu – ale nagle do pokoju wszedł tato. Wyglądał na półzywego.

– Grypa żołądkowa – oznajmił, padając na kanapę.

Zamknął oczy i położył dłoń na brzuchu. Poniuchał powietrze i jeszcze bardziej zzieleniał.

– Fu, ten przeklęty wolnowar.

– Mogę ci przynieść piwo imbirowe i... nie wiem... termofofor? Jeśli tylko chcesz.

Tato nie otworzył oczu, ale na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Co? – spytałam.

– Nic, nic.

– No, dalej. Powiedz – nalegałam.

– Nic. Po prostu zrobiło mi się miło, że chcesz się zajmować starym, schorowanym ojcem.

Gdy wchodziłam do kuchni, zabrzączał minutnik wolnowaru. Podniosłam pokrywkę i zamieszałam w nim. Nalałam piwo imbirowe do dwóch szklanek i zaniiosłam je do salonu. Tato leżał na boku na podłodze, przebierając w puzzlach.

– Mogę pomóc? – spytał.

– Pewnie.

Układanka nie była łatwa. Kolory obrazka składały się głównie z głębokich odcieni barw podstawowych – czerwieni i błękitów – i nawet po podzieleniu puzzli na kupki złożenie ich razem wymagało sporo czasu. Próbowałam ułożyć coś z czerwonych elementów. Tato zajął się niebieskimi.

– Już niedługo będzie po wszystkim, co, Junie?

– Słucham? – Przewróciłam puzzel na właściwą stronę.

– Sezon podatkowy. W tym roku to już koniec. Bogu dzięki.

– Nie jest chyba tak źle, co?

Tato posłał mi wymowne spojrzenie, które pytało, czy się zgrywam.

– To po co to robisz?

Pytałam na poważnie. Naprawdę zastanawiało mnie, dlaczego ludzie zawsze zajmują się rzeczami, które nie sprawiają im przyjemności. Życie przypominało zwężający się tunel. W momencie narodzin miał olbrzymie rozmiary. Można było być, kim się tylko chciało. Ale dosłownie chwilę później tunel zwężał się mniej więcej o połowę. Jeśli było się chłopcem, stawało się jasne, że nigdy nie będzie się matką i mało prawdopodobne, żeby zostało się manikiurzystą czy wychowawcą w przedszkolu. Potem się rosło i każde wydarzenie sprawiało, że tunel coraz bardziej się zwężał. Złamanie ręki podczas wdrapywania się na drzewo wykluczało karierę miotacza w drużynie bejsbolowej. Złe oceny na sprawdzianach z matematyki odbierały nadzieję

na bycie naukowcem. Właśnie tak. Mijały lata i w końcu życie stawało w martwym punkcie. Było się piekarzem, bibliotekarką czy barmanem. Albo księgowym. I tyle. Przyszło mi do głowy, że w dniu śmierci tunel musi być już tak wąski, a życie do tego stopnia pozbawione możliwości, że człowiek zostaje po prostu zgnieciony.

– Po co to robię? – powtórzył tato. – To żadna tajemnica. Dla ciebie. Dla ciebie, Greta i waszej mamy.

– Aha – powiedziałam i nagle ogarnęło mnie uczucie ogromnego smutku wywołane myślą, że ktoś może poświęcić całe swoje życie na uszczęśliwienie drugiej osoby. – No to dzięki.

Tato uśmiechnął się na tyle szeroko, że dostrzegłam małą przerwę między jego przednimi zębami.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział, a potem gwałtownie zakrył usta dłonią. – O nie...

Zerwał się na równe nogi i popędził do łazienki.

Zostałam na podłodze, wpatrując się w puzzle. W mnogość odcieni czerwieni. Myślałam o Finnie. O tym, że robił wszystko, na co miał ochotę. Tak jak mówiła mama. Nie dał się zgnieść tunelowi. W końcu jednak dopadły go konsekwencje jego własnych wyborów. Może Toby miał rację. Może dopiero gdy się umiera, człowiek jest w stanie zacząć robić, co mu się żywnie podoba.

Jeszcze przez jakiś czas obracałam w palcach elementy układanki, ale szczęście mi nie sprzyjało. Ułożenie czegokolwiek wymagało dużej ilości pracy.

Wtedy przez głowę przemknęła mi pewna myśl: A może wystarczyłoby po prostu zdawać sobie sprawę, że pewnego dnia się umrze, że nic nie trwa wiecznie?

Potem pomyślałam o czymś, co powiedział tato. „Niedługo będzie po wszystkim”. Podeszłam do wiszącego w kuchni kalendarza. Został zaprojektowany na zamówienie rodziców, którzy rozdawali jego egzemplarze klientom. Znajdował się na nim napis: „Elbus i Elbus, usługi rachunkowe” oraz kiczowate zdjęcie przedstawiające błękitne jezioro na tle pokrytych śniegiem górskich szczytów. Trzynasty kwietnia. Do końca sezonu podatkowego zostały dwa dni. Po dodaniu tygodnia, w trakcie którego rodzice składali wnioski o przedłużenie terminów spłaty należnego podatku oraz pracowali nad powrotem do normalności, wychodziło, że przede mną jeszcze prawie półtora tygodnia sieroctwa. Po raz pierwszy w życiu żałowałam, że sezon podatkowy już się kończy. Po raz pierwszy miałam ochotę pozostać sierotą.

Greta nie obdarzyła mnie ani jednym spojrzeniem od dnia, w którym splądrowała moją szafę. Jeśli siedziałam rano w kuchni, rezygnowała z kawy i wychodziła z domu czekać na autobus. Jeśli po południu odrabiałam lekcje przy stole, szła prosto na górę do swojego pokoju. W szkole odwracała się w drugą stronę, gdy widziała, że idę w jej kierunku. Miałam wrażenie, że chce, abym przestała istnieć.

Było mi wszystko jedno. Przynajmniej tak sobie powtarzałam. Nie obchodziło mnie, że oczy Grety są bez przerwy przekrwione i zmęczone. Ani to, że nie widywałam jej już w gronie znajomych. Ani fakt, że podczas lunchu nie siadała pośród swoich fanek. Miałam gdzieś, że być może z końcem roku szkolnego Greta wyprowadzi się z domu. Grające w *Annie* dzieciaki mieszkały w strzeżonym akademiku i gdyby dostała rolę w musicalu, musiałyby się do niego wprowadzić. Stamtąd pojechałyby prosto do Dartmouth. I to by było na tyle. Koniec posiadania siostry. W niektóre dni brzmiało to jak spełnienie najskrytszych marzeń. Przynajmniej tak sobie powtarzałam.

Mimo wszystko jednak od czasu do czasu wpadałam na próby. Myślałam, że jeśli Greta mnie tam zobaczy, dojdzie do wniosku, że już nie widuję się z Tobym. Pewnie traciłam tylko czas, a ona miała mnie gdzieś, ale nie dawałam za wygraną.

Zazwyczaj opierałam się o ścianę tuż obok drzwi w przedniej części audytorium, żebym mogła wyjść, jeśli robi się zbyt nudno. Pewnego popołudnia nudziłam się jak mops, patrząc, jak pan Nebowitz ustawia członków chóru i statystów, gdy nagle dostrzegłam Bena Dellahunta, który machał do mnie z balkonu. Machał tak długo, aż zrozumiałam, że woła mnie do budki oświetleniowców. Wyciągnęłam szyję i rozejrzałam się dookoła. Pokiwał głową i raz jeszcze przyzwał mnie gestem. Nie miałam ochoty iść na górę. Widok Bena Dellahunta przypominał mi, jaką byłam idiotką.

– Elbusówna, idziesz? – zawołał, nie pozostawiając mi wyboru.

Gdy szłam po balkonie, Ben stał z uśmiechem w otwartych drzwiach budki. W środku byli też Pete Loring i John Untemeyer. Usiadłam za nimi na składanym krześle.

– Ciągnie cię tu, co? – spytał Ben.

– Coś w tym rodzaju.

– Przecież wyglądasz na kompletnie znudzoną. Po co właściwie przychodzisz na próby?

Przez chwilę miałam ochotę mu powiedzieć. Przez jedną dziwną chwilę chciałam zdradzić Benowi Dellahuntowi w półmroku budki oświetleniowców wszystkie swoje sekrety. Zrozumiałby w końcu, kim jestem. Pojąłby, że Tina Yarwood nie dorasta mi do pięt. Ale oczywiście tego nie zrobiłam.

– Obiecałam Grecie, że będę pomagać – powiedziałam zamiast tego.

– Dlaczego miałyby jej zależeć na twojej pomocy? Zresztą i tak nic nie robisz.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

– Słuchaj, to ty mnie tu zaprosiłeś. O nic cię nie prosiłam. Mogę stąd iść.

– Nie. Przepraszam. Już się zamykam.

Dwaj pozostali chłopcy się nie odzywali. W skupieniu przesuwali przełączniki i kręcili gałkami konsolety. John Untemeyer zerknął na mnie ukradkiem, ale Pete nie podnosił wzroku, jakby obecność w budce dziewczyny – nawet takiej jak ja – wprawiała go w zażenowanie. Antonia zaczynała właśnie śpiewać reprzykę z *Dites-Moi*.

– Ej, ty chodzisz na francuski, co nie? – spytałam Bena.

– Nom.

– To co właściwie znaczy „dites-moi”?

Ben zastanawiał się przez kilka sekund. Poruszał palcem w powietrzu, jakby na własną rękę podążał za słowami piosenki.

– „Powiedz mi”. Takie jest znaczenie. Powiedz mi. Później jest fragment o tym, że życie jest piękne. Powiedz mi, dlaczego życie jest tak piękne. Powiedz mi, dlaczego życie jest tak... rozkoszne. – Spojrzał na mnie niepewnie, a potem dodał: – No wiesz, w sensie: „przyjemne”.

– Tak. Przyjemne. Rozumiem.

Na deski weszła Greta, aby wziąć udział w scenie, w której porucznik Cable oznajmia, że nie może poślubić córki Krwawej Mary, bo ta nie jest biała. Krwawa Mary powinna w tej scenie emanować gniewem i Greta zagrała ją w sposób prawie że wariacki. Bez końca dźgała palcem pierś Craiga Horvella, który wcielał się w porucznika Cable’a. Szturczała go tak mocno, że wydawało się, iż wypchnęła go z jego własnej roli. Sprawiał wrażenie wystraszonego i parę razy zerknął w kierunku pana Nebowitza, jakby w nadziei na wybawienie. Greta tupiała po scenie, jakby naprawdę miała z kimś rachunki do wyrównania, a ja nigdy przedtem nie widziałam jej równie wściekłej. Zachowywała się, jakby Craig Horvell zrujnował jej życie, a ona miała zamiar odplacić mu pięknym za nadobne. Jednak im dłużej się jej przyglądałam, tym bardziej byłam przekonana, że chodzi nie tyle o złość, ile o smutek. Rozpacz. Greta miotła się po deskach, jakby chciała, żeby ktoś zauważył, że odchodzi od zmysłów. Ale nikt poza mną tego nie widział. Siedziałam na balkonie, patrząc, jak moja siostra zmierza ku autodestrukcji.

Gdy zeszła ze sceny, Ben obrócił się do mnie i powiedział:

– Wiesz, ona jest naprawdę niezła.

Kiwnęłam głową.

– Pewnie, że wiem.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy.

– Tamtej nocy w lesie... – odezwał się Ben.

– Nie martw się. Niczego nie pamiętam.

– Nie pamiętasz, że cię pocałowałem?

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Większość osób udawałaby utratę pamięci, ale nie Ben.

– Nie martw się, nie powiem Tinie – odparłam, a potem wstałam i wyszłam.

Po próbie czekałam na Gretę przed szkołą. Nie wiedziałam, co chcę jej powiedzieć, ale po zobaczeniu jej na scenie w tak opłakanym stanie czułam, że muszę coś zrobić. Może powiem, że jej wybaczam, że wyrzuciła moje skarby na śmietnik (choć nie byłaby to prawda). Albo poproszę o pomoc z makijażem, żeby mogła mi opowiedzieć, co się z nią dzieje. Całą prawdę na trzeźwo. Słońce wypełniło niebo pięknym

pomarańczowo-różowym światłem. Przypominało wnętrze muszli. Gapiłam się na szkolną bieżnię, gdzie kilku chłopców robiło kolejne okrążenia. Gdy po raz trzeci przekroczyli linię mety, a Greta w dalszym ciągu nie wychodziła, dałam sobie spokój. Nawet nie spojrzałam w kierunku lasu. Poszłam chodnikiem, przez centrum miasteczka, żeby było dłużej. Czasami przyjemnie było wydłużyć drogę do domu.

Stałam w kuchni Finna oparta o blat. W pomieszczeniu unosił się zapach spalenizny, bo Toby robił tosty, które udało mu się przypalić, mimo że był w pobliżu. Wspólne uzupełnianie dziennika miało miejsce prawie tydzień wcześniej. Zadzwoił, żeby powiedzieć, że przykro mu z powodu nieprzyjemnego zakończenia mojej ostatniej wizyty. Oznajmił, że chce mi to wynagrodzić. Po szkole wsiadłam w pociąg, a potem pojechałam metrem. Już się nie bałam nim jeździć sama i było ono o wiele tańsze niż taksówka.

– No i? Podoba ci się? – Byłam przekonana, że Toby będzie zachwycony planem wyjazdu do Anglii. A to dlatego, że mój plan pozbawiony był wad.

– Co mi się podoba?

– No jak to: paszport... wycieczka?

Stałam przed nim, szczerząc zęby jak wariatka, i od razu się zorientowałam, że Toby wcale nie wygląda na uszczęśliwionego.

– A, to.

– Powiedziałaś, że możemy zrobić, co tylko chcemy, więc przyszła mi do głowy Anglia. Mógłbyś mi tam wszystko pokazać. Zamki i... no, nie wiem – wszystko. Odszukałam twoje miasteczko. Zabrałbyś mnie na wrzosowisko. Wiesz, tak jak w *Wichrowych wzgórzach*. Możemy pojechać w lecie. Pracuję jeszcze nad szczegółami, ale może udałoby się namówić mamę, żeby wysłała mnie na kolonie, a wtedy...

Brzęknął toster. Toby wyjął z niego grzanekę, przyjrzał się jej uważnie, a następnie oskrobał tak dokładnie, że niewiele z niej zostało. Gdy skończył, położył tost na talerzu.

– June, bardzo mi przykro, ale to niemożliwe.

Wysunął szufladę, wyjął z niej mój paszport i podał mi. Wzięłam go i razem przeszliśmy do salonu. Toby wyjął paczkę papierosów z tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął sobie jednego, ale mnie nie poczęstował.

Cisnęłam paszport na znajdujący się między nami stolik do kawy. Zrobiło mi się przykro, bo na obmyślanie tego planu poświęciłam bardzo dużo czasu. Przeszukałam cały dom w poszukiwaniu miejsca, gdzie schowane były paszporty, a znalezienie klucza zajęło mi wieki.

– Nie ma rzeczy niemożliwych. Mówiłeś przecież...

– Zamki, June? *Wichrowe wzgórza*? Jezu. Wychowałem się na przedmieściach Leeds.

– No dobrze, nie wiem, nieważne. Możesz mi pokazać, co tylko będziesz chciał. Swoją Anglię.

– Uśmiełabyś się tylko.

– To co?

– June, nie mogę tak po prostu wywieźć cię z kraju. Finn by mi nigdy... Masz przecież tylko... czternaście, piętnaście lat?

Toby myślał, że jestem piętnastolatką. Prawie się uśmiechnęłam, ale udało mi się powstrzymać.

– Poza tym...

– Co poza tym?

– Gdybym wyjechał, nie pozwoliliby mi już tu wrócić. Rozumiesz? Nie mogę nigdzie lecieć. – Spuścił wzrok, jakby czuł się rozczarowany samym sobą, po czym dodał: – Wybacz, June. Wiem, że ci obiecałem, ale...

– No to co? Naprawdę nie mógłbyś tam zostać?

Toby wolno pokręcił głową w zamyśleniu.

– Zostać? Nie. Nie mógłbym. To byłoby okropne. A do lata jeszcze daleko...

Była połowa kwietnia. Lato miało rozpocząć się za zaledwie parę miesięcy i już chciałam zacząć sprzeczać się z Tobym, ale przyjrzałam mu się uważniej. Pod oczami miał szare kręgi, a gdy zaciągał się papierosem, policzki zapadały się w twarzy. Nagle zrozumiałam, co próbował mi powiedzieć.

– Ale Finn chciał..

– Nie masz pojęcia, czego chciał Finn – powiedział Toby i przez chwilę miałam wrażenie, że to Greta steruje jego ustami.

Zarzuciłam plecak na ramiona i ruszyłam do wyjścia. Obróciłam się jeszcze.

– Właśnie, że mam. Chciał, żebym się tobą zajęła.

Toby zgasił papierosa i uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia. Najpierw lekko, potem coraz szerzej, aż w końcu zaczął się śmiać. Ze mnie. Śmiał się ze mnie. Opadł na niebieski fotel Finna, bo to, z czego się śmiał, było tak zabawne, że nie mógł ustać na nogach. Oblałam się rumieńcem i ruszyłam w kierunku wyjścia. Zanim doszłam do drzwi, rozsunałam suwak plecaka i sięgnęłam po *Księgę dni*. Otworzyłam ją i zaczęłam wertować w poszukiwaniu strony, o którą mi chodziło.

– Możesz się śmiać, ile tylko chcesz, ale sam to napisał. Tutaj. Czarno na białym. Napisał: „Zaopiekuj się Tobym”. Teraz mi wierzysz?

– June, ja wcale nie śmieję się z ciebie.

I nagle z mojego serca w kierunku warg wystrzelił strumień czystej podłości.

– Napisał, że zostałeś sam. Sam jak palec.

Toby nie odwrócił wzroku. Jego śmiech przemienił się w łagodny, znaczący uśmiech.

– Zgadza się – odparł.

Wstał i podszedł do okna. Włożył dłoń do stojącego na parapecie jaskrawoniebieskiego wazonu i wyciągnął z niego złożony kawałek papieru. Rozwinął go ostrożnie, a potem podał mi. Kartka była wygnieciona, jakby czytano ją setki razy.

Najdroższy,

powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia, z wyjątkiem jednego. To moja ostatnia prośba. Proszę, zaopiekuj się June w moim imieniu. Obiecuj, proszę, że zatroszczysz się o nią, jak najlepiej będziesz w stanie. Z wyrazami miłości tak wielkiej, że rozsadza mi serce... Finn

Przeczytałam liścik dwukrotnie, pozerając wzrokiem każde słowo i wyobrażając sobie, jak drżąca dłoń Finna kreśliła każdą chwiejną literę. Rozejrzałam się po mieszkaniu. Na ścianie wisiały dwa zdjęcia, o których myślałam, że przedstawiają dłonie mojego dziadka, dopóki nie odkryłam, że to jednak dłonie dziadka Toby'ego. W kącie stał stary, pokryty rzeźbieniami kufer, w którym Finn trzymał koce. Drzwi do sypialni Finna

znowu były zamknięte. Tajemnicze. Raz jeszcze przeczytałam karteczkę, czując się niemądra i zagubiona.

– Podejź do mnie – powiedział Toby.

Mocno potrząsnęłam głową. Czyli jednak. Przez cały czas wypatrywałam Finna wyzierającego z Toby'ego i miałam rację. Za każdą, najmniejszą nawet rzeczą, którą zrobił dla mnie Toby, tak naprawdę stał Finn. Poczułam ciepło przesuwające się od palców u stóp aż do czubka mojej głowy. Wróciłam pamięcią do dnia, w którym po raz pierwszy zobaczyłam Toby'ego na pogrzebie. Próbował przyciągnąć moją uwagę, w niezdarny sposób starając się wypełnić wolę Finna. Dokładnie tak jak ja.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Wiedziałam, że to nieprawda. Nie było co do tego wątpliwości. Jednak gdy Toby rozłożył ramiona, wstałam pomiędzy nie. Weszłam między nie, jakby Toby był wielką szafą, która jest w stanie zabrać mnie, gdzie tylko będę chciała.

– Ciii. Już dobrze – powtarzał.

Kiwaliśmy się we wspólnym rytmie, a ja płakałam na piersi Toby'ego. Prosto na jego serce. Tak długo mnie uspokajał, że w pewnym momencie miałam wrażenie, że staliśmy się jedną i tą samą osobą.

– Widzisz, jak bardzo cię kochał? – spytał.

Przyłgnęłam do Toby'ego. Jego żebra przyciskały się do mnie niczym tory kolejowe prowadzące gdzieś daleko, bardzo daleko. Przywarłam do niego tak mocno, jakbym naprawdę była w stanie powstrzymać go od odejścia. Przytulałam go tak, jak mógł przytulać go Finn. Z całych sił. Z całego serca.

Stopniowo mój płacz przemieniał się w śmiech i w końcu odsunęłam się od Toby'ego, żeby na niego spojrzeć.

– Co się stało? – spytał.

– Spójrz na nas tylko. Musimy być najgorszymi opiekunami na świecie.

Toby też się roześmiał.

– No, nie wiem – powiedział. – Wydawało mi się, że nieźle sobie radzę.

Uniosłam brwi.

– W zeszłym tygodniu upiliśmy się Hawajskimi Pucharkami. Nie jestem pewna, czy o to chodziło Finnowi.

Toby posłał mi zakłopotany uśmiech, a potem odchrząknął i udając, że robi poważną minę, oświadczył:

– June, wkraczając w dorosłość, możesz czasami napotkać na swej drodze przesadnych rozmiarów egzotyczne napoje z dodatkiem alkoholu. Uznałem za swój obowiązek zapoznanie cię ze światem tych potencjalnie groźnych substancji.

Parsknęłam śmiechem i dałam mu kuksańca w ramię.

Jego poważna mina zniknęła.

– A zresztą było śmiesznie, co?

Skinęłam głową.

Pomyślałam, że być może Toby doszedł do właściwych wniosków. Może o to właśnie chodziło Finnowi: żebyśmy się nawzajem rozśmieszali. Może Finn chciał sprawić, aby dwie jego ulubione osoby śpiewały, uśmiechały się i włączyły po mieście, świetnie się przy tym bawiąc.

Udało mi się utrzymać w sercu to ciepłe uczucie przez większą część jazdy pociągiem, ale zanim dojechaliśmy do Hawthorne, pojawiło się w nim coś jeszcze. Liścik można było rozumieć na dwa sposoby. Po pierwsze – co było dobre – Finn się o mnie troszczył. Kochał mnie wystarczająco mocno, żeby poprosić Toby'ego o opiekę nade mną. Jednak z drugiej strony Toby spędzał ze mną czas tylko ze względu na Finna. Bo Finn go poprosił. Nie miało to ze mną nic wspólnego. Greta się nie myliła. Jak zwykle wszystko pierwsza rozgryzła.

NAJBARDZIEJ POSZUKIWANE W AMERYCE

Tak było napisane na okładce. Wytłuszczone słowa ciągnęły się w poprzek strony. Pod nimi znajdowałyśmy się Greta i ja. Na portrecie. Trafiłyśmy na okładkę „Newsweeka”.

Artykuł dotyczył dzieł sztuki, które zaginęły albo znajdowały się w czyjejś prywatnej kolekcji. Ukryte. Okazało się, że znalazłyśmy się dopiero na szóstym miejscu. Ważniejsze były: obraz Andy’ego Warhola, malowidło z osiemnastego wieku przedstawiające brzemienną w skutki bitwę z czasów wojny o niepodległość, jakieś dwie rzeźby oraz flaga amerykańska z zaledwie dwunastoma gwiazdkami, która miała podobno powstać, zanim Betty Ross uszyła tę swoją. No, a potem my.

Przyszło mi do głowy, że pewnie użyli tego samego zdjęcia co „New York Times”, bo na obrazie nie było jeszcze guzików. Moja koszulka była jednolicie czarna.

Pod zdjęciami dziesięciu najbardziej pożądanym dzieł sztuki, które zaginęły, znajdowała się lista pięćdziesięciu kolejnych. Jakiś człowiek związany z Muzeum Sztuki Amerykańskiej imienia Gertrude Whitney mówił, że pracuje nad zorganizowaniem wystawy o nazwie „Biuro Sztuki Znalezionej”, której losy zależą od tego, do ilu przedmiotów obecnych na liście uda mu się dotrzeć.

W artykule stwierdzał: „O istnieniu tych prac dowiedzieliśmy się tylko dzięki temu, że ktoś o nich napisał albo zostały one utrwalone na jakimś zdjęciu czy filmie. Określamy je mianem widmowych dzieł sztuki, bo natknęliśmy się tylko na ich ślady, a nie na konkretne przedmioty”.

Wzmianka o naszym portrecie powieliała właściwie to, co napisano wcześniej w „Timesie”. Jediną różnicą był wywiad z właścicielem galerii, w której Finn wystawiał swoje prace. Mężczyzna mówił, że nie przychodzi mu do głowy nic bardziej tragicznego niż zarzucenie działalności artystycznej przez Finna Weissa. Wydało mi się to lekką przesadą, ale i tak fakt, że ktoś wyraził się tak ciepło o Finnie, napęłnił mnie dumą.

Czasopismo pokazała mi Beans, która specjalnie w tym celu przyniosła je do szkoły. W pierwszej chwili miałam ochotę gdzieś je ukryć albo wyrzucić do kosza, ale przecież to „Newsweek”. W całym kraju dostępne były setki tysięcy egzemplarzy tego wydania. Prawdopodobnie artykuł wisiał już na tablicy ogłoszeń w bibliotece. Ktoś pewnie zadzwonił do gościa z muzeum Whitney, żeby powiedzieć mu, gdzie mieszkamy.

Tekst kończył się słowami faceta z muzeum, który wyznawał, że czuje się jak detektyw. Nie ustaje w staraniach, by odnaleźć zaginione dzieła sztuki. Wróciłam do okładki i spojrzałam na Gretę i siebie. Potem skupiłam się na mężczyźnie, który był na naszym tropie. Zdałam sobie sprawę, że nietrudno będzie nas znaleźć, i trochę mnie to wystraszyło. Na samą myśl, że może on kiedyś zapukać do naszych drzwi, przeszły mnie ciarki.

Mama przyniosła „Newsweek” z pracy. Dostała go od dwóch różnych osób. Usiedliśmy

w kuchni do kolacji. Mama, tato, Greta i ja. Pomiędzy nami leżał tygodnik. Tego wieczoru nie jedliśmy pyszności z wolnowaru, bo mama ugotowała dwa opakowania makaronu z serem firmy Kraft. Soczyście pomarańczowe kluski leżały nietknięte na naszych talerzach.

– Postanowiłam do niego zadzwonić – oznajmiła mama.

Prawie upuściłam widelec. Przez chwilę miałam wrażenie, że portret znajduje się tuż przed moimi oczami. Włosy pomalowane złotą farbą. Mała czarna czaszka.

Zaczęłam się sprzeczać, ale wtedy Greta kopnęła mnie z całej siły pod stołem. Trafiła prosto w kostkę i ledwo się powstrzymałam przed przyłożeniem jej pięścią. Spojrzałam na nią tylko i chociaż na mnie nie patrzyła, odgadłam, że ma jakiś plan.

– Im dłużej będziemy czekać – powiedziała – im dłużej będziemy go ukrywać, tym bardziej wartościowy się stanie. Zgadza się? Pomyślcie sami. Nawet jeśli ten facet domyśli się, że mamy obraz u siebie, wcale nie musimy mu go pokazywać. Mam rację?

Rodzice wymienili spojrzenia. Widziałam, że nawzajem próbują odczytać ze swoich twarzy, co powinni zrobić.

– No cóż – odezwał się tato – trafna uwaga, ale może dobrym pomysłem byłoby pokazać portret światu. Może tego właśnie życzyłby sobie Finn.

– Nie – powiedziałam. Greta znowu mnie kopnęła, ale ją zignorowałam. – Wcale by tego nie chciał. Namalował go dla nas.

– Kochanie, dzieła artystów są własnością publiczną. W pewnym sensie.

– Ale na tym dziele jest moja twarz. I Grety też. A my nie jesteśmy niczyją własnością. Finn namalował go dla nas i się nie zgadzam.

– Tylko spokojnie, Junie. – Tato zawsze zachowywał się podobnie: starał się pilnować porządku, ale nie zajmował przy tym żadnego stanowiska.

Zerknęłam na Gretę, która siedziała na krześle z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Prawdopodobnie tylko zerknąłby na obraz, a potem moglibyśmy go zabrać z powrotem – odezwała się mama. – Nikt nie mówi o sprzedawaniu go czy wystawianiu w galerii. Nie musimy się spieszyć.

Ponownie spojrzałam na Gretę. Prosto w oczy. Obie wiedziałyśmy, co zrobiłyśmy z portretem. Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, jak zareagowałaby mama. A może mogłam. I na tym polegał problem. Po drugiej stronie stołu rodzice także na siebie spoglądali. Mama obróciła się w końcu i wyciągnęła do nas rękę.

– Okej. Posłuchajcie. Tylko się nie denerwujcie. Prawda wygląda tak, że już dzwoniłam do tego człowieka. Rozmawiałam z nim dziś po południu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałam.

– W przyszłym tygodniu przyjeżdża obejrzeć obraz.

– Ale on należy do nas i nie chcemy... – Spojrzałam na Gretę.

Uśmiechnęła się. Powoli i przeciągle. Przez kilka sekund się nie odzywała, a potem odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na rodziców.

– No dobra – powiedziała. – Może tak będzie lepiej. Jak sama to ujęłaś: zobaczymy, co z tego wyniknie.

Zatkało mnie. Prawdopodobnie opadła mi też szczęka.

Nazajutrz prosto ze szkoły poszłam do banku. Od dnia, w którym Greta odkryła zawartość mojej szafy, swoją połówkę elżbietańskiej fotografii oraz *Księgę dni* trzymałam wyłącznie w plecaku. Znajdowały się w nim, gdy szłam zobaczyć portret. Zaczynało się ocieplać, więc idąc wolno przez miasteczko, zawiązałam sobie sweter wokół talii. Po drodze wstąpiłam jeszcze do delikatesów Benedettiego, żeby kupić puszkę yoo-hoo i paczkę chipsów Doritos.

Pana Zimmera nie było tego dnia w pracy, więc musiałam się podpisać, żeby siedząca w okienku kobieta wpuściła mnie do skarbcza. Zrobiłam, co w mojej mocy – i sama widziałam, że wychodzi mi to coraz lepiej – ale młoda i schludna pracowniczka banku o urodzie, o której mogłam tylko marzyć, przez bardzo długi czas przesuwiała wzrokiem między formularzem a złożonym przeze mnie podpisem. Następnie zmierzyła mnie wzrokiem i spytała o adres oraz numer telefonu i dopiero one przekonały ją, że June Elbus to naprawdę ja.

Tym razem wyjmowanie portretu ze skrytki nie należało do przyjemności. Miałam nadzieję, że złoty kolor naszych włosów oraz czaszka na dłoni Greta nie będą rzucać się w oczy. W końcu nikt nie zauważył namalowanych przez Toby'ego guzików. Nadzieja nadzieją, ale w rzeczywistości wiedziałam, że to niemożliwe. Nie można pomazać obrazu lśniącą złotą farbą i oczekiwać, że nikt jej nie zauważy. Zamknęłam oczy i zaczęłam wolno wyjmować portret. Gdy w końcu na niego spojrzałam, okazało się, że wygląda jeszcze gorzej, niż się spodziewałam.

Złota farba skupiała na sobie całe obecne w pomieszczeniu światło i odbijała je prosto w moje oczy.

Na obrazie pojawiło się też coś nowego. Wargi Greta, uprzednio naturalnej barwy, zostały pomalowane na jasnoczerwony kolor. Była to czerwień zupy pomidorowej firmy Campbell, którą mama podawała nam na lunch, gdy byliśmy małe. Greta nie miała już wcześniejszej, wielce zadowolonej miny. Wyglądała teraz, jakby marszczyła brwi. Może nawet więcej. Ze złotem we włosach oraz pokolorowanymi ustami budziła istną trwogę.

Przysunęłam twarz do obrazu. Chciałam dostrzec ślady pociągnięć pędzla Greta. Pragnęłam ujrzeć je z bliska. Wiedziałam, że musiała zauważyć, co robiłam z naszymi włosami. Wtedy coś mnie tknęło. Na zewnątrz Greta unikała mnie, jak tylko mogła. Od dnia, w którym odkryła moje skarby, prawie się do mnie nie odzywała. Jednak tutaj wydawałyśmy się prowadzić rozmowę. W jakimś sekretnym języku. Nasz portret skrywał w sobie wszystkie słowa, których przestałyśmy używać.

Wyjęłam z plecaka połówkę zdjęcia z Playlandu i postawiłam ją obok portretu. Spojrzałam na dziewczynę na portrecie, która wtedy jeszcze miała Finna – niemądrą dziewczynkę, której zdawało się, że należy on tylko i wyłącznie do niej – i z trudem ją rozpoznałam. Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby była w stanie kimkolwiek się opiekować. Następnie popatrzyłam na dziewczynę w masywnym elżbietańskim kostiumie i pomyślałam dokładnie to samo. Uznałam, że obie prezentują się niezbyt mądrze. Wyglądały na osoby, które nie potrafią niczego zrobić dla innych. Cieszyłam się, że nie mam przy sobie lusterka, bo wiedziałam, że moje odbicie niczym by się od nich nie różniło. To zrozumiałe, że Toby nie chciał lecieć ze mną do Anglii. Dlaczego

miałoby być inaczej?

Przycisnęłam plecy do ściany i osunęłam się po niej na podłogę.

Po co Toby miałby udawać, że mnie lubi? Po co ktokolwiek miałby coś takiego robić?

Z poczucia winy, proste.

Nie. Nikt nic nie wiedział na temat AIDS, gdy się nim zarazili. Taka była prawda. Dlaczego Toby miałby czuć się winny?

Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.

To oczywiste, że nie chciał lecieć z tobą do Anglii. Przecież nigdy nie byłeś w stanie zrozumieć, co łączy cię z innymi ludźmi. Z Benem, Beans, Finnem, Gretą. Dlaczego Toby miałby chcieć spędzić z tobą aż tyle czasu? No i ta durna pokrywka od czajniczka...

Przymknęłam oczy i zaczęłam szeptem recytować tekst *Dies Irae* z *Requiem*. Dopóty powtarzałam łacińskie słowa „*Dies irae, dies illa, solvet saeculum in favilla*”, dopóki odczuwany przeze mnie lęk nie zmniejszył się choć trochę.

Ponownie spojrzałam na portret. Na Gretę i siebie samą. Wygrzebałam z dna plecaka słoiczek ze złotą farbą. Wyobraziłam sobie, jak Greta maluje swoje wargi, wiedząc, że zobaczą efekty jej pracy, i nagle poczułam przemożną potrzebę bycia przez nią usłyszana. Chciałam, żeby wiedziała, że odpowiadam na jej wołanie. Tak więc zamiast prób zatuszowania czegokolwiek wzięłam słoiczek z farbą, zanurzyłam w nim pędzelek, a potem ostrożnie pomalowałam paznokcie u rąk Grety na złoty kolor.

Staliśmy z Tobym na peronie, czekając na kolejkę jednoszynową. Znajdowaliśmy się w ogrodzie zoologicznym w Bronksie, w części nazwanej Dzika Azja, i za chwilę mieliśmy wsiąść do Ekspresu Bengalskiego, który – zaraz po Cloisters – jest najlepszym sposobem na opuszczenie Nowego Jorku bez konieczności wyjeżdżania z miasta.

Zoo w Bronksie wcale nie jest przygnębiające. Zajmuje olbrzymią powierzchnię wypełnioną drzewami i łąkami i można się tam poczuć, jakby wcale nie znajdowało się w mieście. Podzielono je według kontynentów na Afrykę, Azję, Amerykę Północną, a każdą z tych części charakteryzuje właściwa dla nich atmosfera. Część afrykańska jest szarawa, prawie pozbawiona drzew, a budki z lodami przypominają niewielkie chatki. Roślinność części azjatyckiej jest o wiele bujniejsza, a ponadto pełno tam bambusa, posągów hinduskich bogiń oraz bram w chińskim stylu.

Poprosiłam Toby'ego, żeby odebrał mnie z domu o dziesiątej rano. Co prawda tego dnia miałam szkołę, ale wpadłam na pomysł, żeby wstać wcześniej i oznajmić mamie, że chyba złapałam tego samego wirusa, co tato i Greta. Mama przyłożyła mi na moment dłoń do czoła, po czym przyznała, że faktycznie jestem trochę rozgrzana. Wróciłam do łóżka, odczekałam, aż wszyscy wyjdą z domu, a potem ubrałam się i usiadłam przy oknie w salonie, żeby wypatrywać Toby'ego.

Jak zwykle nawet nie przyszło mu do głowy, że zabieranie mnie gdzieś o dziesiątej rano w dzień roboczy może być dziwne. Podszedł pod tylne drzwi ubrany w grubą płaszcz z szarej wełny i bardzo ucieszył się na mój widok.

– Jest już wiosna – powiedziałam, wskazując na płaszcz.

Toby wydawał się zakłopotany wzmianką o nim i spojrzał na drugi koniec podwórka.

– Wiesz, już tu kiedyś byłem – oznajmił.

– Serio?

– Listonosz, który przyniósł czajniczek. To byłem ja. Przesyłka do rąk własnych.

Wróciłam pamięcią do tamtego dnia i odniosłam wrażenie, że było to wieki temu. Nie do wiary, że upłynęły dopiero dwa miesiące.

– A, tak – odparłam. – Wiedziałam, że to ty.

Toby wyglądał na nieobecnego duchem, ale gdy to powiedziałam, doszedł do siebie.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Też mi się tak zdawało.

Uznałam, że teraz moja kolej, żeby go gdzieś zabrać. Przyszło mi do głowy Cloisters, ale nie byłam jeszcze gotowa, żeby dzielić się nim z Tobym. Padło więc na zoo. Toby powiedział, że mogę prowadzić, jeśli mam ochotę. Wyciągnął w moją stronę kluczyki do samochodu.

– Nie bardzo wiem jak. Zresztą nie mam prawa jazdy.

– Nauczę cię.

Zapałił papierosa, ale udało mu się zaciągnąć nim tylko raz, bo zaniósł się kaszlem. Kluczyki wypadły mu z dłoni, a ja schyliłam się, żeby je podnieść. Jednak zanim zdążyłam mu je oddać, Toby zajął już miejsce na siedzeniu pasażera. Nie uśmiechało

mi się kierowanie samochodem, ale nie chciałam okazać strachu, więc otworzyłam drzwi po stronie kierowcy i usiadłam na fotelu. Wtedy dostrzegłam małą rączkę smerfa, którą Finn przykleił do dźwigni zmiany biegów, i przyszło mi do głowy, jak się od tego wymigać.

– Ręczna skrzynia biegów. Nie dam rady... – Odłożyłam kluczyki na deskę rozdzielczą.

Toby nie przestawał kaszleć, więc tylko skinął głową. Wziął do ręki kluczyki, wysiadł z samochodu i przeszedł na stronę kierowcy.

Zatrzymaliśmy się na parkingu od strony rzeki Bronx, co oznaczało, że przejechaliśmy przez północnoamerykańską część zoo. Była to jego najbardziej wiarygodna sekcja. Wysokie drzewa i porośnięte trawą pola, na których spotykało się jelenie, bizona i wilki, prezentowały się naprawdę nieźle. Teren zawierał niezwykle skupisko amerykańskiej fauny żyjącej w ciągu wieków. Wyglądało to tak, jakby wszystkie gatunki zwierząt, jakie udało nam się wybić, zostały na nowo wprowadzone do naszego świata.

– Okej, trochę przypomina Playland – przyznałam. – Chcę ci coś pokazać. Oprócz zwierząt. Chodź.

Obróciłam się do Toby'ego. Wyglądał staro. Starzej niż ostatnim razem. Widziałam jednak, że bardzo się stara nie zwalniać kroku.

– No, chodź – powtórzyłam, udając, że niczego nie zauważam.

Wtedy – w olbrzymim przypiływie energii – Toby rozłożył ręce i ze

śmiechem rzucił się w moim kierunku. W swoim wielkim szarym płaszczu przypominał jakieś oszalałe zwierzę. Też parsknęłam śmiechem i puściłam się biegiem przed siebie. Gnaliśmy przez Amerykę Północną, mijając łąki należące do jeleni i wilków, Krainę Ptaków oraz Krainę Ciemności, aż w końcu lasy i łąki ustąpiły miejsca bardziej egzotycznej roślinności sekcji azjatyckiej.

– To tutaj – oznajmiłam, wskazując na schody otoczone czerwono-żółtymi flagami Karnataki.

Toby wsparł się o poręcz. Nie mógł przestać kaszleć. Stał zgięty wpół jak staruszek. Żołądek zacisnął mi się w panice, bo nie wiedziałam, co robić. Nie miałam pojęcia, jak pomóc komuś cierpiącemu na poważną chorobę. Poklepałam go więc tylko lekko po plecach. Toby starał się uśmiechać do mnie między kolejnymi kasznięciami, udając, że nic się nie dzieje. Gdy w końcu złapał oddech, spytałam, czy chce się czegoś napić.

– Nie. Chodźmy – powiedział. – Nic mi nie jest.

Zeszliśmy ze schodów. Na dole mineliśmy zagrodę, w której można było przejechać się na wielbłądzie. Pod siodła na grzbietach zwierząt włożono piękne dywany w kolorach cynamonu, papryki i musztardy. Kilka wielbłądów zajmowało się małymi, ale reszta stała tylko ze znużonymi minami.

Wskazałam na budkę, do której prowadziła ciągnąca się przed nami ścieżka.

– Tędy – powiedziałam. – Obiecuj, że ci się spodoba.

Z początku Toby nic nie odpowiedział, a ja czekałam, aż zrobi to, co ja w Playlandzie, czyli stwierdzi, że czegoś takiego nie da się obiecać. Tak się jednak nie stało.

– Obiecuję – powiedział. – Nawet jeśli będzie okropnie, obiecuję, że i tak będę się

dobrze bawić.

Kupiłam nam bilety na kolejkę i poszliśmy na peron, żeby czekać na nią w cieniu pokrytego strzechą dachu. Na drugim końcu grupka dzieci z wycieczki szkolnej uwiesiła się na niskiej drewnianej barierce. Gdy przyjechał pociąg, poczekaliśmy, aż wsiądą, a potem wybraliśmy cichszy wagon na drugim końcu.

Układ foteli w kolejce przypominał taki w niewielkim kinie: oba rzędy – jeden położony niżej, drugi wyżej – zamiast ku przodowi lub tyłowi pociągu skierowano w bok, który był całkowicie odkryty. Podróż trwała zaledwie dwadzieścia minut, ale dobiegający z głośników głos opowiadał o niej, jakby obejmowała całą Azję, i jeśli nie sięgało się wzrokiem zbyt daleko i skupiało tylko na widocznych w dole drzewach i wodzie, można było mu uwierzyć. Dać się przekonać, że czarne pizmowce biegają tak naprawdę po wzgórzach południowych Chin, a słonie wędrują po indyjskich równinach.

Pociąg ruszył. Wyprawa zaczynała się przejazdem nad błotnistą rzeką Bronx, a kobiecy głos dobiegający z głośników oznajmił, że znajdujemy się w Indiach i przekraczamy właśnie Ganges. Spojrzałam na Toby'ego i widząc, że szczerzy zęby w uśmiechu, kiwnęłam do niego głową.

– Nie patrz za daleko – poradziłam. – To psuje efekt.

Greta zawsze patrzyła zbyt daleko. Wytykała palcem miejsca, gdzie między drzewami można było dostrzec fragmenty prawdziwego Bronksu.

W drodze powrotnej kobieta z głośnika miała oznajmić, że znajdujemy się w Chinach, a rzeka nosi nazwę Jangcy. Na razie jednak opowiadała nam o antylopach, tygrysach oraz trzech gatunkach jeleni.

– Ej – odezwał się Toby.

– Co?

– Chodź do mnie. – Poklepał sąsiadujące z nim miejsce na ławce, a ja tam usiadłam. Objął mnie i przyciągnął do siebie, tak że moja twarz została wciśnięta w jego wielki płaszcz.

– Powąchaj.

Z początku nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale gdy powoli zaciągnęłam się wonią płaszcza, jak za sprawą magii wyłonił się z niego Finn. Jego zapach. Oprócz lawendy i pomarańczy były w nim też inne rzeczy. Łagodny cytrusowy aromat jego płynu po goleniu, zapach ziaren kawy, farb oraz nierozłącznie związanych z Finnem składników, których nazw nie znałam. Bałam się drgnąć. Siedziałam wtulona w Toby'ego z głową ukrytą w jego płaszczu. Toby mnie przytulał i przyciągał do siebie coraz bliżej, a po delikatnym drzeniu jego barków poznałam, że płacze. Zamknęłam oczy i miałam wrażenie, że przelatuję nad Gangesem wczepiona w Finna. Tyle że ramiona tego Finna nigdy wcześniej nie tuliły mnie równie mocno. Myślałam o różnych rodzajach miłości, jakie się spotyka. Bez większego wysiłku przychodziło mi do głowy z dziesięć różnych jej odmian. Miłość rodziców do dziecka, miłość do szczeniaczka, lodów czekoladowych, domu, ulubionej książki, siostry. Albo wujka. To jednak nie wszystko. Istnieje też miłość, która jest wynikiem zakochania. Miłość pomiędzy mężem i żoną czy dziewczyną i chłopakiem, zadurzenie w aktorze filmowym.

A gdyby pokochało się kogoś niewłaściwym rodzajem miłości? Co, jeśli zdarzyłoby ci

zakochać się w kimś niedozwolonym i musiałabyś ukrywać się z owym uczuciem przed całym światem? Co, jeśli tłamszenie w sobie tej miłości przemieniłoby ci serce w czarną dziurę, jednak bez względu na to, jak głęboko chciałabyś ją w sobie ukryć, jak bardzo chciałabyś ją zdławić, ona nadymałaby się tylko i z czasem urosła do gigantycznych rozmiarów, wypełniła całe twoje wnętrze, aż w końcu stałaby się tobą? A ty nią. I wszystko, na co padałby twój wzrok, każda twoja myśl, ciągnęłyby cię w kierunku osoby, której nie powinnaś kochać w taki sposób. Co, jeśli osobą tą byłby twój własny wujek i każdego dnia musiałabyś tłumić w sobie uczucie wstrętu, pocieszając się myślą, że przynajmniej nikt o niczym nie wie, bo dopóki nikt o niczym nie wie, wszystko jest w miarę w porządku?

Jeszcze raz głęboko zaciągnęłam się zapachem płaszcza, podczas gdy kolejka gładko wchodziła w zakręt, przenosząc się z Indii do Nepalu. Wyobrażałam sobie, że to wszystko jest prawdziwe – że z całych sił przytulam się do Finna, a ból, który w sobie noszę, zostaje przemieniony w coś namacalnego i gdy otworzę oczy, ujrzę uśmiechniętą twarz wujka.

Toby oparł policzek o czubek mojej głowy, a strumień jego łez pociekł mi po czole i zaczął ściekać z oczu, jakbym to ja płakała. Łzy spadały mi na policzki i wargi. Nie wiedziałam, czy można zarazić się AIDS przez łzy, ale było mi wszystko jedno. Już się nie bałam.

Przez resztę jazdy nie zmieniliśmy pozycji, a ja się zastanawiałam, czy Toby marzy o tym samym, co ja, i czy stawałam się jego wielką, prawdziwą miłością.

Pociąg zatrzymał się na stacji, ale żadne z nas nawet nie drgnęło. Obróciłam głowę, żeby spojrzeć na wnętrze wagonu, i wytarłam policzek o szorstką wełnę płaszcza Toby'ego. Matka czwórki dzieci wbijała we mnie wzrok. Spojrzałam jej prosto w oczy i zrozumiałam, jaki widok musieliśmy stanowić. Dotarło do mnie, jak niewłaściwie musieliśmy się prezentować, ale miałam to gdzieś. Pociągnęłam Toby'ego za rękaw i oboje wstaliśmy, dalej mocno się obejmując. Nikt nie znał naszej historii ani związanego z nią smutku.

Opuściliśmy Azję i ruszyliśmy z powrotem przez Amerykę Północną. Mijaliśmy zagrodę wilków, jednak ich nigdy nie było widać. Prawdopodobnie chowały się, udając, że nie ma ich w klatce. Pewnie zdawały sobie sprawę, że z za krat przypominały zwykłe psy. Przez chwilę staliśmy oparci o ogrodzenie, wpatrując się w zminiaturyzowaną wersję Wielkich Równin. Naprzeciwko pola zajmowanego przez wilki znajdowała się podróbka słupa totemicznego o wysokości równej wzrostowi przeciętnego mężczyzny. Łby orła, niedźwiedzia i wilka pokryte były łuszczącą się czerwoną i niebieską farbą. Zatrzymałam się.

- Co się stało? – spytał Toby.
- Daj mi płaszcz.
- Nie. Po co?
- No daj, proszę.

Toby zmarszczył brwi. Zrobił błagalną minę, ale stanęłam z rękami wspartymi o biodra i chwilę później zaczął powoli odpinać guziki płaszcza. Gdy był już rozpięty, Toby zwiesił głowę, a ja ściągnęłam go z niego i przewiesiłam sobie przez ramię. Następnie podeszłam do totemu, owinęłam go płaszczem i zapięłam guziki, tak żeby na

samej górze wystawała głowa orła. Cofnęłam się, przechylając głowę na bok i mrużąc oczy.

– Idealnie – stwierdziłam z szerokim uśmiechem, ale gdy spojrzałam na Toby’ego, zobaczyłam, że ciągle stoi w tym samym miejscu. Strzęp człowieka. Ubrany był w koszulkę z kośćmi dinozaura, którą miał na sobie, gdy po raz pierwszy odwiedziłam go w mieszkaniu, a jego ręce pokrywały ciemne ślady wyglądające jak strupy. W ciepłych promieniach kwietniowego słońca przypominał obdarte ze skóry zwierzę. Stał w milczeniu ze spuszczoną głową.

– Popilnują go dla nas, co nie? – spytałam, wskazując na pole należące do wilków.

Toby przesuwiał swoimi dużymi dłońmi po ramionach, jakby robił, co mógł, żeby nie rozpaść się na kawałki.

– Przyszło mi do głowy, że może powinniśmy skupić się na przyszłości – zaproponowałam.

Toby podniósł wzrok. Wcześniej wydawało mi się, że wygląda staro, ale teraz, bez płaszcza, wydawał się młodszy. Niemiłosiernie skurczony. Przechylił głowę na bok i spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Jakiej przyszłości? – spytał.

Nie miałam na to odpowiedzi i zrobiło mi się bardzo głupio, że coś takiego powiedziałam. Czułam się, jakbym zdradziła Finna. Lojalny Toby ani o krok nie oddaliłby się od jego ducha. Moja miłość była natomiast podrzędnej jakości. „Skupić się na przyszłości”. Co za banał. Co za wstyd. Czułam, jak twarz oblewa mi się rumieńcem. Wpatrywałam się w płaszcz, którego powieszenie na totemie jeszcze minutę wcześniej wydawało mi się świetnym pomysłem, ale teraz przypominało raczej dziecinny kaprys. Fanaberię durnowatego dzieciaka, który nie ma pojęcia, na czym polega prawdziwa miłość.

Pochyliłam głowę i wolno rozpięłam guziki płaszcza. Przerzuciłam go przez ramię, a następnie oddałam Toby’emu, unikając jego wzroku.

Włożył go na siebie i nagle po raz kolejny dotarła do mnie prawda. Oczywiście Greta miała rację. Nie było mowy o żadnej liczbie mnogiej. Toby nie robił niczego, co wykraczałoby poza obietnicę złożoną Finnowi.

W samochodzie Toby sięgnął ręką obok mnie do schowka na rękawiczki. Wyjął z niego mój paszport i położył go na desce rozdzielczej.

– Nie zapomnij go zabrać – powiedział, nie patrząc na mnie. Ciemnoniebieska książeczka odbijała się w przedniej szybie, co wyglądało, jakby było ich dwie. Bliźniacze memento głupoty mojego planu. Wzięłam paszport do ręki i zaczęłam go kartkować. Zauważyłam, że Toby odczepił przyklejoną do mojego zdjęcia karteczkę, i spojrzałam prosto w swoją jedenastoletnią, lekko uśmiechniętą twarz o zmrużonych oczach. Głupia, głupia, głupia. Cisnęłam paszport na podłogę obok plecaka, po czym odsunęłam go na bok czubkiem buta. Obróciłam się do Toby’ego.

– Wiem, że poznaliście się z Finnem w więzieniu.

Przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego. Jakby nie dosłyszał. Prawdę mówiąc, historia z więzieniem nie stanowiła dla mnie problemu. Greta uznała ją za swoją kartę atutową, ale ja czułam się jak Nellie z *Południowego Pacyfiku*, której nie przeszkadzało,

że Emile był mordercą. Nie potrafiła natomiast zaakceptować innych jego zbrodni, z których popełnienia nie zdawał sobie nawet sprawy.

Toby splótł dłonie i delikatnie zastukał nimi o kierownicę.

– A więc już wiesz. Skinęłam głową.

– I ciągle tu jesteś? Ponownie kiwnęłam głową.

– I pewnie chcesz wiedzieć, co takiego zrobiłem, prawda? Wzruszyłam ramionami.

– Nie masz się czego bać.

– Na pewno nie ciebie – powiedziałam.

Toby spojrzał na mnie, a potem przesunął wzrokiem po rzędzie zaparkowanych samochodów. Gdy obrócił się do mnie, jego twarz miała poważny wyraz.

– Jeśli ci nie powiem, będziesz sobie wyobrażać Bóg wie co, a tego nie chcę.

Sprawił wrażenie zmartwionego. Albo osaczonego. Chwycił się za głowę.

– Och, to takie głupie i wydarzyło się tak dawno temu...

Nic nie powiedziałam.

– No dobrze. Niech będzie. Byłem wtedy studentem Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Na kierunku muzycznym. Naturalnie miałem stypendium. Rodzice nie dawali mi żadnych pieniędzy i w ogóle woleli udawać, że nie istnieję. Czasami grywałem za pieniądze na stacjach metra i... pewnej nocy...

Toby wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Późną sobotnią nocą siedziałem na stacji metra. Kręciło się tam kilku pijanych chłopaków, a ja grałem na gitarze, bo nie miałem gdzie pójść. Pamiętam nawet, co wtedy grałem: jedną z fug Bacha.

Skinęłam głową, mimo że nie znałam żadnych fug Bacha.

– Całkiem się w niej zatraciłem. Zdarzało mi się to czasami. Zapominałem, gdzie jestem, i pograżałem się w muzyce: dodawałem coś od siebie, bawiłem się nią, a przy okazji zapominałem o chłodzie. I wtedy ktoś wymierzył mi kopniaka w żebra. Mocno. Poleciałem na plecy, starając się nie upuścić gitary, która należała do mojego dziadka – ojca mojej mamy pochodzącego z Hiszpanii – bo tylko ona mi w życiu została. Wiedziałem, że ciało to ciało, może się zagoić, ale tej gitary nie byłbym w stanie niczym zastąpić. Było ich czterech – masywnych, podpitych chłopaków – jeden z nich zdejmował kurtkę, drugi okładał mnie po głowie, a ja usłyszałem dźwięk wjeżdżającego na peron pociągu. Najpierw głucho uderzenia pięści o moje ciało, które chwilę później zagłuszył pisk metra. Tak to właśnie pamiętam: jakby pociąg dawał mi znak. Jeden z nich próbował wyrwać mi gitarę i znowu usłyszałem pociąg, a potem zacząłem go pchać z całych sił, June. Zepchnąłem tego mężczyznę na tory. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że mam złamaną kostkę. Niczego nie czułem. Parłem przed siebie aż na krawędź peronu, pchając go z wrzaskiem – no i zleciał. Prosto na tory, kilka sekund przed wjazdem pociągu na stację.

– Czy...?

Toby pokręcił głową.

– Obie nogi. – Spuścił wzrok, żeby na mnie nie patrzeć. – To wszystko. Dlatego byłem w więzieniu. Możesz teraz sama zdecydować, czy chcesz mnie jeszcze odwiedzać.

– Przecież to nie była twoja wina – powiedziałam. – Sami zaczęli.

Wzruszył ramionami.

– Zrobiłem coś złego.

– Ale... ale przez nich straciłeś kilka lat życia. Oni...

Toby zrobił dłuższą pauzę, a potem stwierdził:

– Za to zyskałem Finna.

Powiedział to takim tonem, jakby wymianę uważał za uczciwą. Jakby gotowy był ją powtórzyć, gdyby tylko mógł – odebrałby człowiekowi nogi i sam zrzekł się kilku lat wolności, gdyby nie było innego wyjścia. Pomyślałam, że jest to jednocześnie niewłaściwe, okropne i piękne.

Sądziłam, że to koniec historii, ale Toby mówił dalej. Miałam wrażenie, że przestał zwracać się do mnie i zależy mu tylko na tym, aby świat poznał historię jego i Finna. Toby powiedział, że gdy poznał Finna, miał dwadzieścia trzy lata. Finn miał lat trzydzieści i robił w Londynie magisterium ze sztuk pięknych, a prace społeczne były częścią studiów. Finn zdecydował się na udział w projekcie wprowadzania sztuki do więzień, w ramach którego organizowano zajęcia dla osadzonych.

– Pierwszego dnia siedzimy w klasie. Znajduję się w pomieszczeniu pełnym prawdziwych kryminalistów, a przed nami stoi Finn. Widzę, że stara się nie wyglądać na zagubionego. Przygląda się nam, a ja nie mogę oderwać od niego wzroku. Wpatruję się w jego twarz, obserwuję, jak nerwowo przygryza wargę, studiuję jego idealnie wąskie ramiona i myślę: „Popatrz na mnie. Tylko ja się tu liczę”. Mężczyźni zaczynają się niecierpliwić. Wśród nich jest jakiś mówiący cockneyem złamas – och, wybacz, June. Facet zaczyna krzyczeć do Finna, że „sztuka jest dla pedałów”, i w pomieszczeniu zapada cisza. Wszyscy chcą zobaczyć, jak wybrnie z tego nauczyciel rysunków. Finn uśmiecha się – wiesz, w jaki sposób – a potem opuszcza wzrok, żeby to ukryć, ale chwilę później zmienia zdanie. Postanawia zaryzykować. Patrzy facetowi prosto w oczy i mówi: „No, to znalazłeś się we właściwym miejscu” i cała sala jest już jego – to jest z wyjątkiem tego jednego gościa. Wszyscy rechoczą, tłuką pięściami o biurka i tym podobne. Wszyscy oprócz mnie. Siedziałem spokojnie i właśnie wtedy Finn mnie zauważył. Spojrzałem na niego, starając się przekazać temu obcemu mężczyźnie wszystko, co byłem w stanie, samym wzrokiem. Prawie niezauważalnie przechylił głowę, ale ja nie spuszczałem z niego wzroku. Na kilka zastygłych w czasie sekund staliśmy się jedynymi osobami obecnymi w pomieszczeniu i postanowiłem zaryzykować. Musiałem. Bezdźwięcznie wypowiedziałem słowo „Pomocy!”, spodziewając się, że pewnie odwróci głowę zażenowany. Ale wcale tak nie zrobił. Dalej się we mnie wpatrywał. Tak się zaczęło. Pisaliśmy do siebie listy, a ja nie opuściłem ani jednej prowadzonej przez niego lekcji. Przechodził obok mnie, od niechcienia przesuwał mi dłoń po plecach. Albo upuszczał na podłogę ołówki, a potem schylał się, żeby go podnieść, jednocześnie muskając mi kostkę palcem.

Toby przymknął oczy i uśmiechnął się, jakby naprawdę przeniósł się do tamtych czasów.

– Była w tym jakaś energia. Coś groźnego. Te przypadkowe dotknięcia były dla mnie wszystkim. Żyłem dla nich. Wiedziałaś, że można zorganizować sobie życie wokół najdelikatniejszych z możliwych muśnięć? Możesz to sobie wyobrazić?

Oczy Toby’ego zaczęły wypełniać się łzami. Chciałam powiedzieć mu, że tak, mogę.

Wiem wszystko na temat rzeczy prawie niezauważalnych i proporcji między nimi. Żadną nowością była dla mnie miłość zbyt wielka, by mogła zmieścić się w niewielkim naczyniu. Miłość rozbryzgująca się na wszystkie strony, wywołująca tylko zażenowanie. Nie chciałam już słuchać jego historii, ale nie mogłam się powstrzymać. Zawarte w niej cierpienie było niemalże rozkoszne.

– Uratował mnie, wiesz? Został w Anglii dłużej, niż pozwalała na to jego wiza. Czekał na mnie. Już wtedy był znany. Sprzedawał swoje prace za astronomiczne kwoty. Mógł pojechać, gdzie tylko chciał, ale poczekał. W dniu, w którym wyszedłem na wolność...

– Nie chcę tego słyszeć.

Toby wyglądał na zawstydzonego. Uniósł dłonie w przeproszającym geście.

– Rozumiem – powiedział.

– Co rozumiesz?

– Twoje uczucia do Finna. Wybacz, to było niedelikatne z mojej strony. Dupek ze mnie...

– Jakie uczucia?

– June...

– Nie, wyjaśnij, o co ci chodzi. Wydaje ci się, że nie chcę słuchać opowieści o tym, jak rzuciłeś się w objęcia mojego wujka zaraz po wyjściu z więzienia, bo coś do niego czułam?

– June, to nic. Oboje wiemy, jak było. – Toby wpatrywał się we mnie intensywnie i jeszcze lekko kiwnął głową, żebym dobrze go zrozumiała.

Nagle niczym spadająca mi na głowę cegła dotarło do mnie, że Finn o wszystkim wiedział. A jak Finn, to i Toby. Obaj wiedzieli. Nic dziwnego, przecież zawartość mojego serca nigdy nie była dla Finna tajemnicą.

Przestałam słyszeć. Miałam wrażenie, że w mojej głowie zagnieździły się wszystkie bzyzące stworzonka tego świata. Chciałam zmienić się w wosk, a następnie stopić. Pragnęłam unicestwić każdą zwyrodniałą komórkę swojego ciała. W tamtej chwili życie było do tego stopnia przykre, że zrobiłabym wszystko, żeby tylko móc je zakończyć. Gdybyśmy nie znajdowali się akurat w Bronksie, wyskoczyłabym z samochodu i przebiegła całą drogę do domu.

Jednak kolejne czterdzieści pięć minut musiałam spędzić na siedzeniu obok Toby'ego. Czterdzieści pięć minut wyglądania przez okno, czterdzieści pięć minut wykrecania ciała w bok tak bardzo, jak to tylko możliwe. Czterdzieści pięć minut, które sprawiały raczej wrażenie lat. Czterdzieści pięć wypełnionych ciszą minut z wyjątkiem momentu, gdy Toby wyciągnął rękę, położył mi dłoń na plecach i powiedział:

– Wydaje ci się, że nie wiem nic na temat niedozwolonej miłości, June? Myślisz, że nie rozumiem wstydu, jaki czujesz?

Toby zaparkował jedną przecznicę od mojego domu, po czym wygłosił tradycyjną przemowę zaczynającą się od słów: „Gdybyś czegoś potrzebowała...”. Wysiadłam z samochodu tak szybko, jak tylko mogłam, ale gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że na ubłoconej przeze mnie podłodze ciągle leży mój paszport. Patrzyłam na niewielką książeczkę symbolizującą moją głupotę i miałam nadzieję, że zaginie na zawsze.

Toby wysiadł z auta i przeszedł na moją stronę. Staralam się zachowywać, jakby nic się nie stało, jakby nie było problemu. Zmusiłam się do spojrzenia mu w oczy z przyklejonym do ust uśmiechem. Umówiliśmy się na przyszły wtorek. Toby powiedział, że chyba jeszcze da radę prowadzić. Kazałam mu zaparkować przed supermarketem Grand Union, tuż obok kontenerów sklepu Goodwill. Z moich ust wylewały się puste, pozbawione znaczenia słowa. Powiedziałam, że przyjdę tam o wpół do czwartej. Toby skinął głową. Na tym stanęło.

Czułam zapach francuskich tostów z cynamonem, mama nuciła *Ten czarowny wieczór*, promienie słońca torpedowały mój pokój, a zza ściany za moją głową dobiegało dudnienie zestawu stereo Greta. Tato z łomotem wyjmował coś z szafy pod schodami, a na gałęzi za moim oknem usiadły dwie sikorki. Zaczęła się sobota, a ja leżałam w moim wysłużonym, ciepłym łóżku, uśmiechając się, bo nie musiałam się martwić. Tobym ani żadnymi sekretami – pozostał mi tylko dom i same normalne rzeczy. Czułam, że to może być naprawdę niezły dzień.

Wieczorem miała się odbyć premiera *Południowego Pacyfiku*, na którą wszyscy mieliśmy bilety. Greta powiedziała, że powinniśmy posłać jej do szkoły kwiaty. Poinformowała nas, że zazwyczaj uczniowie wysyłali sobie nawzajem po goździku, a rodzice zamawiali róże albo nawet całe bukiety różnych kwiatów. Mama kiwnęła głową i kazała jej się nie martwić.

– Obiecujesz, że nie zapomnicie? – dopytywała się Greta.

– Kochanie, dostaniesz kwiaty. Musisz się zrelaksować. Przestań się wszystkim zamartwiać, bo do chwili premiery zaczniesz wyglądać jak wrak człowieka.

Mama położyła dłoń na ramieniu Greta i potarła je uspokajającym gestem.

Nie powiedziałam tego na głos, ale tak naprawdę Greta już teraz wyglądała jak wrak. Jej przesuszona skóra łuszczyła się, a włosy ze lśniących i gładkich zmieniły się w szorstkie i matowe. Nie chciało się jej już nawet dbać o paznokcie. Obgryzała wszystkie.

Mama pogłaskała Gretę po włosach.

– Będiesz świetna. Jestem tego pewna. Usiądź i zjedz śniadanie. Ty też, Junie.

Postawiła przed nami wielkie, parujące sterty francuskich tostów z syropem klonowym. Po starciu błatu w kuchni i zmyciu paru naczyń wyszła do miasta i po raz pierwszy od dnia, w którym Greta dokonała najazdu na moją szafę, zostałyśmy same. Greta zsunęła większość tostów na jedną stronę talerza, a potem pokroiła na kawałki ten, który jej pozostał. Nie odzywałyśmy się do siebie. Mogłam przesiedzieć całe śniadanie, nie odzywając się ani słowem, ale gdy spojrzałam na Gretę – na moją drobną, wymęczoną siostrę krojącą tost na najmniejsze z możliwych kawałeczków – uświadomiłam sobie, jak ważny jest dla niej ten dzień.

– I co... denerwujesz się? – spytałam.

Początkowo myślałam, że Greta mnie zignoruje, ale chwilę później zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę wcale mi się nie chce tego robić – wyznała, nie patrząc na mnie. – Żałuję, że wzięłam udział w przesłuchaniach. Szkoda, że nie jestem statystką. A jeszcze lepiej nikim. Fajnie byłoby być nikim.

Przez otwarte okno w kuchni dobiegało echo uderzeń piłki do koszykówki o podjazd domu sąsiadów, gdzie Kenny Gordano ćwiczył dryblowanie.

– Będiesz świetna.

Greta przycisnęła tost tylną stroną widelca.

– A może ja wcale nie chcę być świetna? Może chcę być przeciętna. We wszystkim. Może chcę być taka jak ty.

– Zaufaj mi, wcale tego nie chcesz.

– Nie, June, to ty mi zaufaj. Wiesz, co oznacza bycie świetną? To, że tracisz rok życia. Przepada ci cały rok. A ja chcę go odzyskać. Chcę znowu być w drugiej klasie. Mam dopiero szesnaście lat. A teraz... teraz mam wyjechać z domu na dobre? I to ma być fair? Wiesz co, wcześniej uwielbiałam *Południowy Pacyfik*. To był mój mały świat, w którym mogłam przyjemnie spędzać czas i śpiewać. Zero presji. A potem, zanim się spostrzegłam, zamienił się w życiową szansę. Dlaczego zawsze mi się to przydarza? Całe życie słuchałam mamy. Możliwości życiowe. Szanse. Wcale nie chcę być niewdzięczna. Nie chcę niczego przegapić, ale czasami, gdy leżę w łóżku i rozglądam się po pokoju, nie mogę uwierzyć, że już nie wolno mi być dzieckiem. Takiej możliwości nikt mi nie daje. Nie dostanę drugiej szansy.

Głos Greta zaczął drżeć, jakby miała się zaraz rozpląkać. Włożyła dłoń do kieszeni dzinsów i wyjęła z niej małą buteleczkę wódki. Nawet się z tym nie kryjąc, zdjęła nakrętkę i wlała połowę zawartości do swojego soku pomarańczowego. Wypiła pół szklanki, a potem pochyliła się ku mnie i powiedziała:

– Nie pojedę grać w *Annie*, June. Bez względu na wszystko, nigdzie nie pojedę.

– Pomogę ci. Wymyślimy coś. Powiesz mamie, że zmieniłaś zdanie.

Greta dokończyła sok i parsknęła śmiechem.

– Tak, jasne... A, nieważne. To co, przyjdiesz? – spytała. – Wieczorem?

– Pewnie, że przyjdę. Przecież mam bilet.

– Nie na sztukę. Później. Na imprezę dla obsady.

Osołomiło mnie połączenie wszystkiego, co mi wyznała, widoku wódki oraz rzeczowego tonu, jakim zaprosiła mnie na przyjęcie. Wpatrywałam się w nią bez słowa.

– Chyba żartujesz.

– Nie. Nie żartuję. Zapraszam cię.

– Podglądasz mnie w lesie, włazisz mi do szafy, niszczysz rzeczy, których nic mi nie zastąpi, a potem spodziewasz się, że pójde z tobą na imprezę? Przykro mi, że jesteś ofiarą cudzych ambicji, ale...

– Ale Ben... Wiesz, może...

– Ben poszedł gdzieś z Tiną Yarwood. Sama tak mówiłaś. Pamiętasz?

– A, tak – powiedziała i nagle pogrążyła się w smutku.

– Nie należę ani do obsady, ani do ekipy technicznej, i... – Sama sobie przerwałam, bo dlaczego właściwie miałabym się przed nią tłumaczyć?

Przez kilka sekund Greta nic nie powiedziała. Delikatnie odłożyła widelec na krawędź talerza.

– Ciągłe się z nim widzisz? – spytała.

– Z kim?

– Wiesz z kim.

– Dlaczego miałabym ci cokolwiek mówić? Zachowujesz się... zachowujesz się, jakbyśmy były najlepszymi przyjaciółkami. Zapraszasz mnie na imprezy, wsadzasz nos w nie swoje sprawy. Mam tego dość. Koniec.

Przekręciłam krzesło tak, żeby nie patrzeć na Gretę. Na górze tato śpiewał donośnym

głosem piosenkę *Młodsza niż noc*.

- Dwa słowa, June. Ryan. White. Teraz rozumiesz?
- Wszystko mi jedno, Greto.
- Przemyśl to.

Obróciłam się, żeby na nią spojrzeć.

- O co chodzi z Ryanem White'em?

Wiedziałam tylko tyle, że Ryan White to chłopak ze Środkowego Zachodu, który zaraził się AIDS podczas transfuzji krwi.

– Ktoś ostrzelał mu dom. Ludzie zaczęli anulować prenumeratę gazet, bo nie chcieli, żeby to on im je dowoził. June, bali się, że zarażą się AIDS przez papier.

– No i co? Ja się nie boję. Toby został sam jak palec, rozumiesz? A mnie – w przeciwieństwie do innych osób – nie jest to obojętne. Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka. Skoro tak bardzo nie cierpisz mnie i Toby'ego, to dlaczego na nas nie doniosłaś, gdy miałaś okazję?

Prawie krzyczałam na Gretę, a jednocześnie było mi jej żal. Siedząca przede mną osoba przestała być moją starszą siostrą. Kto popija wódkę do śniadania?

Greta się nie odezwała. Wysiorbała resztkę soku pomarańczowego, po czym umieściła szklankę na talerzu i zaczęła się podnosić. Przez kilka sekund stała w miejscu, a potem znowu usiadła. Do oczu napłynęły jej łzy i ujęła moje dłonie obiema rękami. Przesunęła opuszką palca wskazującego po każdym z moich paznokci, a następnie postukała nią o swoje i uśmiechnęła się.

- Podoba mi się ten złoty kolor – szepnęła.

Początkowo nie zrozumiałam, o co jej chodzi, ale gdy chwilę później dotarł do mnie sens jej słów, poczułam się dziwnie, bo Greta wspominała przy kuchennym stole o potencjalnym punkcie zapalnym, czyli o tym, co zrobiliśmy z portretem. Odpowiedziałam jej lekkim uśmiechem, a potem dodałam szeptem:

- Cieszę się.

Poczułam, że mur dzielący świat tajemnic i rzeczywistość zaczyna się walić. Dziewczynki z portretu stawały się nami, a my nimi, i do oczu napłynęły mi łzy. Mocno skinęłam głową.

- Naprawdę bardzo się cieszę.

Siedziałyśmy w ciszy. Kenny ciągle walił piłką o ziemię i miałam ochotę wyjść przed dom, wyrwać mu ją, a następnie przerzucić ponad cedrowym żywopłotem rodziny Gordano.

- Nie powinnam była grzebać ci w szafie.
- Po co wysypałaś te wszystkie rzeczy? Mogłaś przecież...
- Wiem.

Spojrzałam na talerz Grety. Wciąż leżały na nim nietknięte tosty.

- Powinnaś coś zjeść.

Wzruszyła ramionami.

– To co, przyjdiesz wieczorem? Na przyjęcie dla obsady? Wtedy pogadamy, okej? Tylko ty mi zostaś...

Spojrzałyśmy sobie w oczy. Miałam wrażenie, że nie dotarło do niej ani jedno moje słowo.

– Czemu nie możemy teraz pogadać?

Greta pokręciła głową.

– W tym samym miejscu – powiedziała.

Wpatrywała się we mnie tak długo, aż zyskała pewność, że obie myślimy o lesie.

– Obiecaj, June.

– Nie.

– Obiecaj – powtórzyła, tym razem ściskając moją dłoń do bólu, tak mocno, jakby była to jedyna rzecz, która chroniła ją przed upadkiem. – Obiecujesz?

Puściła mnie dopiero, gdy nieznacznie kiwnęłam głową.

– Dobra, obiecuję – szepnęłam.

Greta wstała i ruszyła do drzwi. Gdy do nich dotarła, obróciła się jeszcze. Nie patrząc na mnie, powiedziała:

– Toby został sam jak palec, June? Jak myślisz, kto mi pozostał? Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, wyszła.

Tato wkroczył do kuchni z torbą golfową przewieszoną przez ramię. Było około wpół do jedenastej, a od śniadania minęła jakaś godzina. Zmywałam właśnie naczynia, bo obiecałam mamie, że się tym zajmę. Tato wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu i oparł torbę o lodówkę.

– Udało się, June, robaczku. W tym roku nie dam plamy.

– Co? – spytałam.

– Za dwa tygodnie jest Dzień Matki. Idziemy na szampana do Gasho. Zrobiłem rezerwację.

– Dobra robota, tato – pochwaliłam go.

Całkiem zapomniałam o Dniu Matki, chociaż zazwyczaj byłam dobra w pamiętaniu o tego typu okazjach. Kiedyś, żeby go uczcić, chodziłyśmy z Gretą zbierać kwiaty za domem, a potem smażyłyśmy jajecznicę.

– Mama wiele przeszła w tym roku. Postarajmy się, żeby ten dzień sprawił jej przyjemność, dobrze?

– Tak, dobry pomysł.

Może faktycznie tak było. Może jeśli postarałabym się dostrzec w mamie to, co kiedyś w niej widziałam – pracowitość, mądrość i życzliwość – udałoby mi się zapomnieć o rzeczach, o których się dowiedziałam.

– Greta! – zawołał tato. – Idziemy!

Pan Nebowitz chciał, aby wszyscy członkowie obsady i ekipy technicznej pojawili się w szkole do południa, więc tato zaoferował, że podrzuci ją na miejsce w drodze na pole golfowe. Parę minut później Greta zeszła na dół, niosąc torbę z rzeczami potrzebnymi jej do przedstawienia.

– Do zobaczenia później – powiedziała do mnie, gdy wychodzili. Zostałam sama w domu i mimo że do Dnia Matki były jeszcze dwa tygodnie, poszłam do swojego pokoju i zaczęłam przygotowywać laurkę dla mamy. Tak jak dawniej. Przy użyciu kolorowego brystolu, mazaków, kredek i brokatu. W tamtym momencie trudno mi było uwierzyć w istnienie drugiej, całkiem innej mnie – dziewczyny, która raczyła się Hawajskimi Pucharkami, paliła papierosy i zajmowała osobami, które jeszcze do niedawna były jej całkiem obce.

Jakieś pół godziny później do drzwi mojego pokoju zapukała mama.

- Kochanie?
- Tak?
- Wyjdź na chwilę.

Schowałam rzeczy, z których korzystałam podczas robienia laurki, pod książkami, a potem wystawiłam głowę za drzwi.

- Tak?
- Pojedziesz ze mną do miasta?
- Po co?
- Musimy zajrzeć do banku. Weź ze sobą swój kluczyk do skrytki. Panikę musiałam mieć wypisaną na twarzy, bo mama powiedziała z uśmiechem:

– Nie bój się, nie będziemy sprzedawać obrazu. Człowiek z muzeum Whitney przyjeżdża go obejrzyć w czwartek wieczorem, a w tygodniu nie będę miała czasu, żeby go tu przywieźć.

- Jestem trochę zajęta.
- June.
- Pracuję nad czymś. Do szkoły.
- Weź kluczyk i ubieraj się, dobrze?

Zaczęłam zamykać drzwi, ale chwilę później ponownie wystawiłam przez nie głowę.

– Sama mogę go przywieźć. W poniedziałek – zawołałam za mamą. Nie wiedziałam, jak miałabym załatwić tę sprawę w poniedziałek, ale przynajmniej zostałyby mi trochę czasu na zebranie myśli.

– Daj już spokój, June. Nie masz się czym martwić. Czekam na ciebie na dole za piętnaście minut, koniec, kropka.

Ubierałam się najwolniej, jak umiałam, starając się obmyślić jakiś plan. Przyszło mi do głowy, że Greta na pewno wiedziałaby, co robić. Albo i nie. Może nawet ona nie potrafiłaby wydobyć nas z tej sytuacji.

Mama przeglądała w kuchni znajdujące się w jej torebce dokumenty.

– Samochód jest otwarty. Wzięłaś kluczyk, prawda? Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś zostawiła go w domu.

Skinęłam głową.

- Pokaż.
- Mamo...
- Przykro mi, June, ale sama sprawiasz, że trudno mi jest ci dziś zaufać.
- Może ja też nie mogę ci ufać – odparłam.
- June, nie mam pojęcia, co w ciebie wstąpiło, ale chcę natychmiast zobaczyć ten klucz.

Włożyłam rękę do kieszeni i wyjęłam z niej kluczyk. Rozwahałam zostawienie go w pokoju, ale doszłam do wniosku, że to byłby głupi plan. Uniosłam go w dłoń, a potem schowałam do kieszeni pod czujnym okiem mamy.

- No dobrze – powiedziała. – Wychodzimy.
- Bank nie jest przypadkiem zamknięty w soboty?
- Oczywiście, że nie. Od ponad roku pracują w soboty do pierwszej. Wsiadaj do samochodu, bo się spóźnimy.

Mama zjechała z podjazdu, osłaniając oczy dłonią. Dzień był ciepły – do tej pory prawdopodobnie najcieplejszy w roku – i w samochodzie panował zaduch. Cyfrowy zegar pośrodku deski rozdzielczej wskazywał godzinę 12:17.

Jeszcze nigdy tak szybko nie jechałam do miasta. Przez cały czas miałyśmy zielone światło, a na ulicach prawie nie było ruchu.

– Proszę, June. Możesz je dla mnie wysłać? – Mama zatrzymała samochód obok stojącej przed pocztą skrzynki na listy i podała mi plik kopert. – Wszystkie oprócz tej ciężkiej mają już przyklejone znaczki.

Wręczyła mi dolara i poleciła zważyć list na poczcie, a potem wrzucić wszystkie koperty do skrzynki.

Zerknęłam na zegar – była 12:29.

– Pospiesz się.

– Okej – powiedziałam i wyskoczyłam z furgonetki.

Rzuciłam się w kierunku wejścia do poczty, jakbym naprawdę się spieszyła, ale gdy tylko znalazłam się w środku, zwolniłam. Wślizgnęłam się za drzwi wejściowe i stałam tam, obserwując, a potem wyszłam na zewnątrz i poszłam do sąsiadującej z pocztą apteki.

Gdy ma się zegarek, czas przypomina wodę w basenie. Ma krawędzie i boki. Bez zegarka czas jest jak ocean. Rozlewający się i olbrzymi. Nie miałam zegarka, więc musiałam się domyślać, jak długo tkwię obok stoiska ze środkami do udrażniania górnych dróg oddechowych. Po upływie jakichś dziesięciu minut zakradłam się na pocztę i ustawiłam na końcu kolejki. Fakt, że kazałam mamie czekać i coraz bardziej się denerwować, nie napawał mnie radością, ale nie miałam wyboru. Gdybym tylko była w stanie przeciągać sprawę, aż minie pierwsza...

Kiedy w końcu wróciłam do samochodu, mamy w nim nie było. Drzwi zostały otwarte, więc wsiadłam i czekałam. Zegar pokazywał godzinę 12:42. Było wcześniej, niż miałam nadzieję, i zaczęłam rozważać powrót na pocztę, wtedy jednak zobaczyłam zmierzającą w kierunku auta mamę. Promienie słońca zalewały przednią szybę, musiałam więc zmrużyć oczy, żeby jej się przyjrzeć. Sztynnym krokiem przechodziła przez ulicę na ukos z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Wsiadła do samochodu bez słowa.

Zatrzymałyśmy się za bankiem. Zegar wskazywał 12:49.

Kiedyś wydawało mi się, że gdybym choć raz miała okazję podróżować w czasie, przeniosłabym się do średniowiecza. Potem myślałam, że cofnęłabym się raczej do dnia, w którym Finn poznał Toby'ego, żeby mogła uratować mu życie. Teraz jednak zdecydowałabym się wrócić do godziny 12:49 w sobotę dwudziestego piątego kwietnia 1987 roku. Cofnęłabym się w czasie dokładnie do chwili, gdy stałyśmy z mamą na parkingu należącym do banku. Następnie zaczęłabym uciekać, zemdlałabym albo wyciągnęłabym kluczyk z kieszeni i cisnęła go w krzaki. Zrobiłabym wszystko, co konieczne, żeby powstrzymać nas przed wizytą w banku. Podróżowanie w czasie nie jest jednak możliwe, nie miałam więc pojęcia, co przyniesie dalsza część dnia, i zamiast rzucić się do ucieczki ruszyłam w milczeniu w kierunku drzwi banku, a potem weszłam do środka.

* * *

Pan Zimmer poprowadził nas schodami na dół.

– Jak sobie radzi Dennis? – spytała mama.

– Nie mogę narzekać – odparł pan Zimmer. – Ostatnio fascynuje go muzyka.

– June, mogłabyś zaprosić kiedyś do nas Dennisa, co?

– Pewnie tak – powiedziałam, tylko dlatego że jego ojciec stał tuż obok mnie.

Pan Zimmer otworzył drzwi oznaczone cyfrą dwa i postawił kasetkę na podłodze.

– No dobrze – powiedział, patrząc na zegarek. – Zamykamy za... no cóż, szczerze mówiąc, już powinniśmy zamykać, więc...

– No to pewnie będziemy musiały zostawić go tu do przyszłego tygodnia – stwierdziłam odrobinę zbyt radosnym głosem.

Mama posłała mi surowe spojrzenie.

– Musimy wziąć obraz ze sobą, Dave, więc odpuścimy sobie oglądanie.

Mama ruszyła do drzwi ze skrytką.

– Obawiam się, że kasetka musi u nas zostać. Trzeba będzie wyjąć obraz.

– Aha – powiedziała mama, a potem spojrzała na pana Zimmera tym samym pełnym smutku wzrokiem, który stosował Finn. Użył mocy tego spojrzenia, gdy namawiał mnie, żebym dała mu się namalować. Gdy mama do kompletu dołożyła jeszcze łagodny półuśmiech, pan Zimmer od razu zmienił zdanie.

– A, co tam – rzucił. – Znamy się od lat.

– Dzięki, Dave. Rzecz w tym – mama ściszyła głos – że obraz jest dosyć cenny.

– Naturalnie – przytaknął pan Zimmer. – Odwieźcie go, gdy tylko będzie to możliwe.

Pojechałyśmy do domu z portretem na tylnym siedzeniu samochodu, a ja przez całą drogę nie mogłam przestać rozmyślać o cudach. Wyobrażałam sobie, że może obrazowi uda się wchłonąć wszystko, co do niego dodałyśmy. Wpatrywałam się w słońce tak długo, aż przed oczami zaczęły mi pływać czarne plamki, i zaklinałam ducha Finna, żeby wsunął swoje zwiewne ciało do wnętrza kasetki i zatarł wszelkie ślady naszych działań. Patrzyłam między drzewami na ogródki nieznanych mi osób. Wsuwałam wzrok pod samochody i unosiłam oczy na rozświetlone błękitne niebo w poszukiwaniu rozwiązania wszystkich moich problemów, ale na próżno. Ukazywały mi się tylko cienie i blask. Albo cienie, albo blask, na zmianę, bez końca.

Gdy wróciłyśmy do domu, poszłam prosto do swojego pokoju. Zamknęłam drzwi, włączyłam *Requiem* na cały regulator i czekałam na to, co miało się wydarzyć. Od dnia, w którym mama zdradziła mi w pociągu, że to ona zapoznała Finna z *Requiem*, dziwnie mi się go słuchało. Zupełnie jakby utwór stał się rodzajem rozmowy pomiędzy Finnem a mamą, w której Finn próbuje powiedzieć, że ciągle pamięta wszystko, co ich kiedyś łączyło. Od tamtego momentu ciężko mi się go słuchało. Nie podobało mi się, że jestem w taki sposób wykorzystywana, ale nie mogłam się powstrzymać. Od dłuższego czasu miałam ochotę go posłuchać i tego popołudnia w końcu dałam za wygraną. Wyjęłam laurkę, którą szykowałam dla mamy. Wcześniej zdążyłam narysować kontury motyli, pokolorować je i delikatnie oprószyć brokatem właściwe miejsca na ich skrzydełkach. Otworzyłam piórnik z kredkami, wybrałam trzy różne odcienie błękitu i zaczęłam wściekle kolorować niebo. Rysowałam z tak dużą siłą, że o mało co nie przebiłam

brystolu na wylot. Przez chwilę udawało mi się wierzyć, że co prawda podróże w czasie są niemożliwe, ale robienie dziecinnych rzeczy jest w stanie spowolnić upływ czasu – zatrzymać go w miejscu, dopóki wszystko nie wróci do normy.

Gdzieś w oddali rozległ się grzmot. Usnęłam, a gdy się przebudziłam, przywitał mnie jego dźwięk. Sam dom jednak pogrążony był w ciszy. Budzik wskazywał szesnastą trzydzieści. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam, że niebo pociemniało, a na podjeździe stoją oba samochody. Musiałam to sprawdzić, bo ze snem w ciągu dnia nigdy nie wiadomo. Człowiek się budzi i nie do końca wie, gdzie się znajduje.

Ostrożnie przeszłam przez pokój, a potem wyszłam za drzwi i podkradłam się na szczyt schodów. Stałam tam przez chwilę w nadziei, że usłyszę coś, co powie mi, czy rodzice widzieli już portret. Czy zbudziliby mnie, gdyby tak się stało? Wyciągnęli mnie z łóżka?

Zaczęłam na paluszkach schodzić ze schodów. Nie dobiegał mnie dźwięk telewizora ani radia, ani kosiarki, ani malaksera. Nie słyszałam nawet przewracania stron. Po zejściu na dół zastygłam w bezruchu, wstrzymałam oddech i próbowałam wyczuć, gdzie znajdują się rodzice i kasetka z banku. Na próżno.

Wsunęłam głowę do kuchni, która okazała się pusta, a potem do salonu.

Oto i on. Portret. Wyjęty z kasetki i oparty o kominek. Po rodzicach ciągle ani śladu, co wydało mi się dziwne. Byłam sam na sam z portretem. Żadnej magicznej sile nie udało się usunąć efektów działań moich oraz Grety. Nasze włosy lśniły złotym blaskiem, sprawiając, że przypominałyśmy bohaterki jakiejś baśni. Dziewczynki, które wiedziały absolutnie wszystko. Wargi Grety były jeszcze czerwiejsze i bardziej wydęte, niż pamiętałam. Namalowana na jej dłoni czaszka stała się lepiej widoczna, a jej paznokcie przypominały pazury jakiegoś baśniowego kota. Nawet kolory guzików, które wcześniej z trudem można było dostrzec, nabrały głębi. W porównaniu z tym, co namalował Finn, były oślepiająco jaskrawe. Naszym niezdamnym pociągnięciom pędzla prawie że udało się uczynić Finna niewidzialnym.

Na schodach rozległy się kroki. Miękkie, stłumione przez kapcie. Kroki mamy. Usiadłam na kanapie twarzą do portretu i czekałam. Słyszałam, jak wchodzi do kuchni i uchyla drzwi lodówki. Potem otworzyła szafkę i dobiegł mnie dźwięk szklanki stawianej na blacie. Nalewała do niej napój. Znowu przetoczył się grzmot – niski, odległy. Szuranie kapci mamy zbliżyło się do salonu i w końcu dostrzegłam w drzwiach jej cień. Miała na sobie biały frotowy szlafrok.

– Tak, wiem – odezwałam się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Mama podeszła do kredensu i postawiła na nim szklankę, nie zwracając sobie głowy szukaniem podstawki.

– Nie jestem pewna, czy wiesz, June. Przestaję być pewna, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z podstawowych różnic między tym, co złe, a tym, co dobre.

Zacisnęła pasek, którym przewiązany był szlafrok, i wolnym krokiem podeszła do portretu. Śledziła wzrokiem iluminowane pasemka naszych włosów, a potem przez chwilę zatrzymała wzrok na Grecie.

– Pomijając fakt, że z powodu twojego dziecinnego wybryku obraz straci na wartości jakieś pół miliona dolarów, tatę i mnie najbardziej martwi to, jak wiele wysiłku

włożyłaś w oszpecenie wizerunku swojej siostry.

– Skąd wiesz, że to tylko moja sprawka? Dlaczego zawsze ja mam być winna?

W odpowiedzi mama fuknęła i potrząsnęła głową.

– Nie spodziewasz się chyba, że uwierzę, iż przy całym nawale pracy nad przedstawieniem Greta miałyby jeszcze czas na wypadki do banku mające na celu bezczeszczenie cennego dzieła sztuki? Na tym właśnie polega różnica między tobą a twoją siostrą. Ona ma ciekawsze rzeczy do roboty. Angażuje się w działalność różnych kółek, klubów. Ma znajomych. A ty? Wylegujesz się tylko w tym swoim pokoju...

– Myślałam, że Finnowi mogłoby się spodobać.

Cała złość spłynęła jej z twarzy. Zmarszczyła brwi i wyglądała na wystraszoną. Jakby zbierało się jej na płacz.

– Co się z tobą dzieje, Junie?

– Nic – odparłam.

– Wujek namalował ten portret dla ciebie i twojej siostry. To jego ostatni obraz. Czytałaś artykuły w „Timesie” i „Newsweeku”? Dociera do ciebie, kim był Finn? Wydaje ci się, że czternastoletnia dziewczynka jest w stanie upiększyć jego prace?

Drzwi do kuchni otwały się, a potem zamknęły z trzaskiem. Do salonu wszedł tato ubrany w porwane spodnie od dresu i czapkę do pracy w ogrodzie. Ubrudzone ziemią ręce trzymał z dala od ciała. Spojrzał najpierw na mnie, a potem na mamę i uniósł dłonie.

– Umyję się tylko i zaraz wracam.

– Widzisz? Popatrz na tatę. Pracuje na więcej niż pełny etat, gra w golfa i jeszcze ma czas na zajmowanie się ogrodem. Tak samo Greta. Albo ja. Wszyscy mamy co robić. Od tej pory cały twój czas wolny zostanie zagospodarowany. Codziennie będziesz chodzić na zajęcia dodatkowe, a ja będę sprawdzać, czy się na nich pojawiaasz. Niepotrzebnie zostawiliśmy cię samopas. Masz za dużo wolnego czasu, który wypełniasz bzdurami. Teraz to widzę.

Mogłam jej wiele powiedzieć na temat angażowania się w różne rzeczy. Wypełniania życia durnowatymi kółkami zainteresowań, sportem i przedstawieniami, podczas których ludzie nagle zaczynają śpiewać bez żadnego uzasadnienia. Nie zrobiłam tego jednak. Jak można się było spodziewać, nie odezwałam się ani słowem.

Mama kontynuowała:

– A poza tym masz szlaban. Dopóki twoje zachowanie się nie poprawi, masz zakaz udziału w czymkolwiek z wyjątkiem nadzorowanych przez dorosłych, zorganizowanych zajęć.

Przez głowę przemknęły mi konsekwencje tej decyzji. Najpierw Toby. A po kilku sekundach Greta.

– Obiecałam Grecie, że przyjdę na przyjęcie dla obsady.

– Dziś wieczorem nie pojawisz się na żadnym przyjęciu. Jasne? – Mama wyrzuciła ręce w powietrze. – Zachowujesz się, jakby nie docierała do ciebie powaga tego, co zrobiłaś.

– Ale ja jej obiecałam...

Do pokoju wszedł tato przebrany w czyste ubrania.

– Poradzi sobie bez ciebie – oświadczył.

– Nie rozumiesz chyba, że sama sobie wyrządziłaś największą krzywdę. Człowiek z muzeum mówił, że jeśli wszystko będzie w porządku, jest skłonny zapłacić nam dziesięć tysięcy dolarów za możliwość pokazania obrazu na wystawie. Wiesz, na co zamierzaliśmy przeznaczyć te pieniądze?

Pokręciłam głową.

– Wpadliśmy na pomysł zorganizowania wycieczki. Całą rodziną. Do Europy, Anglii, może Irlandii. Wiemy, że ten rok był dla ciebie niełatwy, więc pomyśleliśmy sobie: „June na pewno będzie zachwycona możliwością zwiedzania jakichś zamków”. Tak że sama widzisz. Masz wiele do przemyślenia.

Nie byłam w stanie spojrzeć im w oczy. Wpatrywałam się w jasnoniebieski dywanik, zatrzymując wzrok na spłaszczonych lub puchatych pasmach przędzy.

– Przez ciebie najemy się tylko wstydu. Facet pomyśli, że jesteśmy jakimiś czubkami. Tato położył mi dłoń na ramieniu.

– Słuchaj, June, jeśli to jest z twojej strony wołanie o pomoc, chcę, żebyś wiedziała, że cię słyszymy. Okej? Jasno i wyraźnie.

Siedziałam i słuchałam długiej listy zarzutów wobec siebie, a także kilku powtórných wzmianek o kwocie pół miliona dolarów, która – jak na coś, co nie było w tym wszystkim najważniejsze – wydawała się jednak dosyć istotna.

Po jakimś czasie tato uniósł dłonie i powiedział:

– Dobra, wystarczy. Idź się szykować na górę.

Postanowili, że mimo wszystko powinnam pojechać na przedstawienie. Uznali, że nie byłoby fair wobec Grety, gdyby nie kibicowała jej z widowni cała rodzina.

Zamknęłam drzwi i usiadłam na krawędzi rozbebeszonego łóżka. Próbowalam podsłuchać kłócących się na dole rodziców, ale nie byłam w stanie zrozumieć ich słów. W dalszym ciągu dobiegały mnie jednak pomrukiwania grzmotów rozlegających się gdzieś w odległych zakątkach pozbawionego słońca sobotniego nieba.

Jak co roku, bilety na premierę przedstawienia zostały wyprzedane. Tym razem pan Nebowitz wyraźnie poinformował członków obsady, że z Nowego Jorku przyjedzie ich oglądać kilkoro jego znajomych aktorów. Nie chciał powiedzieć, kto to dokładnie będzie, ale twierdził, że owe osoby cieszą się pewną sławą, więc każdy, kto wypatrzy je w miasteczku lub w trakcie przedstawienia, proszony jest o pozostawienie ich w spokoju. Być może mieli to być ci sami ludzie, którzy przyjeżdżali przyjrzeć się Grecie i zdecydować, czy jest wystarczająco dobra, żeby zrobić karierę na Broadwayu.

W drodze do szkoły siedziałam na tylnym siedzeniu samochodu i nikt z nas się nie odzywał. Po dotarciu na miejsce zauważyłam, że ktoś obkleił oświetlające trawnik lampy kolorowym celofanem, dzięki czemu dawały one czerwone, pomarańczowe i żółte światło. Gdy wchodziliśmy do budynku, mama posłała mi ostrzegawcze spojrzenie, ale chwilę później zachowywała się już zwyczajnie, gawędziła z innymi matkami i opowiadała, jak bardzo jest dumna z Grety.

Próbowałam się wymknąć, bo przyszło mi do głowy, że gdyby udało mi się znaleźć Gretę, mogłabym powiedzieć jej o portrecie i o tym, że nie pojawię się na imprezie, żeby przypadkiem po raz kolejny nie zagrzebała się w liściach. Zrozumiałaby, że musi sama się sobą zająć, bo nikt nie pójdzie szukać jej w lesie.

Staliśmy z tatą pod ścianą nieopodal miejsca, w którym członkowie komitetu rodzicielskiego sprzedawali jaskrawoczerwony poncz oraz domowej roboty ciastka i babeczki. Obróciłam się, żeby odejść, ale tato przytrzymał mnie za ramię.

– Nie ma mowy. Zostałem wyraźnie poinstruowany przez mamę. Zostajesz ze mną.

– Co niby mogłabym nabroić?

– Nie mam pojęcia, ale to jest wieczór Grety i nie zamierzamy ryzykować – oświadczył, a potem obdarzył mnie najbardziej rozczarowanym spojrzeniem, jakie mi kiedykolwiek posłał, i powiedział: – Zawiodłaś nasze zaufanie, June.

– Wiem – odparłam.

Patrzyłam to w jeden, to w drugi koniec korytarza w nadziei, że dojrzę kogoś, kto mógłby przekazać wiadomość, ale otaczali nas jedynie rodzice i małe dzieci, które były bezużyteczne. Światła zamrugały kilkakrotnie i wszyscy udaliśmy się do audytorium. Greta poradzi sobie sama. Prawdopodobnie. Będzie musiała.

W fosie zasiadała prawdziwa orkiestra, która zaczęła grać uverturę, gdy tylko przygasły światła. Była to najnudniejsza część całego przedstawienia. Uwertury w ogóle są nudne i pewnie nikt nawet nie wie, po co właściwie się je pisze. Siedziałam uwieczona między rodzicami i rozglądałam się, żeby sprawdzić, czy naprawdę byli tu jacyś znani aktorzy. Zauważyłam mężczyznę, który wyglądał jak Danny DeVito, ale potem uświadomiłam sobie, że to tylko ojciec Kelly Hanrahan.

Przedstawienie widziałam już tyle razy, że znałam je na wyrywki. Największą frajdę sprawiało mi więc wypatrywanie pomyłek. Jedyna, jaką udało mi się dostrzec, miała miejsce, gdy grający Luthera Billisa Gary Jasper zaczął lekko chichotać podczas wypowiedzania którejś ze swoich kwestii. Nie zaskoczyło mnie to specjalnie, bo Gary

Jasper był nie tylko klasowym, ale i szkolnym błaznem, dzięki czemu zresztą dostał tę rolę.

Gdy na scenie pojawiła się Greta, tato ścisnął mi dłoń, jakbym w przeciwnym razie mogła ją przegapić. Wyglądała fantastycznie. Przebrana i całkiem odmieniona. Rodzice się uśmiechali. Wyglądali na strasznie z niej dumnych i nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zachowywali się tak w związku z czymś, co ja zrobiłam. Greta musiała paradować po scenie, podczas gdy grupa marynarzy pod przewodnictwem Gary'ego Jaspiera śpiewała piosenkę *Krwawa Mary*, w której porównywali jej skórę do rękawicy bejsbolowej i stwierdzali, że kochają ją, mimo że nie używa pasty do zębów. Tekst piosenki nie jest zbyt przyjemny, a w dodatku szkoła zmusiła pana Nebowitza do wycięcia z refrenu słowa „cholerna”, więc musieli śpiewać w nim „cóż to za straszna szkoda”, co nie brzmiało nawet w połowie tak dobrze jak oryginał.

Zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak, dopiero gdy Greta zaczęła śpiewać *Bali Ha'i*. Piosenka ma marzycielską atmosferę. Krwawa Mary próbuje za jej pomocą sprawić, aby porucznik Cable wyobraził sobie piękno tytułowej wyspy, więc początkowo myślałam, że Greta kiwa się na boki, bo wymaga tego rola. Obserwowałam ją, słuchając, jak śpiewa o wyspie, na której nikomu nie doskwiera samotność. Piosenka zaczyna się opisem miejsca, ale pod koniec staje się jasne, że Krwawa Mary śpiewa o sobie samej. Ona jest tą wyspą. Dryfuje na środku oceanu, czekając, aż ktoś ją odnajdzie.

Wyglądało to tak, jakby Greta zadumała się nad śpiewanymi przez siebie słowami. Zwolniła, orkiestra wypadła z rytmu, poszczególne instrumenty robiły, co mogły, żeby dotrzymać jej kroku, a mi przyszło do głowy – nie wiem, czy to prawda, ale tak właśnie pomyślałam – że Greta wypatruje mnie na widowni. Przez kilka chwil miałam wrażenie, że kieruje śpiewane słowa tylko i wyłącznie do mnie.

Zorientowałam się, że jest pijana. Na scenie, na oczach publiczności.

Zerknęłam na rodziców, ale najwyraźniej niczego nie zauważyli. Podobnie jak cała reszta widowni. Krwawa Mary była dziwaczną postacią, więc ludzie zakładali pewnie, że Greta po prostu gra ją w ten sposób. Zachowując się jak stara pijaczka.

Po przerwie patrzyłam, jak Greta wykonuje utwór *Opowieść o szczęściu*, pstrykając palcami, jakby jej dłonie odbywały ze sobą niezobowiązującą pogawędkę, i ogarniała mnie coraz większa wściekłość. Miałam wrażenie, jakby moje ciało z każdą chwilą spinała coraz mocniej niewidzialna klamra. Gdy opuściłam wzrok, zobaczyłam, że dłonie mam zaciśnięte w pięści. Grecie wydawało się, że może robić, co jej się żywnie podoba – upije się w trupa, a ja mam ją potem targać do domu. Myślała, że po tym wszystkim, co zrobiła, po zniszczeniu rzeczy, które dostałam od Finna, i niekończącym się ośmieszaniu mnie, nadal może na mnie polegać. Tak jednak nie było. Tym razem się o tym przekona. Ja jej nie będę ratować, koniec, kropka.

Gdy wychodziliśmy, w kuluarach dostrzegłam Bena ubranego w czarny strój członka ekipy technicznej. Kupował kubek hawajskiego ponczu ze stoiska z przekąskami prowadzonego przez komitet rodzicielski.

– Hej – powiedziałam, mijając go.

– O, cześć, June. – Uśmiechnął się. – Wybierasz się do Reedsów?

– Gdzie?

– No wiesz, na imprezę dla obsady. Przyjdiesz, co?

Rodzice rozmawiali za moimi plecami z Farleyami, ale tato był już najwyraźniej gotowy do wyjścia, bo postukał mnie w ramię i ruchem głowy wskazał drzwi. Przytaknęłam mu, a potem obróciłam się do Bena i spytałam szeptem:

– Czyli imprezy nie będzie w lesie?

– Reedsowie od zawsze urządzają przyjęcie dla aktorów. Widziałaś ich dom?

Pokręciłam głową.

– Jest niesamowicie nowoczesny i ma wielkie okna. Wiesz, jeden z tych przy Woodland Court.

Ben wskazał palcem w kierunku szkolnego okna, którego solidnymi szybami telepał wiatr.

– Zobacz zresztą, jaka jest pogoda. Kto by chciał się szlajać po lesie?

– Tak, racja...

– To co, przyjdiesz?

Pokręciłam głową.

– Nie mogę. – Przewróciłam oczami, po czym skierowałam wzrok ku rodzicom.

– Aha, rozumiem. – Uśmiech Bena stał się jeszcze szerszy. – W takim razie mogę pożyczyć twoje botki?

Już miałam mu oznajmić, że nie ma mowy, ale zrozumiałam, że tylko żartował.

– Ha, ha – odparłam z uśmiechem.

Kiedy wychodziłam ze szkoły eskortowana z obu stron przez rodziców, nie byłam w stanie przestać myśleć o Grecie. Czyżby naprawdę miała zamiar wybrać się samotnie do lasu? I czekać tam na mnie? A może wcale nie o to chodziło. Może to kolejny podstęp. Może chciała mnie tylko podpuścić i zmusić do samotnego przemierzania lasu po nocy. Nie, nie sądziłam, żeby była do tego zdolna. Nie po wszystkim, co powiedziałyśmy sobie rano. Spojrzałam najpierw na szkołę, potem na rodziców, po czym błyskawicznie obróciłam się i zaczęłam biec.

– Zaraz wracam! – zawołałam przez ramię.

Chwiejnym krokiem popędziłam po schodach, wbiegłam przez drzwi i dopadłam Bena, którego plasnęłam dłonią w plecy. Część jaskrawoczerwonego ponczu przelała się nad krawędzią jego kubka i chlusnęła na podłogę.

– Hej – powiedział.

– Przepraszam. Posłuchaj, musisz przekazać Grecie, że nie będę mogła przyjść na imprezę, okej? Proszę. To ważne.

– Ej, spokojnie – powiedział, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Przekazałbym jej to, ale Greta wyszła, gdy tylko opadła kurtyna. Nawet nie zdjęła z siebie kostiumu. Przeszła przez przebieralnię, a potem weszła do lasu.

Z mojego ciała zeszło powietrze.

– Aha – powiedziałam.

– Jeśli ją gdzieś zobaczę... – zaczął mówić Ben.

Obróciłam się w kierunku wyjścia i zobaczyłam rodziców, którzy wpatrywali się we mnie z dolnej części kamiennych schodów prowadzących do szkoły. Oboje mieli surowe miny, ale ja byłam w stanie myśleć tylko i wyłącznie o Grecie. Nie powinnam się nią przejmować – nie była moim problemem. Nie potrafiłam jednak wyrzucić z głowy obrazu pięknej twarzy Greta wyzierającej z ziemi. Oczekującej. Oczekującej na

siostrę, która miała przyjść i ją odnaleźć.

Wieczór mijał, a ja siedziałam w swoim pokoju, słuchałam pomruku grzmotów i wbrew sobie samej zamartwiałam się o Gretę. A jeśli leżała nieprzytomna pod warstwą liści? A jeśli upiła się do tego stopnia, że nie będzie w stanie się obudzić? Widywałam takie rzeczy w wiadomościach. A jeśli zażyła coś jeszcze? Narkotyki albo coś innego, czego nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić? A co, jeśli piorun ześlizgnie się po rosnącym w lesie klonie, a potem wniknie w ziemię tuż przy czaszce Grety? W głowie miałam gonitwę myśli. Mówiła, że znajdzie sposób, aby nie grać w Annie. Co mogła mieć na myśli? Może zamierzała coś sobie zrobić? Nie chciałam się nią przejmować, ale jak zwykle robiłam coś dokładnie odwrotnego. Greta była połączona z moim sercem. Niewidoczne kable wiły się, supłały i przechodziły przez sam jego środek.

Pierwsza błyskawica wprawiła mnie w panikę. Pomyślałam o deszczu, który miał spaść lada chwila. Ulewnym, takim, w którym jest się przemoczonym do suchej nitki. Otaczająca Gretę ziemia przemieni się w błoto. Jeśli deszcz będzie silny i w krótkim czasie spadnie go dużo, strumień może wylać. Wyobraziłam sobie, jak Greta znika porwana przez rwącą wodę. No i wilki. A jeśli się pojawiają? A jeśli istnieją naprawdę, a do tego są wygłodniałe? Przypomniał mi się wyraz jej twarzy, gdy rozmawialiśmy o niewidzialnych syrenach – jej mina była miną dziecka. Nawet gdyby wilki okazały się zwykłymi kojotami, i tak byłyby w stanie rozszarpać Gretę na kawałki.

W telewizji leciały nadawane o jedenastej wieczorem wiadomości, a potem program *Saturday Night Live*, który rodzice oglądali, bo wydawało się im, że w dalszym ciągu jest zabawny. Co kilka minut tato wołał coś do mnie i czekał, aż mu odpowiem. Rodzice bali się, że mogłabym się wymknąć. Może tak właśnie bym zrobiła, gdyby nie to, że jestem strasznym tchórzem.

Wyszłam na korytarz, minęłam zamknięte drzwi do pokoju Grety oraz łazienkę i weszłam do sypialni rodziców. Ich łóżko zawsze było starannie zasłane i okryte mocno naciągniętą narzutą, więc usiadłam na puszystym beżowym dywaniku leżącym obok stolika nocnego po stronie taty. Zdjęłam słuchawkę telefonu z widełek i wolno, niespiesznie wykręciłam numer Finna. Gdy Toby nie zgłosił się po dwóch, trzech dzwonekach, przyszło mi do głowy, że może nie być go w domu albo nie ma ochoty rozmawiać. Nie odsuwając słuchawki od ucha, postanowiłam, że odczekam sześć sygnałów, a potem się rozłączę. Toby odebrał telefon po piątym.

– Toby? – spytałam.

– June? Jest późno. Wszystko w porządku?

Z początku nic nie powiedziałam. Po tym, co stało się ostatnim razem, rozmowa z nim sprawiała, że czułam się niezręcznie. Z jego punktu widzenia nic się nie zmieniło, ale dla mnie zmieniło się wszystko. Stałam się transparentna, obnażona. Byłam dziewczyną z przezroczystym sercem, najgłupszą osobą na świecie. Poczułam ukłucie złości.

– Pamiętasz, że mieliśmy się wspierać nawzajem, jeśli będziemy czegoś potrzebować?

– Oczywiście. Oczywiście, że pamiętam. O co chodzi? Nic ci nie jest, June?

– Mnie nie, chodzi o Gretę.

– Gretę? Co się stało?

– Boję się. Nie wiem. Dostałam szlaban. Nie mogę przyprowadzić jej do domu, a... – Mój głos stawał się coraz bardziej piskliwy, a słowa zaczynały wpadać na siebie nawzajem.

– June? – zawołał tato z salonu.

– Nic się nie dzieje – odkrzyknęłam, starając się, by zabrzmiało to spokojnie i wesoło.

– Śpiewam sobie tylko. Wszystko w porządku.

– Ciii. Powoli – powiedział Toby.

– Okej. – Wypuściłam powietrze z płuc. – Okej.

Opowiedziałam mu o imprezach, Grecie i o tym, w jakim stanie odnalazłam ją już dwa razy.

– Czekala tam na mnie. Dziś w nocy też tam będzie. Jestem pewna. Mówiła, że chce porozmawiać. Nie miała pojęcia, że dostanę zakaz wychodzenia z domu. Błyska się i grzmi. Greta już w trakcie przedstawienia była pijana. Kompletnie nawalona. Sama widziałam. To nie wszystko, ale teraz nie ma czasu na omawianie reszty.

– Dlaczego dostałaś szlaban? Chyba nie przeze mnie, co?

– Nie, nie. Później, okej? Na razie mówimy o Grecie.

– Dobrze już, dobrze. Gdzie ona dokładnie jest?

– Pamiętasz, gdzie zaparkowałaś, jak przyjechałaś po mnie do szkoły? W dniu, w którym wybraliśmy się do Playlandu? Pamiętasz miejsce, w którym parking skręca za szkołę?

Toby pamiętał, więc opisałam mu dokładnie, gdzie należy wejść do lasu, jak daleko iść wzdłuż strumienia, oraz położenie klonu, pod którym miała leżeć Greta. Gdy skończyłam objaśnienia, poprosił, żebym powtórzyła wszystko jeszcze raz.

– Będziesz potrzebował latarki, okej?

Toby przez kilka sekund milczał.

– June? – odezwał się w końcu.

– No?

– Trochę się martwię. Greta prawdopodobnie się mnie przestraszy, co? Nie zna mnie, a twoja rodzina... no cóż, niezbyt za mną przepada. Wiesz przecież. Zastanawiam się więc...

– No, jeśli nie chcesz... Mówiłeś przecież, że mogę poprosić o cokolwiek, i najpierw oznajmię, że nie możemy polecieć do Anglii, a teraz...

Było mi przykro, że żeruję na jego poczuciu winy. Jednak żal mnie nie powstrzymał. Prawda wygląda tak, że zrobiłam, co mogłam, żeby wzbudzić w Tobym wyrzuty sumienia.

– W porządku. Zgoda – odparł.

– Jeśli się ocknie, powiedz, że ja cię przysłałam. Koniecznie dodaj, że rodzice widzieli portret – wtedy ci uwierzy. Powiedz, że dostałam szlaban z powodu obrazu i poprosiłam cię, żebyś ją odebrał. Może się w ogóle nie obudzić. W takim wypadku zostaw ją przed drzwiami do domu. Zaparkuj trochę dalej. Będę wyglądać przez tylne drzwi. Wniosę ją do środka i wszystko skończy się dobrze.

- Wybacz, ale nie jestem co do tego przekonany, June.
- Nie martw się, Toby. Nie bój się.
Nic nie powiedział, a chwilę później westchnął.
- No, dobrze. Niech będzie. Pojadę. Dla ciebie.
- Naprawdę? – Zdałam sobie sprawę ze swojego zaskoczenia. Może go tylko testowałam, spodziewając się, że nie zda egzaminu.
- Dla ciebie. Nie martw się. Nie chcę, żeby się zamartwiała. Niebawem dotrę na miejsce.

Odłożyłam słuchawkę i poczułam, jak po całym ciele przebiegają mi ciarki. Powinnam była powiedzieć rodzicom, pozwolić, żeby Greta miała przechlapane. Siedziałam na podłodze w ich sypialni, czekając, aż dotrze do mnie waga tego, co zrobiłam. Złapałam za słuchawkę i ponownie zaczęłam wykręcać numer. Palce mi się plątały, więc gdy w końcu udało mi się wybrać go poprawnie, było już po sprawie. Telefon dzwonił bez końca, bo Toby wyszedł. Nie mam pojęcia, co bym mu powiedziała, gdyby udało mi się go złapać. Błagałabym go, żeby nigdzie nie jechał? Nie wiem. Aż tak dobrze nie znam własnego serca. Wiedziałam tylko, że Toby nie rzuca słów na wiatr. Gdy go potrzebowałam, rzucił wszystko ot tak i ruszył na ratunek.

Wślizgnęłam się do salonu, gdzie rodzice zaśmiewali się, oglądając *Saturday Night Live*. Mama przebrała się w wygodne różowe spodnie od dresu i o wiele na nią za dużą bluzę. Siedzieli na kanapie, a ona opierała głowę o ramię taty. Usiadłam po turecku na rozkładanym fotelu z podnóżkiem.

Na ekranie Dennis Miller robił swoje, czyli jak zwykle parodiował program informacyjny. Rodzice śmiali się z jakiegoś głupawego żartu na temat Gary’ego Harta. Gdy zaczęły się reklamy, spojrzałam na nich oboje.

– Przepraszam – powiedziałam.

Mama zerknęła na tatę, a potem przez długą chwilę wpatrywała się we mnie z mocno zaciśniętymi wargami i surowym wyrazem twarzy. W końcu trochę się rozpogodziła i lekko kiwnęła głową, mówiąc:

– Miło to słyszeć, June.

– Naprawdę jest mi przykro.

Mama poklepała wolne miejsce obok siebie na kanapie, a ja ześlizgnęłam się z obitego winylem fotela i przycisnęłam do niej tak, jak nie robiłam tego już od lat. Poczułam się dobrze i bezpiecznie.

Reklamy dobiegły końca i na antenę wrócił *Saturday Night Live* ze skeczem, w którym Jon Lovitz korzysta z usług firmy kurierskiej o nazwie Einstein Express, doręczającej paczki, jeszcze zanim zostaną one nadane, korzystając z teorii Einsteina dotyczących kontinuum czasoprzestrzennego. Pomysł nie był zły, jednak jak większość rzeczy w tym programie, skecz okazał się niezbyt zabawny.

Ale mi było wszystko jedno. Dzień dobiegał już końca, a ramię mamy i kanapa okazały się niezwykle miękkie. Suzanne Vega zaczęła śpiewać piosenkę *Luka* opowiadającą o smutnym chłopcu mieszkającym na pierwszym piętrze, a mi było miękko, dobrze, idealnie.

Tego wieczoru minuty płynęły jedna za drugą w zwolnionym tempie. Ciało mamy

trzęsło się w rytm jej śmiechu – zupełnie tak jak kiedyś ciało Finna – a tato pochrapywał cicho. Po *Saturday Night Live* rodzice poszli spać, a ja udałam się do kuchni, żeby wypatrywać Toby’ego. Powtarzałam sobie, że wszystko będzie dobrze. Nie dopuszczałam innej możliwości. Podziękuję Toby’emu za przysługę i życie wróci do normy. Krople deszczu tłukły o szybę w kuchennym oknie, a ja patrzyłam na pogrążone w mroku podwórko za domem, przypominający szkielet cień huśtawki, krzewy różanecznika szarpane przez burzę. Stałam tam bardzo długo, wyężając wzrok w oczekiwaniu na pojawienie się cienia Toby’ego.

Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi frontowych.

Na progu stało dwóch policjantów. Wiedziałam, że jeden z nich ma na nazwisko Gellski. Już gdy byłam w zerówce, pojawiał się raz do roku w szkole i opowiadał nam o niebezpieczeństwach związanych z rozmową z nieznajomym, kontaktem z trzecią szyną na torach kolejowych czy nieprzestrzeganiem zasad bezpieczeństwa podczas jazdy na rowerze. Był starszy od moich rodziców. Drugi funkcjonariusz był młody.

Znajdująca się między nimi Greta sprawiała niepozorne wrażenie. Stała sztywno ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ciągle miała na sobie hawajską spódnicę z trawy – kostium Krwawej Mary – i była kompletnie przemoczona. Jej włosy oblepiało błoto i liście, a twarz pokrywały smugi rozmazanego makijażu. Za plecami całej trójki lało jak z cebra, a tato stał jak wryty, wpatrując się w nich z dłonią uczipioną krawędzi drzwi.

– Greta... Co do licha? – szepnął. – Nic jej nie jest?

– Możemy wejść? – spytał funkcjonariusz Gellski.

– Tak. Tak, oczywiście. Proszę.

Tato otworzył drzwi szerzej i cała trójka wkroczyła do holu. Młodszy policjant spojrział na swoje zabłocone buty, a potem na mamę.

– Proszę się tym nie przejmować – powiedziała, kręcąc głową. – Zapraszam do kuchni. Tędy.

Policjanci ruszyli przodem. Greta snuła się za nimi. Tato otoczył ją ramieniem i poprowadził do kuchni. Wysunął dla niej krzesło i usadził na nim. Obecność policjantów sprawiała, że kuchnia wydawała się maleńka. W kontraście z ich granatowymi mundurami i masywnymi pistoletami wszystko w naszym domu sprawiało kruche wrażenie.

– Siadajcie, panowie – powiedziała do nich mama.

– Dziękuję, postoiemy. – Funkcjonariusz Gellski zmusił się do uśmiechu.

Młodszy policjant wyciągnął w stronę mamy plastikową torbę.

– Płaszcz państwa córki – wyjaśnił. – Był przemoczony.

Mama wzięła od niego reklamówkę i przez chwilę trzymała ją z dala od ciała.

– June, wrzuć go, proszę, do wanny – powiedziała, nie patrząc na mnie.

Podeszłam do mamy i wzięłam od niej siatkę. Przechodząc obok Grety, trąciłam jej ramię, żeby na mnie spojrzała, ale nawet na chwilę nie uniosła wzroku.

– June, pospiesz się – powiedziała mama. – Zakapie nam całą podłogę.

Po wyjściu z kuchni słyszałam, jak rodzice gorączkowo przepytują policjantów na temat Grety. Nie mogłam przestać myśleć o Tobym. Co się z nim stało? Czy to znaczyło, że nie dotarł do Grety? Zgubił się w lesie? Przybył na miejsce za późno? Spędzi całą noc na jej poszukiwaniu, chcąc dotrzymać danej mi obietnicy? Wbiegłam na górę, zapaliłam światło w łazience i wrzuciłam płaszcz do wanny.

Z początku ledwo na niego zerknęłam, bo chciałam jak najszybciej wrócić na dół, ale gdy wyciągnęłam dłoń w kierunku włącznika światła, coś kazało mi się odwrócić. Greta

nosiła czarny płaszcz, a ten wcale nie był czarny. Wbiłam wzrok w leżący w wannie mokry tłumok, nie do końca rozumiejąc, na co właściwie patrzę. Płaszcz nie należał do Greta. Na dnie wanny spoczywał bezwładnie niczym martwe zwierzę wielki szary płaszcz Finna. Płaszcz Toby'ego. Ten, który miał na sobie w zoo.

Zbiegłam na dół, przeskakując po dwa schodki naraz.

– Panowie, powiedzcie nam, co się właściwie wydarzyło – prosiła właśnie mama.

Stałam w drzwiach i obserwowałam. Staralam się przyciągnąć wzrok Greta.

– No cóż, przede wszystkim Grecie nic nie jest – odezwał się funkcjonariusz Gellski.

– Gdzie ją panowie znaleźli? – spytała mama, nerwowo pocierając dłonie.

– W lesie za szkołą, pani Elbus. Dzieciaki niekiedy urządzają w nim imprezy. Zaglądamy tam od czasu do czasu. – Mężczyzna przesunął dłońmi po blacie kuchennym. – Wygląda na to, że Greta za dużo wypila. Państwa córka trochę zabalowała, ale to nas w tej chwili nie martwi.

Greta, spójrz na mnie. Spójrz na mnie. Bombardowałam Gretę myślami, ale nic to nie dawało.

– Nie? – spytał tato.

Młody policjant przekładał ciężar ciała to na jedną, to na drugą stopę. Musiał czuć się niezręcznie, nie mając nic konkretnego do roboty od momentu, gdy oddał nam płaszcz.

– Nie. Nie to nas w tej chwili martwi – potwierdził funkcjonariusz Gellski.

– W takim razie co?

– Był z nią jakiś mężczyzna, panie Elbus.

Miałam wrażenie, że mój żołądek zamienia się w kamień. Ciężki, chłodny i niemożliwy do udźwignięcia przez moje ciało. Greta, spójrz na mnie. Spójrz na mnie.

Głos taty przybrał zaniepokojony ton i stał się głośniejszy, wyższy.

– Mężczyzna? Jaki znowu mężczyzna?

Funkcjonariusz Gellski opisał dokładnie, co widzieli. Razem z młodszym policjantem siedzieli w radiowozie zaparkowanym na szkolnym parkingu. Ktoś mieszkający w okolicy zgłosił zakłócanie ciszy nocnej, co – jak na sobotni wieczór – nie było niczym niezwykłym. Różnica polegała na tym, że ów sąsiad słyszał również krzyk. Oprócz tradycyjnych hałasów związanych z imprezą dobiegł go wrzask jakiejś dziewczyny. Obaj policjanci siedzieli w radiowozie ze zgaszonymi światłami, wypatrując kogokolwiek, kto wychodziłby z lasu lub do niego wchodził – jakichkolwiek oznak, że ktoś tam baluje.

– Wysiedliśmy z samochodu, żeby wejść pomiędzy drzewa, ale wtedy zaczęło padać. I to mocno. Popatrzyliśmy na siebie nawzajem i jednocześnie doszliśmy do wniosku, że gra nie jest warta świeczki. Deszcz i tak by ich stamtąd przegonił.

W mojej głowie szalały myśli. Rozbiegały się na wszystkie strony.

– Mieliśmy już odjeżdżać: przekręciłem kluczyk w stacyjce, włączyłem światła. – Funkcjonariusz Gellski pokazywał na migi, jak uruchomił samochód. – Zaczęliśmy się cofać. Samochód ustawił się przodem do lasu, więc reflektory świeciły prosto między drzewa, wydobywając je z ciemności, i wtedy właśnie się nam ukazał.

– Nie rozumiem – powiedział tato.

Młodszy policjant zrobił krok do przodu.

– Wspomniany mężczyzna wychodził z lasu, trzymając na rękach państwa córkę, panie Elbus. – Aby dokonać demonstracji, funkcjonariusz wyciągnął ręce przed siebie, jakby niósł w nich drewno na opał.

– Szczerze mówiąc, z początku myśleliśmy, że niesie psa. Zdechłego psa. – Gellski uniósł dłoń. – Bez urazy.

– To przez ten wielki płaszcz – wyjaśnił młodszy policjant.

Byłam w stanie wyobrazić sobie wszystko, o czym opowiadał pan Gellski. Toby pędzi przez mokry, zimny las niczym patykowaty Ichabod Crane, tuląc do piersi opatuloną w płaszcz Gretę. Biegnie coraz szybciej, a jego dobre serce wali niczym młotem. Widziałam go wyraźnie, jak stara się sprostać oczekiwaniom moim oraz Finna, mruży oczy i chwiejnym krokiem wychodzi z lasu zszokowany wymierzonymi w niego reflektorami. Ścisła Gretę jeszcze mocniej, a oboje są kompletnie przemoczeni.

– Wsadziliśmy ich oboje do radiowozu, mężczyźni nałożyliśmy kajdanki. Z żadnego z nich nie byliśmy w stanie wydobyć ani słowa.

– Ten mężczyzna... – odezwała się mama, patrząc to na policjantów, to na Gretę. – Greto, co to za człowiek? O czym oni mówią? Przyjęcie dla obsady miało być przecież u Reedsów, prawda? Nie rozumiem...

Tato podsunął jej krzesło, a mama usiadła z wyrazem porażki na twarzy. Wsunęłam się głębiej do kuchni, wyjęłam szklankę z szafki i nalałam do niej wody.

Greta nic nie odpowiedziała, więc mama obróciła się do policjantów.

Podeszłam do Grety, uklękłam i podałam jej szklankę. Zajrzałam jej w twarz od dołu. Dorośli pogrążeni byli w rozmowie, a ja popatrzyłam jej prosto w oczy, zmuszając ją do tego samego. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, przez kilka sekund miałam wrażenie, że jesteśmy jedynymi obecnymi w kuchni osobami. Położyłam jej dłoń na ramieniu i z całych sił starałam się jej przekazać, że to wszystko przeze mnie, że to nie była wina Toby'ego. Moje oczy błagały ją, by go ocaliła. Przebaczyłabym jej każdą okropność, jakiej się wobec mnie kiedykolwiek dopuściła. Za tę jedną przysługę. Wpatrywałam się w nią w oczekiwaniu na jakiś znak. Jednak nic nie udało mi się wypatrzeć. To Greta potrafiła czytać w ludziach, nie ja. Po kilku sekundach pociągnęła długi łyk wody i odwróciła twarz.

– Mężczyzna nazywa się Tobias Aldshaw. Czy to coś państwu mówi?

Rodzice spojrzeli na siebie nawzajem takim wzrokiem, jakby im właśnie powiedziano, że za ich domem wylądowali Marsjanie.

– Toby? – odezwała się mama.

– Zna go pani? – spytał funkcjonariusz Gellski.

– No cóż...

– To nie wszystko – powiedział Gellski.

Nie wszystko? Czyżby Toby był pijany? Czyżby akurat coś popijał, gdy zmusiłam go do wyjazdu?

Gellski wsunął dłoń do kieszonki na piersi.

– Znaleźliśmy to w tylnej kieszeni jego spodni.

Położył na stole małą granatową książeczkę i wszyscy wbiliśmy w nią wzrok. Zachłysnęłam się powietrzem i przyłożyłam dłoń do ust. Mój paszport. Wyraz dezorientacji na twarzach moich rodziców był w tym momencie tak głęboki, że

przyszło mi do głowy, iż może już nigdy nie zniknąć. Mama wzięła paszport do ręki i otworzyła go na stronie ze zdjęciem. Patrzyła na nie przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na mnie. Stałam bez ruchu, ale odwróciła głowę.

– June? To paszport June. To wszystko naprawdę zaczyna mnie przerażać – powiedziała mama, obracając się do taty. – Nic nie rozumiem...

Dotarło do mnie, w jak strasznej pułapce znalazł się Toby. Jeśli nikt nic nie powie, wyjdzie na to, że działał sam – uznają go za wariata, który ukradł mi paszport i uprowadził Gretę – i zostanie aresztowany. A może i gorzej. Pójdzie do więzienia? Odeślą go do Anglii? Ale jeśli wszystko im opowiem – jeśli dowiedzą się, że Toby spotykał się sam na sam z czternastoletnią dziewczynką – co się wtedy stanie? Z nim i ze mną?

– Greta – powiedziałam, a mój szept skrył się pod donośnymi głosami dorosłych.

Wolno obróciła głowę i spojrzała na mnie przez ramię. W jakiś wynędzniały sposób wyglądała na starszą niż szesnaście lat, a do tego tak bardzo zmęczoną, że nie wiem, jakim cudem była w stanie siedzieć prosto.

Proszę – powiedziałam bezgłośnie.

Od ścian kuchni odbijały się słowa takie jak „porwanie”, „AIDS” i „nielegalny imigrant”, ale ja skupiałam się na Grecie. Odwróciła wzrok i siedziała nieruchomo, nie mówiąc ani słowa. Nie zamierzała mi pomóc. Chciała pozwolić mi pograżyć się w chaosie i patrzeć, jak Toby dostaje to, na co według niej zasłużył.

– Mamo – powiedziałam. Nie usłyszała, więc powtórzyłam głośniejsze. – Mamo.

– June, wszystko będzie dobrze, kochanie. Nie martw się.

Pokręciłam głową.

– Nie. Chodzi o to, że...

Wtedy Greta wstała. Rozciągnęła ręce i sięgnęła do kieszeni ukrytej pod hawajską spódnicą po frotkę. Związała nią włosy w schludny koczek. Następnie zrobiła głęboki wdech i tak wolno, jak tylko była w stanie, wypuściła powietrze z płuc. Przesunęła wzrokiem po całej kuchni, spojrzała każdej z obecnych w niej osób prosto w oczy, a potem mocnym, wyraźnym głosem dorównującym temu, którym posługiwała się na scenie, oświadczyła:

– To moja wina.

W kuchni zapadła cisza.

Słysząc było tylko tykanie złotego zegara.

Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że musiałam schować je do kieszeni.

Gdy Greta zaczęła mówić, mogłam jedynie patrzeć na swoją siostrę w zdumieniu. Całą historię wymyśliła ot tak. Powiedziała, że zna Toby’ego, bo natknęła się kiedyś na niego podczas wizyty w Nowym Jorku ze znajomymi. Przechodziła obok budynku, w którym mieszkał Finn, a Toby akurat wychodził na ulicę. Zawołał do niej, gdyż pamiętał ją z portretu i zdjęć, które wisiały w mieszkaniu. Wyjaśnił, kim jest, a Greta przypomniała sobie, że widziała go na pogrzebie.

– To był ten facet, którego nam pokazałeś, pamiętasz, tato?

Opisywała wszystko z niewiarygodną liczbą szczegółów. Razem ze znajomymi zamówili drinki w Gray’s Papaya. Greta wzięła pina coladę – bezalkoholową, dodała, zerkając na rodziców – a pozostała dwójka to samo tylko z dodatkiem mango, i gdy

wyrzucała pusty kubek, dostrzegła Toby'ego. Powiedziała, że z początku nie miała zamiaru do niego podchodzić, ale w końcu zdecydowała, że tylko się przywita. No i zaczęli gadać.

– Wiem, że to było głupie z mojej strony – przyznała – ale on był taki smutny i zaczął opowiadać, jak bardzo tęskni za Finnem. Jaki jest samotny. To było dziwaczne i nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć, więc w końcu zaprosiłam go na przyjęcie. Zasugerowałam, że może poczuje się lepiej, gdy wyjdzie z domu, i że dziś wieczorem organizowana jest impreza.

Greta zmarszczyła brwi z bezradnym wyrazem twarzy.

– Nie wiedziałam, co mu powiedzieć...

Nikt się nie odezwał, więc kontynuowała.

– Nie spodziewałam się, że przyjdzie. Tak tylko wypaliłam z tym zaproszeniem, bo spodziewałam się, że ma ciekawsze rzeczy do roboty...

– Powinien, prawda? – wtrąciła mama przez zaciśnięte zęby.

– Daj jej skończyć, Danni – powiedział tato.

– Ale wszystko skończyło się dobrze, prawda? Upiłam się. Przeholowałam. Gdyby nie Toby, do tej pory leżałabym nieprzytomna w lesie w ulewnym deszczu.

– Ale przyjęcie miało być u Reedsów, tak?

– Oficjalna część tak, ale...

Podczas swojego monologu Greta ani razu na mnie nie spojrzała. Przypominało to występ teatralny. Niczym aktorka doskonała robiła pauzy wystarczająco długie, aby podkreślić znaczenie swoich słów. W idealnym momencie zmieniała wyraz twarzy. Wiedziała, na kogo spojrzeć, gdy mówiła coś wyjątkowo trudnego do przełknięcia.

– Greto, to wcale niczego nie wyjaśnia – stwierdziła mama. – Dorosły mężczyzna chory na AIDS idzie na organizowaną przez licealistów imprezę w lesie? Nie. To nie jest normalne. Ani to, że taszczy później moją córkę przez parking. Ani to, że ma przy sobie paszport June. No właśnie, jeszcze ta kwestia. Skąd, do licha, wziął się paszport June w jego kieszeni?

– Paszporty trzymamy w zamkniętej kasetce w sypialni – poinformował tato funkcjonariusza Gellskiego. – To nie ma sensu.

Strasznie chciałam mieć mózg dorównujący lotnością umysłowi Grety. Dałabym wszystko, żeby móc zasugerować jakieś eleganckie wyjaśnienie obecności mojego paszportu w tylnej kieszeni spodni mężczyzny o nazwisku Tobias Aldshaw. Niestety, moje myśli albo traciły na ostrości, albo sklejały się ze sobą nawzajem. Prawdopodobieństwo wyjścia z moich ust jakiejś rozsądnej historii było bliskie zera.

– Właśnie. To kompletnie niedorzeczne. Pod każdym względem – zgodziła się mama, a potem powtórzyła: – Skąd, do licha, wziął się paszport June w kieszeni tego człowieka?

Spojrzałam na Gretę. Nic nie mówiła, więc myślałam, że wzmianka o paszporcie zbiła ją z pantafelku. Obserwowałam ją i w końcu dostrzegłam, że nastąpiła jakaś zmiana. Dokładnie widziałam, w którym momencie zmieniła wyraz twarzy na minę winowajcy. Opuściła wzrok na podłogę, a potem go podniosła, spoglądała zza grzywki i starała się jak najbardziej upodobnić do małej dziewczynki. A potem bez mrugnienia okiem opowiedziała historyjkę o podrabianiu dowodów osobistych w celu zakupu

alkoholu.

– Jakiś czas temu zrobiłam sobie taki. To było złe, wiem, ale June też chciała. Myślałam, że przyjdzie na imprezę. Obiecałam, że spróbuję coś załatwić, no i...

Policjanci pokiwali głowami.

– Nie pierwszy raz się z tym spotykamy, pani Elbus – oznajmił młodszy funkcjonariusz. – Wiem, że trudno jest uwierzyć, że może chodzić o własne dziecko.

– Greto, chcesz powiedzieć, że Toby pomagał ci podrobić dokumenty?

– Nie, nie. – Greta potrząsnęła głową. – Paszport musiał mi wypaść z kieszeni. Toby pewnie go podniósł.

Rodzice wyglądali na zszokowanych. Ciężko było stwierdzić, czy wierzą w opowieści Greta. Z drugiej strony jednak, jaki mieli wybór? Uznać, że umierający mężczyzna próbował uprowadzić i Gretę, i mnie? Byliby skłonni w to uwierzyć? Naprawdę wydawało im się, że Finn byłby z kimś do tego stopnia szalonym?

– Gdzie on teraz jest? – spytał tato. – Myślę, że powinniśmy zamienić z nim słowo.

Funkcjonariusz Gellski nie od razu odpowiedział, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Siedzi w radiowozie.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w kierunku okna salonu, które wychodziło na podjazd. Toby był właśnie tam. Tuż przed naszym domem.

Tato zrobił krok w stronę drzwi, ale funkcjonariusz Gellski wyciągnął ku niemu dłoń.

– Panie Elbus, to nie jest chyba właściwy moment. Zawieziemy go na posterunek. Najpierw z nim pogadamy, a za dzień lub dwa...

– Muszę iść do łazienki – powiedziałam.

– To idź. Tylko szybko – powiedziała mama. – Ciebie to też dotyczy, June.

Po wyjściu z kuchni miałam ochotę pobiec prosto do Toby'ego i przeproszać go, dopóki nie nabrałabym pewności, że mi wierzy. Tak długo, aż zrozumiałaby, że słowa te pochodzą z najgłębszych zakamarków mojego serca. Nie mogłam jednak tego zrobić. Nie wolno mi było tracić głowy.

Cichaczem zakradłam się do piwnicy. Znalazłam duże pudełko z białego kartonu, na którego boku napisałam grubym czarnym markerem: „NICZEGO IM NIE MÓW!!!!!!”.

Podjazd był widoczny nie tylko z salonu, ale i z mojego pokoju. Weszłam na palcach po schodach, zdjęłam z parapetu sztuczne świece, a potem otworzyłam szeroko okno.

Dostrzegłam Toby'ego na tylnym siedzeniu radiowozu. Ramiona miał obnażone, włosy ciągle mokre i nawet z tej odległości było widać, że dygocze z zimna. Pragnęłam zejść do holu, wziąć jeden z płaszczy taty i opatulić nim Toby'ego. Chciałam ściągnąć z łóżka koce, pobiec do samochodu i okryć Toby'ego tak szczelnie, że od razu przestałby się telepać. Ale nie mogłam i była to moja wina. Znajdował się na wyciągnięcie ręki, a ja nie mogłam się nim zająć. Kilka razy pstryknęłam włącznikiem światła, żeby przyciągnąć jego uwagę, a potem przycisnęłam pudełko do okna. Trzymałam je w górze przez kilka sekund, chowając za nim twarz, po czym je opuściłam.

Toby lekko skinął głową – jego wychudzoną twarz okalały ramy okna radiowozu. Następnie odwrócił wzrok, zakłopotany lub wściekły, że wpędziłam go w tarapaty.

Funkcjonariusz Gellski oświadczył, że w świetle tego, co powiedziała Greta, Toby'emu

nie da się postawić żadnych zarzutów. Poinformował nas także, że zajmie się nim urząd imigracyjny. Wyglądało na to, że przekroczył przyznane mu prawo pobytu o jakieś kilka lat.

Rodzice podziękowali policjantom za przywiezienie Greta i odprowadzili ich do drzwi. Patrzyli, jak funkcjonariusze schodzą ze schodków i idą do radiowozu.

– Prawie jest mi go żal – powiedział tato, wpatrując się w samochód.

– Rozumiem, ale nie możemy sobie pozwolić na słabość – oświadczyła mama. – Osoby takie jak on przyciągają kłopoty jak magnes. Przypomnij sobie, co zrobił Finnowi...

Głos mamy zaczął się łamać.

– Wszystko będzie dobrze. – Tato położył jej dłoń na plecach i razem powlekli się na górę takim krokiem, jakby stoczyli właśnie jakąś doniosłą bitwę.

Greta już wcześniej poszła do swojego pokoju, zostałam więc na dole sama. Przeszłam przez wszystkie pomieszczenia, gasząc po drodze światła.

Zatrzymałam się w salonie, żeby popatrzeć na portret. Oto i my. Te same dziewczęta, tyle że iluminowane. Pomyślałam, że rzeczy, które dodałyśmy, wcale nie wyglądają tak źle. Tkwi w nich jakieś piękno. Może niewielkie, ale zawsze.

Zgasiałam światło i pogrążyłyśmy się w ciemności.

Umyłam zęby w łazience na piętrze, a potem usiadłam na krawędzi wanny i spojrzałam na płaszcz. Spoczywał w niej niczym martwy wilk, wyprany z wszystkich urzekających Finnowych zapachów. Dotknęłam go, z początku ostrożnie, ale po chwili głaskałam go już otwartą dłonią.

– Wybacz – szeptałam, coraz mocniej przesuwając dłonią po płaszczu.

Mimo że było już ciemno i dawno wybiła północ, sobota nie chciała się skończyć. Nie dawała mi zasnąć i kazała ciągnąć się prosto w objęcia niedzieli. Leżąc na łóżku, raz za razem przebiegałam w myślach przez wszystko, co zrobiła dla mnie Greta. Dla mnie i Toby'ego. Przypominał mi się Toby i tarapaty, w które go wciągnęłam. Zastanawiałam się, czy trzymają go zziębniętego i przemoczonego w tej maleńkiej celi na posterunku w miasteczku, do której na wycieczce w czwartej klasie kazali wcisnąć się całej naszej gromadce.

– Żadne z was nie chciałoby tu chyba wrócić, co, dzieciaki? – spytał policjant.

Wszyscy z wyjątkiem Evana Hardy'ego kiwnęli głowami. Evan oparł dłonie o swoje dziecięce biodra i oznajmił:

– Ja bym chciał.

Pamiętam, że martwiłam się o niego. Bałam się, że jeśli nie przestanie gadać w ten sposób, naprawdę zamkną go w celi. A teraz tkwił w niej Toby i jedyne, czego pragnęłam, to pobiec ulicami miasteczka prosto do aresztu, żeby zanieść mu suche ubrania i powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro.

Próbowałam odegnąć od siebie złe myśli. Zaczęłam odliczać od tysiąca do zera. Wsluchiwałam się w pochrapywanie taty i starałam się oddychać w podobnym rytmie. Rozsunęłam zasłonę i położyłam się na plecach. Burza dobiegła końca i poburzone chmury przemykały przed tarczą księżyca, na chwilę ją zakrywając, a moment później pozwalając, by rozbłysła na nowo. Nagle usłyszałam płacz.

Przycisnęłam ucho do ściany przy łóżku. Szlochanie trwało przez jakiś czas, potem ustało, a chwilę później znów się zaczęło. Greta nie spała.

Wszystkie światła w jej pokoju były pogaszone z wyjątkiem niebieskiej lampki nocnej w kształcie serca znajdującej się pod biurkiem. Gdy lekko popchnęłam drzwi, Greta momentalnie wsunęła się głębiej pod kołdrę i obróciła w drugą stronę.

– Mogę wejść?

Wzruszyła ramionami, a ja cichutko położyłam się na łóżku i oparłam plecami o jej plecy. Leżałyśmy w milczeniu, a nasze ciała były sztywne i pełne napięcia.

– Dziękuję, że to wszystko powiedziałaś – odezwałam się w końcu.

Poczułam, że Greta ociera oczy kocem.

– Nie powinnam była do niego dzwonić... Wiem, że go nienawidzisz... – Usłyszałam, jak głos mi się łamie.

Greta zaczęła się śmiać, ale nie był to radosny śmiech. Wyrażał raczej smutek

i frustrację.

– Ty dalej niczego nie rozumiesz, co?

Poczułam, że kręci głową, więc się obróciłam. Greta usiadła na łóżku i wsunęła rękę pod materac, skąd wyciągnęła butelkę jakiegoś alkoholu.

– Przynieś jakiś napój z lodówki, dobrze?

– Jaki?

– Wszystko jedno, tylko nie hałasuj.

Wymknęłam się z pokoju i po chwili wróciłam z połową butelki napoju o smaku waniliowym oraz szklanką, do której Greta wlała trochę alkoholu, a potem rozcieńczyła go napojem.

– Proszę – powiedziała, podając mi szklankę.

Upiłam łyk. Drink był słodki jak ulepek, a jednocześnie czuć w nim było żar alkoholu. Oddałam szklankę, a Greta opróżniła ją jednym haustem. Wsunęliśmy się pod kołdrę.

– Czego nie rozumiem? – Spuściłam wzrok w nadziei, że Greta odpowie, jeśli nie będę się na nią gapić.

– Tego, jaką jesteś szczęściarą – szepnęła, a potem odwróciła się do mnie plecami.

– Tak, jasne.

– Wiesz, jakie to uczucie, gdy ma się nadzieję, że ktoś umrze?

– Ja...

– Nie zastanawiałas się nigdy, w jaki sposób dowiedziałam się, że Finn jest chory, na długo przed tobą? Mimo że był twoim chrzestnym?

Pomyślałam nad jej słowami.

– Nie. Przecież zawsze dowiadujesz się o wszystkim przede mną. Tak po prostu jest.

Greta przycisnęła się do mnie, jej drobne ciało kontra moje cielsko.

– Pamiętasz, jak Finn zabrał nas kiedyś na mrożoną gorącą czekoladę do Szczęśliwego Trafu? Przypomina ci się to miejsce?

Kiwnęłam głową. Szczęśliwy Traf to taka staromodna lodziarnia na Upper East Side. Wewnątrz panował półmrok, wszystko było z drewna, no i pamiętam te olbrzymie pucharki wypełnione mrożoną gorącą czekoladą z ogromną ilością bitej śmietany. Wypiłyśmy z Gretą jeden na spójkę, używając dwóch osobnych słomek.

– Finn jeszcze wtedy nie zaczął malować portretu. Byłam w twoim wieku, może trochę młodsza. Mogłam mieć jakieś trzynaście lat. Po wizycie w Szczęśliwym Trafie poszłyśmy z mamą do Finna. Byłam w łazience i nie domknęłam drzwi, a mama weszła do środka i zobaczyła, że używam balsamu do ust należącego do Finna. Do tej pory pamiętam wyraz jej twarzy. Mam go przed oczami, jakbym patrzyła na zdjęcie. Była przerażona. Zamarłam z balsamem w dłoni. Stałam zakłopotana i pełna wyrzutów sumienia i wtedy mama wytrąciła mi go z ręki. Mocno. Tak mocno, że aż mnie zabolęło. Wcisnęła się do ciasnej łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Nie rozumiałam, co się dzieje. Wiedziałam, że nie powinnam używać rzeczy Finna, ale on zawsze kupował balsam do ust o zapachu kokosa i ananasa. Wiesz który? On tak pięknie pachniał.

Wiedziałam który. Dokładnie wiedziałam, o jakim zapachu mowa.

Z każdym słowem Greta coraz bardziej zwijała się w kłębek, aż w końcu jej zgięty kręgosłup zaczął mocno wbijać mi się w plecy.

– Nie wiedziałam, co się dzieje. Nie miałam pojęcia. Mama zaczęła na mnie krzyczeć, a jednocześnie starała się nie podnosić głosu. Nagle zaczęła płakać i przycisnęła mnie do siebie. Spytała, czy już kiedyś używałam balsamu Finna, więc powiedziałam, że nie. Wyglądała, jakby kamień spadł jej z serca, i znowu zaczęła mnie przytulać. Wtedy właśnie powiedziała mi o chorobie Finna. O AIDS. Kazała mi obiecać, że nigdy więcej nie będę korzystać z jego rzeczy. Kazała mi się nie martwić, skoro zdarzyło mi się to tylko raz. Bez końca powtarzała, że wszystko będzie dobrze. Nic się nie stało, mówiła, jednocześnie energicznie wycierając mi usta papierem toaletowym. Obiecałam, że więcej tego nie zrobię. Pamiętasz, jak popękane były wargi Finna, June? Jak zimą krwawiły?

Skinęłam głową. Nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć.

– Ale wiesz co?

Greta obróciła się całym ciałem tak, że teraz patrzyłyśmy prosto na siebie, a nasze twarze prawie się stykały. Pokręciłam głową.

– Wcale się nie bałam. Gdy mama zamknęła drzwi i wróciła do salonu, usiadłam na podłodze w łazience i czułam się szczęśliwa.

– O czym ty mówisz?

– Wydawało mi się, że skoro Finn umiera... to może między tobą a mną będzie znowu tak jak dawniej. Widzisz, jakie to podłe? Jaki ze mnie potwór?

Greta zakryła głowę kóldrą.

– Przecież mnie nie znosisz.

Greta prychnęła pogardliwie.

– Jesteś taką szczęściarą, June. Skąd masz taki fart? Spójrz na mnie. – Wyjrzała spod kóldry, mówiąc przez łyżę. – Przez te wszystkie lata obserwowałam ciebie i Finna. A potem ciebie i Toby'ego. Jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś wybrać Toby'ego, a nie mnie?

– Przecież Finn zawsze pytał, czy przyjedziesz. Wiesz, że tak było. Za każdym razem zachowywałaś się tak, jakby to była ostatnia rzecz, na jaką masz ochotę.

– Pewnie, że Finn zawsze pytał. Ale wiedziałam, że chcesz, żebym odmówiła. Nawet nie próbuj kłamać. Wiem, że tak było. To była pułapka. Gdybym z tobą pojechała, zaczęłabyś mnie nienawidzić. A skoro nie jechałam, no cóż – moja strata.

Była to prawda. Powinnam się była domyślić, że to dostrzeże.

Sięgnęłam po dłoń Grety, ale nie mogłam jej odnaleźć. Zamiast tego delikatnie dotknęłam jej ramienia.

– Nie wiedziałam.

– Nie pamiętasz już nawet, jak kiedyś między nami było? Myślałam, że jak znajdziesz mnie w lesie, może choć trochę się zmartwisz. Jak miałabym konkurować z Finnem? W czym mogłabym być lepsza od Toby'ego? Niedługo wyjeżdżam, June. Za parę miesięcy już mnie tu nie będzie, a wtedy... Nie wiem. A jeśli zaczniemy przypominać mamę i Finna? A jeśli po moim wyjeździe całkiem stracimy kontakt? Czuję się... jakby coś wyciągało mnie na pełne morze. Wiesz, o co mi chodzi? Gdy obserwowałam cię w lesie, bawiłaś się jak dziecko. Wiesz, jak prawdziwe dziecko. Tak jak my kiedyś. Tak bardzo miałam ochotę zawołać: „Ej, June, tu jestem. Spójrz na mnie, ja też chcę się bawić”.

Obróciła się na plecy, a ja zrobiłam to samo. Leżałyśmy, wpatrując się w sufit, pod

białą kołdrą Greta w tęcze i chmurki, którą dostała, gdy miała dziesięć lat. Chrapanie taty wdierało się w ciszę pokoju. Widoczny przez zasłony plasterek księżycyca oświetlał stojący na biurku zakurzony globus.

Przez kilka godzin rozmawialiśmy w ciemności. Opowiedziałam jej o wszystkim, co się tego dnia zdarzyło. O portrecie, o tym, jak rodzice myśleli, że to wszystko moja sprawka, i jak nie wyprowadziłam ich z błędu, żeby zachować się przyzwoicie. Szlachetnie. Greta wyjawiała mi, że starała się popsuć portret, ale nie umiała. Stwierdziła, że czaszka i pomalowane usta były na swój sposób piękne. Powiedziała też, że gdy czasami siedziała w bankowym skarbcu, miała nadzieję, że ją tam nakryję. Przyłapię na gorącym uczynku. Podobnie wyglądała historia z Krwawą Mary. Próbowała spartaczyć graną przez siebie rolę, ale im bardziej się starała, tym bardziej się wszystkim podobała.

– Wiem – potwierdziłam. – Obserwowałam cię na scenie i widziałam, że próbujesz wszystko zepsuć. Tylko ja zauważyłam, że coś jest nie tak.

– Wiedziałam, że tak będzie. O to mi właśnie chodziło. Byłyśmy sierotami. Byłam pewna, że zrozumiesz, co robię. Zapraszałam cię na próby, bo myślałam sobie... sama nie wiem co.

Głos uwiązał jej w gardle.

– Nie chcę, żebyśmy były dla siebie podłe.

– Nigdy tego nie chciałam – powiedziałam.

Zrozumiałam w końcu, że wina leżała przez cały czas po obu stronach. Nigdy nie chodziło tylko i wyłącznie o zachowanie Greta. Porzuciłam ją po latach najlepszej przyjaźni. Jak mogłam tego nie dostrzec? Jak mogłam być tak samolubna?

Greta zeszła z łóżka i nastawiła radio, by grało bardzo cichutko. Do anteny przyczepiony był wieszak na ubrania, dzięki czemu mogła łapać stację WLIR nadającą aż z Long Island. WLIR było uważane za fajne radio, bo puszczali w nim głównie zespoły z Anglii. Leciła właśnie piosenka *The Killing Moon* grupy Echo & The Bunnymen i słuchałyśmy jej, leżąc w łóżku.

– Opowiedz, co wydarzyło się w lesie – poprosiłam po chwili.

– Śpij już.

– Przepraszam, jeśli Toby cię wystraszył – szepnęłam. – Nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić.

Greta odsunęła się ode mnie, tak że nasze ciała już się nie stykały. Wyglądało na to, że nic nie odpowie, ale po jakimś czasie odchrząknęła i powiedziała:

– Myślę, że wystraszyłam go bardziej niż on mnie.

– Byłaś sama? – spytałam ostrożnie. Wiedziałam, że w każdej chwili Greta może wycofać się w głąb siebie.

– Najpierw myślałam, że to ty. Potem usłyszałam męski głos. Strasznie zachrypnięty. Powtarzał moje imię i mówił, żebym się nie lękała. Dokładnie tego słowa użył. Zaczęłam krzyczeć. A gdy chcę, potrafię się wydrzeć. Wniebogłosy. Wstał i zaczął mamrotać, że rodzice wiedzą o portrecie. Powiedział, że to ty go przysłałaś, że był przyjacielem Finna. I wtedy wszystko połączyło się w całość. Próbowałam się podnieść. Zsunęłam z siebie liście, ale otaczało nas błoto. Lał deszcz. Poślizgnęłam się. Nie chciałam od niego pomocy, nie miałam jednak wyboru. Z trudem unosiłam powieki.

Wtedy zdjął z siebie płaszcz – pamiętam to wyraźnie – położył go na ziemi, a mnie na nim. Powiedział, że mogę się zdrzemnąć i że wszystko będzie dobrze.

– On nie jest taki, jak ci się wydaje, Greto.

Opowiedziałam jej wszystko, co wiedziałam na temat mamy. Opisałam zazdrość, smutek i podłość, która była wynikiem zaborczej miłości.

Greta zaśmiała się do siebie: smutne, ciche parsknięcie przez nos.

Zamknęłam oczy, pozwalając, aby Depeche Mode, Yazoo i The Cure zatarli ślady wszystkiego, co zaszło. Nie chciałam pozwolić myślom sięgać dalej niż teraźniejszość, bo za każdym razem stawała mi przed oczami nieszczęsna twarz Toby'ego w oknie radiowozu, a na razie nie byłam w stanie stawić jej czoła.

Przez dłuższy czas leżałyśmy w milczeniu i jasne było, że żadna z nas nie może zasnąć. W końcu Greta trąciła mnie w plecy.

– Co?

– Słyszałaś, że WPLJ przestało puszczać tę durną piosenkę George'a Michaela *I Want Your Sex* z powodu AIDS?

Pokręciłam głową.

– Jakby słuchanie jej faktycznie mogło kogoś wprowadzić w romantyczny nastrój – skomentowałam.

Wybuchłyśmy śmiechem. Śmiałyśmy się tak mocno, że Greta spadła z łóżka, ale nawet na podłodze nie przestała rechotać. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak się wspólnie zaśmiewałyśmy, i wiedziałam, że moja siostra do mnie wraca. W jakiś sposób Toby wyszedł z lasu, niosąc w ramionach prawdziwą Gretę. Odzyskał dla mnie siostrę.

Słuchałyśmy muzyki, piłyśmy brandy z napojem o smaku waniliowym i gadałyśmy bez końca, przez co ta sobota nigdy się dla nas nie skończyła. Nie spałyśmy jeszcze, gdy na zewnątrz zaczęło świtać, a naszym oczom ukazał się różowy wschód słońca wznoszącego się nad świeżo przyciętym cedrowym żywopłotem rodziny Gordano.

Zadzwoiłam do Toby'ego o wpół do szóstej w niedzielę rano. Tylko Greta i ja byłyśmy na nogach. Telefon dzwonił i dzwonił, więc pomyślałam, że Toby pewnie śpi, i pozwoliłam, żeby dzwonił dalej. Po dwudziestu trzech dzwonek odłożyłam w końcu słuchawkę. Nie martwiło mnie to, bo domyślałam się, że Toby jest pewnie ciągle na komisariacie. Nie było przyjemnie go tam sobie wyobrażać, ale nie widziałam powodów do obaw. Po prostu nie dotarł jeszcze do domu.

Po wielu godzinach rozmowy wspomaganą brandy z napojem o smaku waniliowym Gretę i mnie dopadła w końcu senność. Poszłyśmy spać, każda w swoim pokoju, a wstałyśmy dopiero, gdy mama zbudziła nas na lunch.

Zapukała do drzwi, a potem wsunęła głowę do środka. Patrzyła na mnie innym wzrokiem niż kiedykolwiek wcześniej. Miałam wrażenie, że widzi nie mnie, tylko kogoś obcego.

– June – wypowiedziała moje imię rzeczowym, opanowanym i pełnym determinacji tonem. – Doszliśmy z tatą do wniosku, że powinniśmy się skupić na przyszłości.

W mojej głowie rozległ się głos Toby'ego – *Jakiej przyszłości?* – i nie jestem pewna, czy udało mi się ukryć uśmiech, który przemknął mi po twarzy.

– June? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Tak. Oczywiście, że słucham.

– Sezon podatkowy dobiega końca i gdy w tym tygodniu zakończy się wystawianie *Południowego Pacyfiku*, powinniśmy zacząć robić więcej rzeczy wspólnie, w gronie rodziny. Pospędzać razem trochę czasu, dopóki obie nie wróćcie do normalności. Zostawiliśmy was samym sobie. Zdajemy sobie z tego sprawę.

Miałam ochotę powiedzieć, że gdyby nie zmusiła Finna do utrzymywania faktu istnienia Toby'ego w tajemnicy, nic z tego, co się stało, nie wydarzyłoby się – ale nie mogłam. Wina leżała po mojej stronie. Nie było sensu obarczać nią jeszcze mamę. A poza tym doskonale rozumiałam, jak musi się czuć. Wiedziałam, jak niebezpieczne mogą być utracone nadzieje, jak potrafią przemieniać ludzi w osoby, którymi nigdy nie spodziewali się zostać.

Przez cały dzień czekałam, aż Greta zacznie mnie ignorować albo powie coś wrednego. Czekałam, aż zrobi coś, co potwierdziłoby, że słowa wypowiedziane przez nią ubiegłej nocy nie miały żadnego znaczenia. Tak się jednak nie stało. Wchodząc do kuchni, przywitała mnie uśmiechem. Autentycznym, pozbawionym złośliwości uśmiechem.

Po południu siedziałyśmy na kanapie, wpatrując się w portret.

– Nie mów nic mamie, ale mnie się podoba – szepnęła Greta.

Skinęłam głową.

– Mnie też.

W tamtej chwili nasze pokryte złotem włosy wyglądały idealnie i byłam pewna, że obie to dostrzegamy. Dzięki nim wydawałyśmy się nierozłączne – siostry nieróżniące

się od siebie absolutnie niczym.

Gdy wieczorem zadzwoniłam do Toby'ego, nie odebrał. Sytuacja powtórzyła się w poniedziałek rano. Przyszło mi do głowy, że może znenawidził mnie za to, do czego go zmusiłam. Miałam nadzieję, że nie, ale istniała taka możliwość.

Życie stopniowo zaczęło wracać do normalności, jaka nie cechowała go już od dawna. Przestałam wypuszczać się potajemnie do Nowego Jorku. Zniknęły Hawajskie Pucharki oraz sekretne pomieszczenia w piwnicy. Nie chodziłam już nawet do skarbcza w banku. Normalność była chyba z tego wszystkiego najgorsza. Straciłam Toby'ego – zaginął i tylko ja go szukałam. Zaginął, a wina leżała wyłącznie po mojej stronie.

W poniedziałek po lekcjach poszłam do biblioteki. Natknęłam się na Bena, który szukał książek potrzebnych do napisania wypracowania o Hiroszimie. Miał na sobie dżinsy i czarny T-shirt. Po pelerynie nie było śladu. Zauważył mnie, gdy szłam w kierunku automatu telefonicznego.

– Hej, Wilczyco! – zawołał.

Położyłam ręce na biodrach i obróciłam się, żeby na niego spojrzeć.

– Co?

– Widziałaś już?

– Co miałam widzieć?

– Dzisiejszy numer „Gazette”.

– Nie – odpowiedziałam ostrożnie. Czyżby pojawił się artykuł na temat wyprawy Toby'ego do lasu?

– Żywot twoich wilków dobiegł końca – oznajmił.

– Jak to?

– To były zdziczałe psy. Całe stado. Coś strasznego. Znasz tę nieutwardzoną drogę przy Wrisley Road? Mniej więcej rok temu zmarł tam jakiś starszy koleś, a jego siedem czy osiem psów kompletnie zdziczało.

Byłam pewna, że wiem, o którym domu mówi Ben. Jadąc samochodem, trzeba było najpierw wjechać na nieutwardzoną Rampatuck Road, a potem skrócić w Wrisley Road, która też była nieutwardzona, a do tego jeszcze węższa. Ale na piechotę wystarczyło przejść przez półkę skalną znajdującą się tuż za szkołą nieopodal strumienia.

– Co się stało?

– Ludzie skarżyli się, że psy grzebią im w kubłach na śmieci. Przyjechali hycle, zobaczyli, jak wygląda sytuacja, i je wystrzelali. Co do jednego. Masz szczęście, że cię nie zaatakowały.

– Ale dlaczego je zabili?

– Bo były zdziczałe. Halo, nie słyszałaś, co powiedziałem? Były niebezpieczne. Brudne, dzikie, roznosiły choroby... Co mieli zrobić, znaleźć im nowe domy, jakby były łagodnymi kanapowymi pieskami?

– Mogli po prostu zostawić je w spokoju.

– Miałaś szczęście. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

– Wcale nie. Nie uważam, że miałam szczęście, bo nie było się czego bać.

Ben uśmiechnął się z przekąsem i w tym momencie wyobraziłam sobie, jak musiał się zachowywać, gdy był małym chłopcem.

– Mogę dalej nazywać cię Wilczycą?

– Nie – odparłam, rzucając mu najsurowsze spojrzenie, jakie potrafiłam z siebie wykrzesać.

A potem, zanim zdołałam się powstrzymać, dodałam:

– Może powinieneś tak nazywać Tinę Yarwood? Na pewno ci pozwoli.

Super. Wyszłam na zazdrosną idiotkę. Do tego obiektem mojej zawiści był Ben Dellahunt – jakby nie było ciekawszych osób. Przecież nawet nie zależało mi na nim. Nie był zły, miał kilka zalet, ale nic poza tym.

Ben wyglądał na zdezorientowanego.

– Dlaczego miałbym nazywać tak Tinę?

Przestąpiłam z nogi na nogę, bo chciałam już odejść.

– No, przecież chodzicie ze sobą.

– Yyy... wiesz, że ona jest moją kuzynką, prawda? Zdaję sobie sprawę, że kręcą cię wieki średnie, ale...

– Aha... Nie wiedziałam. Boże. To by było wstętne. I to bardzo. Przepraszam, nie...

– W porządku, nie ma sprawy. Nie wiedziałaś. Nie ma co się od razu umartwiać z tego powodu.

– Okej. Ale na serio nie miałam pojęcia. A tego typu rzeczy wcale mnie nie kręcą, jasne?

Ben położył mi dłonie na ramionach i spojrzał prosto w oczy.

– June, naprawdę myślisz, że podejrzewam cię o skłonności do randek z członkami rodziny? Serio? Musisz się rozluźnić. Słuchaj, może wpadniesz do mnie w następnym weekend, gdy już skończy się zamieszanie wokół przedstawienia, i wylosujemy ci jakąś postać. Zero zobowiązań. Rzucimy kostką i zobaczymy, co się stanie. Co ty na to? Dostrzegam w tobie zadatki na zabójczynię.

Ben cofnął się o krok i spojrzał na mnie zmrużonymi oczyma, przechylając głowę na bok. Przypomniało mi to sposób, w jaki Finn przyglądał się dziełom sztuki, co wywołało mój uśmiech, który z kolei Ben musiał opacznie zrozumieć, bo również się uśmiechnął.

– Elfia zabójczyni... z magicznymi mocami. Jeśli uda ci się wyrzucić przyzwoitą liczbę punktów charyzmy, będę skłonny przymknąć oko na cyferki związane z wytrzymałością, żebyś miała dobry start. Co ty na to?

Uświadomiłam sobie, że nawijam na palec jeden ze swoich warkoczy, i błyskawicznie go puściłam. Spojrzałam na swoje stopy, unikając wzroku Bena, po czym wymamrotałam:

– Dobrze.

– Naprawdę?

– Tak. Zgoda. Zrobię to.

Przyjemnie było zgodzić się na coś tak zwyczajnego jak spędzanie czasu z chłopakiem, któremu wydawało się niemożliwe, żebym miała ochotę umawiać się z własnymi kuzynami. Jeszcze przez kilka minut rozmawiałam z Benem, zapominając o wszystkim, co okropne. Potem on się pożegnał i odszedł, a mnie zalała fala

wspomnień.

Poszłam do automatu telefonicznego w holu i zadzwoniłam do Toby'ego. Nadal nie odbierał. Spróbowałam raz jeszcze i tym razem ostrożniej wybrałam numer, myśląc, że może wcześniej źle go wykręcałam. Jednak telefon znowu dzwonił i dzwonił, dopóki nie odwiesiłam słuchawki.

Prosto z biblioteki pobiegłam do domu zajrzeć do skrzynki na listy. Dałabym wszystko, żeby znaleźć w niej kopertę z adresem którejkolwiek z szalonych instytucji wymyślonych przez Toby'ego. Ligi Amatorów Hawajskich Pucharków, Towarzystwa Adoracji Mistrza Miyagi, Stowarzyszenia Posiadaczy Zręcznych Rąk. Wszystko jedno której. Ale w skrzynce znajdowały się tylko dwa rachunki oraz ulotka supermarketu Grand Union.

Kilka minut po tym, jak weszłam do środka, mama zadzwoniła z pracy, żeby sprawdzić, czy jestem w domu.

Greta miała zostać w szkole do późna, bo w tym tygodniu w poniedziałek, środę i piątek wystawiano *Południowy Pacyfik*. Usiadłam samotnie przy kuchennym stole i zaczęłam odrabiać lekcje. Zadania z geometrii. Podzieliłam kartkę w zeszyte na dwie kolumny pionową kreską.

Spojrzałam na stronę z zadaniami. Postulaty. Aksjomaty. Przystawanie. Pozbawione sensu martwe słowa. Zastukałam ołówkiem o papier. Następnie zamiast wyprowadzać dwa oddzielne dowody na poprawność twierdzenia Pitagorasa napisałam: *Dowód na niemożliwość tego, że już nigdy nie zobaczę Toby'ego*. Przez kilka sekund patrzyłam na swoje zdanie. Miałam nadzieję, że jego poprawności da się dowieść równie łatwo, co twierdzenia, zgodnie z którym każda linia prosta ma kąt o mierze stu osiemdziesięciu stopni. Tak jednak nie było. Przychodziły mi do głowy tylko argumenty na poparcie czegoś dokładnie odwrotnego.

A jeśli policjanci zabrali Toby'ego spod naszego domu prosto na lotnisko i wsadzili go na pokład samolotu lecącego do Anglii? Albo Toby spakował manatki i udał się w jakieś miejsce, o którym nie miałam pojęcia? Albo policjanci pobili go i przetrzymywali w ciemnej celi, żeby nikt się o tym nie dowiedział? Albo coś jeszcze gorszego? A jeśli chodziło o coś tak strasznego, że nawet nie byłam sobie tego w stanie wyobrazić?

– Nie – powiedziałam na głos, a potem zmięłam kartkę w dłoni.

Znowu wykręciłam numer Toby'ego. Telefon dzwonił bez końca.

Przychodził mi do głowy cały szereg powodów, dla których tamtej sobotniej nocy zadzwoniłam do Toby'ego. Przekonujących powodów. Powodów, w które nietrudno byłoby uwierzyć. Martwiłam się o Gretę. Wydawało mi się to najlepszym rozwiązaniem. Wpadłam w panikę. I tak dalej. Byłam w stanie wymyślić ich dalszy ciąg w okamgnieniu. Ale pod nimi wszystkimi krył się powód, którego najbardziej się obawiałam i który po dziś dzień prześladowa mnie w nocy. Nie przestaje krążyć wokół mnie w wilczym przebraniu, szczerząc ostre, lśniące kły.

Nie chcę uwierzyć, że zrobiłam to celowo; że zadzwoniłam do Toby'ego z powodu wszystkich niedziel, które spędziłam, nasłuchując dzwonka telefonu. Niedziel, które w mojej wyobraźni Finn spędzał na upojnej zabawie w towarzystwie Toby'ego. Zadzwoniłam z powodu zakłopotania, w jakie musiało wprawiać Finna moje przymilanie się do niego. Zadzwoniłam, bo czasami wydawało mi się, że słyszę, jak śmieją się ze mnie i mojej głupoty. Z tego, że nic o nich nie wiem, oraz z uczuć, jakimi darzyłam własnego wujka. Gdy leżałam nocą w łóżku, piękny śmiech Finna dźwięczał mi w uszach. Brzmiał mniej więcej tak: „Hm-hm-hm”. Jakby udało mu się połknąć słońce. Zadzwoniłam, bo słyszałam ten śmiech bardzo wyraźnie i jednocześnie pragnęłam się nim nasycić i uciszyć go na zawsze. Kiedyś powtarzałam sobie, że nie jestem zazdrośnicą, i nawet w to wierzyłam.

Może jednak nią jestem. Może zależało mi tylko na tym, żeby Toby usłyszał wycie wilków żyjących w mrocznym lesie mojego serca.

I może do tego właśnie odnosił się tytuł portretu. *Powiedz wilkom, że jestem w domu*. Może Finn jak zwykle rozumiał wszystko najlepiej. Równie dobrze można im po prostu zdradzić, gdzie się mieszka, bo i tak cię dopadną. Przecież nigdy nie gubią tropu.

Zaczynałam myśleć, że wcale tak bardzo nie różnimy się od siebie z mamą. Przynajmniej w głębiach naszych serc. Toby prawdopodobnie wyszedł na tym najgorzej. Mówię „prawdopodobnie”, ale tak naprawdę jestem o tym przekonana. Dobrze wiedziałam, że gdy zadzwonię, rzuci się na ratunek. Zdawałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa i nie miałam wątpliwości, że dotrzyma danego Finnowi słowa.

Wcześniej wierzyłam w dobro intencji, które skłoniły mnie do zatelefonowania do Toby'ego w tamtą durną sobotnią noc, ale z każdym kolejnym dniem naznaczonym brakiem Toby'ego traciłam część tej wiary. Docierała do mnie prawda.

Tej nocy nie spałam. Co godzina zakradałam się na dół, żeby wybrać numer Toby'ego. Za każdym razem telefon dzwonił bez końca. Stojąc w pogrążonej w mroku kuchni, wyobrażałam sobie jego dźwięk w zaniedbanym mieszkaniu Finna. Trel unoszący się nad niezmytymi talerzami, książkami i tureckim dywanem w poszukiwaniu uszu, dla których był przeznaczony.

– Wiadomo już coś? – Greta przyszła posiedzieć ze mną w szkolnej stołówce. Nigdy wcześniej tego nie czyniła, więc zrobiło mi się miło.

Pokręciłam głową.

– W końcu się odezwie – powiedziała. – Proszę. Oddała mi połówkę swojej kanapki.

– Nie, dzięki.

– No dalej, musisz coś jeść. Pokręciłam głową.

– Nie jestem w stanie. Greta pokiwała głową.

– June, to nie twoja wina. On jest dorosły.

– Jest też chory.

Chciałam jeszcze dodać, że moim zadaniem było się o niego troszczyć, ale przecież nikt oprócz mnie nie miał się nigdy o tym dowiedzieć.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Greta.

Położyła mi rękę na ramieniu, tak jak robią to czasem dziewczęta. Inne dziewczęta. Prawdziwe.

Środa. Ostatni raz widziałam Toby'ego cztery dni wcześniej. Pałałam do siebie nienawiścią.

Znalazłam numer posterunku policji w książce telefonicznej. Poprosiłam do telefonu funkcjonariusza Gellskiego i zostałam z nim połączona.

Powiedziałam mu, że zastanawiam się – z czystej ciekawości – co stało się z Tobiasem Aldshawem po tym, jak został zabrany spod naszego domu w sobotni wieczór.

– Jest pani znajomą pana Aldshawa? – spytał policjant.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam zrobić niczego, co pogorszyłoby sytuację Toby'ego, ale gdzieś we mnie, w samym środku mojego serca, tkwiło coś, co kazało mi krzyknąć, że tak, to mój przyjaciel. Pragnęłam poinformować gliniarza, że Toby był moim najlepszym przyjacielem; że w całym świecie nie miałam lepszego przyjaciela niż Tobias Aldshaw. Ale tego nie zrobiłam. Nie powiedziałam tego.

– Jestem siostrą Grety Elbus. Pan Aldshaw był przyjacielem mojego wujka. Trochę go znałam.

Mężczyzna zamilkł na chwilę.

– Aha. Dobrze. No cóż, mieliśmy zamiar zatrzymać go tu do rana, ale... – Zrobił pauzę i czułam wyraźnie, jak zastanawia się, czy powinien mówić dalej. – Twoja mama powiedziała nam o tym AIDS i szczerze mówiąc, chcieliśmy się go stąd jak najszybciej pozbyć.

– Po prostu go wypuściliście?

– Facet był cały rozpalony. Miał gorączkę. Tak jak powiedziałem: gdyby nie to AIDS, spędziłby z nami trochę czasu.

Gellski przez cały czas używał zwrotu „to AIDS”, jakby mówił o jakimś zwierzęciu albo przedmiocie.

- Chce pan przez to powiedzieć, że wyszedł od was o własnych siłach?
 - Zabrała go karetka.
 - Wie pan, gdzie go zawieźli?
 - Nie jestem pewny. Z uwagi na to AIDS odstawili go pewnie prosto do Nowego Jorku.
 - Mogę wiedzieć, do którego szpitala?
 - Tak, chwileczkę.
- Policjant miał donośny głos. Słyszałam, jak woła do kogoś przez całe pomieszczenie, a potem dobiegło mnie mamrotanie osoby udzielającej odpowiedzi.
- Do Bellevue. W Nowym Jorku. Tak jak mówiłem, prawdopodobnie zabrali go prosto tam z powodu tego AIDS.
 - AIDS – poprawiłam.
 - Tak. Mówię przecież.
 - AIDS, a nie tego AIDS.
 - Dobrze, dziecko. Jak sobie życzysz.

Zadzwoiłam do szpitala. Spytałam o Toby'ego, posługując się jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem, które obracałam w głowie od soboty, kiedy to usłyszałam je po raz pierwszy. Tobias Aldshaw. Brzmiały jak imię i nazwisko kogoś sławnego, a nie niewidocznej osoby, której zostałam na świecie tylko ja.

W szpitalu powiedzieli, że Toby jest niedostępny. Dowiedziałam się, że jego pokój ma numer 2763 i że mogę zadzwonić ponownie później.

- Co to znaczy „niedostępny”? – spytałam.
 - Nie mam pojęcia. Po prostu nikt nie odpowiada, gdy próbuję przełączyć połączenie
 - odparła pielęgniarka. – Może robią mu testy. Może śpi. Proszę spróbować później.
 - Ale nic mu nie jest, prawda? Jest jeszcze waszym pacjentem?
- Słyszałam, jak pielęgniarka przerzuca jakieś papiery.
- Jego nazwisko ciągle figuruje w rejestrze. Proszę spróbować później.

Mama miała bilety na wszystkie przedstawienia *Południowego Pacyfiku*. Tato i ja byliśmy tylko na jednym, ale ona chciała obejrzeć je tyle razy, ile tylko się dało. Wróciły z Gretą do domu około wpół do dziesiątej wieczorem i Greta od razu wzięła prysznic i przebrała się w piżamę. Rodzice obejrzeli wiadomości o dziesiątej i poszli spać. Przez cały wieczór siedziałam w swoim pokoju i gdy w końcu dobiegło mnie chrapanie taty, zakradłam się na dół.

Wyciągnęłam telefon na dwór przez kuchenne drzwi, kucnęłam pod oknem Grety i zadzwoniłam bezpośrednio do pokoju szpitalnego Toby'ego. Spodziewałam się, że telefon będzie dzwonił bez końca, bo po tylu dniach bez odpowiedzi trudno mi było uwierzyć, że Toby naprawdę podniesie słuchawkę. Ale tak właśnie zrobił.

Z początku ledwo go słyszałam. Mówił, jakby tracił głos. Odchrząknął i odezwał się jeszcze raz:

- Halo?
- Toby?
- June?

– Toby, tak się cieszę...

– June, dałem cię, co? Strasznie mi przykro.

– Tobie jest przykro? To ja cię tam wyciągnęłam, a teraz... Nic ci nie jest? Na pewno mnie nienawidzisz.

– June, skądże znowu.

– Nie wiedziałam, gdzie jesteś. Nie miałam pojęcia, co się z tobą stało.

– Nie mogłem zadzwonić do ciebie do domu. Nie po tym, co...

– To był zły pomysł. Koszmarny. Wybacz. Wszystko w porządku? Jesteś chory? Co ci zrobili na policji?

– Nic mi nie jest – odparł, chociaż dźwięk jego głosu świadczył o czymś przeciwnym. Brzmiał chrapliwie, jakby Toby ze wszystkich sił starał się powstrzymać od kaszlu. – A co u ciebie i Grety?

– Okej, o nas się nie martw. – Na zmianę owijałam wokół palca, a następnie rozwijałam spiralny przewód telefoniczny.

– Dobrze. To dobrze.

Oboje zamilkliśmy i odniosłam wrażenie, że mówienie sprawia Toby'emu trudność jeszcze większą niż wcześniej.

– Kiedy wracasz do domu? – spytałam.

Zaniósł się okropnym kaszlem. Głębokim, z samych płuc. Słuchałam, jak stara się uspokoić oddech.

– Słuchaj, June, możliwe, że już tam nie wrócę...

– Oczywiście, że wrócisz – odparłam, ale zaczął mnie ogarniać strach. – Na razie jestem w sporych tarapatkach, ale coś wymyślę. Przyjadę, gdy tylko będę mogła, okej?

– June, mówię poważnie. Możliwe, że nie...

– Dlaczego nie? Przecież masz tam swoją gitarę, twoich maleńkich koleżków pchły, no i...

– June...

– Nie, Toby. Nie. Przecież nie zabrałam cię jeszcze do Cloisters, a gdy poczujesz się lepiej, będziesz mógł naprawdę poznać Gretę. Musisz wyzdrowieć. Nie masz wyboru.

– June...

Jego głos ucichł, potem rozległ się kaszel. Toby nie przestawał się krztusić, a w tle usłyszałam mówiącą coś pielęgniarkę.

Chciałam mu opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, znaleźć nowe sposoby na przeproszenie go oraz sprawić, że oboje uwierzymy, że wróci do domu. Siedziałam jednak bez ruchu, nie mówiąc ani słowa. Na niebie widać było tylko rąbek księżycy i nie wiał najlżejszy nawet wiatr. Patrzyłam, jak pokryte siwym pyłkiem śmy obijają się o wiszącą nad patio lampę.

Czułam, że oczy wypełniają mi się łzami.

– Toby?

Nie przestawał zanosić się kaszlem i nie byłam już w stanie tego słuchać.

– Toby, posłuchaj, przyjadę tak szybko, jak tylko mi się uda, okej? Wytrzymaj. Proszę, poczekaj na mnie.

– Nie, June. Nie trzeba. Wydurniam się tylko. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

– Poczekaj na mnie, dobrze? Proszę.

Gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam Gretę patrzącą na mnie z otwartego okna. Obserwowałyśmy się przez kilka sekund. Nie byłam w stanie odgadnąć, co jej chodzi po głowie.

– Pojedziesz ze mną? – spytałam szeptem.

Zamknęła okno i chuchnęła na szybę. Na pokrytej mgiełką szybie napisała palcem: „tak”. Bez namysłu udało jej się stworzyć lustrzane odbicie tego słowa, tak żeby z mojej strony wyglądało ono idealnie.

Greta usiadła za kierownicą. Oczekałyśmy do północy, kiedy oboje rodzice smacznie już spali. Nie bałam się, że wpadnę w jeszcze większe tarapaty, bo było to niemożliwe. A Toby był sam jak palec. Pozostałam mu tylko ja, June Elbus, i miałam zamiar zrobić to, co do mnie należało: odkręcić wszystko, w co go wplątałam.

Noc była jasna, ciepła. W trakcie wycofywania samochodu taty z podjazdu – tak jak w przypadku wszystkiego, czego się dotknęła – Greta sprawiała wrażenie, jakby prowadziła od lat, mimo że dopiero niedawno zrobiła prawo jazdy. Jechałyśmy pustą Saw Mill Parkway, a ona wsunęła do odtwarzacza kasetę rodziców z piosenkami Simona i Garfunkela. Wyjęłam z plecaka dwa papierosy. Wcisnęłam przycisk zapalniczki i czekałam.

– Co chcesz zrobić, gdy dojedziemy na miejsce? – spytała Greta.

– Nie wiem.

– Poradzisz sobie.

Próbowałam jej zaufać – uwierzyć, że jestem w stanie doprowadzić tę historię do wybranego przez siebie końca. Przytknęłam końce obu papierosów do zapalniczki, a potem zaciągnęłam się każdym z nich.

– Proszę – powiedziałam, podając jednego Grecie.

– Nie spodziewałam się, że palisz.

– Taki tam nawyk – odparłam z szerokim uśmiechem i zdałam sobie sprawę, że Toby wyziera ze mnie tak mocno, że na chwilę stałam się prawie zupełnie niewidoczna.

Do tej pory zawsze, gdy miałam okazję przebywać nocą w Nowym Jorku, byłam w towarzystwie Finna. Kiedyś zabrał mnie na specjalny pokaz *Tego wspaniałego życia* w Radio City Music Hall. Innym razem poszliśmy na *Cyganerię* do Lincoln Center. A jeszcze kiedy indziej, wcale nie tak dawno temu, spotkaliśmy się z nim całą rodziną w urodziny mamy i poszliśmy zjeść obfity posiłek we włoskiej restauracji. Nowy Jork nocą wymagał obecności Finna, więc spodziewałam się, że może pojawi się tu w jakiejś formie. Nie tak naprawdę, ale może uda mi się go chociaż poczuć. Jednak nic takiego się nie zdarzyło. Stałyśmy z Gretą na chodniku przed jego budynkiem, a ja grzebałam w kieszeni w poszukiwaniu klucza nawleczonego na czerwoną wstążkę.

Postanowiłyśmy najpierw zatrzymać się w mieszkaniu Finna. Chciałam wziąć Toby'emu ubrania na zmianę. Poza tym uświadomiłyśmy sobie, że nie mamy pojęcia, gdzie znajduje się szpital Bellevue.

Wyobrażałam sobie, że mieszkanie będzie zapuszczone. Jeszcze bardziej niż ostatnio. Już szykowałam się, żeby jakoś wyjaśnić to Grecie, zacząć usprawiedliwiać Toby'ego, ale gdy popchnęłam drzwi, okazało się, że jest tam czystiej niż kiedykolwiek przedtem. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Na oparciach krzeseł nie wisały ubrania. Ze spodków nie przelewały się torebki po herbacie i niedopałki. Zniknął nawet zapach stęchlizny. Duże okna były lekko uchylone i wpuszczały do środka lekki, ożywczy wiaterek. Staralam się nie sprawiać wrażenia zaskoczonej.

– Dziwnie jest tu teraz być – stwierdziła Greta.

Przytaknęłam, a ona nie miała nawet pojęcia, jak dziwnie, bo nie widziała, jaki bałagan panował tu jeszcze kilka tygodni wcześniej.

Wzięłam z kuchni plastikową torbę i poszłam z nią do sypialni po ubrania. Drzwi były zamknięte tak jak kiedyś. Popchnęłam je ostrożnie, a potem podeszłam do komody. Greta podążyła za mną.

– A więc to jest ta tajemnicza sypialnia – powiedziała.

Łóżko zostało zasłane, a ze stolika nocnego po stronie Toby'ego zniknęły opakowania po papierosach. Greta miała zamiar otworzyć szafę, ale położyłam dłoń na jej dłoni.

– Lepiej nie – zasugerowałam. – Dobrze?

Greta odnalazła szpital Bellevue w książce telefonicznej. Okazało się, że położony jest spory kawałek stąd we wschodniej części Manhattanu, nieopodal rzeki.

– Powinnyśmy się zbierać – uznałam.

Stałam przy drzwiach wpatrzona w salon. Przeszedł mnie dreszcz wywołany nie tylko późną porą i zmęczeniem, lecz również przecuciem, że być może widzę go po raz ostatni. Nie mogłam się jednak teraz na tym skupiać. Greta obchodziła salon dookoła, przyglądając się najdrobniejszym detalom. Niczym detektyw szukający wskazówek.

– No chodź – powiedziałam.

Jechałyśmy West End Avenue przechodzącą w którymś punkcie w Jedenastą Aleję,

aż dotarliśmy do Dwudziestej Trzeciej Ulicy. O tej porze nocy na West Endzie panował niemalże upiorny spokój. Gdy mknęłyśmy gładko sedanem taty, miałam wrażenie, że unosimy się nieznacznie ponad poziom ulicy.

Kiedy dojechałyśmy do Bellevue, była już prawie druga. Greta zaparkowała w bocznej uliczce.

– Wracaj do domu – powiedziałam.

– Nie możesz tam pójść sama.

– Masz za sobą występ, musisz być wykończona. Poza tym powiesz rodzicom, gdzie jestem. Zaczną wariować, jeśli odkryją rano, że obie zniknęłyśmy.

Greta przez chwilę nad tym myślała.

– Najpierw chcę się upewnić, że udało ci się tam dostać. Wtedy pojedę, okej?

Skinełam głowę.

Miałam zamiar przejść przez duże automatycznie rozsuwane drzwi, ale Greta mnie powstrzymała.

– Szpitale nie zezwalają na odwiedziny o dowolnej porze dnia i nocy – powiedziała.

– Poczekaj chwilę.

Odciągnęła mnie na stronę. Położyła mi dłonie na ramionach i spojrzała głęboko w oczy. Było to strasznie przyjemne. W samym środku tej okropnej nocy nic nie mogło się równać dotykowi dłoni Grety, która uczyła mnie, jak zrobić coś jak należy. Czułam łzy napływające do oczu. Kolana mi zmiękły. Greta ścisnęła mi ramiona.

– Weź się w garść – powiedziała.

Kiwnęłam głową i otarłam twarz rękawem.

– Wszystko pójdzie jak po maśle. Spytają cię, czy jesteś kimś z rodziny.

Greta nie spuszczała ze mnie wzroku. Poprawiła mi włosy i ponownie mi się przyjrzała.

– Tak lepiej. Powiesz, że jesteś siostrą Toby’ego. Z Anglii. Zadzwoił do ciebie i powiedział, że kiepsko z nim. Ma tylko ciebie, a ty nie wiesz, jak dużo czasu mu zostało. Okej? Spróbuj mówić z akcentem. Tylko nie jakimś głupkowatym. Naśladuj Toby’ego.

Przypomniał mi się sposób, w jaki mówił Toby. Nie używał normalnego angielskiego akcentu, tylko jakiejś dziwnej jego odmiany pełnej dźwięku „u”.

– A co z tobą? – spytałam.

– Będę cię mieć na oku. Upewnię się, że cię wpuszczą na górę. Potem pojedę do domu.

– Rodzice cię zamordują. Co im powiesz?

– Wślizgnę się do domu i jeśli nie wrócisz do czasu, gdy się obudzą, coś wymyślę. Ja będę się tym martwić, a ty już idź, okej?

Skinełam głowę.

– Okej.

– Tylko pamiętaj: cała sztuka polega na tym, żeby wejść tam takim krokiem, jakbyś była pewna, że cię wpuszczą. Jakby tam było twoje miejsce. Kapujesz?

Ponownie kiwnęłam głową i pozwoliłam dużym białym drzwiom rozsunąć się specjalnie dla mnie.

Bellevue nie wyglądał na szpital, do którego wybrałby się ktoś, kto miałby inny

wybór. W lobby trwał remont i niektóre jego części były odgrudzone i opatrzone wywieszka „PRZEPRASZAMY ZA UTRUDNIENIA”. Ciężko jednak byłoby wybaczyć je wszystkie. Większość obitych pomarańczowym winylem krzeseł miała popękane siedzenia, a w jednym z kątów stało wiadro, do którego kapłała woda z brązowej plamy na suficie. Ludzie spali, pólżąc na krzesłach. Matka trzymała na rękach niemowlę ciasno owinięte kocem, który kiedyś mógł być różowy. Jakiś facet wyglądał, jakby został postrzelony w rękę. Siedział ze skrzywioną miną, przyciskając do górnej części ramienia ręcznik plażowy w jaskrawe wzorki. W telewizorze stojącym na półce zamocowanej tuż pod sufitem leciał *Columbo*, ale nie było słyhać dźwięku.

Bellevue sprawiał wrażenie szpitala, gdzie nikt nie przejmuje się za bardzo, kto, kiedy i kogo odwiedza. Nie wyglądał na miejsce, w którym personel jest w stanie zbyt wiele dostrzec. Ale był wielki. Zbyt duży, żebym dała radę odnaleźć Toby’ego na własną rękę. Ruszyłam więc przez lobby w kierunku informacji.

Wyglądało to dokładnie tak, jak przewidziała Greta. Recepcjonistka próbowała się mnie pozbyć, ale gdy skorzystałam ze wskazówek Grety, dała za wygraną. Weszłam w korytarz prowadzący do windy i raz obejrzałam się na lobby. Greta siedziała z nogą założoną na nogę obok kobiety, która wyglądała, jakby była w trzynastym miesiącu ciąży. Greta skrywała twarz za czasopismem, a gdy zmrużyłam oczy, dostrzegłam, że był to nasz numer „Newsweeka”. Parsknęłam śmiechem, a potem szybko zakryłam usta dłonią. Greta opuściła tygodnik, spojrzała na mnie i obdarzyła mnie uśmiechem. Gdy drzwi windy zaczęły się zamykać, wstała i uniosła rękę, żeby pomachać na pożegnanie. Jest to jedno z tych wspomnień, które na zawsze utrwaliły mi się w pamięci, bo w ruchu ręki Grety było coś tak podniosłego, że zrozumiałam, iż jego znaczenie było głębsze, niż mogło się wydawać. Zamykające się między nami drzwi do windy symbolizowały pożegnanie z dziewczętami, którymi kiedyś byliśmy. Dziewczętami, które potrafiły bawić się w niewidoczne syreny i biegać po ciemnych sklepowych alejkach, udając, że ratują świat.

Oddział, na którym leżał Toby, znajdował się na siódmym piętrze. Wyglądał na miejsce, gdzie umieszczano tylko facetów chorych na AIDS. Zdawałam sobie sprawę, że to niezbyt grzeczne, ale i tak nie byłam w stanie się powstrzymać przed zerkaniem do mijanych pokoi. Prawie wszystkie łóżka zajmowali mężczyźni. Większość z nich leżała w samotności, ale u niektórych siedzieli jacyś ludzie. Z jednego z pokoi wypływały delikatne, słodkie dźwięki skrzypiec, a gdy zajrzałam do środka, zobaczyłam mężczyznę, który patrzył prosto na mnie. Dostrzegłszy mnie, próbował odwrócić głowę, ale poddał się i tylko zamknął oczy.

* * *

Zajrzałam do pokoju Toby’ego i zobaczyłam, że leży na łóżku. Pomieszczenie pogrążone było w półmroku. Jedyne źródło światła stanowiła mała fluorescencyjna lampka nad umywalką. Twarz miał szarą, a jego włosy jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej przypominały ptasie piórka. Toby oddychał przez maskę tlenową, co mnie zaskoczyło.

Miał otwarte oczy i gdy tylko mnie dostrzegł, ściągnął maskę, a na jego twarzy

pojawił się szeroki, szczery uśmiech. W ten sam sposób uśmiechnął się do mnie podczas pierwszego spotkania na stacji kolejowej. Jakby sam nie mógł uwierzyć, jak wielkie spotyka go szczęście. Różnica polegała na tym, że obecnie uśmiech kosztował go dużo wysiłku. Był w stanie utrzymać go na ustach zaledwie przez kilka sekund. Zrobiłam parę kroków przed siebie, przez cały czas nie zdejmując wzroku z Toby'ego, i poczułam, że się rozklejam. Łzy napłynęły mi do oczu i zakryłam dłonią usta.

– Wyjdź i spróbuj raz jeszcze – powiedział Toby głosem ochryplym jak nigdy przedtem, wskazując oczami na drzwi.

Skinęłam głową i wybiegłam z pokoju. W korytarzu oparłam się o ścianę zgięta wpół, sapiąc ciężko. Staralam się uspokoić oddech. Okej, okej, okej – powtarzałam. Zrobiłam długi wydech, próbując odegnąć myśl, że to wszystko moja wina. Musiałam wyrzucić ją z głowy, bo inaczej nigdy nie udałooby mi się wrócić do środka. Zrobiłam jeszcze kilka uspokajających wdechów i wydechów, a potem wyprostowałam się i weszłam do pokoju.

Toby zdążył obrócić się plecami do drzwi. Być może chciał ułatwić mi oswojenie się z sytuacją. A może nie mógł znieść mojego widoku.

Patrzyłam, jak koc, którym był przykryty, unosi się i opada w rytm jego chrapliwego oddechu. Wolnym krokiem podeszłam do łóżka, pochyliłam się i przyłożyłam ucho do pleców Toby'ego.

– Przyszłaś – powiedział poprzez ciszę.

– Przyniosłam ci trochę ubrań – oznajmiłam, unosząc torbę, mimo że Toby patrzył w drugą stronę. – Na drogę do domu.

Toby obrócił się z uśmiechem, ale sprawiał on bolesne wrażenie, gdyż jego wargi były potwornie wysuszone. Zaczął kaszleć, a ja nalałam mu szklanek wody.

– Ciii, już dobrze – powiedziałam.

– Pomóż mi trochę, dobrze?

W pierwszym odruchu poczułam się niezręcznie, bo nie wiedziałam, jak mam mu pomóc. Potem jednak wsunęłam dłonie pod ciało Toby'ego i przesunęłam go w kierunku wezłowania. Spodziewałam się, że będzie to wymagać sporego wysiłku, ale została z niego sama skóra i kości. Lekkość jego ciała była tak szokująca, że musiałam powstrzymać pełne zdumienia sapnięcie. Wyglądało na to, że prawie bez wysiłku byłabym w stanie podnieść go z łóżka.

Przetrzepałam poduszki i wsunęłam mu je za plecy, żeby mógł usiąść prosto.

– Tak lepiej? – spytałam.

– Idealnie – odparł Toby.

Przysunęłam się na krzesło tak blisko łóżka, jak tylko się dało, i opatulłam się nieużywanym kocem.

– Mieszkanie jest czyste.

– Czyżbyś była zaskoczona, June? – Toby próbował mówić głosem urażonej pani domu, ale jego chrapliwy szept sprawił, że brzmiało to raczej jak pytanie urażonej pani domu, która wypala pięć paczek papierosów dziennie.

Zaśmiałam się.

– Wygląda bardzo ładnie. Tak jak za czasów Finna.

Toby się uśmiechnął, ale jego uśmiech zaraz zgasł. Upił kolejny łyk wody, lecz nawet

to sprawiło, że zaczął kaszleć. Wkrótce kaszel przemienił się w słabowite szczekanie. Toby złapał się za bok, krzywiąc się z bólu, po czym spojrział na mnie, a jego ciemne oczy nigdy wcześniej nie były równie wielkie i pełne głębi. Jego twarz składała się w tym momencie wyłącznie z oczu, a Toby wpatrywał się we mnie zbyt długo. Jakby czas dla niego zwolnił. Po chwili wyciągnął rękę, ujął moją dłoń i zaczął pocierać jej wnętrze kciukiem.

– To nie twoja wina. Rozumiesz, prawda? I tak by do tego doszło. Może za miesiąc, może za dwa.

Spuściłam wzrok. Patrzyłam na długie palce Toby'ego w mojej dłoni, na wzorzyste płytki linoleum na podłodze.

– Jak możesz mówić, że to nie moja wina? – spytałam szeptem. – Jak możesz być dla mnie miły, skoro... nie jestem dobrą osobą. Naprawdę tego nie widzisz?

– Oj, June.

– Nie wiem, jak mogłabym ci to wynagrodzić...

– Ciii – powiedział Toby, ujmując moją drugą dłoń. – Ciii.

Znowu zaniósł się kaszlem, a ja mogłam tylko bezradnie się przyglądać. Wskazał na półkę po drugiej stronie pokoju. Dostrzegłam tam opróżnione do połowy opakowanie karmelków Life Savers. Wyłuskałam jednego z nich paznokciem, a następnie włożyłam go Toby'emu do ust. Moje palce otarły się o jego wargi, które były tak szorstkie i suche, że prawie cofnęłam rękę. Po jakimś czasie kaszel ustał, a Toby spojrział na mnie i lekko się zaśmiał. Przysiadłam na skraju łóżka.

– Wiesz, że od dawna chciałem zrobić dla ciebie coś imponującego? Ale nie udało mi się nic wymyślić. I w końcu gdy sama mnie o coś poprosiłaś, musiałem odmówić. Nigdy nawet nie marzyłem, że poprosisz mnie, żebym zabrał cię do Anglii.

– Nie, to ja miałam zabrać ciebie. To był mój pomysł.

– Co za różnica?

– Duża.

– W każdym razie wiedziałem, że nie byłbym w stanie odwieźć cię do domu. Nawet gdyby zniknęły wszystkie pozostałe powody, dla których nie powinniśmy lecieć do Anglii, wiedziałem, że nie mógłbym tu wrócić. Przekroczyłem termin ważności wizy o kilka dobrych lat. No i byłem karany. Urząd imigracyjny nie patrzy na tego typu rzeczy przychylnym okiem. Nie mógłbym tego zrobić, rozumiesz? Nie mógłbym pozwolić, żebyś na własną rękę wracała do domu. Finn by sobie tego nie życzył. Ja zresztą też nie. Gdyby tylko sytuacja wyglądała inaczej...

– Dlaczego od razu mi tego nie wyjaśniłeś?

– Co miałem powiedzieć: „Strasznie mi przykro, że sprawiam ci zawód, ale zrobiłem z kogoś kalekę na całe życie, a poza tym jestem nielegalnym imigrantem, więc wyjazd z kraju nie jest dla mnie w tej chwili najlepszym pomysłem”? Jak by to dla ciebie zabrzmiało? Pewnie od razu uciekłabyś gdzie pieprz rośnie.

Zastanowiłam się nad jego słowami.

– Czyli chodziło tylko o dotrzymanie danej Finnowi obietnicy? Przez cały czas, który ze sobą spędziliśmy?

Toby pokręcił głową tak wolno, że prawie niezauważalnie.

– Naprawdę tak ci się wydaje?

Odwróciłam wzrok.

– Czasami.

– Nie rozumiesz? Przecież znamy się od lat, mimo tego, że przez długi czas nawet się nie poznaliśmy. To trochę tak, jakby nasz związek był... duchem. Ty rozkładałaś na podłodze moje kostki do gitary, a ja kupowałem czarno-białe ciasteczka za każdym razem, gdy miałaś przyjść z wizytą. Nawet nie wiedziałaś, że to ja, ale tak właśnie było.

To prawda. Za każdym razem, gdy jechałyśmy do Finna, czekały na nas miękkie, słodkie czarno-białe ciasteczka z piekarni przy Siedemdziesiątej Szóstej Ulicy. W białym pudełku przewiązanym bawełnianym biało-czerwonym sznurkiem.

– Pamiętasz, jak Finn czasami naprawiał dla ciebie różne rzeczy? Nakręcany zegar albo tę małą pozytywkę w kształcie babeczki grającej „Happy Birthday”, gdy uchyliło się wieczko? W zębatce brakowało kilku maleńkich metalowych zębów.

– Ty to robiłeś?

Toby kiwnął głową i uniósł dłoń.

– Zręczne palce – przypomniał.

– Po co mi to wszystko teraz mówisz? Dlaczego zwlekałeś z tym tak długo?

Odwrócił wzrok.

– Może dlatego, że nie chcę opuszczać tej planety niedostrzeżony. Może potrzebuję, aby pamiętała o mnie przynajmniej jedna osoba. A poza tym...

– Co?

Toby zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Wydawało mi się, że zasypia, ale ponownie wyciągnął rękę po moją dłoń i spojrzał mi prosto w oczy.

– On był też moją pierwszą miłością, June.

Jego słowa zawisły w powietrzu i poczułam, jak płoną mi policzki. Odwróciłam się, żeby nie widział mojej twarzy.

– Jesteśmy ze sobą związani. Nie rozumiesz? – Zamilkł w oczekiwaniu na moją reakcję.

Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Muszę już iść...

– Nie, June, to nic złego.

Obróciłam się w jego stronę.

– Finn był moim wujkiem.

– Wiem – odparł Toby, patrząc na mnie pełnym współczucia wzrokiem.

– Wujkowie nie powinni być niczyją pierwszą miłością.

Toby wolno pokiwał głową z zamkniętymi oczami.

– Nikt nie jest w stanie zapanować nad uczuciami, June.

– Ale ja...

– Finn był piękny, cierpliwy, mądry i uzdolniony. Może dla ciebie był jak dwie różne osoby. Rozumiesz? Któż byłby w stanie oprzeć się nam obu wciśniętym w jedno piękne ciało, co?

Toby się uśmiechnął. Jego głos stawał się coraz bardziej ochrypły, ale nie przestawał mówić.

– Ostrzegałem go. Mówiłem, że doprowadzi do tego, że się w nim zakochasz, ale mi nie wierzył. Nigdy nie rozumiał, jaką posiada moc.

A ja z kolei przypominałem cię. Bez przerwy w siebie wątpiłem. Bez przerwy zachodziłem w głowę, dlaczego Finn chciałby być właśnie ze mną. June, wydaje mi się, że jeśli powiesz to na głos i wyrzucisz z siebie, odzyskasz wolność. On był też moją pierwszą miłością, June.

Chciałam mu powiedzieć, że to nieprawda – Finn był dla mnie tylko wujkiem, a wujkowie nie powinni być niczyją pierwszą miłością. Ale nagle poczułam, że spoczywa na mnie ciężar przekraczający moje siły. Nie potrafiłam zrozumieć, po co tak długo nosiłam go na barkach.

– Okej – powiedziałam pospiesznie. – Okej, byłam zakochana w Finnie. Już. Powiedziałam to. Zadowolony?

Nie mogłam spojrzeć Toby'emu w oczy, ale poczułam, jak mnie do siebie przyciąga. Jego dłoń spoczęła na moim ramieniu.

– Od razu lepiej, co?

Skinęłam głową. I jakimś cudem tak właśnie było.

Przez pewien czas zostaliśmy w tej pozycji. Siedziałam na brzegu łóżka Toby'ego, powolnym ruchem głaszcząc go po rękę, a on ścisnął mi dłoń. Przypominaliśmy parę starszków. Takie to było uczucie. Jakbyśmy znali się od wieków i mogli powiedzieć sobie absolutnie wszystko albo po prostu siedzieć razem w milczeniu.

– No chodź – powiedziałam.

– Gdzie?

– Idziemy stąd. Zabieram cię do domu. Do siebie. Nie możesz tutaj zostać.

Dopóki nie powiedziałam tego na głos, nie zdawałam sobie sprawy, że taki właśnie był mój plan. Jednak gdy moje słowa rozbrzmiały w pomieszczeniu, zrozumiałam, że cały czas o to chodziło. Zdjęłam z siebie koc i podeszłam do drzwi, żeby je zamknąć. Ubrania z siatki wysypałam na krzesło.

– June, nie mogę tam pojechać. Przecież twoi rodzice... twoja mama...

– Ciii. Możemy robić, co nam się podoba. Sam tak mówiłeś, pamiętasz?

Obdarzyłam Toby'ego szerokim uśmiechem, a potem podałam mu rękę. Krzywiąc się, spuścił nogi z łóżka.

– Zaczynam żałować, że to powiedziałem. To zdanie można interpretować na zbyt wiele sposobów.

Parsknęłam śmiechem.

– Proszę. – Podałam mu pomarańczowo-czarną koszulę w kratkę z przypinanymi rogami kołnierzyka, w której go nigdy wcześniej nie widziałam. Fakt, że wybierałam ubrania dla kogoś innego, sprawił, iż zdecydowałam się na rzeczy, których nie znałam. Tak jakby wygrzebanie czegoś z samego dna szuflady mogło być szansą na dostrzeżenie całkiem nowej wersji danej osoby. Toby spojrzał na mnie, trzymając koszulę w wyciągniętych rękach.

– Cóż to takiego? – spytał.

– Nigdy cię w niej nie widziałam.

Toby spojrzał na mnie wzrokiem, który mówił, że musiałyby być ku temu dobre powody, ale chwilę później włożył koszulę przez głowę, bez rozpinania guzików. Przywiozłam mu też parę zwykłych dzinsów, których widok przywitał z ulgą. Odwróciłam głowę, a Toby zdjął z siebie koszulę szpitalną. Gdy ponownie na niego

spojrzałam, co prawda miał na sobie dzinsy, ale siedział na krawędzi łóżka zgięty wpół, jakby zmiana ubrań całkowicie go wyczerpała. Usiadłam obok Toby'ego i przechyliłam głowę, żeby móc przyłożyć ucho do jego piersi. Dobiegało z niej tyle zgrzytów i świstów, że aż dziw brał, iż w ogóle był w stanie oddychać. Przypomniałam sobie o masce tlenowej – wyciągnęłam dłoń nad łóżkiem, chwyciłam ją i podałam Toby'emu.

Skinął głową, po czym zakrył nią nos oraz usta. Na jego twarzy odmalowała się ulga.

Podążyłam wzrokiem za biegnącym od maski przewodem w nadziei, że prowadzi on do jakiegoś niewielkiego zbiornika, który moglibyśmy zabrać ze sobą. Łączył się on jednak tylko z ciągnącą się wzdłuż ściany rurą, która z kolei wydawała się połączona z całym budynkiem.

– Nie uda nam się jej wziąć – powiedziałam. – Może to głupi pomysł.

Toby odsunął maskę od twarzy i pokręcił głową.

– Nie, w porządku. Będziemy przecież na świeżym powietrzu.

– Jesteś pewny?

Kiwnął głową, ale w głębi serca wiedziałam, że dokonuje wyboru. Rozumiałam, co ten wybór oznacza.

– Toby?

– Hm?

– Nie miałaś chyba na myśli, że Finn był twoją pierwszą miłością w życiu? Nie tą najpierwszą, prawda?

Odwrociłam wzrok zakłopotana własnym pytaniem. Musiałam jednak wiedzieć.

Przez dłuższą chwilę Toby się nie odezwał. Słuchałam jego rżącego oddechu, myśląc, że pewnie błędem było zadawanie tego typu pytań. Może czasami to, co tajemnicze, powinno takie pozostać. Już miałam powiedzieć, że nieważne, gdy ujął moją dłoń i odezwał się cichym, słabym głosem:

– Finn o niczym nie wiedział. Niech to zostanie między nami, zgoda? Zresztą to nieistotne, przecież to niczyja wina.

Czułam na ręce uścisk jego palców i miałam wrażenie, że wpycha mi tę tajemnicę do wnętrza dłoni. Nagle wszystkie zapachy w pokoju – alkoholu do dezynfekcji ran, środków czyszczących oraz dżemu malinowego – przybrały na ostrości i intensywności. Zupełnie, jakby starały się zamazać znaczenie wyznania, które zmieniało wszystko i nic zarazem. Toby przymknął oczy, ale moje były szeroko otwarte i wpatrzone prosto w niego. Tak właśnie wygląda prawdziwa miłość – pomyślałam, po czym ścisnęłam dłoń Toby'ego w odpowiedzi.

– Możesz mi zaufać – powiedziałam. – Obiecuję.

Uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

– Wiem.

Nie myliłam się, jeśli chodzi o Bellevue. Można było stamtąd tak po prostu wyjść i nikt niczego nie zauważył. Zdjęłam z łóżka koc, a potem przyprowadziłam stojący przed pokojem pielęgniarek wózek inwalidzki, którym zawiozłam Toby'ego do windy. Kilka pielęgniarek zerknęło na nas z zaciekawieniem, ale każda z nich była zbyt zajęta, żeby się nami przejmować. Zostawiłam Toby'ego w lobby i wyszłam na zewnątrz poszukać taksówki. Nie zajęło mi to dużo czasu. Kazałam kierowcy poczekać i pobiegłam po

Toby'ego.

Gdy wynurzyliśmy się ze szpitala, taksówkarz zmierzył nas wzrokiem, próbując się domyślić, co nas łączy. Przypomniała mi się kobieta w Playlandzie, która sobie ubzdurzyła, że jesteśmy jakąś dziwną parą. Wiedziałam, że nie było mowy, aby ktokolwiek doszedł obecnie do podobnego wniosku. Wykluczone. Być może udzieliła mi się psotna natura Toby'ego, a może po prostu miałam ochotę przetestować brzmienie tego wyrazu w swoich ustach – sprawdzić, czy poradzą sobie z tak poważnym i wymownym słowem – bo spojrzałam kierowcy prosto w oczy, nachyliłam się ku niemu i spytałam:

– Przepraszam, czy mógłby pan pomóc mojemu kochankowi wsiąść do samochodu?

Po raz pierwszy tej nocy usłyszałam śmiech Toby'ego. Odwrócił głowę, starając się zachować pozory. Taksówkarzowi dosłownie opadła szczęka niczym półgłówkowi w kreskówce, ale ja nie spuszczałam z niego wzroku, jakbym nie rozumiała, na czym polega problem. Pozwoliłam, aby słowo „kochanek” przez dłuższą chwilę telepało mu w się głowie, aż w końcu machnął dłonią do góry, jakby chciał powiedzieć: „A, zresztą” albo „Takie rzeczy to tylko w Nowym Jorku”, albo „O gustach się nie dyskutuje”. Jeden z komentarzy, jakie ludzie wygłaszają na temat spraw, których nie są w stanie pojąć. Mężczyzna wziął Toby'ego pod ramię i usadził na tylnym siedzeniu samochodu.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

Podaliśmy mu adres. Mój prawdziwy adres domowy, nie adres mieszkania Finna.

– Ale... – próbował zaprotestować Toby.

– Nie martw się.

– Mają państwo pieniądze na jazdę aż do Westchesteru? – spytał taksówkarz. – Będzie mi potrzebna zaliczka.

Sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam z niej plik banknotów, który dawno temu dostałam od Toby'ego.

– Proszę – powiedziałam, podając kierowcy dwie pięćdziesiątki.

– Okej, okej. Nie było pytania – odparł mężczyzna, odbijając od krawężnika, a potem zerknął na nas przez ramię. – Będzie państwu przeszkadzać, jak nastawię jakąś muzykę?

Toby uśmiechnął się.

– Muzyka, tak, muzyka – wymamrotał.

Kierowca zaczął kręcić gałką radia i po kilku sekundach udało mu się złapać radiostację Uniwersytetu Nowojorskiego, gdzie ktoś właśnie mówił: „...a teraz Frankie Yankovic i jego *Tick Tock Polka*”. Gdy taksówka wypełniła się brzmieniem akordeonu Frankiego grającego głupekowatą polkę, wymieniliśmy z Tobym spojrzenia, a potem wybuchliśmy śmiechem tak potężnym, że aż bolesnym.

Wtedy właśnie zdradziłam Toby'emu jedną z historii związanych z Finnem. Jak wszystkie moje opowieści nie była zbyt długa. Opowiedziałam mu o dniu, w którym Greta wzięła ze sobą jemiołę do mieszkania Finna. Wyszepiałam mu tę historię do ucha. Opisałam pogodę. Bryłki śniegu z deszczem spadające z nieba podczas jazdy samochodem. Wygląd Finna. Jego ubranie. Nie byłam pewna, czy Toby w ogóle mnie słyszy, ale opowiedziałam mu jeszcze o lecącym z głośników *Requiem*. O prawie gotowym portrecie. O tym, jak bardzo się bałam. I jaka byłam głupia. I jak w końcu się

okazało, że nie miało to żadnego znaczenia, bo Finn przejrzał mnie na wskroś. Opisałam delikatny niczym muśnięcie motyla pocałunek, jaki Finn złożył na czubku mojej głowy, oraz to, jak bezbłędnie odczytał moje emocje i jak zwykle sprawił, że poczułam się dobrze.

Toby opierał się o moje ramię i poczułam, jak leciutko kiwa głową. Niewiele kaszłał, ale jego oddech stał się zawieszony i bulgoczący, jakby oddychał wodą zamiast powietrzem.

Mogłabym tak jechać godzinami. Albo i tygodniami, miesiącami. Może nawet do końca życia. Wywożąca nas z miasta taksówka pokonała całą First Avenue, przejechała przez most Willis Avenue Bridge, minęła Stadion Jankesów, a potem oddaliła się od jaskrawo oświetlonych ulic w kierunku mroku autostrady. Przez otwarte okna owiewało nas chłodne nocne powietrze, a w radiu brzęczały kolejne polki poświęcone zegarom, piwu, żółtym różom oraz błękitnym oczom pełnym łez. Na moim barku spoczywała senna głowa Toby'ego, na niej leżała moja otwarta dłoń, a oboje nas okrywał szorstki wełniany koc. Wypełniało nas uczucie, które przychodzi, gdy człowiek śmieje się i płacze tak długo, aż staje się pusty w środku. Pozostaje tylko spokój. Jego najlepsza odmiana. Tak właśnie pamiętam tamtą noc. Tak chcę ją zawsze pamiętać.

Toby miał rację – Finn był moją pierwszą miłością. Ale on sam był drugą. A smutek związany z tym faktem będzie się ciągnął niczym wąska, lodowata rzeka przez całe moje życie. Podpis mi się pewnie ustabilizuje, a kolejne sezony podatkowe nadejdą i przeminą. Średniowieczne botki wepchnę gdzieś na tył szafy i zacznę nosić adidasy i dżinsy jak wszyscy. Może jeszcze trochę urosnę, a może nie. Może zostanę Wilczą Królową Odległych Rubieży, a może pozostanę po prostu June Elbus, Królową Zawistnych Serc. Może spędzę resztę życia w samotności, czekając, aż pojawi się ktoś choćby w połowie dorównujący Toby'emu czy Finnowi. Lub chociaż w jednej czwartej. A może wcale nie będę czekać. Może już teraz wiem, że nie ma sensu szukać kogoś takiego. Może byłam skazana na zakochiwanie się w ludziach, którzy nie mogli być moi. Może czekała gdzieś na mnie cała plejada takich osób, których jedyną rolą było nieustanne przypominanie mi o tej niemożności.

Myślę, że nie zasługuję na nic lepszego. Z drugiej strony, nie: to byłaby zbyt łagodna kara. Zasługuję na coś o wiele gorszego.

Toby spał na kanapie w naszym salonie. Namalowane Greta i ja – do spółki z prawdziwą Gretą i mną – czuwały nad nim przez całą noc. Spał owinięty we wszystkie koce z naszych obu łóżek, koce pokryte nadrukami tęcz i balonów oraz wizerunkami Holly Hobbie w okazałych rozmiarów słomkowym czepekku przewiązanym wstążką. Nie spuszczałyśmy wzroku z Toby'ego.

Greta na mnie czekała. Nie odezwała się ani słowem, gdy zobaczyła, że jest ze mną Toby – skinęła tylko głową, żeby pokazać mi, że rozumie. Siedzieliśmy w ciszy, ale od czasu do czasu Greta śpiewała fragmenty piosenek, które przychodziły jej do głowy, czym sprawiała, że kącik ust Toby'ego unosił się w uśmiechu. Kontynuowała więc, nucąc piosenki z *Południowego Pacyfiku*, utwory Jamesa Taylora oraz Simona i Garfunkela. Uważałyśmy, żeby nie podnosić głosów, i – jeśli nie liczyć delikatnego, słodkiego śpiewu Grety – prawie się nie odzywałyśmy. Siedziałam na stojącym obok kanapy krześle, trzymając dłoń na rozpalonej głowie Toby'ego. Prawdopodobnie tak, jak on trzymał wcześniej dłoń na głowie Finna.

W pewnym momencie świat zaczął budzić się do życia. Gdy wstał świt, Greta zaciągnęła zasłony tak szczelnie, żeby do środka nie wdarł się ani jeden promień słońca. Jednak dzień rozpoczynał się bez względu na brak światła. Trzaskały drzwi samochodów. Opony zgrzytały na wysypanych żwirem podjazdach. Połączony z radiem budzik rodziców odezwał się poważnym głosem spikera stacji informacyjnej 1010 WINS. Tylko wiadomości. Przez całą dobę. Drzwi łazienki zamknęły się, chwilę później otworzyły, a potem od strony schodów dobiegł nas dźwięk kroków tłumiony przez miękkie kapcie.

– Zajmę się... – zaczęła mówić Greta.

– Nie. – Pokręciłam głową, a następnie przysunęłam się z krzesłem jeszcze bliżej Toby'ego. Chciałam, żeby sytuacja była jasna i oczywista. Mama miała zejść na dół

i zobaczyć, że trzymam rękę na głowie Toby'ego.

I tak właśnie się stało. Owinięta w szlafrok mama zatrzymała się w połowie schodów i mrużąc oczy, zajrzała do pogrążonego w półmroku salonu.

– June? – spytała.

Nie była w stanie wydusić z siebie nic więcej – przeniosła wzrok ze mnie na Toby'ego, a potem na Gretę. Słowa były zbędne. Całą historię miała wymalowaną przed oczami. Mama uniosła dłoń, żeby zakryć usta, i wbiegła po schodach zawołać tatę.

Następnie odbyła się długa rozmowa. Po części była ona naznaczona złością i bólem, w większości jednak składała się z pytań, na które odpowiedzi wyjaśniły, że wszystko zostało powiedziane. Rodzice zrozumieli, że Toby jest moim przyjacielem.

Przez dłuższy czas siedzieliśmy w salonie pośród kruchej ciszy, jaką spotyka się tylko w kościołach i bibliotekach. Ciszy, jakiej nikt nie waży się zakłócić. Patrzyliśmy, jak pierś Toby'ego podnosi się i opada, podnosi się i opada, stanowiąc jedyny dowód na to, że jeszcze nas nie opuścił.

Mama wstała pierwsza. Przeszła przez pokój, uklękła na podłodze obok Toby'ego i położyła mu otwartą dłoń na głowie. Patrzyłam, jak przesuwa nią po jego miękkich, przypominających piórka włosach i chociaż była obrócona do mnie plecami, wydawało mi się, że słyszę, jak mówi: „Wybacz”. Chcę wierzyć, że tak właśnie powiedziała. Konieczne było, aby mama rozumiała, że też maczała w tym palce, a zawiść i wstyd stanowiły nasz własny rodzaj choroby. Równie groźnej, co AIDS Toby'ego i Finna.

Pod koniec w pokoju zostałyśmy tylko we dwie. Mama i ja. Gdy ciało Toby'ego zastygło w bezruchu, mama położyła mi dłoń na ramieniu. Czyjeś życie dobiegło końca.

Późną nocą, długo po tym, jak ciało Toby'ego zostało zabrane, a wszyscy w domu poszli spać, zobaczyłam coś, o czym nie wspomniałam później nikomu oprócz Greta. Nie mogłam zasnąć, więc zesłam na dół. W salonie paliła się tylko znajdująca się na stole nieopodal kominka lampka. Stało tam też przyniesione z jadalni krzesło, a na nim mama. W jednej dłoni trzymała cienki pędzelek, a w drugiej plastikowe wieczko pojemnika na lody, którego używała w roli palety. Stałam poza zasięgiem jej wzroku i obserwowałam w milczeniu, jak delikatnym ruchem zanurza czubek pędzelka w farbie. Widziałam, jak przechyla głowę na bok, a następnie mierzy portret krytycznym wzrokiem, dokładnie tak, jak robił to Finn. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdy mama zaczęła dodawać do portretu własne subtelne pociągnięcia pędzlem. Rano wstałam pierwsza, żeby zobaczyć, co namalowała. Na mojej szyi znajdował się misterny, idealnie namalowany srebrny naszyjnik. Greta miała na palcu srebrny pierścień wysadzany jej szczęśliwym kamieniem.

Czasami próbuję przekonać sama siebie, że bycie odpowiedzialną za śmierć osoby, która i tak miała umrzeć, to nic takiego. Jak tu mówić o morderstwie, skoro ten ktoś był już prawie martwy? Czasami staram się myśleć w ten sposób, ale na próżno. Dwa miesiące składają się z sześćdziesięciu dni, 1440 godzin, 86 400 minut. Stałam się złodziejką czasu. Skradłam go nie tylko Toby'emu, ale i sobie samej. Do tego sprowadzała się ta sytuacja. Moja rodzina już zawsze uważać będzie Toby'ego za mordercę, ale nigdy nie pozna prawdy na mój temat. Żadnemu z nich nawet nie przyjdzie do głowy, że mieszkają pod jednym dachem z prawdziwą morderczynią.

Niczego nie zmienia fakt, że Toby mi przebaczył; że opuścił ten świat bez cienia żalu do mnie; że zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Żadna z tych rzeczy nie gra roli. Na sercu mam wytatuowane czarne guziki, które będą na nim nosić do końca moich dni.

Jednak gdzieś w głębi serca wiem, że dotrzymałam słowa. Zajmowałam się Tobym do samego końca i dotrzymywałam mu towarzystwa, żeby nie czuł się samotny. Tak, jak życzyłby sobie Finn. I czasami, gdy chcę pozbyć się smutku, przekonuję samą siebie, że to prawie wyrównuje rachunki.

Nie mam natomiast wątpliwości co do tego, że moja supermoc zniknęła. Moje serce pękło, rozmiękło i znowu stałam się zwyczajna. Nie mam przyjaciół w Nowym Jorku. Ani jednego. Kiedyś myślałam, że zostanę sokolniczką, ale teraz nie jestem tego taka pewna. Wpierw musiałabym odkryć, jak sprawić, żeby cokolwiek chciało do mnie wracać zamiast odlatywać w siną dal.

Z woli Finna po śmierci Toby'ego dostałyśmy z Gretą wszystko. Nawet mieszkanie. Czasami próbuję wyobrazić sobie nasze przyszłe życie. Nasze drogi mogą się rozejść. College, mężowie, dzieci. Może zaczną nas dzielić tysiące kilometrów. Albo zamieszkamy w innych krajach, na różnych kontynentach. Wybiegam myślą naprzód do czasu, gdy będziemy już staruszkami. Przygarbionymi babkami w okularach, noszącymi wielkie torebki i owijającymi się zrobionymi na drutach szalami. Wyobrażam sobie, że przez wszystkie nadchodzące lata będziemy się spotykać w mieszkaniu Finna. Sekretnym miejscu podarowanym nam przez Finna i Toby'ego.

Jednak pokoik w piwnicy – to małe magiczne miejsce – już na zawsze pozostanie wyłącznie moją własnością. Znalazłam należącą do Toby'ego odbitkę głupekowatego zdjęcia, które zrobiliśmy sobie w Playlandzie, i oddałam je do oprawy. Powiesiłam je w klatce przy użyciu kawałka drutu. Był to jedyny raz, kiedy tam wróciłam. Zjechałam na dół windą i wcale się nie bałam. Nic a nic. Toby powiedział mi kiedyś, że gdy dowiedzieli się z Finnem o AIDS, zamiast poczucia krzywdy i uciekającego czasu ogarnęło ich coś dokładnie odwrotnego – wrażenie wszechmocy. Jakby nic nie było ich w stanie zranić. Może i mnie udzieliło się to uczucie, bo gdy szłam przez piwnicę, mijając przyprawiające o gęsią skórę materace oraz ciemne wnęki, przepełniała mnie siła i odwaga. Miałam ochotę wołać: „Spróbujcie mnie dopaść!”, bo wiedziałam, że nic nie może mnie skrzywdzić.

Pogrzebu Toby'ego nie było, bo wcale nie chciał być pogrzebany. Kiedyś w żartach rzucił, że nie przepada za grobami. Pewnie odparłam wtedy, że na amatora prochów też nie wygląda. Coś w tym stylu. Nie pamiętam dokładnie.

Od dawna się zastanawiałam, gdzie mogą się znajdować prochy Finna, i gdy spytałam o nie po raz setny, mama przyznała, że to ona je ma. Trzymała je w pięknej wypolerowanej urnie na najwyższej półce szafy. Wyobraziłam sobie, że zdejmuje ją stamtąd późną nocą, przesuwając dłonią po jej gładkiej, wypukłej powierzchni i przeprosza, że była niemila dla Toby'ego. Orzaz za całą resztę. Moje wyobrażenia wynikały z potrzeby przekonania samej siebie, że wszystko, czego dopuściła się mama, zostało wywołane miłością, bo coś takiego byłam w stanie zrozumieć. I wybaczyć. Napawały mnie nadzieją, że pewnego dnia będę w stanie wybaczyć i sobie.

Zamiast tradycyjnego pochówku Toby został więc poddany kremacji, a mnie przyszedł do głowy pewien plan. Pragnęłam na nowo połączyć Toby'ego i Finna. Chciałam, aby ludzie w krematorium otworzyli urnę Finna i wsypali do niej prochy Toby'ego. Spodziewałam się, że mama będzie się sprzeciwiać, ale tak się nie stało. Stwierdziła, że to dobry pomysł. Przynajmniej tyle mogliśmy dla nich zrobić. Obie, wspólnie. Gdy już było po wszystkim, poczułam, że chociaż raz udało mi się coś zrobić jak należy.

Obecnie, gdy chodzę do lasu, zawsze podążam wzdłuż strumienia prosto w kierunku masywnego klonu. Biegnę tam – tak, jak musiał biec Toby w tamtą burzową noc – po czym schylam się i zaczynam pełzać po ziemi. No bo co, jeśli gdzieś tam znajduje się jakaś wskazówka? Kawałek truskawkowej gumy do żucia ciągle zawinięty w woskowany papierek, wyblakłe od słońca i deszczu pudełko zapalek albo guzik, który odpadł od wielkiego szarego płaszcza? Co, jeśli pod liśćmi spoczywam ja sama? Nie ja, którą teraz jestem, tylko dziewczyna w sukience Gunne Sax z suwakiem na plecach, posiadająca najlepsze botki na świecie. Co, jeśli ona tam leży i szlocha? Bo jeśli kiedykolwiek ją znajdę, na pewno będzie płakać. Jej łzy będą opowiadać o wiedzy, którą udało jej się osiągnąć. Wiedzy, zgodnie z którą przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość niczym się od siebie nie różnią i nie ma od nich ucieczki. A dom zawsze będzie domem.

Wszyscy siedzieliśmy w salonie, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Był sobotni poranek i czekaliśmy właśnie na faceta z muzeum Whitney. Mama wstała i spojrzała na nas.

– Nie życzę sobie żadnych scen – oznajmiła i wbiła we mnie wzrok.

– Co takiego? – spytałam, posyłając jej spojrzenie, które mówiło: „Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła”.

– Żadnych niestosownych komentarzy i żadnych scen, rozumiemy się? Sytuacja jest wystarczająco żenująca.

W tej kwestii się z nią zgadzałam. Sytuacja rzeczywiście była żenująca. Kiedy facet z Whitney po raz pierwszy przyjechał obejrzeć portret, w domu była mama, Greta i ja. Wszystkie spodziewałyśmy się jakiegoś wyluzowanego miłośnika sztuki, ale mężczyzna przypominał raczej wojskowego niż osobę związaną z kręgami artystycznymi. Włosy miał ścięte na języka, a koszulę nosił zapiętą pod samą szyję. W rękę trzymał czarną aktówkę i tak jak przewidziała mama, uznał nas za wariatów. Powiedział, że jest zbulwersowany naszym czynem. Powtórzył to jakieś trzy czy cztery razy, mocno marszcząc brwi. Widziałam, że nawet mama jest onieśmielona jego postawą, bo zapomniała zaproponować mu kawę, a ona zawsze pamiętała o zasadach gościnności. Siedziałyśmy w salonie, a mężczyzna przypatrywał się portretowi. Wyciągnął z teczki podkładkę do pisania i żółty notatnik, i dokonując analizy, coś w nim sobie zapisywał. To zbliżał się do obrazu, to się od niego oddalał, potem robił kilka kroków w lewo oraz w prawo, nie przestając skrobać w notatniku.

Nie jestem pewna, czy zdawał sobie sprawę, że patrzy właśnie na mnie i Gretę, i że znajdujemy się tuż za jego plecami. Nie miałam zamiaru zwracać mu na to uwagi, ale im dłużej gapił się w obraz, tym większa wściekłość mnie ogarniała. Jak śmie tak się w nas wpatrywać? Kto dał mu prawo do rozrywania nas na strzępy głodnymi oczyma? Finn poświęcił mnóstwo godzin, żeby namalować nas w sposób idealny dlatego, że nas kochał i chciał zrobić coś specjalnie dla nas. Jednak facet z Whitney miał gdzieś miłość. Nie było co do tego wątpliwości. Oglądał nas jak okazy naukowe. Gapił się na nas bez końca i nagle poczułam, że muszę nas bronić. Nas i Finna. Chciałam chronić jego dzieło.

Wstałam.

– Napatrzył się już pan? – spytałam, kładąc dłonie na biodrach.

Spodziewałam się, że mama każe mi się zachowywać i uzbroić się w cierpliwość. Spojrzałam na nią, ale zamiast zirytować się moim grubiaństwem, ona również się podniosła.

– Tak – powiedziała, kiwając głową. – Chyba już wystarczy.

Greta także wstała, ale nie odezwała się ani słowem.

Facet z Whitney powoli przyjrzał się każdej z nas, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy wszystko w życiu miał zwyczaj poddawać podobnej ocenie. Po chwili lekko skinął głową.

– No dobrze – powiedział. – Pomówmy zatem o tym, co da się zrobić.

Wskazał na krzesło.

– Mogę usiąść?

– Oczywiście – odparła mama.

Usiadłyśmy i zaczęłyśmy słuchać.

Mężczyzna raz jeszcze wyraził ubolewanie z powodu wyrządzonej przez nas szkody. Używał słów takich jak „trawestacja” czy „abominacja” i wkrótce śmiałość, która ogarnęła nas kilka minut wcześniej, całkowicie wyparowała. Gdy upewnił się, że dociera do nas ważkość czynu, którego się dopuściłyśmy, oznajmił, że jego zdaniem dobry konserwator powinien poradzić sobie z oczyszczeniem obrazu.

– Nie będzie to tanie, ale z pewnością konieczne, i wydaje mi się, że powinny panie z ulgą powitać tę możliwość – stwierdził mężczyzna.

Pokiwałyśmy głowami i po krótkich negocjacjach zgodziłyśmy się, żeby zabrał obraz do muzeum. Powiedział, że powinien do nas wrócić w ciągu miesiąca.

Mężczyzna w końcu wyszedł i w normalnych warunkach byłby to moment, gdy wszystkie stłumione w nas emocje eksplodują i parskamy śmiechem. Jednak pusta przestrzeń na ścianie sprawiła, że jakoś nie było nam do śmiechu.

Obecnie przedstawiciel muzeum ponownie stał przed frontowymi drzwiami, tym razem z portretem w dłoniach.

– Okej, obiecuję – powiedziałam do mamy. – Nie pisnę ani słowa.

Facet wyglądał identycznie jak poprzednio. Wyobraziłam sobie szafę pełną świeżo wypranych białych koszul. Po wymianie uprzejmości oraz kawie, o której mama tym razem pamiętała, mężczyzna położył obraz na stole w kuchni. Portret owinięty był niezliczonymi warstwami folii bąbelkowej i przyszło mi do głowy, że facet prawdopodobnie padłby trupem, gdyby zobaczył, w jakich warunkach przechowywane są płótna w piwnicy Finna – żadne z nich nie było w nic owinięte, leżały tam po prostu jedno na drugim. Uśmiechnęłam się, bo mężczyzna miał się o tym nigdy nie dowiedzieć. Ani nikt inny zresztą. Nigdy.

Tym razem był z nami tato i wspólnie obserwowaliśmy, jak facet z muzeum odkleja taśmę i rozwija folię.

– Jestem przekonany, że uznacie państwo efekty pracy konserwatora za więcej niż zadowalające – powiedział mężczyzna.

Obraz ukazał się w końcu naszym oczom. Wszystko, co na nim namalowaliśmy – guziki, czaszka, usta, iluminowane włosy i paznokcie – zniknęło. Portret wrócił do stanu, w jakim zostawił go Finn.

Prawie. Zauważyłam, że dwa elementy dodane przez mamę – naszyjnik oraz pierścionek – ciągle znajdowały się na swoim miejscu. Była tak dobrą malarką, że nawet ekspert nie potrafił odróżnić tego, co namalowała, od dzieła Finna. Wkład mamy na zawsze już miał stać się częścią portretu. Patrzyła na obraz, ale nie dała niczego po sobie poznać. Przyszło mi do głowy, żeby zwrócić na siebie jej uwagę i pokazać, że rozumiem, co zrobiła – rozmyśliłam się jednak. Każdy ma prawo wierzyć, że skrywa jakiś sekret.

Rodzice kiwali głowami, a Greta wyglądała, jakby kamień spadł jej z serca. Wyglądało na to, że tylko we mnie utrata naszych malunków wywoływała smutek. Nic

jednak nie powiedziałam. Nikt by mnie raczej nie zrozumiał. Zresztą obiecałam mamie, że nie będę robić scen.

Mama i tato raz za razem dziękowali mężczyźnie, który odpowiadał, kiwając głową, ale widać było, że serce mu się kraje na myśl, że musi zostawić obraz u takich półgłówków jak my. Nie miał jednak innego wyjścia.

Portret ponownie zawisł nad naszym kominkiem, czyli tam, gdzie było jego miejsce. Z początku za każdym razem, gdy go mijaliśmy, obdarzaliśmy go spojrzeniem, z czasem jednak wtopił się w tło, jakie stanowił nasz dom. Wchłonęło go nasze życie.

Rzecz w tym, że mimo konserwacji i wymazywania wciąż jestem w stanie prawidłowo odczytywać nasz obraz. Tylko ja wiem o wilku oraz o tym, że gdy na płótno pada pod odpowiednim kątem głębokie pomarańczowe światło, które pod koniec dnia sący się do salonu przez boczne okno – jeśli się wie, czego i gdzie szukać – ciągle jeszcze można dostrzec moje pięć czarnych guzików. Wyglądają inaczej niż wcześniej: zamiast niezdarnie naniesionych plamek farby obecnie przypominają cienie. Albo maleńkie zaćmione księżycy unoszące się ponad powierzchnią mojego serca.

Od autorki

Z wielką przyjemnością stwierdzam, że większość powszechnie znanych faktów idealnie pasowała do mojej opowieści. Jednak w tych rzadkich przypadkach, gdy było inaczej, pozwoliłam sobie nagiąć je – tak delikatnie, jak to tylko możliwe – do swoich potrzeb.

Podziękowania

Od samego początku miałam szczęście do czytelników, którzy wiedzą, jak prawidłowo zbilansować szczerść i słowa zachęty. Serdeczne dzięki za mądre komentarze należą się więc: Sarah Crow, Sondrze Friedman, Julii Wherrell, Jerry'emu Horsmanowi, Clive'owi Mitchellowi oraz Clare Blake.

Mollie Glick dziękuję za to, że pomogła *Wilkom* ruszyć w szeroki świat. Lepszej pomocy nie jestem sobie w stanie wyobrazić. Gorąco dziękuję też wszystkim pozostałym pracownikom agencji literackiej Foundry, a zwłaszcza Katie Hamblin, Stéphanie Abou, jak również Caspianowi Dennisowi z agencji Abner Stein.

Wyrazy ogromnej wdzięczności należą się mojej redaktorce Jen Smith. Dziękuję Ci za niezmiennie wnikliwe, życzliwe i przemyślane uwagi oraz za to, że motywowałaś mnie do samego końca. Dziękuję też pracownikom wydawnictwa Dial Press: Susan Kamil, Hannah Elnan, Kathleen Murphy Lord oraz wszystkim pozostałym osobom, które pracowały lub będą pracować na tę książkę.

Dziękuję Jenny Geras z wydawnictwa Pan Macmillan. Ależ ze mnie szczęściara, że nad moją książką pracowały aż dwie wspaniałe redaktorki! Dziękuję też Jeremy'emu Trevathanowi, Ellen Wood, Michelle Kirk, Chloe Healy i całemu zespołowi z Macmillana, którego entuzjazm sprawia, że serce bije mi szybciej.

Dziękuję wszystkim pracownikom New Writing Partnership, a w szczególności Kate Pullinger oraz Candidzie Clark, za przyznanie mi fantastycznego wyróżnienia w postaci nagrody New Writing Ventures Award i związanego z nią programu mentorskiego. Po dziś dzień z rozmarzeniem wspominam tamten rok. Podziękowania należą się też Judith Murray, której wczesne opinie pomogły mi zadać właściwe pytania odnośnie do mojej książki.

Dziękuję również instytucji Arts Council England za przyznanie mi hojnego stypendium, dzięki któremu powstał pierwszy szkic *Wilków*.

Przesyłam także serdeczne podziękowania i wyrazy miłości mojej rodzinie oraz bliższym i dalszym przyjaciołom, którzy wspierali mnie na tak wiele różnych sposobów: mamie, tacie, Wendy i Joshowi, Cindi, Shirley, Kristin, Lynne, Dilys, Mike'owi, Stevenowi i Irene.

Składam też pełen szacunku ukłon duchowi Geda Stewarta.

Przede wszystkim jednak dziękuję mojemu ukochanemu Chrisowi za jego niezłomność i wyrozumiałość. Nigdy we mnie nie wątpił i bez Ciebie bym tego nie osiągnęła.

¹ Svengali to imię hipnotyzera zniewalającego główną bohaterkę w powieści George'a du Mauriera zatytułowanej *Trilby* (przyp. tłum.).

² *Waltzing Matilda* – tytuł australijskiej piosenki z końca XIX wieku, opowiadającej historię włóczęgi podróżującego z tobołkiem zrobionym ze zwiniętego koca. Bagaż tego typu określano słowem „Matilda”, natomiast wyraz „waltzing” odnosił się do tułaczki, którą wypełnione było życie wędrowców (przyp. tłum.).

Przekład: Marcin Sieduszewski

Redakcja: Anna Adamiak
Korekta: Katarzyna Pawłowska, Beata Wójcik

Projekt okładki: Krzysztof Rychter
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Mark Owen / Trevillion Images

Opracowanie typograficzne, łamanie: manufaktura | manufaktu-ar.com

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
e-mail: biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-476-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow